

A woman is shown from the waist down, wearing a black dress and red high-heeled shoes. She is holding a black briefcase with both hands. A white label is attached to the front of the briefcase with the name 'DOROTA DZIEDZIC-CHOJNACKA' written on it in black, bold, uppercase letters.

DOROTA DZIEDZIC-CHOJNACKA

Zbrodnia na boku

Powieść kryminalna

VIDEOGRAF

DOROTA DZIEDZIC-CHOJNACKA

Zbrodnia na boku

VIDEOGRAF

Redakcja:

Joanna Kryszczukajtis-Szopa

Projekt okładki:

Pracownia WV

Zdjęcie na okładce:

© Dphotographer/iStockphoto

Redakcja techniczna, skład i łamanie:

Damian Walasek

Opracowanie wersji elektronicznej:

Grzegorz Bociek

Korekta:

Urszula Bańcerk

Wydanie I, Chorzów 2014

Wydawca:

Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c

tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35

fax 32-348-31-25

office@videograf.pl

www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej:

DICTUM Sp. z o.o.

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

Tekst © Dorota Dziejic-Chojnacka

© Copyright by Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2014

ISBN 978-83-7835-316-4

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

17 marca, poniedziałek

8 marca, wtorek

9 marca, środa

10 marca, czwartek

11 marca, piątek

12 marca, sobota

13 marca, niedziela

14 marca, poniedziałek

15 marca, wtorek

16 marca, środa

17 marca, czwartek

18 marca, piątek

19 marca, sobota

20 marca, niedziela

21 marca, poniedziałek

22 marca, wtorek

23 marca, środa

24 marca, czwartek

25 marca, piątek

26 marca, sobota

27 marca, niedziela

28 marca, poniedziałek

29 marca, wtorek

30 marca, środa

31 marca, czwartek

1 kwietnia, piątek

2 kwietnia, sobota
3 kwietnia, niedziela
4 kwietnia, poniedziałek
5 kwietnia, wtorek
6 kwietnia, środa
7 kwietnia, czwartek
8 kwietnia, piątek
9 kwietnia, sobota
10 kwietnia, niedziela
11 kwietnia, poniedziałek
12 kwietnia, wtorek
13 kwietnia, środa
27 kwietnia, środa

17 marca, poniedziałek

– Niech pani nie wchodzi! – głos wypływający zza kontuaru zatrzymał mnie stojącą tuż przed progiem, z ręką położoną na klamce. – Oni są u niego.

– Którzy oni? – zapytałam, ze wzrokiem nadal skierowanym na drzwi. Rzeczywiście, słychać było jakieś głosy.

– No, wie pani... No, oni... – Pani Zosia lekko zawahała się, a potem popatrzyła na sufit w poszukiwaniu pamięci. Widocznie jednak nie odnalazła jej wśród zawijasów lampy stylizowanej na secesyjną, bo z westchnieniem powiedziała: – Ci drudzy. Bracia z ojcem. Trzech, to znaczy z ojcem czterech.

Już wiedziałam. Mecenas wielokrotnie opowiadał, że po rozpoczęciu własnej praktyki pierwszą klientką, która do niego zawitała, była staruszka z podziurawioną torebką i jakąś gigantyczną sprawą spadkową w perspektywie, a drudzy byli bracia... no właśnie. Ja też nie pamiętałam, jak oni się nazywali. Jakieś takie trudne, obco brzmiące nazwisko... Zresztą nieważne. W każdym razie nie byli to tak naprawdę bracia, to znaczy nie wyłącznie. Przyszło trzech braci, przyprowadzonych do adwokata przez ojca, po którym odziedziczyli szlachetny fach klasycznego włamywacza, dodatkowo uzupełniając go nowocześniejszymi upgrade'ami typu wymuszenia, sezonowa dilerka czy kradzieże samochodów. Czasami też podobno nieudolne sutenerstwo (na udolne brakowało im intelektu i finezji) albo usługi pomocnicze, typu lekkie zastraszanie niepłacących klientów na zlecenie fachmamy lub nadalfonsa czy delikatne przypo-mnienie niepokornym podopiecznym nie najcięższych obyczajów o obowiązkach fiskalnych wobec mocodawcy. To wszystko znałam jedynie pośrednio trochę z monologów Mecenasa, trochę z jego rozmów z aplikantką, których byłam świadkiem, bo dzieliłam z nią w pracy jeden pokój, reszty domyślałam się sama. Nawet przez chwilę kojarzyłam nazwisko braci, to znaczy braci i ojca, bo oni wszyscy mieli takie samo (chyba?); widziałam je wypisane na kancelaryjnych aktach, ale teraz absolutnie nie mogłam sobie go przypomnieć. Uroczą rodzinka pełniła rolę stałych klientów Mecenasa, mieli nawet coś w rodzaju

abonamentu z odpowiednimi zniżkami, bo w konflikt z prawem wchodził z regularną częstotliwością.

– Myśli pani, że to długo potrwa? – spytałam panią Zosię. – Potrzebuję akt z tego pokoju.

Pani Zosia smutno pokiwała głową.

– Wydaje mi się, że tak. Weszli niedawno, a to są jednak cztery osoby – odpowiedziała. Zadzwoił telefon, pani Zosia sięgnęła ręką po słuchawkę:

– Kancelaria Magier i Wspólnicy, słucham.

Nie było sensu czekać bez sensu, jak mawiał mój znajomy lubiący brać sprawy we własne ręce, więc wróciłam na górę do swojego pokoju i klapnęłam ciężko za biurkiem. Kancelaria znajdowała się w dwupoziomowym lokalu mieszczącym się w kamienicy, która podobno nawet w części była oryginalnie przedwojenna. W zasadzie kiedyś musiały to być co najmniej – na oko – trzy oddzielne mieszkania, położone na dwóch piętrach bezpośrednio nad sobą, na co wskazywałyby ich metraż oraz imponująca wysokość każdego z poziomów. Mój pokój pracy mieścił się na górze – podobnie jak wszystkie „niepartnerskie”, ale recepcja, gabinet Mecenasa i jego wspólniczki oraz dwie niewielkie salki konferencyjne – na dole, co skazywało mnie na nieustanne wchodzenie i schodzenie po stromych i raczej wąskich schodach.

Siedząc sobie w miarę wygodnie za własnym biurkiem, pomyślałam, że akurat wtedy, gdy mam wyjątkową wenę do pracy i chcę poklepać na komputerze coś zawodowego, spotyka mnie takie rozczarowanie. Akta niedostępne, nic nie da się zrobić. No trudno, muszę się zająć czymś innym.

Zajmowałam się tak przez kwadrans, kiedy wpadła do mnie na górę pani Zosia.

– Kochana pani Kasiu, niech mi pani życie ratuje! – wykrzyknęła teatralnie, ale zmartwiona była realnie. – Dzwonili z przedszkola, że dziecko chore, chyba rota, bo rzyga jak kot, muszę lecieć je odebrać, a na dole nie ma kto siedzieć! Ja wiem, że pani to już prawie mecenas i że to nie wypada, ale nie ma nikogo innego. Zawidzka chora, zresztą jędrza oraz pani adwokat pełną gębą, to i tak by nie usiadła, Witek poszedł na pocztę, a reszta w sądzie albo u klienta, no, w każdym razie wychodna, a ja muszę naprawdę lecieć! Wie pani, u Mecenasa są klienci, ktoś musi obsługiwać recepcję,

najpóźniej za godzinę przyjdzie Magda, już do niej dzwoniłam, ale ja muszę uciekać już teraz...

– No dobrze, pani Zosiu – powiedziałam, lekko rażona usłyszaną informacją. – Ale ja nie umiem przełączać rozmów na tym nowym telefonie ani tym bardziej wystawiać faktur, no i co z faksem?

– Niech się pani nie przejmuje, wszystko pani wyjaśnię – wysapała pani Zosia. – Ale chodźmy już na dół, bo tam nikogo nie ma w recepcji, a tak nie może być... Tylko niech pani wcześniej dobrze odłoży słuchawkę telefonu, dzwoniłam do pani na biurko i był sygnał zajętości.

Poprawiłam słuchawkę i zeszłam po schodach za panią Zosią, potykając się jedynie dwa razy. Na dole ustaliłyśmy bieżącą obsługę recepcyjną w moim wykonaniu, co nie okazało się zbyt trudne. Otóż doszłyśmy do wniosku, że faksy same przychodzą, nic nie muszę z tym robić, a jak będzie potrzeba wysłania, to albo ktoś sam się obsłuży, albo będzie musiał poczekać na Magdę, czyli naszą wieczorną recepcjonistkę. Magda zazwyczaj przychodziła o czwartej i siedziała w kancelarii do siódmej – ósmej (była zatrudniona na coś w rodzaju pół etatu, ale nie znałam dobrze szczegółów tego układu), jednak dziś, wobec nadzwyczajnej sytuacji, miała podobno być wcześniej. To znaczy zaraz, a w zasadzie maksymalnie w ciągu pół, no powiedzmy godziny, jak zapewniała pani Zosia.

Spojrzałam na zegarek. Była za piętnaście druga, co oznaczało, że Magda powinna przyjść najpóźniej za kwadrans trzecia. Damy radę, a przy okazji przydybię Mecenasa pomiędzy klientami i może uda mi się nawet wydostać z jego gabinetu te akta.

Ustaliłyśmy z panią Zosią, że faktur miałam co do zasady nie wystawiać, jeżeli klient będzie chciał, to wyślemy mu pocztą, ewentualnie w wypadku „awanturujących się” mogłam wypisać je ręcznie, plik odpowiednich druków leżał w górnej szafce. Po upewnieniu się, iż jestem wyjątkowo oporna co do najnowszej techniki telekomunikacyjnej, pani Zosia uznała, że rozmów też nie powinnam przełączać, tylko spisywać, kto dzwonił i dawać potem namiary właściwym pracownikom kancelarii do oddzwonienia. Co miało w zasadzie dużo sensu, gdyż oprócz Mecenasa i mnie nikogo w budynku nie było, a u niego siedzieli klienci, więc i tak nie mógł rozmawiać przez

telefon. W recepcji wiało pustką, żaden dodatkowy interesant nie czekał, a zatem można było robić, co się chce.

Upewniwszy się, że w komputerze pani Zosi działa Internet, machnęłam jej ręką na pożegnanie i zatopiłam się w lekturze jakiegoś głupstwa na temat zwyczajów ślubnych i roli świadka w tych obrzędach. Przedwczoraj poinformowano mnie o tym, że po raz pierwszy w życiu zostanę świadkiem i muszę przyznać, że wywarło to na mnie pewne wrażenie. Nie wiedziałam, czego się ode mnie oczekuje; z jednej strony chciałam coś zrobić, ale chyba nie wszystko, a na pewno nie wszystko z tych rzeczy, których – jak wyczytałam – oczekuje się od świadka, a z drugiej strony nie miałam zamiaru zanadto się wtrącać i zatruwać życie narzeczonym swoją nadpobudliwością w tym temacie. Zasadniczo byłam niezdecydowana, tym chętniej więc zatopiłam się w lekturze. W kancelarii panowała akurat rzadko spotykana cisza, którą przerwały tylko dwa telefony. Jeden z nich pochodził od firmy handlującej artykułami biurowymi, oferującej jakąś megaatrakcyjną zniżkę na swój asortyment. Odebrałam to połączenie za pięć drugą i z niechęcią odłożyłam słuchawkę po równo piętnastu minutach. Nie umiem, niestety, być nieuprzejma na dzień dobry, a chyba tylko to odstrasza przedstawicieli handlowych. Drugi telefon był znacznie ciekawszy – ciepły damski głos w wieku około lat trzydziestu chciał rozmawiać z Mecenase. Odpowiedziałam, że niestety nie jest to możliwe i poprosiłam o pozostawienie danych do oddzwonienia. Głos na to odparł, że w takim razie zatelefonuje później, po czym się rozłączył.

Popatrzyłam na aparat, którego wyświetlacz wskazywał godzinę drugą szesnaście. Nasza rozmowa musiała trwać jakieś dwadzieścia sekund, po prostu szybkość światła w porównaniu z poprzednią. Poniżej małego ekraniku w telefonie znajdowały się diodki wskazujące „zajętość” linii (tyle nawet ja wiedziałam). Z tych diodek paliła się tylko jedna, obok której znajdował się napis „01”. Pomyślałam sobie, że nawet jeśli bym umiała przełączać rozmowy telefoniczne, to i tak w tym przypadku nie byłoby to możliwe, bo linia Mecenasu była po prostu zajęta – najprawdopodobniej dzwonił ze swojego pokoju na zewnątrz. Ta krzepiąca konstatacja potwierdzała mój dotychczasowy pogląd, że bezcelowa jest walka z własnymi wrodzonymi brakami i innymi nieumiejętnościami, a ja akurat wykazywałam wybitny antytalent techniczny.

Przejrzałam już strony z bardziej i mniej realnymi obowiązkami świadków

podczas uroczystości ślubnych, zdążyłam się nawet zdziwić, co Witek robi na pocztce tak długo, skoro o tej porze w dni robocze nie powinno być kolejek, spojrzałam też na zegar wiszący na ścianie kancelarii, stwierdzając, że wskazuje drugą czterdzieści dwie, i upewniając się, że komputer i mój ręczny czasomierz wskazują to samo, gdy do kancelarii wpadła zasapana Magda, przepraszająca za lekkie spóźnienie.

– Co za chamstwo, ludzie już kompletnie poszaleli – dyszała wściekłością, cała drżąc z emocji. – Wychodzę z autobusu, jestem jeszcze na schodku, a tu wpycha się do środka jakiś taki kwadratowy, przysięgam, olbrzym dwa piętnaście, swoim buciozem nastąpił mi na kozak, myślałam, że mi nogę zmiażdży. O, proszę, niech pani popatrzy, jaki ślad mi na bucie zostawił, dziś rano pastowałam, a tu taki straszny syf... O, przepraszam – zreflektowała się poniewczasie.

Rzeczywiście, na wypucowanych i błyszczących na czarno kozaczkach Magdy widniał ślad ogromnego protektora, którego właścicielem musiał być ewidentnie kwadratowy olbrzym. Zdecydowana większość śladu znajdowała się na lewym bucie, ale i na prawym znać było resztki pozostawione chyba przez piętę brutalą.

– Przecież obowiązuje chyba nadal zasada, że najpierw się wychodzi z autobusu, a potem dopiero można wchodzić – kontynuowała Magda z rosnącym w gardle rozżaleniem, chyba lekko przesadnym, biorąc nawet pod uwagę zaistniałe okoliczności. Oczy jej strzelały co sekundę błyskawice, choć uspokoiła już oddech. – Nie wiem, jak ja to teraz doczyszczę? Nie mam w pracy pasty do butów, nie noszę z sobą.

Magda w przeciwieństwie do pani Zosi była osobą bardzo młodą, chyba jeszcze studentką, ale za to w podobieństwie miały to do siebie, iż obie bardzo dbały o swój wygląd i żadna z nich spokojnie nie zniosłaby wizji powrotu do domu w brudnych kozakach.

– Ola ma jakąś pastę, to znaczy powinna mieć – szybko się poprawiłam. – Widziałam, jak kiedyś szurała czymś buty w damskiej toalecie na górze. Chyba nawet czarnym mazidłem.

– Taką lejącą czy w pudełeczku? I gdzie Ola? – zainteresowała się Magda.

– Lejącą. Nie wiem – odpowiedziałam na obydwa pytania.

– Szkoda – westchnęła.

Zrozumiałam, że bardziej jej chodzi o pastę niż miejsce pobytu aplikantki Mecenasa. Ja też nie przepadałam za lejącymi się pastami. Tylko że – inaczej niż Magda – ja w ogóle nie lubiłam czyszczenia butów, a rodzaj pasty mógł tylko dodatkowo tę niechęć pogłębić.

– Ola pewnie niedługo wróci, zjawia się tu około trzeciej, wtedy hmmm... można ją spytać o pastę.

Miałam z Magdą pewien problem natury formalnej. Otóż była to miła, młoda dziewczyna, niezwykle uczynna i zasadniczo bezproblemowa. Miewała oczywiście swoje humory, ale któż w kancelarii zachowywał się zawsze idealnie? Jednak mówienie do Magdy per „pani” nie do końca odpowiadało naszym relacjom, które były zasadniczo na koleżeńskim stopie. Z drugiej strony jednak w kancelarii panowała zasada szastania „panami” i „paniami” w relacjach obsługa pomocnicza (czyli pani Zofia i Magda) a pozostali. Trochę inne reguły panowały na styku: współnicy a cała reszta personelu – szefostwo tytułowaliśmy zwyczajowo „pan/pani mecenas”. Wyjątki od tych zasad interpretowane były bardzo ściśle i występowały chyba tylko w relacjach Luiza – współnicy oraz Witek i Magda, bo z tego, co zauważyłam, te osoby były ze sobą po imieniu.

Magda chyba nie miała z tym większego problemu, zwracała się do mnie w formie „pani”, podobnie jak do pozostałych, nawet wtedy, gdy zwierzała się z problemów z własnym mężczyzną czy kosmetyczką lub innych na podobnym poziomie intymności. Moje próby bezosobowego adresowania skierowanych do niej wypowiedzi traktowała raczej z dystansem, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Zadzwoił telefon, Magda odebrała jedną ręką, drugą ściągając kurtkę, i pograżyła się w rozmowie. Wróciłam na górę.

O trzeciej pięć do pokoju wpadła Ola, otworzyła biurko, wyjęła z szuflady małe zawiniątko w kształcie spłaszczonego walca i poleciała na dół. Wróciła po minucie. Wyglądała olśniewająco, co mnie lekko przerażyło. Ola bowiem zawsze tak wygląda, gdy jest pioruńsko wściekła. A gdy jest naprawdę w burzowym nastroju, rzuca do tego gromy. Przez co spokój mam z głowy i nastrój do pracy też.

– Wykładowca z etyki na aplikacji zawsze powtarzał – zaczęła, cedząc słowa z udawanym spokojem – a ja mu nie wierzyłam, przynajmniej nie do końca. Ale to była święta racja!

– Co? – Odsunęłam klawiaturę. To mogło być ciekawe. Zresztą i tak nie miałam wyboru.

– Że nikt ci sprawy tak pięknie nie spie..., sorry, zepsuje, jak twój własny klient! – ryknęła Ola.

Wygląd miała naprawdę imponujący. Oczy jej błyszczały, policzki miała zaróżowione, cera wyglądała przy tym na idealnie gładką. Wrażenie może trochę psuła lekko drgająca żyłka na szyi, ale niektórzy mogliby uznać, że i to dodawało jej uroku.

Ola stanęła za biurkiem. Przy całym pięknie chwili przebijało z niej jednak, że niedawno połknęła granat, z którego ktoś wcześniej wyciągnął zawleczkę.

– Prowadzę sprawę od ponad dwóch lat – zaczęła. – Spadkowa, duże pieniądze, ogromny dom na Mokotowie..., z zegarem..., półhektarowa działka, precjoza, antyki...

– Ten zegar to na zewnątrz domu? – zdziwiłam się. Nie przypominałam sobie żadnych budynków na Mokotowie, których mury upiększone były cyferblatami.

– Nie. – Ola spojrzała na mnie dziwnie. – W środku, stojący, zabytkowy, podobno bardzo dużo wart. Ale ja nie o zegarze...

– No właśnie – podsunęłam. – Mówiłaś o sprawie klienta.

Z Olą byłyśmy po imieniu, podobnie jak i z pozostałymi „niepartnerami”. To ona zaproponowała tę formę zaraz po tym, gdy dowiedziała się, że będziemy pracować w jednym pokoju.

– No tak. – Ola usiadła za biurkiem. – Osiemnaście rozpraw, dwunastu przesłuchanych świadków, plus trzy strony, przysięgam. – Walnęła się w pierś, aż zadudniło. – Mnóstwo pism, biegły grafolog, bo testament był oczywiście kwestionowany, sprawa zmierza do szczęśliwego finału po dziesięciu latach, bo tylko ja ją prowadzę od dwóch, wcześniej byli inni pełnomocnicy, ale średnio pracowici, więc tak się to wlokło, teraz przyspieszyłam, nabrało to formy i tempa, a co mam za to dzisiaj? – zawiesiła głos.

– No co? – zapytałam, bo chyba tego ode mnie oczekiwała.

– No klient wstaje i na pytanie sądu, czy wie, gdzie teraz znajduje się pociotek spadkodawcy, który by współdziedziczył ustawowo, zamiast grzecznie odpowiedzieć, że nie, niestety, sobie nie przypomina, on mówi, że... – Ola zawiesiła głos. – ...podobno gdzieś w Chile.

– W Chile? – zdziwiłam się. – Nie mógł dalej?

– W Chile – potwierdziła moja rozmówczyni. – Dalej chyba jest tylko Fidzi.

– Nie, chyba Australia też jest dalej. I Nowa Zelandia. Poczekaj, otworzę Google.

– Otwórz. Przy okazji sama zobaczę, gdzie dokładnie jest Chile. Bo wiem tylko, że w Ameryce Południowej.

Sprawdziłyśmy Chile na mapie, jednocześnie odkrywając kilka innych państw położonych jeszcze dalej od Polski.

– Kiribati. Samoa. Tonga. – Moja koleżanka delektowała się tymi nazwami, jednak w jej głosie przebijała wyraźna gorycz.

– Chyba Togo? – poprawiłam mimowolnie.

– Nie, Togo w Afryce, to bliżej. Tonga. Oceania.

– To takie państwo istnieje? Pokaż – zażądałam. – Dzięki. No i co dalej ze sprawą? – wróciłam do tematu, gdy Ola już szczęśliwie dotarła do swojego biurka.

– No jak to co? Sąd nakazał zamieścić ogłoszenia w trzech najpoczytniejszych gazetach w Chile, na temat śmierci Jakuba Nowika, zmarłego przed dwunastu laty w Otwocku. Rozprawa odroczone bez terminu, będzie podjęta w trzy miesiące po zamieszczeniu ogłoszeń, bo może ktoś się zgłosi – zakończyła sarkastycznie.

– A sprawa oczywiście na procent? – dopytałam, aby się upewnić.

– A jak inaczej?

Rozumiałam w pełni żal Oli. Niektóre sprawy w kancelarii były prowadzone na tzw. procent. Oznaczało to, iż klienci płacili zazwyczaj ryczałtową stawkę za prowadzenie sprawy, typu: za każde stawiennictwo w sądzie po ileś złotych, a dodatkowym wynagrodzeniem miał być procent od uzyskanej wygranej. Ryczałty to nie były kokosy, zazwyczaj lekko przekraczały koszty, sprawę napędzał potencjalny procent od korzystnego wyroku. Odroczenie rozstrzygnięcia oznaczało odwleczenie w

czasie większości spodziewanego wynagrodzenia, które i tak z założenia stało pod dużym znakiem zapytania. Co, w sytuacji Oli, szamoczącej się z ratami kredytu za samochód oraz marzeniami o wyjeździe na egzotyczne wczasy, miało niebagatelne znaczenie.

– Proszę, powiedz sama – dobiegło mnie zza drugiego biurka. – Czy ludzie muszą być tak piekielnie uczciwi? Zwłaszcza wtedy, gdy jest to najmniej potrzebne? Jak nie trzeba, to kręcą prawdą aż miło, w ogóle ich to nie uwiera, a w moich akurat sprawach mają przyływy szczerości? Zresztą, co mu, pacanowi, szkodziło powiedzieć, że nie pamięta? Przecież to jest nie do udowodnienia – po prostu w tym momencie sobie tego nie przypomniał. Mógł przecież. Nie ma wymogu pamięci absolutnej, prawda?

– No właśnie, tu mi coś przywołałaś – przerwałam ten potok słów. – Jak się nazywali ci trzej bracia plus ojciec, drudzy klienci Mecenas?

– Ach, ci... – Ola zadumała się chwilę. – Poczekaj, sprawdzę, gdzie mam akta, to raczej niestandardowe nazwisko.

Wstała i pogrzebała trochę na swoich półkach.

– Niestety, nie mam teczek – powiedziała. – Ktoś je musiał wziąć...

– Pewnie Mecenas – podsunęłam. – Byli dziś u niego.

– Ale chyba nie w komplecie? – spytała Ola. – Z tego, co pamiętam, najstarszy z braci ma areszt, a młodszy kończy odsiadywać „trójkę”.

Nigdy nie prowadziłam żadnej sprawy karnej, ale domyśliłam się, że „trójka” to bezwarunkowe trzy lata pozbawienia wolności. Siedzenie w jednym pokoju z praktykującym karnistą mogło poszerzać horyzonty. Przynajmniej te gwarowe i przynajmniej czasami.

– Pani Zosia mówiła, że byli wszyscy czterej. Może dostał przedtermina. – Opowiedziałam Oli w skrócie sytuację, która miała miejsce w kancelarii przed jej przyjściem.

– No, popatrz, tak właśnie się zdziwiłam, że jest Magda, a nie ma jeszcze czwartej, ale ona wyjechała od razu z tym pytaniem o pastę i nie zdążyłam ją zapytać.

– A teraz wiesz. Akta! – Pacnęłam się w czoło i zbiegłam na dół. Przypomniałam sobie nagle o tym, co chciałam wziąć z gabinetu Mecenas.

W recepcji siedziała tylko Magda, tłumacząca komuś cierpliwie przez telefon drogę dojazdu do kancelarii. Zero klientów, drzwi do pokoju Mecenasu były uchylone. Weszłam do środka. Nikogo tam nie było.

Szybko odnalazłam swoje akta, już miałam wychodzić, kiedy przypomniało mi się, że chcę znać specyficzne nazwisko braci i ojca. Niestety, mam taki charakter, że uporczywe myśli zaprzatają mi głowę, dopóki nie zostaną ostatecznie rozwiązane, co powoduje moją skrajną bezproduktywność. Dlatego dla spokoju psychicznego musiałam spojrzeć na ich akta. Tylko że nigdzie w gabinecie nie mogłam ich znaleźć.

Szukanie akt było o tyle ułatwione, że w kancelarii obowiązywał bezwzględnie przestrzegany system katalogowania postępowań. Sprawy cywilne i gospodarcze, którymi między innymi ja się zajmowałam, znajdowały się zawsze w pomarańczowych teczkach; karne, które obrabiali przede wszystkim Mecenas i Ola, prowadzone były w niebieskich segregatorach; rodzinne (to znaczy rozwody i pochodne, czyli opieki nad dzieckiem i podziały majątku) – w czerwonych. Czarne, twarde akta były właściwe do spraw wewnętrznych kancelarii typu rozliczenia z klientem, nasze własne rozrachunki, umowy na sprzęt itp. Zielone te czki przeznaczono do wszystkich pozostałych spraw, których było w sumie niewiele. System funkcjonował od lat, zastałam go już w postaci wyewoluowanej, gdy przyszłam do kancelarii, i trzeba przyznać, że się sprawdzał.

Kiedyś zastanawiałam się nad głębszą motywacją, która przyświecała twórcom tych zasad. Dlaczego sprawy karne są w niebieskim kolorze? Bo niebieski to niebo, czyli Sąd Ostateczny? A rodzinne w czerwonych teczkach, bo kojarzy się z miłością? Mnie czerwony przypominał przede wszystkim stop w sygnalizatorze ulicznym, a tym samym czasem budził agresję. Fakt, że od miłości do nienawiści krótka droga, czego najlepszym dowodem są rozwody, ale czy to było uzasadnienie wyboru tego koloru? No i czym wytłumaczyć pomarańczowy dla „zwykłych” spraw cywilnych? Chciałam kiedyś spytać o te wszystkie rzeczy autora „aktowego pomysłu racjonalizatorskiego”, ale poinformowano mnie, że już dawno przestał pracować w kancelarii.

W gabinecie Mecenasu leżało tylko kilka niebieskich teczek. Przejrzałam dokładnie ich grzbiety. Na żadnej z nich nie było napisane nietypowo brzmiące

nazwisko. Trudno, pewnie Mecenas aktualną teczkę braci (i ojca! i ojca! – dopowiadał mózg) zabrał ze sobą.

Przeszłam obok recepcji – Magdy nie było za kontuarem, prawdopodobnie poszła na zaplecze. Wróciłam więc szybciotko na górę. Ola właśnie zaczynała jeść obiad i zapach chińszczyzny unosił się w pokoju. Aż mnie cofnęło, ale pozostałe pomieszczenia na piętrze były zamknięte na klucz i nie miałam innego wyjścia.

– Przepraszam cię, ale latałam dziś jak z pieprzem, miałam trzy rozprawy w trzech różnych sądach i jeszcze gdzieś czytanie akt, nie zdążyłam nic zjeść na mieście – powiedziała moja kancelaryjna współlokatorka z widoczną skruchą. – Umieram z głodu, muszę coś chapnąć, bo inaczej padnę, a mam jeszcze dziś dokończyć apelację Borutka. Termin mi mija.

Nie znałam pana Borutka, ale założyłam, że to któryś z klientów Oli.

Ola pochłonęła chińszczyznę w ekspresowym tempie i uprzejmie wyrzuciła opakowanie do kosza w toalecie, a nie w naszym pokoju. Podczas jej nieobecności dokładnie wywietrzyłam gabinet. Powietrze na zewnątrz było mroźne i pełne spalin, jak to w Śródmieściu, ale przynajmniej nie pachniało egzotycznymi przyprawami.

– Powinnaś codziennie odprawiać modły w podzięce za swój odporny żołądek – pouczyłam Olę po jej powrocie z ubikacji. – Dla mnie ćwierć grama glutaminianu sodu czy innego przekleństwa z orientalnych bud oznacza zgałę na tydzień.

Ola zachichotała.

– To prawda. Wczoraj nawet jadłam w stołówce sądowej na Solidarności! – pochwalila się.

– Co? – spytałam zaciekawiona.

– Między innymi ziemniaki. Go-to-wa-ne – przesyłabizowała w celu wywołania większego wrażenia.

– I jaki efekt? – dopytałam.

– Nic!

– Naprawdę nie wiem, jak to robisz – powiedziałam z podziwem.

– Ja też! – Uśmiechnęła się. – No dobra, może wiem -zreflektowała się. – Kieliszek dobrego wina na dobranoc i tyle! Może to jest antidotum?

- Nie sądzę. A przynajmniej na mnie nie działa.
- Bo to trzeba systematycznie, dzień w dzień. A nie tak jak ty – od czasu do czasu.
- Hmm... może jest w tym jakaś metoda...

Zabrałyśmy się do pracy. Po pięciu minutach Ola przerwała ciszę.

– Wiesz, co jest w tym najgorsze? – zagadnęła.

– W czym? W picciu wina?

– Nie. – Machnęła dłonią, jakby odganiała muchę. – W mojej sprawie spadkowej. Tej chilijskiej.

– Ach, w tym. – Powróciłam w myślach do naszej poprzedniej rozmowy. – Chyba brak kasy dla ciebie w najbliższej przyszłości?

– Nie. – Pokręciła głową. – Mój klient jest kompletnie splukany, jeśli chodzi o finansowanie tej sprawy. Powiedział mi po rozprawie, że trzeba będzie poczekać na to, żeby zebrał pieniądze na te ogłoszenia w prasie chilijskiej.

– A jaka jest najpoczytniejsza prasa w Chile? – zainteresowałam się tematem.

– Skąd mam wiedzieć? – zdziwiła się Ola. – Nie mam zielonego pojęcia.

Zacząłyśmy szukać w Internecie. Nie było łatwo, tym bardziej że żadna z nas nie mówiła po hiszpańsku. Po piętnastu minutach przypomniałyśmy sobie, że mamy inne zawodowe rzeczy do zrobienia dzisiaj, więc zaniechałyśmy dalszych poszukiwań.

Do końca dnia w pracy nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

8 marca, wtorek

Rano zza kontuaru recepcji powitała mnie Magda. Zagadnęłam ją o nieobecność pani Zosi. Magda poinformowała mnie o tygodniowym zwolnieniu naszej dziennej sekretarki oraz o tym, że w tym czasie ona będzie ją zastępowała.

– Ho, ho, a dasz... da pani radę? Od ósmej rano to jakieś jedenaście, dwanaście godzin dziennie.

Magda uśmiechnęła się z wyrozumiałością, nie wiem tylko, czy w odniesieniu do mojego lapsusu słownego, czy niewiary we własne siły. Przez chwilę nawet zdawało mi się, że w jej oku błysnęła jakby mała iskierka wyższości.

– Spokojnie – odparła. – Dla mnie to nawet dobrze, bo teraz mam czas, a dodatkowe pieniądze akurat mi się przydadzą.

Zdziwiłam się trochę. Aktualny konkubent Magdy, z tego, co było mi wiadome, opływał w dostatki i raczej kasy na narzeczoną nie skąpił, byłam więc przekonana, że pracuje ona bardziej dla rozrywki niż pieniędzy.

W sumie jest to ich sprawa, mnie nic do tego – pomyślałam i poczłapałam na piętro.

A tam zapach parzonej kawy i gwar nieco większy niż codzienny.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Nie wiesz? – Witek był wstrząśnięty. – Dudka aresztowali!

– Tego bramkarza? – Rzeczywiście się zdziwiłam. – Przecież wyglądał tak przyzwoicie...

– Co ty, głupia, nie tego, naszego Dudka! I czy to trzeba wyglądać nieprzyzwoicie, żeby być aresztowanym?

Rozumowaniu Witka trudno było odmówić racji. Rzeczywiście, nikt przestępstwa nie ma wypisanego na twarzy...

– Zaraz, zaraz... – oprzytomniałam. – Aresztowali naszego Dudka? Pana mecenasa Dudka? Za co go wsadzili?

– Za kratki, coby nie uciekł.

– Stary dowcip – skwitowałam. – Powiedzcie, proooooszę, co zrobił Dudek.

Pan mecenas Dudek był radcą prawnym dość luźno współpracującym z Kancelarią Magier i Wspólnicy. Podstawę jego działalności stanowiła własna praktyka, którą wykonywał zazwyczaj u siebie w domu lub w siedzibach klientów. Własnej kancelarii jako oddzielnego, profesjonalnego lokalu z sekretarką i ekspresem do kawy nie posiadał. Do naszej pracy wpadał, gdy był zmuszony organizować spotkanie na teoretycznie własnym terenie, a w zamian za krótkotrwałe najmy sali konferencyjnej świadczył sporadycznie jakieś usługi wspólnikom kancelarii, rozliczając się chyba mniej więcej barterowo. A przynajmniej tak się mówiło.

– Podobno zabił swojego klienta – powiedziała spokojnie Ala. – Udusił go tak jakby w afekcie, bo sypiał z jego żoną.

– Z żoną? – zdziwiłam się. – Przecież Dudek był rozwiedziony!

– Nie był – odpowiedział Witek. – Tylko sprawiał takie wrażenie. Realnie byli od lat w separacji, ale i to tylko faktycznej, nie prawnej. Mieszkali oddzielnie, ale orzeczonej separacji nie mieli, rozwodu tym bardziej, bo Dudek nie chciał go dać Dudkowej, a niby tylko ona zdradzała w tym związku. On mówił, że wciąż wierzy, że ona do niego wróci i takie tam inne terefere.

– Naprawdę? – Moje zaskoczenie osiągnęło apogeum. -Myślałam, że tylko kobiety mają takie podejście. No wiecie, nie puszczę, po moim trupie, bo kocham i wybaczam, a on wróci.

– Bo ty nie prowadzisz żadnych spraw rodzinnych i dlatego nie masz zielonego pojęcia o życiu – powiedziała z wyższością Luiza. – To nie jest zależne od płci, tylko od ogólnego nastawienia do życia.

– A Dudek jakie miał?

– Co?

– To nastawienie. Do życia.

Nasza Lucinda wzruszyła ramionami, co rozkołysało ogromne niczym dzwony złote kolczyki, zwisające z jej uszu. Zawsze miała słabość do wystawnej biżuterii.

– No, ogólnie mówiąc, to chyba zawistne. Na zasadzie: mnie się nie poszczęściło,

to i tobie nie dam.

Rzeczywiście, coś w słowach Lusi zabrzmiało znajomo. Przypomniałam sobie pewną historię, jak jedno z nas wygrało jakąś dużą sprawę, chyba Ala albo Witek, i przyszło do kancelarii ze śpiewem na ustach, wszyscy tej osobie gratulowali i akurat napatoczył się mecenas Dudek i coś takiego powiedział, że od razu skłęśło i nie pozostało nic innego, jak rozejść się po pokojach. To rzeczywiście mogła być kwestia cechy charakteru, a nie płci.

– Opowiedzcie szczegóły – poprosiłam grzecznie. – Znajac Dudka, wstępnie myślę, że to pewnie jedno wielkie nieporozumienie, ale i tak warto posłuchać.

Szczegóły wszyscy znali z miasta, czyli z różnych źródeł, i bardzo mętnie. Mówili jeden przez drugiego, wszyscy, oprócz Moniki, ale ona z zasady była małomówna i wstrzeźliwa w ocenach, więc się nie dziwiłam. Obiektywnie trudno się było w tym połapać. Podobno Dudek udusił jednego ze swoich stałych klientów, w zasadzie takiego najgłówniejszego z głównych, gdy dowiedział się, że ten sypia z jego żoną, jak widać nie do końca z nim rozwiedziona. O romansie Dudek dowiedział się jakoby w przedsiębiorstwie klienta, gdzie doniósł mu tę wieść jakiś życzliwy. Po otrzymaniu informacji Dudek miał uśmiechnąć się, spokojnie przepracować jeszcze jakąś godzinkę, wyjść i udać się do prywatnego mieszkania właściciela i szefa obsługiwanego przedsiębiorstwa w jednej osobie, po czym go udusić paskiem od spodni należącym do denata. Przy okazji podobno zmasakrował mu trochę twarz, oko wyłupił czy coś takiego... Potem rzekomo Dudek wrócił do swojego lokum na Powiślu, gdzie spał się w trupa. Policja odnalazła go nieprzytomnego, z połową twarzy utyłaną we własnych wymiocinach. Cud, że sam się nie udusił. Wieść gminna niesie, że ma dziurę w pamięci wielkości połowy dnia.

– Czyli z przedsiębiorstwa klienta Dudek pojechał do niego do domu razem z samym klientem? Tym obecnym denatem? – upewniłam się, czy dobrze rozumiem.

– Nie, właściciel firmy załatwiał podobno jakieś sprawy w mieście i nie było go wtedy w przedsiębiorstwie, gdy ktoś życzliwy opowiadał Dudkowi te romansowe historie. Pewnie dlatego ten ktoś się odważył na takie wynurzenia...

To powiedziała Lusia, ale przerwał jej Witek.

– Zaraz, zaraz, a wy wiecie, gdzie dokładnie pracował Dudek? Znaczą się nazwa firmy, adres tego najważniejszego klienta? Ktoś może tam go odwiedzał?

Na chwilę na piętrze zapanowała cisza. Okazało się, że ze stałą pracą Dudka było jak z Rzeszowem – wszyscy wiedzą, że istnieje, ale nikt tam nie był. Ba, żaden z nas nawet nie zna dodatkowych informacji o tym miejscu!

– To Dudek pojechał z roboty do domu klienta własnym samochodem? – Zmąciłam ciszę kolejnym pytaniem.

– No a czym? Jak znam Dudka, to do komunikacji miejskiej raczej się nie pchał – trzeźwo zauważyła Ala.

– Mógł taksówką... – wysunęłam hipotezę.

– No mógł. Ale on jest raczej z tych jeżdżących własnym autem niż rozbijających się taksówkami.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy, ale jakoś słabo, biorąc pod uwagę ogólne okoliczności, na które składało się przede wszystkim aresztowanie znajomego z pracy. Do Dudka rzeczywiście nie pasowało określenie „rozbijać się taksówkami”, gdyż był potwornie skąpy i miał straszną awersję do wydawania pieniędzy w jakikolwiek sposób, a już w szczególności na tak zbędne luksusy, jak taryfy. To chyba właśnie stąd też te barterowe rozliczenia z Magierem i spółką za wynajęcie salki konferencyjnej.

Postanowiłam drążyć dalej temat środków transportu Dudka.

– A potem od denata do siebie jak wrócił? Też samochodem? Czy już u ofiary zaczął pić?

Nie wiedzieli.

– I co Dudek na to wszystko? – powróciłam do głównego tematu.

– Podobno milczy jak grób. Ma trudną sytuację, w mieszkaniu denata był, są świadkowie i mnóstwo śladów, motyw miał, a innego sensownego wytłumaczenia brak...

– Świadkowie widzieli, jak dusił? – Monika nagle obudziła się z letargu. – I masakrował? – uzupełniła, gwoli ścisłości.

Okazało się, że nie. Zaobserwowano jedynie obecnie aresztowanego, gdy wchodził do domu denata. Albo gdy wychodził. Albo gdy się kręcił wokół. Dokładnie

nikt nie wiedział.

– Ale co, ślady Dudka na samym pasku były? Znaczy, na tym, którym dusił? No, narzędziu zbrodni? – sprecyzowałam.

Tego nikt na sto procent nie był pewien. Monice wydawało się, że chyba tak, ale jednak nie do końca, a reszta nie pamiętała plotek w tym zakresie.

– A może wiecie, co Dudek zrobił bezpośrednio po tym, jak się dowiedział o amarach żony z klientem? – zainteresował się Witek. I zaraz dodał usprawiedliwiająco: – Zawsze mnie interesowało, jak ludzie reagują w takich sytuacjach. To znaczy, co mówią życzliwym.

– Mogę ci zdradzić, co ja bym powiedziała. – Luscia wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Co?

– Odwał się, nie twoja sprawa.

– No, ale właśnie oświadczyłaś, że mogę spytać...

– O co ci chodzi, przecież ci odpowiedziałam...

Po wyjaśnieniu nieporozumienia próbowaliśmy ustalić reakcję Dudka na romansowe wiadomości.

Według jednego źródła nie powiedział nic, wzruszył ramionami i dalej pracował. Według drugiego źródła nie powiedział nic, a nawet się uśmiechnął i dalej pracował. Według trzeciego źródła powiedział „Uhhmm...”, wyszedł z pokoju do toalety, wrócił i dalej pracował.

Zastanowiłam się na głos, kim były te źródła. Odpowiedzi udzielono mi ochoczo. Byli to odpowiednio: najbliższy przyjaciel życzliwego, koleżanka jego żony (znaczy się życzliwego, nie przyjaciela) oraz sekretarka pracująca w firmie denata, siedząca przed pokojem zwierzeń. Nie byłam w stanie ocenić, komu z nich zaufałam najbardziej co do prawdziwości zeznań.

– A może on najpierw nic nie mówił, wzruszył ramionami, nawet trochę się uśmiechnął, wyszedł do toalety, w drzwiach złorzeczając „Uhhmm...”, potem wrócił i pracował dalej – podsunął usłudnie Witek.

Zostało to uznane za najbardziej prawdopodobny scenariusz.

Po dokończeniu kawy pełni emocji rozeszliśmy się po pokojach.

Ola zjawiała się w pracy wyjątkowo wcześnie, tj. przed drugą, chwala Bogu najedzona w mieście i ze świeżymi informacjami.

– Sprawa jest pogmatwana – powiedziała. – Romans klient Dudka z Dudkową miał, ale dawno temu i nieprawda, to znaczy nic poważnego i skończyło się pół roku temu. Skąd tu ten krokus?

– Prezent od Mecenasa z okazji. Każda z nas dostała, nawet do pani Zofii poszedł do domu. Nie przerywaj sobie.

– Aha. Z okazji, mówisz? Ładny. Chwila, jak to kwiat do domu poszedł?

– Kurierem.

– Jasne, kurierem mógł, kurier ma nogi.

– Rower – poprawiłam.

– A nóg nie ma? To jak jechał?

– Nie wiem, czy kurier ma nogi czy też nie, ale z tego, co się orientuję, rozwozi towar rowerem. Wracaj do tematu!

– No więc dosiadłam się do takiej znajomej komornicy na obiedzie w mieście i ona powiedziała, że właśnie wtedy, znaczy się jakieś pół roku temu, słyszała przelotnie o romansie, a teraz to już było finito, bo Dudkowa ma obecnie kogoś zupełnie innego. Ona, to znaczy Dudkowa, nie komornica, jest raczej chyba z tych bardziej rozrywkowych. Bo komornica dla kontrastu – spokojna.

– A Dudek może o tym nie wiedział? Znaczy się o finiszu miłości? Bo mścić się za przeszłość, i to taką kompletnie minioną i bez znaczenia, to rzeczywiście niewarte podejmowania ryzyka.

– Komornica mówi, że o tym wszyscy wtedy wiedzieli i że nie wierzy, że Dudek był wyjątkiem. Więc wszystko to pic na wodę i ma drugie dno.

– Ale wiesz, jak to się mówi?

– Co się mówi?

– Ludowe mądrości. Że niby mąż to się dowiaduje ostatni... i takie tam inne.

Ola popatrzyła z politowaniem.

– Nie mąż, a żona. Więc ostatnia, krawaty są szybsze. A poza tym...

– A co to za różnica?

– Nie przerywaj. Kolosalna, uwierz mi.

– Nie rozumiem.

– Bo Witek ma rację. Rozwodów nie robisz, o życiu pojęcia nie masz. Przepraszam za szczerość, ale to prawda.

– Po pierwsze: nie Witek, ale Lusia... Po drugie: skąd o tym wiesz? Rano cię w pracy nie było.

– Po drugie: Witek mi powiedział przez telefon, każąc obchodzić się z tobą delikatnie, bo jesteś dziś podobno rozdrażniona. Po pierwsze: i Lusia, i Witek, i wszyscy... Nie traktuj tego osobiście, ale naprawdę nie rozumiem, nie ja, nikt nie rozumie, czemu się bronisz przed rozwodami. Tym bardziej, że podziały majątku po ustaniu bierzesz, a to nawet gorsze. Więcej darcia mordy i pierza, i w ogóle.

– Nie chcę się zrażać – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Do czego?

– Do małżeństwa. Napatrzę się i mi obrzydnie, a w sumie kiedyś chcę spróbować.

– Głupi powód. Prowadzisz sprawy gospodarczych oszustów? O faktury się z nimi wyklócasz?

– No tak.

– A nie zraziło cię to kompletnie do wizji prowadzenia własnego biznesu?

– Szczerze? Yep. Jak myślę, że sama bym się miała użerać o każdy grosz...

Ola wzruszyła ramionami.

– I tak to robisz – powiedziała nie bez racji.

– Ale nie w swoim imieniu. W czymś mogę mówić wszystko. No, prawie wszystko. Olu – wróciłam do tematu – zdania w tym zakresie, może niesłusznego, nie zmienię. Poza tym, jeśli te rozwody to takie kokosy, to powinniście mi być wdzięczni, że się do tego tortu nie pcham. A teraz wróćmy do Dudków, bo o tym mówiłaś.

– A na czym konkretnie stanęłyśmy?

– Że mąż wie ostatni. I że to nieprawda.

– Bo Dudek, co by o nim nie powiedzieć, to nie osioł. Też musiał wiedzieć, jak wszyscy wiedzieli.

– Nie wszyscy. Ja nie wiedziałam. Ty też nie.

– Ja wiedziałam.

– Co? – zatkało mnie koncertowo.

– No o tym, że Dudkowa i jeden z klientów Dudka ten tego. Iskrzą. Ale nie o tym, że zupełnie zerwali – zastrzegła. – Tego dowiedziałam się dopiero dziś – od komornicy.

– I nie powiedziałaś?

– Komu? Dudkowi?

– Głupia. Mnie!

– A po co?

Popatrzyłam na Olę. W sumie słuszne pytanie.

– Masz rację. Po co kłapać. Ale to nie dowodzi, że Dudek wiedział. Poza tym teraz jako zabójca wygląda kompletnie niewiarygodnie.

– A co, on miał dostać Oscara za wiarygodne granie?

Pytanie zawisło w próżni, bo do pokoju wszedł Mecenasa.

– Przepraszam, ale chyba przeszkadzam. Komuś. W Pracy – podkreślił bezwzględnie. – Pani Olu, proszę do mnie na dół, Parchucki czeka. Pani Kasiu, mecenas Olczyk chce z panią porozmawiać. Teraz.

Zebrałam się i pobiegłam do Lusi. Po pojedynczym puknięciu śmiało otworzyłam drzwi jej pokoju.

Gabinet Luizy utożsamiał jej status w kancelarii – coś na kształt etapu pośredniego pomiędzy wspólnikami a nami – szeregowymi pracownikami. Niewątpliwie jego zaletą był fakt, że Lusie nie dzieliła go z nikim, podobnie jak Mecenasa i Zawidzka, którzy mieli pokoje na wyłączność. Reszta siedziała po dwie osoby w pomieszczeniu, przy czym biurko w pokoju Ali było rotacyjne i służyło głównie pozaetatowym aplikantom Mecenasa i Zawidzkiej dla załatwienia doraźnych zleceń na rzecz kancelarii. Podstawową wadą gabinetu mecenasa Olczyk był natomiast jego rozmiar – pokój był mniejszy nawet od tego, który zajmowałam z Olą. Metraż, usytuowanie na górnym piętrze, a także nieco gorszy sort mebli dobitnie świadczyły o tym, że Luiza nadal nie była partnerem w Kancelarii Magier i Wspólnicy.

– Witam, podobno chciałaś mnie widzieć – zagałam rozmowę, zerkając przez ramię Lusi.

Ten gabinet, jako jedyny w kancelarii, miał widok na podwórko. Przez okno w pokoju Luizy można było zatem zobaczyć zasmarkane po uszy dzieci stawiające babki w piaskownicy, ich mamy o gromkich głosach, niespiesznie plotkujące na ławce tuż obok, odpalające jednocześnie jeden papieros od drugiego, a czasem nawet naprężone męskie ciała znęcające się nad przewieszonymi na trzepaku zwłokami dywanu. Latem testosterony rozdziewały się do pasa, demonstrując dumnie wszystkie tricepsy przed znudzonymi mamami. Kiedy patrzyłam przez okno w pokoju Lusi, zawsze wydawało mi się, że przez chwilę jestem gdzieś bliżej prawdziwego życia, nawet jeśli było ono prostsze, brudniejsze i biedniejsze niż prawnicza energia rozproszona po beżowych korytarzach kancelarii.

– Tak, słuchaj, jutro mam kolizję, musisz za mnie iść – głos Luizy wyrwał mnie z letargu.

– Wolę inne prezenty. Daj mi krokusa – siliłam się na żart.

– Mówisz i masz, weź sobie mojego, tylko idź. Proszę, tu są akta przygotowane, jakaś skarga na komornika, prościzna, chyba na umorzenie, nic się uczyć nie trzeba. – Palcem odzianym w niebywałych rozmiarów pierścień wskazała na średniej grubości segregator.

Spojrzałam na akta i oddałam je z powrotem.

– Nie ma głupich. Na Kociołka nie idę.

– Pójdiesz. Nikt inny nie może, a to z urzędu. Ostentacyjnie olać nie wolno, bo będzie afera.

– Chrzanię. Czyja urzędówka? Twoja? To szukaj na mieście za własne pieniądze. Mnie nie ma.

– I tu się mylisz. Nie moja. Pana Mecenasa Magiera.

– Nie wierzę. Powiedziała by, przed chwilą był w naszym pokoju ze sprawą do Oli.

– Coś ty, on takich rzeczy nie pamięta. Idziesz, idziesz, tu masz akta. Jak nie wierzysz, to sprawdź sobie, pismo z ORA z wyznaczeniem jest na wierzchu.

Kilka procent spraw w kancelarii było urzędowych. Oznaczało to, że materialnie

słabiej sytuowanemu klientowi, którego nie stać było na prawnika, a musiał mieć takiego w sprawie, sąd wyznaczał pełnomocnika z urzędu. To znaczy nie dokładnie sąd, on zwracał się tylko do ORA, czyli okręgowej rady adwokackiej i to ona wyznaczała adwokata do prowadzenia sprawy. „Urzędówki” z zasady były najbardziej zniechęconymi sprawami, bo płatnymi dopiero po zakończeniu całości, według stawek głodowych, co oznaczało, że zazwyczaj trzeba było dołożyć do benzyny i znaczków pocztowych i niestety z reguły z najbardziej upierdliwymi klientami. Sądy bowiem często wyznaczały pełnomocników z urzędu rasowym pieniaczom albo autentycznym wariatom. Kociołek należał do tej pierwszej grupy, miał obecnie na biegu w różnych warszawskich sądach około pięćdziesięciu spraw, które wzajemnie na siebie nachodziły, zazębiały, zawieszały, przewlekały itp. Sama radość. Jeżeli pełnomocnikiem z urzędu wyznaczona byłaby Luśka, która nie była współnikiem w kancelarii, obsługa tej sprawy byłaby wyłącznie jej problemem. Jednakże skoro wyznaczony został Mecenias, obowiązek stawiennictwa na rozprawie mógł obejmować każdego prawnika w firmie. To nawet nie chodzi o to, że nie chciało mi się iść na tę jedną rozprawę i że miałam uraz do pana Kociołka, chociaż to także. Ja po prostu wiedziałam, że jak pójdę raz, to sprawa przyklei się do mnie na wieki i będę musiała mieć niebywałego farta, na przykład udokumentowaną, ewidentną kolizję rozpraw, żeby się tego pozbyć. Pozbyć – to znaczy zepchnąć na kogoś innego.

– A jaką masz tę inną sprawę? – spytałam, z resztką nadziei w głosie. – Tę kolizyjną z Kociołkiem? Może na tę pójdę?

– Proszę bardzo. Mazur – Mazur.

– Rozwód?

– Oczywiście.

– Jaki?

– Porozumienie stron, bez dzieci.

Przyznam szczerze, pokusa była silna. Przełknęłam ślinę. Uch, zasady to jednak zasady, trudno, najwyżej zniosę pana Kociołka. Albo się do jutra obłożnie rozchoruję.

Dzielnie poprosiłam o akta Kociołka. Luscia gwizdnęła.

– Fiu... Naprawdę ostra jesteś.

Za oknem dzieci pakowały zabawki do plastikowych reklamówek. Mniej więcej co druga z nich była zaczynem kłótni na bazie dochodzenia prawa własności. Przez chwilę starałam się myśleć o nich ciepło, jak o przyszłościowych klientach. Poddałam się dopiero po wejściu do mojej klitki.

*

– Pięknie wyglądasz. – D. cmoknął mnie w czubek nosa na powitanie. – Jak tam w pracy? Zmęczona służbą sprawiedli-wości?

– Ja? Bynajmniej, w końcu to dopiero wtorek – odpowiedziałam. – Ale jeden z nas owszem. Teraz sobie odpocznie w odosobnieniu.

– Czekaj, czekaj. Ten aresztowany radca prawny, co niby miał zabijać, to wasz?

– Nasz, nasz. – Wypięłam dumnie pierś, jak do orderu. I opowiedziałam całą historię.

Szliśmy spokojnie pasażem Wiecha od Rotundy, w kierunku dawnego kina Bajka. D. jakiś czas temu kupił bilety na oblegany spektakl teatralny, który miał być tam grany. Sztuka zaczynała się dopiero za czterdzieści minut, dlatego spacerowaliśmy bez pośpiechu.

– Jedno mnie dziwi – powiedziałam. – Człowiek został zabity raptem wczoraj, a już zdążyli kogoś aresztować, mimo że podejrzanego nie złapano na gorącym uczynku. I całe miasto huczy. Zastrzegam, nie znam się, ale jakieś to dziwne.

– Nie miasto hałasuje, moja droga, tylko prawniczy światek – sprostował D. – Weź pod uwagę, że pomimo tysięcy prawników, wszyscy się tu znają. To jednak zamknięty krąg, który z reguły nie morduje. Codzienna nuda, więc jak jest sensacja, to wszyscy do tego lecą jak pingwiny na Madagaskar.

Uśmiechnęłam się półgębkiem.

– Przynajmniej jest o czym porozmawiać – dodał.

Po czym resztę trasy pokonaliśmy, nie odzywając się do siebie ani słowem.

9 marca, środa

– Proszę pani, a dlaczego pan Magier dziś nie przyszedł, przecież on jest wyznaczony w sprawie? – Pan Kociołek był z gatunku dociekliwych.

– Bardzo chciał, ale niestety nie mógł, jestem w jego zastępstwie.

Korytarz sądu na Marszałkowskiej był niezwykle akustyczny. Rozmawialiśmy normalnie, raczej ciszej niż głośno, ale można było wyczuć, że głos niesie się hen, hen. Pana Kociołka jednak wcale to nie peszyło.

– Ale pani nie jest adwokatem, jak widzę. Nie ma pani sukienki. Nie wiem, czy mogę się zgodzić, żeby w mojej sprawie, która jest bardzo skomplikowana, reprezentował mnie ktoś bez uprawnień. Musi mnie pani zrozumieć.

Mój mocodawca podczas rozlicznych bojów sądowych zdążył już zdobyć wiedzę na temat profesjonalnych pełnomocników, ich rodzajów, kolorów noszonych przez nich tóg oraz posiadanych uprawnień. Poznał zatem wewnętrzną gradację uprawnień, która przedstawiała się następująco: prawnik bez aplikacji – aplikant – mecenas. Co do zasady przed sądem mógł go reprezentować tylko ktoś z dwóch ostatnich grup, pierwsza była bowiem „pozacechowa”. Aplikanci i mecenas (radcowie prawni i adwokaci) mieli się do siebie mniej więcej jak terminujący do mistrza, przynajmniej z formalnego punktu widzenia. Zewnętrzną oznaką różnicy w statusie była czarna toga, w którą mógł być ubrany w sądzie tylko prawnik po aplikacji. Chociaż, jak precyzował branżowy dowcip, aplikant w pewnej sytuacji też był uprawniony do noszenia togi – w teczce, idąc za swoim patronem.

– Proszę pana – zaczęłam grzecznie. – Może pan się oczywiście podzielić swoimi wątpliwościami na temat moich kompetencji z sądem, ale biorąc pod uwagę, że jestem już po aplikacji i egzaminie, a jedynie przed ślubowaniem i wpisem, chyba nie na wiele by się to zdało.

– A ma pani na to jakiś papier?

– Nie, proszę pana. Mogę panu jedynie pokazać legitymację aplikanta, a i to już nieaktualną.

– Trudno. Zaryzykuję.

Protokolant wywołał nas na salę, przerywając naszą miłą konwersację.

*

– Co się stało? – Ola aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Nie dopuścili mnie do rozprawy. Sędzia kazała mi zejść z ławki strony i usiąść na ławce dla publiczności.

– Ależ to absurd!

– No wiesz, literalnie biorąc pod uwagę przepisy... – zaczęłam smutno.

– Liberalnie czy nieliberalnie, ale to absurd!

– Literalnie, nie liberalnie – poprawiłam.

– No właśnie mówię! – Ola prezentowała zaperzenie do kwadratu.

– Pani Kasiu. – Mecenas wszedł do naszego pokoju. – Dzwonił właśnie do mnie pan Kociołek. Wściekły i rozżalony zarazem, z jednej strony mi grozi, z drugiej błaga, żebym poszedł osobiście na następną rozprawę. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co się wydarzyło.

Zdałam relację.

– Czyli nie był słuchany żaden świadek? – upewnił się Mecenas.

– Świadek nie dotarł, panie Mecenasie – odpowiedziałam uprzejmie.

– A więc żadna krzywda się nie stała? – Mecenas był dociekliwy.

– Nie, sprawa i tak by spadła z wokandy.

– To czego chce ode mnie ten Kociołek?

Naprawdę lubię naszego Mecenasa. Konkret, konkret, konkret. Żadnego biadolenia.

– On się czuje pokrzywdzony przez pana, panie Mecenasie – powiedziałam. – Że pan powinien wiedzieć o wątpliwościach w interpretacji przepisów i mnie nie wysłać. Tak mnie poinformował po rozprawie.

– I co, chce założyć mi dyscyplinarkę czy zwykły pozew? – zainteresował się Mecenas.

– Tego nie sprecyzował. Przynajmniej na razie.

– Na razie. Trudno. Pani Olu, niech pani mi pokaże przepisy o aplikantach.

Zerknęliśmy razem do komputera Oli.

Sytuacja była taka – zgodnie z przepisami w sądzie klienta mógł reprezentować radca prawny lub adwokat, ewentualnie aplikant radcowski lub adwokacki po pierwszym półroczu nauki. Ja nie byłam już aplikantem, bo szkolenie ukończyłam kilka miesięcy temu, zdałam nawet egzamin zawodowy i czekałam jedynie na wyznaczenie terminu na złożenie ślubowania. Po nim byłabym adwokatem pełną gębą, a przed – nie jestem ani adwokatem, ani aplikantem. Literalnie interpretując przepisy, zachowanie pani sędzi w sprawie Kociołka, która stwierdziła, że z tego powodu nie mogę go reprezentować, po czym kazała mi przesiąść się na ławkę dla publiczności, było najzupełniej prawidłowe. Chociaż głębszego sensu nie miało. Oczywiście Kociołek dostał szału i po całej tej hecy odgrażał się, czego to on nie zrobi, pomimo że świadek, który miał być przesłuchany na tej rozprawie, nie stawiał się i sprawa została przesunięta na inny termin. Na który najprawdopodobniej pójde znowu ja, tylko że tym razem już w todze.

– Chyba nie ma się o co spierać – stwierdził Mecenas, po zapoznaniu się z treścią przepisów. – Z sensem to czy bez sensu, na wojnie z sądem nikt dobrze nie wyszedł.

Zgodziłam się z nim całkowicie.

– Pani Olu, proszę do mnie, musimy porozmawiać o jutrzejszej sprawie Budzyńskiego.

– To ja na nią idę? – zdziwiła się Ola. – Nic o tym nie wiem.

– Nie? Wydawało mi się, że pani o tym mówiłem, proszę do mnie, dam pani akta.

Ola z niezadowoloną miną zeszła na dół. Nie dziwiłam się. Mecenas miał tendencję do wciskania ludziom rozpraw w ostatnim momencie, co powodowało zazwyczaj brak czasu na dokładne zapoznanie się z aktami. W przypadku osób, które lubiły chodzić przygotowane do sądu, a takimi była większość prawników, których znałam, mogło to sprawiać pewien problem.

Akurat sobie wzdychałam nad niesprawiedliwością tego łez padołu, gdy wróciła zła jak osa Ola z dwiema grubymi teczkami.

– Co to? – spytałam uprzejmie.

– Jak to co? – rzuciła Ola. – Mafia!

Nikt w kancelarii nie przepadał za prowadzeniem spraw mafii, no może z wyjątkiem Mecenas a i Ali, a i oni nie zawsze. Po pierwsze, rozprawy mafijne odbywały się w sądzie przy ulicy Kocjana, który jest baaaaardzo daleko od centrum Warszawy, a także od siedziby kancelarii. Jedynie Ala, która mieszkała na Bemowie, lubiła ten sąd, bo miała tam blisko i nie musiała się tarabanić do pracy przez całe miasto. Po drugie, sąd mafijny wyznaczał rozprawy jednym zawiadomieniem na godzinę 8.00 rano, przez dziesięć dni roboczych pod rząd, co niektórym też nie odpowiadało, bo woleli jednak wstawać później, a musieli jeszcze przecież dojechać punktualnie na Kocjana. I ta okoliczność nie stanowiła większej niedogodności dla Ali, która mieszkała za sądową miedzą i w dodatku uwielbiała wstawać ze wschodem słońca, a w zimę to nawet przed. Po trzecie, rozprawy trwały od 8.00 do 15.00 każdego wyznaczonego dnia rozprawy, co oznaczało poważne ograniczenia w normalnej pracy kancelaryjnej. Nawet Ala przyznawała, że to na dłuższą metę jest męczące. Po czwarte, na rozprawie było wielu oskarżonych, mniej lub bardziej ze sobą powiązanych, mnóstwo świadków i trzeba było się orientować, który świadek zeznaje na okoliczność przestępstwa popełnionego akurat w głównej mierze przez twojego klienta. Po piąte, wyrok z uzasadnieniem w sprawach mafijnych potrafił liczyć kilkaset stron i trzeba było nieźle napracować się nad apelacją, żeby złożyć jakąś sensowną w ustawowym terminie dwóch tygodni. A zaskarżenie orzeczenia było pewne niczym w banku, bo jeszcze się nie zdarzyło, żeby po takim zaangażowaniu sił i środków wymiaru sprawiedliwości nie padły wyroki skazujące.

Natomiast plusem spraw mafijnych była możliwość spotkania się na przerwie z obrońcami innych oskarżonych w sprawie i wymiana różnych informacji o rynku i nie tylko. Nad tą zaletą wielokrotnie rozplýwał się w rozmowach Mecenas Magier, który miał w ten sposób okazję do porozmawiania z dawno niewidzianymi kolegami ze studiów albo z aplikacji. Każdy prawnik z kancelarii, który wracał z rozprawy mafijnej, od razu dzielił się w pracy potężną dawką plotek.

Jednakże ten plus nie przeważał nad minusami prowadzenia spraw mafijnych i po raz kolejny pogratulowałam sobie wywalczonych na początku ustaleń, że do postępowań karnych i rodzinnych nie jestem delegowana.

– Może dowiesz się czegoś nowego o sprawie Dudka? – próbowałam pocieszyć Olę.

– Może – odburknęła. – Co ci tak na tym zależy?

– Żal mi go – przyznałam. – Człowiek nachlał się, urwał mu się film i od razu go wrabiają. I to w zabójstwo.

– Skąd wiesz, że wrabiają? Byłaś tam? – W głosie Oli pobrzmiwała nuta podejrzliwości.

– Nie wiem. To znaczy, odnośnie do wrabiania, a nie bycia tam – westchnęłam. – Bo niestety, tam nie byłam, tkwiłam tu jak głupia. Ale coś mi się wydaje, że to nie on.

– Dlaczego?

– Intuicja.

– To w praktyce może nie wystarczyć – nauczyła mnie, z miną znawcy.

– A domniemanie niewinności? – spytałam naiwnie.

– Upada profilaktycznie w wypadku zatrzymania. Ostatecznie przy areszcie. Mówię o praktyce, a nie teorii – zastrzegła Ola. – Jak on miał właściwie na imię?

– Kto?

– Dudek.

– Nie wiem, ja zawsze zwracałam się do niego per „panie mecenasie”.

– Ja też. Nie brałaś od niego substytucji?

– Nie. A ty?

– Też nie.

Okazało się, że obydwie pracowałyśmy z człowiekiem – ja ponad dwa lata, Ola – trzy z hakiem – i żadna z nas nie znała jego imienia. Ola pognała do Luizy. Wróciła po minucie.

– Lusia mówi, że Antoni – oznajmiła.

– No, to teraz wiesz, o kogo się pytać – rzuciłam ironicznie.

Ola wzruszyła ramionami, po czym nagle rzuciła się do telefonu.

– Tato, sto lat! – krzyknęła. – Słyszysz mnie? Co, prowadzisz samochód? Zadzwoń później, dobrze?

- Co cię tak szarpnęło? – spytałam delikatnie po tym, jak odłożyła słuchawkę.
- Przypomniało mi się, że mój tata ma dziś urodziny. – Ola sapała z emocji. – To dzięki Dudkowi, najukochańszy, oby wyszedł jak najszybciej z kicia!
- Dzięki Dudkowi? – W moim głosie słychać było pewne niedowierzenie.
- Tak, kochana, siła skojarzenia! – Ulga bila z Oli łuną na kilometr. – Mój tata też ma na imię Antoni.

PROTOKÓŁ

Warszawa, dnia 9 marca XXXX r.

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa XXXII Wydział Cywilny w składzie:

Przewodniczący: SS1 Maria Ochódzka-Matrebko

Protokolant: Olga Lusińska

na rozprawie rozpoznał sprawę z powództwa Bernarda Matyczaka przeciwko Andrzejowi Błachutowi i Skarbowi Państwa reprezentowanemu przez Stołeczną Komendę Policji o odszkodowanie.

Posiedzenie rozpoczęło o godz. 10.20.

Po wywołaniu sprawy stawili się:

Powód osobiście wraz z pełnomocnikiem z wyboru adwokatem Moniką Jarocką. Pozwany ad I nie stawił się, o rozprawie zawiadomiony prawidłowo. W imieniu pozwanego ad 2 stawił się radca prawny Stefan Hular, przedkłada pełnomocnictwo.

Powód popiera powództwo, wnosi i wywodzi jak dotychczas.

Pozwany ad 2 wnosi o oddalenie powództwa wobec Skarbu Państwa, prosi o wyznaczenie terminu 7 dni na przedstawienie swoich argumentów w piśmie procesowym.

Sąd postanowił przesłuchać informacyjnie powoda.

Staje Bernard Matyczak. lat 34, zawód chirurg, zamieszkały w Otwocku, niekarany za składanie fałszywych zeznań.

Przewodnicząca stwierdza tożsamość powoda na podstawie dowodu osobistego nr APW 345212.

Powód Bernard Matyczak: Andrzeja Błachuta, znaczy się pozwanego ad I, przywiozła do szpitala policja. To było w zeszłym roku, dokładnie 2 lutego. Ja pełniłem wtedy dyżur w szpitalu. Błachut został podobno złapany na gorącym uczynku na Dworcu Centralnym, gdzie wyrwał torebką jakiejś dziewczynie i próbował z nią uciec. Podczas obezwładniania Błachuta, przepraszam, pana Błachuta na dworcu, rzekomo uderzył się on sam głową o ścianę, a potem o podłogę, i tak pięć razy, po czym zemdleł. Takie informacje uzyskałem od policjanta eskortującego nieprzytomnego pozwanego ad I do szpitala. Zaznaczam, że pan Błachut leżał wtedy na noszach, niczym do nich nie przywiązany, w żaden sposób nie unieruchomiony. Kiedy pochyliłem się nad pacjentem w celu zbadania jego głowy, pozwany ad I nagłym ruchem uderzył mnie pięścią w oko oraz ugryzł boleśnie w rękę, po czym zerwał się z noszy i zaczął uciekać. Policjant dogonił go dopiero tuż przed wyjściem ze szpitala. Obrażenia, których doznałem od pana Błachuta, spowodowały moją trzytygodniową nieobecność w pracy. Domagam się odszkodowania i zadośćuczynienia zarówno od pozwanego ad I, jak i policji, która powinna wiedzieć, jak dowozić zatrzymanego do szpitala tak, żeby nie sprawiał zagrożenia dla personelu oraz dla siebie. W końcu z doświadczenia wszyscy wiemy, że jak ktoś jest aresztowany, czy jak tam to zwał, to znaczy, że coś z nim nie tak, no, że jest pod wpływem narkotyków, alkoholu albo po prostu winny...

W tym momencie Sąd zarządził pięciominutową przerwę, gdyż pełnomocnik powoda oznajmiła, że źle się poczuła oraz że musi natychmiast wyjść z sali rozpraw.

Po przerwie:

Pełnomocnik powoda oświadcza, że już się lepiej czuje.

Sąd postanowił:

1. wyznaczyć pełnomocnikowi pozwanego ad 2 termin 7 dni na przedstawienie swojego stanowiska na piśmie pod rygorem pominięcia później zgłoszonych dowodów.

następny termin wyznaczyć z urzędu po wpłynięciu pisma wskazanego w punkcie

I. Na tym rozprawę zakończono o godz. 11.40.

Przewodniczący: Protokolant:

10 marca, czwartek

– No to ja już wszystko wiem – powiedziała Ola po powrocie z mafii.

– Gratuluję! Ale ogólnie wszystko, czy w jakiejś sprawie konkretnie? I chcesz kawy? Bo właśnie idę robić.

– Konkretnie z Dudkiem. I poproszę. Obiad jadłam na Kocjana, doceń to.

Doceniłam. I zamknęłam dokładnie okno w naszym pokoju w celu lepszej absorpcji przekazywanych wiadomości. W przeciwieństwie bowiem do gabinetu Lusi, nasza klitka wychodziła wprost na ulicę, która była jeszcze bardziej hałaśliwa niż bawiące się dzieci oraz ich rodzice razem wzięci.

Ola nad kawą lekko się zadumała. Patrząc wtedy na nią, przypomniałam sobie, że do cech, które najbardziej w niej ceniłam, zaliczał się brak długotrwałego pielęgnowania własnych krzywd. Wczoraj Ola była wściekła na Mecenasa i jego nagłe zrzucanie roboty na nią, dziś zdawała się pogodzona z losem i nawet zadowolona z wycieczki do sądu.

– A ty co jesz, jak nie chodzisz do sądu? – zapytała nagle.

– Zazwyczaj zamawiam catering – odpowiedziałam, mieszając łyżeczką piankę.

– Co? I ty mi mówisz złe rzeczy o obiadach w stołówkach? Przecież to jeszcze gorszy szajs.

– Co prawda, to obyczaj – westchnęłam. – Dzisiaj były jakieś ohydne pulpety. Nawet pies Ali nie chciał jeść resztek.

Ala była aplikantką i tą pracownicą kancelarii, która wynegocjowała sobie prawo przyprowadzania czasami do pracy swojego ukochanego psa. Coś w stylu naszego byłego marszałka Sejmu albo wice, dokładnie nie pamiętałam.

Pies Ali to owczarek niemiecki imponujących rozmiarów, który miał piękną sierść i ogon oraz był zawsze zadbany jak panna na wydaniu. Zwierzę stanowiło największe źródło dumy jego właścicielki, która też była panną na wydaniu i liczyła na to, że złapie męża na psa.

– Pies nie człowiek, byle czego nie zje – stwierdziła trzeźwo Ola. – Ja dziś poprzestałam na zupie. No dobra, na zupie i deserze.

– Co z twoją wiedzą w pełni? – chciałam wiedzieć.

– A, to... – przypomniała sobie Ola. – Ludzie mówią, że Dudek podobno miał kogoś na boku. Co by sprawiało, że rzekome morderstwo w jego szanownym mecenasowskim wykonaniu to jeszcze większa farsa. Co nie przeszkodziło sądowi zastosować wobec Dudka areszt na trzy miesiące.

To akurat wcale mnie nie zdziwiło. Praktyki karnej miałam tyle, co kot napłakał, ale zdążyłam już się nauczyć, że u nas areszty chodzą standardowo jako środek zapobiegawczy i nikt się nad nimi specjalnie nie zastanawia.

– Czyli winny – podsumowałam.

– Na razie tak – potwierdziła Ola. – Chyba że udowodnisz co innego. Takie praktyczne domniemanie niewinności, ale na opak.

Sprecyzowane także zostały – przynajmniej w środowiskowych plotkach – okoliczności zabójstwa. Denat miał zginąć na skutek uduszenia, to fakt, ale ponadto przez pół głowy i jedno oko biegła mu ogromna szrama, najprawdopodobniej wycięta metalową sprzączką paska. A zatem doniesienia o zmasakrowanej twarzy okazały się w części potwierdzone. Co spowodowało, że ogólnie plotki jako takie, tym bardziej mnie zaciekały.

– No właśnie, co ludzie jeszcze wiedzą? Z kim Dudek miał romans? – zażądałam informacji.

– Tu akurat cisza.

– Nie wierzę. Nikt ich nie widział? To skąd wiedzieli, że ma romans?

– Bo to wnioskowanie na odwrót. Dudek zaczął się podobno ostatnio zastanawiać, czy jednak nie ustąpić i nie dać żonie rozwodu. To co go mogło ku temu skłonić? Chyba nowa podrywka, nie?

– Czy ja wiem? Może miał dosyć baby? To znaczy pierwszej żony?

– No coś ty! On z tych zaciekłych, co to walczą na śmierć i życie, do grobu ci nie odpuszczę!

– Może majątkowo chciał się ustabilizować?

– Dudkowie mają rozdzielnosc.

– Skąd wiesz?

– Żadna tajemnica. Żona Dudka to obrotna babka, chyba po ekonomii, finansowo radzi sobie lepiej niż on. Z tego, co pamiętam, ona jest w co najmniej kilku spółkach, z rejestru wynika, że mają taki małżeński ustrój majątkowy. Obsługiwałam kontrahentów tych spółek, rzuciło mi się w oczy.

– To z podziałem majątku po rozwodzie nie powinni mieć przynajmniej problemu. Czekaj, czekaj, jak Dudek siedzi w areszcie, to Dudkowa może to wykorzystać jako pretekst do rozwodu, tak czy nie?

– Trafiałaś! Dała już dyspozycję do swojego adwokata na kolejny pozew.

– I ty pewnie wiesz, kto jest jej adwokatem?

– Wiem!

– To mów, słucham!

– Nie teraz, najpierw porozkoszuję się przewagą...

Rozkoszowanie się trwało jakieś sześć sekund, po czym Ola rzekła z namaszczaniem:

– Mecenas Turek.

Turek – Dudek, Dudek – Turek. Nawet zabawne zestawienie tworzyły te nazwiska. Pod warunkiem oczywiście, że klientka wyszłaby za mąż za własnego adwokata rozwodowego, co chyba nieczęsto się zdarzało.

– Skąd wiesz, że to on? – zapytałam.

– Bo jego żona była jednym z obrońców dziś na mafii.

– Turkowa?

– Coś ty, to mądra kobieta, zachowała swoje nazwisko po ślubie. Ona się nazywa Kowalska.

– Bardzo oryginalnie.

– A ty niby jak się nazywasz? Nowacka to takie oryginalne?

– Nie, mnie chodzi o to, że dobrze zrobiła, że zachowała swoje nazwisko. Choć jest to raczej rzadkie, sama przyznasz.

– Bo mężczyźni upierają się przy zmianie, sama zobaczysz. W narzeczeństwie ci mówią, że to twój wybór, a jak przychodzi co do czego, to stosują wyrafinowane techniki nacisku.

– Na przykład jakie? – Temat mnie zainteresował.

– Że się będziesz musiała tłumaczyć w przychodni czy w przedszkolu, dlaczego dziecko ma takie nazwisko, a ty inne. Że dziecko z tego powodu będzie prześladowane w szkole. Że będą mieli problem w urzędzie i na poczcie z odbiorem pism za ciebie przy różnych nazwiskach. Itepe itede.

– W sumie dosyć racjonalne argumenty – przyznałam.

– Dlatego prawie każda się ugina. I albo bierze przez kreskę, czyli dodatkowo sobie komplikuje życie, albo po prostu przechodzi na nazwisko męża.

Przez chwilę się zastanowiłam, skąd u Oli taka wiedza. Czyżby sama była kiedyś nagabywana na zmianę nazwiska? Nic o tym nie słyszałam, żeby się ostatnio zaręczyła, ba, nie wiedziałam, czy kiedykolwiek była „po słowie”. A może to dalszy ciąg wiedzy o życiu, którą rzekomo każdy prawnik rodzinny posiada, a której ja nabycia rozmyślnie unikam?

Rodzina... o co to ja miałam się spytać? Ach, już wiem!

– A propos nazwisk. Przypomniałaś sobie w końcu trzech braci z ojcem?

– Nie, muszę znaleźć akta. To było jakieś obco brzmiące nazwisko. Jakiś Bessermann...

– Nie, to prokurator. – Skrzywiłam się.

– Masz rację. Karenbach...

– Pełnomocnik.

– Wolfsdorf...

– To ten od sałatki.

– Do niczego. Muszę znaleźć akta, bez nich ani rusz.

I wtedy na biurku Oli zadzwonił telefon, przerywając skutecznie naszą rozmowę.

*

Po powrocie D. do domu powtórzyłam mu, czego Ola dowiedziała się na mieście.

– Widzisz, te karne sprawy jednak kształcą – podsumował D., grzecznie

wysłuchując mnie do końca. – A ty nie reflektujesz...

– Bo to dla mnie nuda – przerwałam. – Mam inne zainteresowania, zresztą nieważne. Co ty na to?

– Na co? – D. był lekko zdziwiony. – Twoje zainteresowania? Moim skromnym zdaniem za dużo czasu tracisz, gapiąc się w okna...

– Nie to, afera, wrabiają Dudka jak nic! – wypaliłam. – Żona z klientem już dawno nie sypiała, motywu przecież nie ma, to po co ten areszt?

D. zmrużył oczy.

– Ja cię bardzo proszę – wycedził. – Ty się w nic nie mieszaj, nie mąć, nic nie rób. Po co ci to?

– Ech, mówisz jak Ola – westchnęłam. – A ja... chcę trochę pobruździć w tym śledztwie.

– Nie bruźdź, błagam.

Późnym wieczorem postanowiliśmy wyjść z domu. Jako pretekst posłużyła nam potrzeba wypicia przeze mnie gorącej czekolady, a przez D. – zimnego piwa. Obydwa trunki miały być wypite w dobrej intencji, tj. na dobry sen.

Najpierw poszliśmy do cukierni przy rondzie Wiatraczna. Czekolada była ewidentnie przesłodzona, nawet dla mnie, a ja potrafię jeść bezy kilogramami. Szybko zwinęliśmy się więc stamtąd, obierając kurs na „Grzybki” przy alei Stanów Zjednoczonych. Tu spotkało nas duże rozczarowanie – zawsze czynny monopolowy okazał się jakimś cudem zamknięty. Podążyliśmy zatem za innymi zawiedzionymi klientami do „Uniwersamu Grochów”, gdzie miał znajdować się inny, „terazjużnastoprocentotwarty” sklep. Przeszliśmy przykładnie Garibaldię w miejscu, gdzie kiedyś były pasy, przy okazji obserwując, jak na tej jednokierunkowej ulicy jechał sobie przepięknie pod prąd w kierunku Waszyngtona policyjny radiowóz. Niektórzy z niedoszłych klientów „Grzybków” nawet pomachali grzecznie prowadzącemu funkcjonariuszowi pojedynczymi środkowymi palcami obu rąk, ale obeszło się tym razem bez większej afery.

Przeszliśmy Aleje, minęliśmy kosze na odpady segregowane i podążyliśmy w kierunku wewnętrznego placu „Uniwersamu”. Od kiedy pamiętam, miejsce to było

dla mnie obrazem czarnej rozpacz, ale o tej porze roku prezentowało się szczególnie smutno. Wyłączona na zawsze fontanna, wybite lub wypalone w połowie latarnie, pijani w sztok ojcowie rodzin, leżący na ławkach dookoła – wszystko to sprawiało przygnębiające wrażenie. Trudno było uwierzyć w to, że kiedyś otwarcie tego przybytku było pokazywane w głównym wydaniu „Dziennika Telewizyjnego” jako zapowiedź wkroczenia nowoczesnego handlu do stolicy.

Ku uciesze D., obietnica zimnego piwa tym razem znalazła pokrycie, aczkolwiek przed wejściem do monopolowego stał nieprzeciętnej długości ogonek. Uzupełniliśmy go naszymi skromnymi osobami i czekaliśmy grzecznie na naszą kolej.

Nagle otworzyły się drzwi obok, prowadzące chyba na zaplecze sklepu, skąd wybiegł mężczyzna o dość zwalistej sylwetce, śmierdzący na kilometr mieszanką wszystkich możliwych alkoholi. Poznałam go od razu. Takie karczycho mógł mieć tylko jeden z członków cudownej rodziny „3+1”, tej o obco brzmiącym nazwisku, obsługiwanej na stałe przez Mecenasa.

W drzwiach zaplecza ukazała się tymczasem żeńska fizjonomia. W słabym świetle ocalałych grochowskich lamp można było dojrzeć niewiele jej cech charakterystycznych, z wyjątkiem może jednej – ogromnego tatuażu na prawej dłoni. Mimo że jak na swoją płeć kobieta była słusznego rozmiarów, daleko jej było do wielkości jednego z braci o trudnym nazwisku. Co jednak nie przeszkodziło jej wykrzyknąć z pogardą w stronę leżącego na chodniku mężczyzny, który przed chwilą znajdował się z nią w tym samym pomieszczeniu:

– I zapamiętaj se, łachmyto, że widzieć cię więcej na oczy nie chcę! Jeszcze raz przydziesz i mnie towar wychlejesz jak dziś, to nie tylko rodzona matka, ale i własny ociec cię nie pozna, nie mówiąc o braciach!

Drzwi trzasnęły, zamykane z dużym hukiem, ale po chwili uchyliły się znowu, tym razem na jakieś skromne kilka centymetrów, przez które przebił się złowrogi świst:

– A o zeznaniach tyż zapomnij! Ja się dla twoich lewackich przekrętów narażać nie dam!

Potem drzwi chrząstnęły ostatecznie, najwyraźniej zamknięte od wewnątrz

pokaźnych rozmiarów zasuwą, a na dworze zapanowała chwila ciszy.

Przerwało ją efektownie ogromne męskie cielsko leżące na chodniku, rzucające się z małpią zręcznością w kierunku nieczynnej fontanny.

Gdzie zwróciło chyba wszystkie swoje frustracje, zawiedzione nadzieje i jeszcze wypity alkohol na dokładkę.

11 marca, piątek

– Uhu! Piątek! – wrzasnął Witek, wpadając rano do kancelarii. – Jeszcze jeden dzień w robocie i weekend! Dwa dni fajrant! It's Friday, I'm in love – zanucił.

– Uff... emocji tyle w tygodniu, że o tym zapomniałam. – Luśka była zapatrzona w swój kubek wypełniony po brzegi wrzątkiem, więc szczegóły jej twarzy jawiły mi się lekko rozmyte przez obłok pary. – Co planujecie w wolne?

– Ja lecę na Stardust Memories... – zaczął Witek.

– Co? Gdzie leci to starocie? – autentycznie się zdziwiłam.

– Jakie starocie? Kumpel tam gra...

– Twój kumpel? Z Allenem?

Chwilę zajęło nam ustalenie, że kolega Witka gra w nowo powstałej kapeli, której nazwa była tożsama z filmem Allena z lat osiemdziesiątych, który kiedyś oglądałam.

– Woody Allen. – Luiza otrząsnęła się z obrzydzeniem. – Paskuda.

– Wiesz już, kiedy będziesz mieć ślubowanie? – Ala szybko zmieniła temat.

– Jeszcze nie. Na razie wiem tylko, że Minister Sprawiedliwości nie wniósł sprzeciwu co do mojej osoby jako adwokata.

– Dobrze i to. – Zachichotała Lusja.

Ola znowu miała dzień mafii, więc czekała mnie samotna praca w klitce. Tylko że wszyscy akurat wyobrażali sobie, że ja z tego powodu cierpię i przychodzili mi non stop w celach oficjalnie zawodowych, a podskórnie towarzyskich.

– Pożycz zszywacz. – Witek już wchodził do pokoju z plikiem dokumentów. – Ty masz ten lepszy, co obejmuje więcej kartek.

– To nie kwestia zszywacza, ale zszywek, mówiłam ci to tysiąc razy – powiedziałam, podając mu przedmiot pożądania.

– Ale w recepcji nie mają takich dużych. Cmon, Katie, be a good girl... – Witek mocował się z wsadzaniem sterty papierów pomiędzy nogi zszywacza.

– To zamów, pani Zosia ci kupi. Pokaż. Nie mogę patrzeć, jak ty to robisz. Za

dużo chcesz złączyć naraz, nie dasz tym rady. Albo pójdziesz na dół do recepcji po megasztywacz, albo podziel to na dwie części i zrób każdą oddzielnie.

– Nie chcę oddzielnie, to jeden dokument.

– To zasuwasz na dół.

Witek popatrzył na mnie z przyganą.

– Masz coś pilnego?

– Nie.

– To dlaczego jesteś dla mnie taka niemiała? I to znowu? Ach. – Mrugnął znacząco.

– Te wasze kobiece sprawy. Ale fochy hormonalne co chwila...

– Dobrze. – Odsunęłam klawiaturę. – O co ci chodzi?

– O przepływ informacji. Czuję się najzwyczajniej od niego odcięty – poskarżył się.

– No dobrze, co konkretnie chcesz wiedzieć?

– Dlaczego na dole w recepcji siedzi Magda, a nie pani Zosia?

Załamalam ręce.

– Magda siedzi tam prawie od tygodnia, a ty chcesz powiedzieć, że dopiero dziś to zauważyłaś?

– Wiesz, ja tam wolę nie wchodzić, jak nie mam interesu. Idę od razu na górę i tyle. A co z panią Zosią?

– Dziecko ma chore i jest na zwolnieniu, chyba można?

– Można, można, ja się tylko pytam.

Pokręcił głową i się – po pokoju, po czym wyszedł.

Po pięciu minutach weszła Ala.

– Milicjanci, tfu, policja jest na dole. U Mecenasa – oznajmiła.

– Myślisz, że to w sprawie Dudka? – spytałam grzecznie. Policja w kancelarii nie zjawiała się może codziennie, ale czasami przychodziła. Może dlatego, że dzielnicowy był kolegą Mecenasa z liceum.

– A w jakiej innej? – Ala odpowiedziała pytaniem na pytanie. Nie lubię tego. Bardzo.

– A jak myślisz? – Przejęłam taktykę Ali. Wydawała się zaskoczona pytaniem.

– Ja nic nie wiem. – Spojrzała na mnie niepewnie. Stanowczy i twardy styl mówienia kontrastował z jej przestraszonym wzrokiem. – Ja się tylko boję o Tobiego. Jeszcze się przyczepią do niego i będzie granda.

Przez chwilę rozważałam, czy Tobi to nie przypadkiem nowy chłopak Ali i co on takiego mógł zrobić, żeby policja się do niego przyczepiła. Narkotyki? Jakieś oszustwo kredytowe? Potem przypomniałam sobie, że tak na imię ma owczarek koleżanki.

– Kobieto, bój się Boga. – Zabrałam się za pocieszanie z gracją słońca. – Co policja może mieć do twojego psa?

– No, Tobi jest tutaj. Wiesz, to chyba nie tak z zasadami bhp, to w końcu jest miejsce pracy, mamy tu kuchnię i w ogóle.

Ala trochę przesadziła z nazwaniem kuchnią jednego stolika stojącego we wnęce górnego korytarza. Nawet jeśli na tym stoliku stał czajnik elektryczny.

– Teraz tu jest?

– Co?

– No pies, przecież nie policja, tamci wiem, że są!

– Aha. No jest, siedzi u mnie w pokoju. Dokładnie leży. Śpi. A ja mam poważne wyrzuty sumienia. Bo mam ambicję być transcendentnym prawnikiem – wyznała Ala z wyczuwalnym napięciem w głosie.

Przez chwilę wyobraziłam sobie byt Ali wychodzący z jej ubrania i wirujący nad jej biurkiem w pozycji kwiatu lotosu w gabinecie obitym bordowym welurem, z zapalonymi świeczkami. Nie, to chyba nie tędy droga...

– Jakim? – Wolałam się upewnić.

– Transcendentnym. No takim, wiesz, uczciwym, że aż boli. Do przezroczyści.

– To chyba transparentnym? Ale skąd ten pomysł? U adwokata?

– Od mojego nowego chłopaka. On działa w takiej organizacji, wszystko mi wyjaśnił. I co ty na to? – Kiedy Ala wróciła do tematu psa, w jej głosie słuchać było realne zatroskanie, co uświadomiło mi po raz kolejny, że była osobą ze złotym sercem (przynajmniej dla zwierząt) i z emocjami na wierzchu niczym w Youtube. Co

stanowiło kompletne przeciwieństwo na przykład do mecenas Zawidzkiej, która nie miała w sobie chyba żadnego żywego organu, a wszelkie uczucia szczelnie zasnuwała pod zawodowym gorsetem. Gdzieś pośrodku plasowały się zarówno Lusja – o sercu lekko nadgniłym i emocjach z reguły ujawnianych, choć czasami paskudnych, jak i Monika – chowająca te rzeczy tak bardzo w sobie za zasłoną rzekomej tajemnicy, że można było mieć wątpliwości, że w ogóle istnieją.

– Alu. – Popatrzyłam jej prosto w oczy. Czasami naprawdę nie mogę uwierzyć, że ta kobieta jest prawnikiem. – Czy ty naprawdę uważasz, że policja w tym kraju będzie się przejmowała cudzymi psami latającymi gdziekolwiek? A od warunków pracy jest odpowiednia inspekcja!

– No wiesz, teoretycznie policja mogłaby nałożyć taki sam mandat jak inspekcja...

– Nie żartuj, proszę. Przedtem musiałyby wiedzieć, że są odpowiednie przepisy zakazujące trzymania psów w miejscach pracy.

– A są?

– Co?

– No, te przepisy dotyczące obecności psów w miejscach pracy. Bo szukałam w Leksie i nie mogłam znaleźć.

Lex to program komputerowy z bazą polskich przepisów, orzeczeń sądowych i komentarzy. Niesłychanie popularny.

W prawniczej praktyce mówiło się, że czego nie ma w Leksie, to nie obowiązuje.

– Alu. – Próbowałam się upewnić. – Jak rozumiem, przychodzisz do mnie pełna obaw co do tego, że policja zabierze ci psa, bo jest on w miejscu twojej pracy, przy czym nie jesteś pewna, że jest jakiś zakaz trzymania psów w pracy?

– W skrócie można by to tak opisać. I co?

– Co co?

– Może być pies w pracy? Bo Monika mówiła, że nie – zaszczebiotała rozkosznie.

– Alu, skąd mam wiedzieć? W niektórych to wręcz musi – na przykład u samych gliniarzy...

– Ktoś nas wzywał? – Do pokoju weszło dwóch panów w mundurach. Jeden nieziemsko przystojny, a drugi byłby przystojny dla kogoś, kto gustował w

mężczyznach o wzroście metr sześćdziesiąt. Ja akurat wolałam wyższych.

– Nie, skądże – powiedziałam uprzejmym tonem. – Właśnie rozmawialiśmy z koleżanką o pracy policji.

Ala wyraźnie zbladła.

– A co konkretnie panie nam zarzucają? – spytał z uśmiechem ten niższy. – Wie pani, my się codziennie tyle nasłuchujemy, więc może nam pani spokojnie dowalić, jesteśmy przyzwyczajeni.

– Ale dlaczego od razu zarzucają? – Po raz kolejny tego dnia odpowiedziałam pytaniem na pytanie. Jak tak dalej pójdzie, sama siebie za to ukatrupię. – Wcale nie krytykowałyśmy, tylko wprost przeciwnie. To znaczy nie tyle przeciwnie, co obok... albo w zasadzie kompletnie bez związku... no, zastanawialiśmy się, co panów sprowadza do naszego miejsca pracy – przez chwilę naprawdę myślałam, że się z tej zawiłej konstrukcji zdaniowej do końca życia nie wypłaczę.

– Sprowadzają nas niestety sprawy zawodowe – powiedział ten przystojny chłodnym tonem. – Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale czy mogłaby nas pani zostawić na chwilę samych z panią Nowacką? – To było pytanie skierowane do Ali. – Potem przyjdziemy do pani.

– Tak, oczywiście – ćwierknęła słabo Ala, kierując się do drzwi. Mogłabym przysiąc, że będzie teraz próbowała wyprowadzić psa z pokoju.

Pan niższy zamknął bardzo dokładnie drzwi. Jako że jego kolega usiadł już za biurkiem Oli, a nie miałyśmy więcej krzeseł w pokoju, pozostało mu jedynie wolne miejsce na jej biurku. Tak więc oparł się o nie jednym półdupkiem i tak pół stojąc, pół siedząc, patrzył na mnie z góry. Przeleciała mi przez głowę myśl, że ma szczęście, bo Ola zachowywała pedantyczny porządek i na jej biurku – w przeciwieństwie do mojego – nie walały się żadne pinezki czy inne spinacze.

– Proszę pani – zaczął ten siedzący, wyższy, który akurat w tej chwili był niższy od swojego partnera. – Co pani robiła siódmego marca, pomiędzy godziną trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści?

Zauważył, że patrzę na kalendarz, więc od razu dodał:

– Pomogę pani. W tym tygodniu był to poniedziałek. Słucham.

Uhu, zaczyna się z grubej rury – pomyślałam.

– Zasadniczo siedziałam w recepcji kancelarii – spokojnie poinformowałam władzę.

– Pani? – z niedowierzaniem spytał niższy, zmieniając pozycję. Pewnie ten półdupek już zaczynał go boleć. – Przecież pani już podobno jest adwokatem. Trudno w to uwierzyć, żeby pani obsługiwała recepcję.

– Normalnie nie obsługuję – przyznałam. – Nie mam kompetencji, nie umiem wystawiać komputerowo faktur ani obsługiwać faksu. Nie mówiąc o ekspresie do kawy, tym na dole, bo tu, na górze, jak panowie zauważyli, nie mamy kuchni...

– Tak, widzieliśmy, jest tylko czajnik – przerwał mi ten wyższy. – To dlaczego pani mimo tego siedziała w recepcji?

– Bo to była sytuacja z gatunku awaryjnych. Pani Zosi zachorowało dziecko i musiał ją ktoś zastąpić, a nikogo nie było... To chyba nie jest karalne, prawda?

Niedobrze. Sama czułam, że brzmiało to niewiarygodnie, a co najgorsze, już się zaczynam tłumaczyć.

– Pani Zosia? – Ten niższy zmarszczył brew. – Chyba pani w recepcji nazywa się inaczej?

– Mówi pan o Magdzie? No właśnie, ona też jest na zastępstwo pani Zosi, bo ta dostała zwolnienie na dziecko do końca tego tygodnia.

– Dobrze, wróćmy do tematu – podjął przystojny. – Od której siedziała pani w recepcji?

– Od za piętnaście druga.

– A wcześniej?

– Bezpośrednio czy nie?

– Bezpośrednio wcześniej.

– Byłam tu na górze.

– W tym pokoju?

– Tak.

– Dlaczego?

Pytał ten niższy. Było to wyjątkowo idiotyczne pytanie, dlatego uznałam, że

zasługuje na zemstę w postaci równie głupiej odpowiedzi.

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że to mój pokój?

Policjanci popatrzyli na siebie przez chwilę osobliwie.

– I co pani robiła?

To pytanie też zadał mi ten niższy. Tym razem to ja spojrzałam na niego dziwnie.

– A co mogłam robić? Pracowałam. A w zasadzie próbowałam pracować.

– Dlaczego pani tylko próbowała? – Niski naciskał.

– Bo straciłam wenę do pracy.

– Na skutek czego? – To już był krzyżowy ogień pytań.

– Na skutek, proszę pana, okoliczności, które miały miejsce niebezpośrednio wcześniej.

– To znaczy?

Przewróciłam oczami.

– Do pracy potrzebne były mi akta. To chyba zrozumiałe, prawda? Zwłaszcza dla panów.

Przytaknęli cicho.

– Zeszłam po nie na dół, bo pamiętałam, że były w gabinecie Mecenasa. Ale nie mogłam wejść, bo... – kontynuowałam.

– Którego mecenasa? – przerwał wyższy.

– Jak to którego? – zdziwiłam się.

– U państwa to wszyscy mecenasi – wyjaśnił niższy. – No, prawie wszyscy – uściślił. – Kolega chce się dowiedzieć, o którego pani chodzi.

– O Mecenasa Magiera – doniosłam uprzejmie. – Głównego współnika kancelarii. Tego, co firmuje własnym nazwiskiem to wszystko. Jego nazywamy Mecenasem i kropka. Bez niczego, nazwiska czy imienia. Cała reszta to mecenas jakiś tam czy jakaś tam.

Wyższy coś zanotował na kartce. Niższy, choćby nawet chciał, to i tak nie mógł nic zapisać, poprzestał zatem na krzywym uśmiechu i kolejnej zmianie pozycji.

– To biurko ma chyba ostre ranty – powiedziałam ze współczuciem. – Może ja

pożyczę jakieś krzesło z innego pokoju.

– Może pani? – zapytał z nadzieją funkcjonariusz.

– Jeżeli mnie panowie w tym celu wypuszczą z pokoju – ni to stwierdziłam, ni zapytałam. Nie odpowiedzieli nic, więc wyszłam, zostawiając otwarte drzwi. Akurat z dołu wracała dziarskim krokiem Ala. Ujrzawszy mnie, straciła nieco rezon, ale jakoś dotarła do swojego pokoju.

Weszłam do siedziby Witka, gdzie akurat nikogo nie było, przełożyłam z krzesła na biurko jego kurtkę, wzięłam swoją zdobycz meblarską w ręce, po czym... wpadłam z nią akurat na tego niższego policjanta, który najwyraźniej podążył za mną.

– Auuu... – jęknął. – Chce mnie pani zabić?

– Pana? – zdziwiłam się. – Nie, skąd, nie widziałam, że pan idzie. Patrzyłam w inną stronę.

Wróciliśmy razem do mojego pokoju. Mojego i Oli, ściśle biorąc.

– A kogo pani by zabiła? – zapytał z zainteresowaniem ten niższy.

– Ja? Niech no się zastanowię. – Zatopiłam się w myślach. – Takiego jednego w redakcji „Przeglądu Prawa Podatkowego”. Cały czas przesuwam mój artykuł do następnego numeru. Już od roku tak robi. A jak się go pytam, czy w ogóle zrezygnowali z publikacji, bo wtedy wyślę artykuł do innego pisma, to on mi odpowiada, że absolutnie nie, że to jest świetne, ale się akurat w najbliższym numerze nie zmieściło.

– A pani potrzebuje pieniędzy? – sprytnie zapytał ten wyższy.

– To nie ma, niestety, znaczenia, proszę pana. Publikacje naukowe są w większości nieodpłatne, my to robimy dla młodojeckiej sławy albo zwyczajnej renomy. A jak już płacą, to jakieś śmieszne grosze typu pięć stów za artykuł, który kosztował mnie dwa tygodnie ciężkiej pracy. Największy ból jest taki, że to się może zdezaktualizować, bo te przepisy tak się często zmieniają. I wtedy nikt mi tego nie wydrukuje. Za takie okoliczności zabójstwa powinna być lżejsza sankcja.

– Kogoś jeszcze?

– Czyja wiem? Mecenas słabo mi płaci, ale za to bym pracę zmieniła, a nie go od razu zabijała. Czasem mojego chłopaka w łyżce wody bym utopiła, ale tak chyba ma

każdy...

– No dobrze, na czym to stanęliśmy? Zeszła pani na dół po akta i weszła pani do gabinetu mecenasa Magiera...

– Nie weszłam. W gabinecie byli klienci, nie mogłam przeszkadzać.

– Widziała pani tych klientów?

– Nie, tak powiedziała mi pani Zosia, nasza recepcjonistka.

– O której to było?

– Pierwsza dwadzieścia osiem.

– Skąd pani wie?

– Spojrzałam na zegar w holu.

– I pani to do dziś pamięta? – zapytał z niedowierzaniem ten niższy.

– Ja mam dobrą pamięć do takich niepotrzebnych szczegółów, ale zasadniczo krótkoterminową. Pamiętam zazwyczaj do tygodnia, czasem do miesiąca, rzadko kiedy dłużej.

– A o której pani na przykład dzisiaj przyszła do pracy?

– Ósma czterdzieści dwie.

– A wczoraj?

– Dziewięta cztery.

– A przedwczoraj?

– Punkt dziewięta.

– A w jakich godzinach pani oficjalnie pracuje?

– Oficjalnie mam nienormowany czas pracy. Nieoficjalnie mam ustalone, że powinnam być mniej więcej pomiędzy ósmą trzydzieści a siedemnastą trzydzieści. Z godziną przerwą na lunch, niewliczaną do czasu pracy.

– To w tym tygodniu się pani spóźniała do pracy?

– Ja zawsze się spóźniam. To znaczy do kancelarii, bo gdzie indziej to raczej nie. A zwłaszcza do sądu.

– Więc co do zasady przychodzi pani do pracy później niż powinna?

– No, prawie. Raz przyszedłam o ósmej dwanaście, bo musiałam wcześniej zawieźć

ciocię na dworzec. Miała pociąg o siódmej pięćdziesiąt, był wyjątkowo punktualnie, więc przyjechałam wcześniej. Drugi raz zapomniałam o zmianie czasu i przyszłam – o zgrozo! – o siódmej pięćdziesiąt dwie. To tyle.

– I poza tym zawsze się pani spóźnia? – Temat ich ewidentnie pasjonował, drążyli go niemożebnie.

– Niestety.

– I co na to szefostwo? – niższy zapytał z nieukrywanym zainteresowaniem, wymieszanym z lekką zazdrością.

– Zdaje sobie sprawę i chyba się przyzwyczało. Uczciwie poinformowałam o tym przed przyjęciem mnie do pracy. Wie pan, to nie jest moja pierwsza praca, ja jestem świadoma moich słabości. Z drugiej strony, ja prawie w ogóle nie wychodzę na lunch. To znaczy, jak nie jestem w sądzie, to zamawiam przez telefon i jem w kancelarii, zazwyczaj jednocześnie pracując. Więc i tak wychodzi na ich plus. Terminów żadnych nie zawałam, przynajmniej nie tych procesowych. Dlatego konsekwencji większych nie ma. W każdym razie nigdy żadnej rozmowy dyscyplinującej nie miałam.

– W ogóle żadnej, czy żadnej dotyczącej spóźniania?

– Żadnej.

– Z mecenasem Dudkiem też?

Popatrzyłam na niego jak na D., kiedy mnie nie słucha. Zawsze pod wpływem takiego wzroku D. skupia swoją uwagę na tym, co mówię, może ów egzemplarz też się nauczy. Nie należy tracić nadziei.

– Jak żadnej, to żadnej, przecież już powiedziałam. Poza tym, mówiąc delikatnie, mecenas Dudek mógł mi, powiedzmy, hm... akta szyć, a nie zwracać uwagę. On był tu tylko z doskoku, a nie współnikiem kancelarii.

– Wróćmy do poniedziałku. Zeszła pani na dół po akta...

– Czyje były to akta? – przerwał niższemu ten drugi.

– „Naszej Sprawy”.

– Jakiej sprawy?

– Naszej.

– A macie jakieś inne sprawy niż wasze?

Uśmiechnęłam się.

– Obsługujemy spółdzielnię „Nasza Sprawa”. Taka nazwa. To były akta tej spółdzielni.

Zrozumieli, wyższy coś zanotował. Niższy kontynuował.

– Zeszła pani na dół, spojrzała na zegar, była pierwsza dwadzieścia dziewięć...

– Pierwsza dwadzieścia osiem – poprawiłam bezwiednie. Ten niższy uśmiechnął się. Przystojny miał nieprzeniknioną twarz.

– Dobrze, pierwsza dwadzieścia osiem. Co dalej?

– Jak mówiłam, nie wchodzę, bo u Mecenasa są klienci. Przynajmniej tak mówi pani Zosia.

– A zdaniem pani byli?

– Ktoś chyba był w gabinecie. Słyszałam jakieś głosy. Wyprzedzając panów pytanie, tak, oczywiście mogło być to nagranie, raczej bym nie odróżniła.

– W środku pani nie była?

– Nie. Jakbym była, to nagrania z człowiekiem raczej bym nie pomyliła – wysiliłam się na żart.

– Wie pani, kto tam był?

– Widzieć, nie widziałam, jeśli o to panu chodzi.

– A po głosach pani nie rozpoznała?

– Skąd! Drzwi były zamknięte, a tu raczej się nie krzyczy.

– Czyli nie weszła pani do gabinetu?

– Chyba już to mówiłam?

– Ja się tylko chciałem upewnić, czy dobrze panią rozumiem – zaczął ten niższy.

– Rozumie mnie pan wybornie. W pokoju Mecenasa mnie nie było. Przynajmniej nie wtedy.

– A kiedy?

– Kiedy tam weszłam? Później. Po powrocie Oli z sądu.

– Oli? – Wyższy spojrzał w swoje notatki.

– Aleksandry Jabłczyńskiej. Aplikantka adwokacka, siedzą panowie teraz przy jej

biurku.

– Dobrze, wróćmy do tematu, czyli o której pani w końcu dostała się do gabinetu mecenasa Magiera?

– Zaraz policzę. Ola wróciła o trzeciej pięć. Poleciała na dół, zanieść coś Magdzie...

– Co? – przerwał szybko ten wysoki.

– No przecież nie narkotyki. – Nie mogłam się powstrzymać, ale naprawdę nie lubiłam, gdy mi przerywano. – Pastę do butów. Potem Ola wróciła. Porozmawialiśmy trochę, jakieś dwadzieścia minut. Musiało to być około w pół do czwartej.

Spojrzeli na siebie.

– Czy ktoś był wtedy w gabinecie?

– U Mecenasa, gdy wróciłam? Nie.

– Czy było tam wtedy coś dziwnego?

– Nie. Normalny bałagan.

– Dobrze, wróćmy do tego pierwszego razu. Nie może pani dostać się do akt, co pani robi?

– Wracam do siebie na górę. Gdzie nie robię nic. To znaczy zastanawiam się, co robić dalej, bez tych akt, do których nie mogłam się dostać.

– No i?

– Przychodzi pani Zosia, z prośbą o zastępstwo w recepcji.

– Do pani przyszła?

– A do kogo? Nikogo innego nie było. To znaczy nikogo oprócz Mecenasa i jego klientów, a on w recepcji na pewno by nie usiadł. Poza tym był zajęty.

– A gdzie była reszta?

– A bo ja wiem? Niech pan się ich pyta, ja im nad głową nie wiszę.

– Czy jest pani pewna, że mecenas Magier był w tym czasie w kancelarii?

– No tak.

– Widziała go pani?

– Nie.

– To skąd ta pewność?

– Był do niego telefon.

– Kto dzwonił?

– Nie wiem, nie chciał się przedstawić.

– To chyba nietypowe.

– Skądże, u nas normalne. Nie umiałam przełączyć, więc ten ktoś zakończył rozmowę. Potem zobaczyłam, że linia Mecenasa była i tak zajęta, więc nawet gdybym umiała coś z tym zrobić, to i tak nic by to nie dało.

– Czyli ktoś rozmawiał z gabinetu mecenasa Magiera?

– Aha.

– I to był mecenas Magier?

– A kto inny?

– To u państwa nie ma zwyczaju rozmowy z innych aparatów?

– Nie, jest zasadniczo zakaz dzwonięcia z innych aparatów niż własny. Tu nie ma wielkiej techniki, aparat przypisany jest do pracownika, jak się za dużo wydzwoni w miesiącu, to potem trzeba się tłumaczyć i rozpisywać, że to wszystko było służbowe. Było już kilka akcji z rachunkami za kilka tysięcy i rozmowami za granicę i na zero siedemset, więc teraz jest to częściowo pablokowane, znaczy się numery zero siedemset i na prawie wszystkich telefonach zagranica, wprowadzono też nową procedurę, tutaj ściśle przestrzegana. Dlatego jakby ktoś zobaczył, że inny dzwoni nie ze swojego aparatu, to byłoby to co najmniej zaskakujące.

– A jak z odbieraniem rozmów? Jak ktoś dzwoni, odbiera się telefony za innych?

– Nie. Albo ktoś dzwoni na ogólny numer kancelarii i jest wtedy przełączany do konkretnego prawnika, albo dzwoni bezpośrednio do tej osoby. W pierwszej sytuacji to w recepcji zasadniczo wiedzą, czy ktoś jest, czy go nie ma i po prostu nie przekazują rozmowy, a nawet jeśli przełączą i ta osoba nie odbiera, to po jakimś czasie i tak powraca rozmowa do recepcji. W drugim przypadku, gdy nie ma połączenia, też jest znowu przekierowanie do recepcji. Nie wiem, czy jasno tłumaczę?

– Jasno, jasno, rozumiemy. I mecenas Magier też przestrzega tych zasad z zakazem rozmów z cudzych aparatów?

– Mecenasa ustanawia te zasady, więc jest niejako ponad nimi. To jego kancelaria, może tu robić, co chce. Ale nie widziałam go nigdy rozmawiającego z cudzego telefonu.

– O której godzinie była ta rozmowa z osobą, która nie chciała się przedstawić?

– O drugiej szesnaście.

– Pani naprawdę tak wszystko pamięta? – Przystojny pokiwał głową z niedowierzaniem.

– Zapamiętałam, bo zrobiłam notatkę. Powinna być w recepcji, proszę sprawdzić. Z każdej służbowej rozmowy muszę sporządzić notatkę z wyszczególnieniem daty, godziny i ustaleń.

– Po co?

– Na przykład dzwonią z sekretariatu sądu, że sędzia chory i rozprawa się nie odbędzie. Muszę zanotować godzinę, żeby w razie czego móc to zweryfikować. Tu dzwoniли kiedyś przeciwnicy procesowi z takimi fałszywkami, żebyśmy nie dojechali na rozprawę. Albo klient czasami dzwoni i truje przez godzinę, a potem nie chce za to zapłacić, bo uważa, że pięć minut przez telefon to nie była porada, tylko przyjacielskie gadu-gadu. Trzeba być czujnym, różne rzeczy się działy.

– No dobrze. Siedziała pani w recepcji w jakim czasie?

– Od za piętnaście druga do drugiej czterdzieści dwie.

– Co się wtedy stało?

– Przyszła Magda, nasza wieczorna recepcjonistka.

– Wieczorna? O drugiej czterdzieści dwie?

– Przyszła wcześniej w zastępstwie pani Zosi. Zazwyczaj przychodzi o czwartej.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Poszłam do siebie na górę.

– A akta?

– O aktach przypominałam sobie potem. Zresztą wydawało mi się, że cały czas ktoś jest u Mecenasa.

– Skąd to przypuszczenie?

– Stąd, że pani Zosia mówiła mi, że u Mecenasa są klienci, a nikt w międzyczasie

nie wychodził z jego gabinetu. Zakładając, że nikt nie wyskakiwał oknem, musieli być tam przez cały czas.

– Czy wtedy, gdy była pani w recepcji, ktoś wchodził do kancelarii i z niej wychodził?

– Nie, zobaczyłabym go.

– Czyli mecenas Magier też nie wychodził? Ani nikt z jego pokoju?

– Nie, mówiłam już, że nie.

Popatrzyli na siebie. Tym razem zaczął ten wyższy.

– Czy zna pani Wawrzyńca Sońskiego?

– Nie.

– Czy mówi pani coś to nazwisko?

– Nic.

– A Antoni Dudek?

– Owszem. – Popatrzyłam na nich z przyganą. Czy mi się wydaje, czy to nazwisko padło już wcześniej w tej rozmowie? Co oni, sprawdzają moją inteligencję?

– Kto to?

– Jak mówiłam, kolega z pracy. Radca prawny, ale nie wspólnik. Luźno współpracował z kancelarią.

– Współpracował?

– Jakoś ostatnio tu się nie pojawia...

– Pani wie dlaczego?

– Na mieście mówią, że został aresztowany.

– Kto tak mówi?

Popatrzyłam na nich z politowaniem.

– Tu z kancelarii panowie chcą? To Witold Kryński, Luiza Olczyk, Alicja Rosiak i Aleksandra Jabłczyńska, o której już mówiłam. Te osoby to na dzień dobry. Monika Jarocka akurat nie wspominała, ale ona w ogóle małomówna. Spoza kancelarii to podobno połowa warszawskiej adwokatury, szczególnie tej aktualnie obsługującej sprawę mafijną na Kocjana. A, i bufetowa w sądzie na Marszałkowskiej, bo tam się

zawsze stołował mecenas Dudek. Podobno się pytała, co u niego słyhać, i ktoś jej powiedział. To przekazuje dalej.

Z bufetową to trochę mnie poniosło. Nawet nie wiem, czy Dudek chociaż raz zjadł tam obiad. On raczej był prawnikiem wewnętrznym, zatrudnionym do bieżącej obsługi przedsiębiorców, umów i negocjacji, nie prowadził spraw sądowych.

– Gdzie mecenas Dudek miał biurko w kancelarii?

– Mecenas Dudek w kancelarii nie miał nawet dziurkacza, a co dopiero biurka. Z tego, co się orientuję, współpracował raczej na luźnych zasadach i ewentualne zlecenia brał do domu. Albo do innych swoich prac.

– Czy pani wie, gdzie on pracował?

– Nie w szczegółach. Podobno miał jednego głównego klienta oraz gdzieś w spółkach na pół czy ćwierć etatu plus jakieś pojedyncze zlecenia na opinie czy coś w tym rodzaju.

– Często go pani tu widywała?

– Różnie. Czasami kilka razy na miesiąc, czasami w ogóle.

– Co to znaczy w ogóle?

– No w ogóle przez dwa miesiące. Mniej więcej.

Policjanci popatrzyli na siebie.

– Dziękujemy pani – powiedział ten wyższy. – Czy może nam pani wskazać, gdzie jest pokój pani Alicji Rosiak?

12 marca, sobota

Rano wybraliśmy się z D. na długo przekładane oglądanie działek na Białolece. Umówiliśmy się z agentem o dziewiątej przed Marcpolem na Zaułku i przez dobre trzy godziny jeździliśmy z nim wszerz i wzdłuż Kątów Grodziskich i Ruskowego Brodu, aż w pewnym momencie wszystkie obejrzone działki zaczęły nam wirować w głowach. Odwieźliśmy agenta do Marcpolu i wtedy D. przypomniało się ogłoszenie o sprzedaży, które widział gdzieś na styku Warszawy i Jabłonny. Pojechaliśmy skrótem przez Płudy.

– Ty, popatrz, czy to nie mecenaska z waszej kancelarii? – pytanie D. wyrwało mnie z letargu, w który popadłam po porannych emocjach związanych ze zwiedzaniem prawobrzeżnej Warszawy.

Rzeczywiście, spod bram aresztu na Ciupagi maszerowała mecenas Zawidzka. Nie było nikogo dookoła, więc widzieliśmy ją jak na dłoni. Zawidzka doszła do swojego kosmicznego samochodu, fisker zapikał, ona wsiadła i oparła głowę na kierownicy. Auto szaleńczo zatępiło. Zawidzka podskoczyła jak oparzona. Reszty nie widzieliśmy, bo zasłoniły nam bloki pełne mieszkań służbowych pracowników ZK Białoleka.

- Dziwne – powiedział D. – Mówiłaś przecież, że ona nie bierze spraw karnych.
- Dostaje czasem urzędówki, ale zazwyczaj je spyla aplikantom.
- Urzędówką tak by się przejęła? – D. był sceptyczny.
- Może jest zmęczona, chorowała przecież, dwa tygodnie była na zwolnieniu.

Pojechaliśmy dalej. Ogłoszenie o sprzedaży działek w Jabłonninie okazało się już nieaktualne. Inne grunty w porównaniu z tą zajęta wydały się nieatrakcyjne. Tamta miała wszystko – lokalizację, media, umiarkowaną cenę i warunki zabudowy. I jedną wadę – była już sprzedana. Wizja budowy wspólnego domu odsuwała się o kolejny sezon.

Wróciliśmy do domu lekko zziębnięci. Po herbacie i pączkach D. wyfrunął na squasha do Marek. Podobno otworzono tam nowe korty i z tego tytułu w ofercie były niesamowite promocje cenowe. W ustach D. brzmiało to niemal tak, jakby to jemu mieli płacić za zagranie kilku piłek.

Zostałam więc sama w mieszkaniu, co – nie ukrywam -wprowadziło mnie w niesłychanie dobry nastrój. Od pewnego czasu odnosiłam bowiem wrażenie, że coraz częściej jestem uważana przez moich bliższych i dalszych znajomych za osobę raczej aspołeczną, wręcz antypatyczną. Nie dość, że nie chciało mi się z tym poglądem kłócić, to jeszcze dziwiłam się, że ludzie odkryli to dopiero teraz.

Używając prawniczego ple-ple, mogłabym powiedzieć, że... w tym kontekście należy podnieść, co następuje.

Praca prawnika miała niewątpliwie swoje „zady i walety”, przy czym dla mnie na razie plusy dodatnie przeważały nad tymi ujemnymi. Ale nie mogłam pomijać faktu, iż podstawowym mankamentem zawodu był, niejako w niego wpisany, nieustanny kontakt z innymi ludźmi. W moim przypadku nieco niwelowała go okoliczność siedzenia w jednym pokoju z Olą, której często fizycznie w nim nie było. Ale wtedy złążyły się do mnie inne osoby, dzwonił bardzo ważny klient z pilną sprawą (a w oczach każdego klienta jest on najważniejszy, a jego sprawa – najpilniejsza), a Mecenas prosił o rozmowę.

Po powrocie do domu lądowałam w jednym mieszkaniu z drugą dorosłą osobą, która mimo że nie była, obiektywnie mówiąc, nadmiernie uciążliwa, po prostu przebywała w tym samym miejscu, co ja. Oddychała tym samym powietrzem, parzyła kawę, używając tego samego chińskiego czajnika elektrycznego z białego, błyszczącego plastiku. W zasadzie nie wiem dlaczego, ale ta nieustanna świadomość czyjeś towarzystwa doprowadzała mnie stopniowo do szału.

Początkowo starałam się ukrywać wzmagające się we mnie poczucie lekkiego osaczenia, ale co jakiś czas pokrywka mojego wewnętrznego czajnika odskakiwała z impetem, ujawniając bulgoczący wrzątek, parzący przygodne osoby. Najczęściej poszkodowany był D., ale strumienie gorącej pary w postaci kąśliwych uwag zdarzało mi się puszczać także w pracy. Kilka razy trafiłam nimi Witka (kompletnie się nimi

nie przejął), raz czy dwa Olę (wyszła z pokoju z hukiem) i raz, ale potężnie Magdę. Która pokazała wtedy swoje pazurki, co ja mówię, kociego pazura i odgryzła się tak, że zabolęło, i to bardzo. O co nie mam do niej zresztą cienia pretensji, bo sama zaczęłam.

Nigdy po tych nieprzyjemnościach żadnego z nich nie przeprosiłam, po prostu przechodziliśmy nad tym do porządku dziennego i dalej jazda. A przynajmniej ja przechodziłam, a reszta jakoś się dostosowała.

Nie muszę zatem ukrywać, że dzisiejszy squash D. został przeze mnie przyjęty z dużym entuzjazmem. Oprócz ogólnych walorów związanych z nieobecnością istoty ludzkiej w pobliżu, mogłam w spokoju przeanalizować wydarzenia ubiegłego tygodnia.

Wczorajsze przesłuchanie zainspirowało mnie bowiem do usystematyzowania mojej wiedzy i przede wszystkim do spisania posiadanych informacji. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że wszystkich własnych spostrzeżeń z poniedziałku nie będę pamiętać po wsze czasy. Usiadłam sobie w kuchni, otworzyłam kalendarz i przelałam na papier cały przebieg wydarzeń tego dnia, z godzinami i minutami. Potem to podkreśliłam i lekko się zadumałam.

Policja pytała mnie szczegółowo o obecność ludzi w kancelarii, chyba mogło to teoretycznie coś sugerować. Tylko co? Z osób pracujących w firmie teoretycznie nikt nie miał alibi, nawet ja. Co z tego, że mówiłam o siedzeniu w recepcji, świadków na to nie mam, mogłam posiedzieć dwie minuty, a potem wybiec gdzieś i mordować. Lekko się zastanowiłam nad taką wizją, przed oczami stanęła mi moja podobizna z nożem w zębach, zaraz, zabójca dusił, nie kroił, a więc z paskiem w zębach; idiotyzm, pasek powinien być w rękach...

I nagle, jak obuchem trafiło mnie gargantuiczne *deja vu*. Zaraz, zabójstwo przez uduszenie, z założenia zamknięty krąg podejrzanych, w dodatku z pracy, nawet w stylistykę opisu wchodzę podobną, jeśli nie taką samą. Chwilę, co ja najlepszego robię?

Spokojnie. Zgadza się, ja o tym wszystkim już czytałam, zakodowane w mózgu klisze narzuciły mi przez chwilę perspektywę, trzeba z tego się otrząsnąć i pójść dalej.

Na podstawie pytań z przesłuchania założyłam wstępnie, że obecność ludzi w kancelarii jest ważna, pytanie tylko dlaczego. Prosta odpowiedź sugerowałaby, iż ktoś z nas jest zabójcą, ale czy prosta odpowiedź była tu najwłaściwsza?

Położyłam głowę na dłoniach, zamknęłam oczy i zaczęłam się zastanawiać nad innymi wariantami. Szkopuł tkwił w tym, iż nie przychodziły mi do głowy żadne inne możliwości, musiałam zatem na razie wstępnie przyjąć, że – być może – ktoś z dostojnych prawników dokonał zabójstwa, a w związku z tym rodzi się pytanie: który? Bo Dudek musowo nie, przynajmniej nie jako sprawca bezpośredni, a im więcej wody upłynęło, tym bardziej byłam tego pewna, nie pasował mi i tyle. A zatem może dusił ktoś inny? A jeśli nie ktoś z kancelarii, to kto?

Tylko że ja nie wiedziałam nic o jakimkolwiek innym wątku prowadzonego w sprawie śledztwa. Nie znałam ofiary, nie miałam pojęcia o prowadzonych przez nią interesach ani o jej koligacjach rodzinnych. Nie mogę teraz ruszyć z badaniem innych wątków niż kancelaryjny, więc zajmę się rozpracowaniem tego, co robili w tym czasie moi współpracownicy, bo skoro gliny tego dociekały, to chyba jakieś znaczenie to miało? A alternatywne scenariusze rozpracuję w międzyczasie, nadzieję w tym zakresie zawsze można żywić...

Boże, jaka ja jestem głupia – westchnęłam. Gliny pytały mnie przecież o kancelarię, rzeczywiście, ale dlatego, bo znałam Dudka tylko w konfiguracji służbowej, poza tym siedziałam w kancelarii bykiem przez cały czas zabójstwa. O co mnie mają pytać? Czy przypadkiem matka Dudka nie odprowadzała mnie kiedyś do przedszkola? Co ja robię, o czym ja myślę i po co mi to?

Zdałam sobie sprawę z faktu, że niewątpliwie dodatkowym plusem squasha D. w Markach jest co najmniej półgodzinny dojazd w każdą stronę do obiektu sportowego. Boże, cóż za cudowna cisza, może tak by go wysyłać na jakieś sporty w ciągu tygodnia pod pozorem dbania o jego zdrowie na przykład? Tylko dyskretnie, żeby się nie zorientował w prawdziwych intencjach.

Moment, chyba znów odleciałam, odstawmy na bok mój motyw do bycia Holmesem, wróćmy do istoty, czyli zbrodni. Ja nie miałam cienia motywu, jak mówiłam, ofiara była mi stuprocentowo obca, nie wiem jednak jak dla innych? Ale ja

– nagle olśniło mnie piorunem – Dudka nie znałam. Gość kręcił się jako współpracownik, z charakteru paskudny raczej, aczkolwiek nie do przemocy fizycznej zdalny, a ja nawet imienia nie kojarzę. Ale może ktoś chciał nie tyle zabić, co zrobić w to Dudka? Dla mnie mecenas Antoni był pod każdym względem – uczuciowym, towarzyskim czy zawodowym – obojętny, wkręcać go zatem też nie miałam interesu. Ale może inaczej było z innymi ludźmi, tylko skąd mam to wiedzieć?

A jak to wygląda czasowo? Mecenas mógł wyjść z gabinetu razem ze swoimi klientami, wtedy gdy pani Zosia wpadła po mnie na górę, zdążyłby spokojnie. Tylko kto by prowadził rozmowę telefoniczną z jego pokoju? To chyba można ustalić, zapytam jutro Magdę, czy ktoś wychodził z gabinetu Mecenasa po jej przyjściu. W ogóle ją przycisnę, kto był i przychodził i o której, przy okazji sprawdzę jej pamięć.

Swoją drogą, ciekawe, co nabroił znowu jeden z braci, który tak rozpaczliwie szukał sobie alibi w grochowskim monopolowym. Znowu spuścili komuś łomot albo handlowali jakimś talkiem przed szkołą?

Pod zakreśloną kreską na dole spisałam imiona wszystkich osób z kancelarii, obok mojego napisałam „siedzenie w recepcji” i godziny. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że nie mam pojęcia, co inni robili w tym czasie. Przy Mecenasie i Zawidzkiej od razu wstawiłam ogromne znaki zapytania – nie spytam ich przecież, czy mają alibi, bo byłoby to ostatnie pytanie zadane podczas pracy w tej kancelarii. A chciałam w niej pobyc przynajmniej do rozwikłania tej zagadki.

Musiałam przyznać sama przed sobą, że dzięki tej lekkiej zawierusze moje życie nabrało w ostatnim tygodniu intensywniejszego koloru. Monotonie codzienności, przerywaną od czasu do czasu plotkami natury zazwyczaj zawodowej, rzadziej osobistej, zabarwiło dokonane zabójstwo, przy czym zrobiło to w sposób nader efektowny. Jakże blado przy nim wypadały zwykłe dogryzanka, podkładanie świni, nie mówiąc o bezproduktywnej ironii. Tu był trup, martwy konkret, który kontrastował z teoriami wypisywanymi przez nas na klawiaturze służbowych laptopów.

Był jeszcze jeden powód mojego zainteresowania tą sprawą, z którego, niestety, boleśnie zdawałam sobie sprawę, i z którym, tym bardziej niestety, odkładałam na

dalszą przyszłość nieuniknione przemeblowanie mojego życia. Wcześniej czy później musiałam bowiem zmienić pracę, wiedzieli o tym wszyscy, w tym ja i oczywiście D. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że moja kariera osiągnęła w Kancelarii Magier i Wspólnicy apogeum, wyżej się nie wzniosę, a czego się miałam tam nauczyć, to chyba już pojęłam. Z drugiej strony, nie miałam wcale zawodowego pomysłu na siebie, w głowie kłębiły mi się raczej opcje negatywne w stylu: tego na pewno nie chcę robić. Bez wątplenia nie poszłabym do pracy w kolejnej kancelarii w charakterze siły najemnej. Z drugiej strony bałam się otworzyć coś własnego, ryzykując stratę tych kilku groszy odłożonych na chude lata. Przez chwilę myślałam o karierze naukowej, ale ona sama w sobie także nie była rozwiązaniem, co najwyżej uzupełnieniem zawodowej aktywności. Tych antywyborów było coraz więcej, a rozwiązań pro – zero. Zajęcie się rozwiązaniem zagadki kryminalnej dawało pretekst do niezajmowania się własną przyszłością zawodową. A przynajmniej odłożenia tego na trochę później.

Tymczasem moje kolejne życie zawodowe czekało gdzieś za zakrętem, którego istnienie starałam się z całej siły wyprzeć ze świadomości. Czara doświadczeń zebranych w tej pracy była stanowczo przepełniona, w zasadzie nie trzymało mnie w niej nic oprócz przyzwyczajenia, no i może dwóch wartościowych znajomych, Oli i Witka, z którymi łapałam w miarę dobry kontakt.

Do głowy niczym bumerang wróciła tymczasem zbrodnia. Swoją drogą, to zasadniczo ciekawe, że akurat w czasie zabójstwa nikogo nie było w kancelarii. Razem się zmówili i pojechali mordować tego klienta Dudka? Chcieli go zrobić, czy co? A może mnie wrabiają?

Z tymi optymistycznymi myślami zatrzasnęłam kalendarz i poszłam do łazienki.

13 marca, niedziela

Niedzielę spędziłam także proinwestycyjnie. Wybrałam się mianowicie na Targowisko, gdzie bawiłam się w mecenasa, z tym że tym razem sztuki. Wróciłam objuczona kilkoma grafikami studentów ASP oraz z lekkim debetem na koncie. Policzyłam w myślach, że do wypłaty pozostało mi zaledwie i aż siedemnaście dni, w związku z czym postanowiłam poprosić D. o małą pożyczkę.

Ewa zadzwoniła w południe w chwili, gdy szłam ulicą, niosąc dzisiejsze zakupy. Przez moment nie wiedziałam, którą ręką mam sięgnąć po komórkę i robiłam jakieś nieskoordynowane ruchy, usiłując otworzyć torebkę, jednocześnie nie upuszczając grafik. Potem się poddałam, odstawiłam grafiki na parapet Księgarni Prusa i odszukałam spokojnie telefon. Na szczęście cały czas dzwonił.

– Przypominam ci łaskawie, że będziesz świadkiem na moim ślubie – oświadczyła na powitanie głosem mroźnym jak zima na Lofotach.

– Witaj, ja też cię dawno nie słyszałam – odpowiedziałam tylko lekko jadownicie.

Ewa odchrząknęła z wyższością.

– W najbliższą sobotę idę wybierać sukienkę – zaanonsowała. – Czy pójdziesz ze mną?

– Owszem – przytaknęłam. – Gdzie się umawiamy?

– W jamniku naprzeciw Wschodniego. Tam jest podobno zagłębienie ślubne.

Przytaknęłam, że Internet powiedział to samo. „Jamnikiem” nazywano długi czteropiętrowy blok vis á vis Dworca Warszawa Wschodnia. Cały jego parter zajęty był przez sklepy, z których duża część to były salony mody ślubnej. Miałyśmy się tam spotkać o jedenastej. Mam nadzieję, że tam będzie gdzie zaparkować, bo przed samym dworcem jest tragedia.

14 marca, poniedziałek

W poniedziałek zdarzył się cud – przyszedłam do pracy jeszcze później niż Ola. Było to o tyle niespodziewane, że moja współlokatorka – niczym rasowy adwokat – zazwyczaj do południa (czyli do drugiej-trzeciej) była w sądzie, a potem dopiero wracała do kancelaryjnej roboty.

– A co z mafią? – zapytałam.

– Wiesz, czasem potrafi być przydatna. Miałam na nią zarezerwowane hoho! czasu, a tu jeden z oskarżonych zaliczył połyk, więc go teraz ratują w szpitalu. Rozpraw na razie nie będzie, jestem wolna, aż nie wiem, co z tym robić.

Połykiem było – o ile się orientowałam – połknięcie żyletki albo innego równie „przyjemnego” przedmiotu.

– Gdzie Witek? – spytałam, przypominając sobie o zamkniętych drzwiach pokoju obok.

– Pojęcia nie mam. Chyba na aplikacji. Słuchała cię policja? – Ola wołała z innej beczki.

– Tak. Ciebie też?

– Jeszcze nie. Ciekawe, czy zrobią to dziś?

Ku naszemu zdziwieniu prawie-mecenas Aleksandra nie wzbudziła większego zainteresowania wśród naszych służb. Nie chcieli z nią rozmawiać, za to maglowali bodajże w sobotę Witka.

– Już wiem – powiedziała Ola. – Pomiędzy trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści byłam na rozprawie Mikulskich na Solidarności, jest to jak byk w protokole, więc mam murowane alibi. Co ty zapisujesz w kalendarzu, przecież nie przekazuję ci żadnej rozprawy!

– Nic, nic, to tylko takie notatki. Czyli uważasz, że ja zabijałam w tym czasie? Albo opcjonalnie Witek?

– Wy chyba nie. Na razie aresztowany jest Dudek.

– Dudek teoretycznie zabijał pomiędzy trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści?

– Dudek albo jednak ty. Po co by cię pytali o to, co robiłaś w tych godzinach?

– Ale to bez sensu, ja przecież nawet nie wiem, kto zginął, więc w jakim celu miałabym go mordować? Nie znam człowieka.

– Dowiedziałaś się, że to jest absztyfikant żony Dudka, a ty podkochiwałaś się w mecenasie Antonim, więc chciałaś zmazać plamę na jego honorze i się za niego zemścić...

– Nie, jakbym się kochała w Dudku, to romans jego żony byłby w to mi graj. Rozwiódłby się z nią może szybciej i byłby cały mój. Tu chodzi o coś innego.

– To może byłaś wściekła, że romans żony Antoniego się skończył i ze złości zabiłaś jej absztyfikanta? A jeśli Dudek mordował, to tworzył sobie alibi, że był w kancelarii, a ty mu je zburzyłaś? Fe, nieładnie wobec kolegi. A gdzie solidarność zawodowa?

– Spadaj z solidarnością. On jest zresztą ten gorszy, pamiętaj.

Spojrzałyśmy na siebie i wybuchłyśmy śmiechem. Mecenas Dudek przyjechał kiedyś nadzwyczaj wzburzony.

Po wstępnym uspokojeniu się, oznajmił wszystkim, iż przyczyna jego gniewu nie ma wyjątkowo źródła w kontaktach ściśle zawodowych, ale w sytuacji na drodze. A mianowicie, pospiesznie skądś wracając, przekroczył znacznie dozwoloną prędkość, za co został zatrzymany przez policję. Jak wspominałam, Dudek był raczej z tych oszczędnych, więc machnął stróżom prawa przed nosem legitymacją radcowską i powołał się na swój immunitet. Jeden z policjantów wziął legitymację Dudka i poszedł do drugiego, któremu zadał pytanie:

– Ty, kto to jest radca prawny?

Na co drugi policjant mu odpowiedział:

– Wiesz, to taki gorszy adwokat.

Mecenas Dudek, którego i poczucie humoru, i finezja wypowiedzi znajdowały się mniej więcej na poziomie młota pneumatycznego, był tą sytuacją autentycznie wzburzony. Spisał nazwiska policjantów, rozważał nawet przez chwilę pisanie jakiejś

petycji do ich przełożonych i inne szaleństwa, dopóki mu tego skutecznie nie wybiliśmy z makówki.

– Bo wy jesteście adwokatami, wy tego nie rozumiecie – wycedził w końcu przez zęby. Ale w sprawie nie zrobił nic, na całe jego szczęście.

Miało to wszystko drugie dno, można powiedzieć, że ambicjonalne, raczej trudno wylapywalne dla osób spoza światka prawniczego. W kraju istniały dwie korporacje zawodowe: radców prawnych i adwokatów, o bardzo zbliżonym zakresie kompetencji (radca prawny nie mógł jedynie występować w sądzie w charakterze obrońcy). Jednakże to z tytułem adwokata wiązała się większa tradycja, radca prawny był przez niektórych traktowany jako coś „niepełnowartościowego”. Nic dziwnego, radca kojarzył się z przedsiębiorstwami państwowymi, zjednoczeniami, urzędami i państwową kasą. Adwokat – z obroną prześladowanych opozycjonistów, wielkimi spadkami i dolarami za prowadzenie spraw. Co ciekawe, takie wartościowanie tytułów praktykowane było także przez samych przedstawicieli korporacji, co było dla mnie szczególnie śmieszne. Nie znosiłam bowiem z zasady generalizowania i wypychania wszystkich do jednego worka, a doświadczenie zawodowe mówiło mi, że poziom kompetencji bardziej objawiał się na przykład w stylu uczesania niż wprost wynikał ze zdobytych tytułów. Opisane zdarzenie było też dowodem na to, że mecenasowi Dudkowi można było łatwo wejść na odcisk. Co sprowadziło mój tok myślenia na właściwe tory.

– Czy wiesz, jak wykryto ciało denata? – spytałam Olę. – I o której?

– Nie wiem, ale mogę sprawdzić. – Moja służbowa współlokatorka poszperała w notatniku. – Zadzwoń do Kowalskiej, będę znała już z trzeciej ręki.

– Masz mój telefon. – Dałam Oli prywatną komórkę. – Po co ci nieprzyjemności, przecież nie wykażesz, że dzwoniłaś służbowo.

– Co ty, głupia, ja służbowo dzwonię. – Odsunęła moją komórkę. – Dzień dobry, poproszę z mecenas Kowalską. Tak, poczekam. Cześć, Marciu, tu Ola Jabłczyńska. Jak tam? Ale nam sprawa spadła mafijna... to twój klient się pociął od środka czy inny? Ach, to Przytyńskiego. No to podziękuj mu przy okazji i pogratuluj dzielnego chojraka. A tak w ogóle...

Pełna napięcia wysłuchałam jednej strony rozmowy, a potem Ola dopowiedziała mi drugą.

– Jesteście na ty z mecenas Kowalską? – Musiałam to wiedzieć.

– Sama zaproponowała. Chyba jesteśmy w podobnym wieku, zwróć uwagę, że prawo to był mój drugi fakultet. Chcesz usłyszeć, co powiedziała?

Chciałam. Okazało się, że trupa o siódmej wieczorem odkryła córka denata. Umówiona z ojcem w jego mieszkaniu, miała do niego klucze, zresztą niepotrzebne, bo drzwi były otwarte. Czyli oczywiście zamknięte, ale nie na klucz. Zero śladów włamania, nic nie zginęło, przynajmniej tak wynika z zeznań córki. Od razu zawiadomiła policję, lekarz dojechał około ósmej, zgon stwierdzili potem na pomiędzy trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści. Plamy opadowe były już w pełni wykształcone i inne tam, jak stwierdziła lekko Ola.

– A żołądek?

– No, z tym problem. Denat nie za bardzo jadł, był na diecie, ale się łamał i podjadał raczej wieczorami. Zatem z żołądka więcej czasowo wycisnąć się nie dało.

– Zaraz, a może to córka zamordowała?

– Nie, ona na czas zbrodni ma murowane alibi.

– A jakie jest murowane?

– Operowała. To znaczy nie sama, ona jest lekarzem, specjalizuje się na chirurga, asystowała przy operacji, trzymała haki.

– Może to nie była ona? Chyba lekarze mają przy operacji takie coś na twarzy, może ktoś się podszył?

– Z tego co wiem, chirurgów kobiet jest u nas tyle, co kot napłakał, każdy by takie podstawienie zauważył. Poza tym nie mieli jej odcisków na narzędziu zbrodni, w ogóle w mieszkaniu denata tych odcisków było mało, on miał taką Ukrainkę do pomocy i ona mu rano sprzątała. Zrobiła to chyba dosyć dokładnie.

– Chciałabym mieć na nią namiary – wypowiedziałam na głos swoje życzenie. – Teraz pewnie terminy jej się zwolniły, mogłaby do mnie przychodzić.

– Nie łam się, pewnie jakoś da się ustalić jej numer...

Otworzyłam kalendarz i szybko odnalazłam w nim swoje sobotnie zapiski.

Dorysowałam do nich coś na kształt tabelki, do której dopisałam córkę denata i jego ewentualną kochankę. Ciekawe, swoją drogą, kto funkcjonował w charakterze konkubiny ofiary. Ale najpierw muszę ustalić, kim był sam zmarły.

Ola, niestety, nie знаła nazwiska denata, ale obiecała popytać. Podziękowałam jej za zaangażowanie, ale w odpowiedzi tylko odprychnęła. I zatopiła się w lekturze jakiegoś pisma procesowego.

Po rozmowie poczułam się głodna. Popatrzyłam ze średnim entuzjazmem na stojący przede mną serek wiejski. Jeślibym go teraz zjadła, to w wypadku mojego mordu łatwiej byłoby odkryć godzinę zbrodni. Sięgnęłam po łyżeczkę.

*

– Nie lubię poniedziałków – powiedział smętnie Witek, wsuwając spaghetti przy kserokopiarce. Sprzęt ten stał u nas niby w holu, ale w jego końcu, odciętym od ludzkiego widoku szafą na akta, tworzącą coś w rodzaju zatoczki. Można było tam się zamelinować i pozostawać niewidocznym dla otoczenia przez dłuższy czas, o ile oczywiście było się cicho. My nie byliśmy. Ja kserowałam, Witek mlaskał, do tego rozmawialiśmy, razem wydając przeto dźwięki chyba dosyć osobliwe.

– I jeszcze ta Zawidzka. – Witek miał żal do całego świata. – Wróciła i się rządzi.

– Czyli jak zwykle?

– Ale jak była chora, to tego nie było. Ja się szybko przyzwyczajam do dobrego. A teraz znów rób jej risercze, pisz projekty pism, memoranda i oczywiście przynieś, pozamiataj.

– Po okulary znowu każe ci jeździć? – upewniłam się z troską z głosem.

– Jeszcze nie.

Witek był w kancelarii w charakterze wiecznego aplikanta, a awansował na to stanowisko po wielu latach bycia wiecznym starającym się dostać na aplikację. W chwili obecnej gdzieś lewitował pomiędzy pierwszym a drugim rokiem, choć ilość egzaminów, które miał jeszcze w plecy, naprawdę nie była mi znana.

Patronem Witka był formalnie Mecenas, ale scedował swoje obowiązki, a przede wszystkim prawa w tym zakresie, na mecenas Zawidzką, która to skrzętnie wykorzystywała. Była ona zwolennikiem średniowiecznych stosunków cechowych i

tylko obawa przed wypłynięciem wiadomości na zewnątrz kancelarii wstrzymywała ją przed nakazaniem Witkowi oddania jej rzeczy do pralni czy wyprowadzenia psa. Raz jednak Zawidzka skusiła się i poprosiła mojego kolegę o odbiór jej okularów od optyka.

Tu trzeba zaznaczyć, że Witek był z osobników wybitnie nietrendziarskich i to w dodatku z hukiem, lubił na przykład pysznić się tym, że udało mu się kupić krawaty w promocji „3 za 10 zł” w Tes-co. Czyli prezentował postawę wprost przeciwną do mecenas Zawidzkiej, która nigdy nie schodziła poniżej poziomu, powiedzmy, Tommy'ego Hilfigera. Witek pokwitował więc spokojnie odbiór okularów p.o. patrona w najdroższym salonie optycznym w mieście i wrócił jak gdyby nic do kancelarii, gdzie z niewzruszonym wyrazem twarzy wręczył zlecającej pani mecenas aktualny przedmiot pożądanego.

Widocznie jednak ten brak odpowiedniej reakcji trochę wytrącił z równowagi mecenas Zawidzką, bo zadała Witkowi pytanie:

– Pan widział, że te okulary to Versace?

Na co aplikant ze spokojem odparł:

– A co to Versace?

Podobno mina Zawidzkiej była bezcenna...

Najlepsze w tej historii było jednak to, że byłam na sto procent przekonana, że mój kolega autentycznie nie wiedział, co lub kto to Versace.

– A ty, Wiciu, nie na aplikacji? Ola mówiła, że chyba masz dzisiaj – przypomniało mi się poniewczasie.

– Niby tak, ale puścili nas wcześniej, a ja i tak jestem do tyłu z robotą, więc musiałem przyjść. By the way, pamiętasz takiego eleganta, który nawet u nas był na rozmowie? Taki z brodą, z lekka nastroszony?

Pamiętałam. Byłam nawet na tej rozmowie kwalifikacyjnej. Człowiek wygląd miał jak spod igły, ale w wyzelowanej głowie kompletne pustki. Być może tak się spalił ze stresu, co dla prawnika jest równie niewskazane. W każdym razie nie został zatrudniony.

– Był dziś na rozprawie – zagaił Witek.

– W charakterze?

– Pełnomocnika strony. Wygląd oczywiście bajera, wiesz, garniak z tych za trzy tysiące, koszula ręcznie szyta i inne likimiki. Pani sędzia oczywiście by mu z rąk już jadła. Po czym gość wstaje i zaczyna taki bełkot, że aż mnie odrzuciło, a ja byłem jako widownia, czyli siedziałem najdalej.

Zachichotałam.

– Czyli co? Czar prysł?

– Poczekaj, to nie koniec. Patrząc, sędzię też odrzuca, afekt jej się odmienił i krytycznie na faceta patrzy i nawet o jakieś konkrety go zaczyna wypytywać. Gość wyczuł najwyraźniej zmianę nastrojów, bo kiedy wyszliśmy na zewnątrz podczas narady przed ogłoszeniem wyroku, poszedł do swojego mocodawcy i zaczął mu makaron na uszy nawijać. Ale jaki! Głędził, że w tym sądzie to przekupstwo kwitnie i jak będzie wyrok niekorzystny, to najlepszy tego dowód. I w tę mańkę cały czas.

– Za to ciamkanie powinni go zwinąć. I jaki wyrok?

– E tam, nie ma wyroku. Odroczenie ogłoszenia.

To była mała katorga wymierzana przez sędziów stronom i ich pełnomocnikom – odraczanie publikacji orzeczenia po naradzie. Człowiek czeka pół godziny pod salą jak głupi, jest potem wołany i dowiaduje się, że jednak ogłoszenie wyroku będzie za tydzień. Czyli czekał zasadniczo na darmo. Dużą katorgą było wielokrotne przesuwanie terminu publikacji orzeczenia. Sąd informował, że ogłoszenie nastąpi jutro o godzinie 15.45. Człowiek jechał na publikację, żeby się dowiedzieć, że jednak nastąpi dzień później o 12.30. A potem jeszcze za dwa dni o 8.45. Mojemu znajomemu odraczano tak ogłoszenie siedem razy – w jednej sprawie, w jednej instancji.

Mnie jednak zainteresowało coś innego.

– Ciekawe, ile z ogólnego przekupstwa w polskim wymiarze sprawiedliwości jest tego rodzaju? – głośno się zastanowiłam.

– Takiego fikcyjnego?

– No... wydumanego. – Długo szukałam tego słowa.

– Czy ja wiem? Z połowa? – strzelił Witek i wzruszył ramionami. Zjadł obiad,

wyrzucił plastikowy pojemnik do śmietnika i poszedł wmyć sztućce do łazienki. Wyglądało na to, że nasza rozmowa dobiegła końca.

– Podobno cię policja słuchała? – przypomniałam sobie nagle, gdy ujrzałam go wychodzącego z toalety.

Witek aż podskoczył z radości i wtedy dotarło do mnie, że on uwielbia klimaty kryminalne i przesłuchiwanie go w charakterze świadka (czyli, jak to się u nas mówiło, słuchanie świadka) musiało go nieziemsko ucieszyć.

– Zgadza się – zaświergolił. – Pytali, co robiłem w ponie-działek...

Zbyt dużo się nie dowiedziałam, bo usłyszeliśmy stukot obcasów na schodach i naszym oczom ukazała się Magda. Zasapana, z lekkim fochem na twarzy.

– Witek, mecenas Zawidzka zaprasza cię do siebie. Odbieraj telefony, dobrze? – ofuknęła go, gdy już schodził. – Nie mogę po ciebie latać za każdym razem na górę.

– Dobra, dobra, nie chciałem Monice smrodzić kluskami w pokoju, więc jadłem na korytarzu.

– Jak masz taką fanaberię, to twoja sprawa, ale zostawiaj przynajmniej otwarte drzwi do siebie!

Wróciłam do swojego biurka. Oli już nie było, gdzieś wyparowała, miałam pokój dla siebie. Potrzebowałam jakiejś ogłupiającej czynności w ramach relaksu umysłowego... już wiem! Przypomniałam sobie, że mam do napisania na formularzach kilkanaście pozwów o zapłatę z faktur. Rozłożyłam po całym pokoju teczki, do każdej wsadziłam odpowiedni komplecik dokumentów i rozpoczęłam masową produkcję. Klawiatura komputera stukała na przemian z pieczętkami aż miło i prawie wcale nie było słychać szumu ulicy, gdy nagle...

– Dzień dobry. – Głos Mecenasa spowodował nagle wygięcie mojej głowy w stronę drzwi. Klęczałam akurat nad dwunastą teczką, upychając w niej dokumenty ad acta. – Przyjemnie patrzeć, jak tu taka piękna robota odchodzi.

– Dzień dobry – odpowiedziałam grzecznie. – Dziękuję. Pomyślałam, że zrobię hurtem te pozwы z nakazówki ze sprzedaży porcelany.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił Mecenas. Sięgnął po jedną z gotowych teczek i szybko ją przejrzał.

– Widzi pani. – Trzepnął ręką o teczkę. – Dlatego właśnie wolę zatrudniać kobiety. Są bardziej pracowite i pieruńsko dokładne, a to w naszym zawodzie wartości bezcenne. Wolę już nawet pchać się w te wasze macierzyńskie i inne przedszkola, i tak mi się to zwraca. Witek jest jedynym wyjątkiem, jedynym mężczyzną, którego zatrudniłem, i to tylko dlatego, że to niby mój aplikant. Choć i tak mecenas Zawidzka jest z niego średnio zadowolona. – Mecenas zniżył głos. – Mam nadzieję, że to zostanie między nami.

– Oczywiście – odpowiedziałam i popatrzyłam wyczekująco. Nie przyszedł przecież tutaj na górę opowiadać mi te rzeczy, które słyszałam już od niego sto razy.

Pochwały jako substytut podwyżki – Mecenas tę sztukę opanował do perfekcji.

– Pani Katarzyno – zaczęło się oficjalnie i poważnie. – Rozmawiali z panią w zeszłym tygodniu panowie policjanci.

To było stwierdzenie, więc uznałam, że nie muszę na nie odpowiadać.

– Chciałbym się dowiedzieć, to znaczy oczywiście nie musi mi pani nic mówić, ale byłbym bardzo wdzięczny za informację, o co konkretnie oni pytali. – Mecenas zakończył zdanie i popatrzył na mnie wyczekująco.

– Pytali w związku z mecenasem Dudkiem, to oczywiste. – Uznałam, że mogę to powiedzieć bez większego uszczerbku dla czegokolwiek.

– No właśnie, pani Kasiu. – Mecenas cedził słowa. – Pan mecenas Dudek postawił nas w takiej niezręcznej sytuacji. Rodzi się jakaś niemiła atmosfera wokół naszej kancelarii, czuję, że coś gęstnieje, ja oczywiście z tą romansową aferą nie mam nic wspólnego, ale zasadniczo mi się to nie podoba. Wie pani, ja za krwawymi historiami nie przepadam.

– Tam podobno nie było noży, tylko klasyczne uduszenie – poprawiłam. – Zero krwi, przynajmniej nie od razu.

Mecenas popatrzył na mnie w taki sposób, że od razu pożałowałam tych słów.

– Nieważne, chodzi o kontekst. I w jakim świetle to stawia nas, kancelarię i oczywiście mnie, który własnym nazwiskiem firmuję to przedsięwzięcie? Sama pani rozumie, ja muszę wiedzieć, o co w tym chodzi i dlatego proszę o informację.

Coś w tej gadce wyglądało na potworny kant i nie podobało mi się to strasznie.

Mecenas przyjął złą strategię. Gdyby przyszedł jak człowiek zapytać się o plotki na temat Dudka, razem z Olą wyśpiewałybyśmy mu wszystko dobrowolnie, ale po takim entré nie miałam ochoty mu powiedzieć niczego.

– Tu nie ma nic niezwykłego, panie Mecenasie – oznajmiłam spokojnie. – Panowie pytali mnie, co robiłam w poniedziałek pomiędzy trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści. Podobno wtedy został zabity ten człowiek przez Dudka. Mecenas Dudka – poprawiłam poniewczasie.

Mecenas w sposób wyraźny się skrzywił.

– I co pani odpowiedziała?

– Że byłam w pracy – gładko skłamałam. Albo nawet nie, w sumie wszystko krążyło wokół tego tematu.

– I co jeszcze?

– Że zastępowałam panią Zosię w recepcji – uściśliłam.

– I?

– Dokładnie nie pamiętam – zmyśliłam na szybko. – Zaraz, zaraz, niech ja sobie przypomnę. Ach, powiedziałam im, że nikt wtedy się tu nie szwendał. To znaczy... – Mecenas patrzył na mnie z przyganą, czułam to na swoim czole. – Chodzi o to, że do kancelarii nikt nie wchodził i nikt stąd nie wychodził.

– Rozumiem. – Mecenas zmarszczył brwi. – Coś jeszcze?

– Poskarżyłam się na pana, że za mało zarabiam.

– No tak. A wspomniała pani, że się nieustannie spóźnia?

No nie, jednak zauważył. Tylko jak? Sam przychodzi najwcześniej na dziesiątą. Pewnie ta zołza Zawidzka mu doniosła.

– Tak. Razem z tym, że nie wychodzę na obiad.

– A to już pani sprawa. My pani zapewniamy przerwę, od pani zależy, jak ją spędzi.

Nie do końca podzielałam jego punkt widzenia, ale to on był szefem, a ja podwładną. Jak mi się nie podobało, mogłam szukać szczęścia gdzie indziej, co mi raz powiedział po kolejnej prośbie o podwyżkę.

– No dobrze. – Mecenas powoli wstał z krzesła Oli. – Dziękuję pani za szczerość.

Niewątpliwie jest to pani sztandarowa cecha. Czy dobra dla prawnika, dyskutowałbym.

Chciałam powiedzieć, że nie lecę zazwyczaj do sądu z napisem na czole „Mój klient to oszust” albo „Nie mam żadnych sensownych argumentów, a muszę reprezentować”, ale uznałam, że to jest bezcelowe. Mecenas miał już wyrobione zdanie i ja nie byłam w stanie go zmienić.

– Kiedy ma pani ślubowanie? – rzucił mi na odchodne.

– W przyszłym tygodniu – odpowiedziałam jego plecami. Drzwi zatrzęsły się z łoskotem.

*

– I co ty na to? – spytałam D. przy krojeniu chleba na kanapki.

– Na rozmowę z Mecenasem? – D. podniósł oczy znad „Newsweeka”. – Coś śmierdzi, ale nie wiadomo konkretnie co. Z drugiej strony mówiłaś, że twoim zdaniem Dudek jest niewinny?

– Chyba jest. Nie wyobrażam sobie go jako zimnego zabójcy.

– To żaden argument. Po pierwsze nie musiał być zimny, skąd wiesz, że to wcześniej planował, a nie było to w afekcie? Po drugie, ludzie z zasady nie są do zabijania. Stają się takimi na skutek określonych okoliczności.

– Na przykład?

– Pieniądzy najprędzej, jakiejś dzikiej namiętności, amoku, szału. Siada im na mózg i mordują.

– Ale Dudek mi nie pasuje. Był mikrusem, mniej więcej twojego wzrostu, może trochę niższy...

– Och, dziękuję ci bardzo... – D. uśmiechnął się szeroko.

– Proszę. Tylko ręce i stopy miał duże, jakieś takie niepro-porcjonalne do reszty ciała. Piwka?

– Tak, ale w kuflu. Zwracam ci uwagę, że nie wiemy, jak wyglądał denat. Mógł być jeszcze bardziej filigranowy.

– No, mógł, mógł. Ale Dudek nie pasuje mi też charakterologicznie. On by raczej kogoś wykończył psychicznie, podchody robił, policję szczuł i szwindle na wierzch

wyciągał niż zwyczajnie dusił.

– Rozumiem. To może zabił Mecenas i winę chce zrzucić na Dudka?

– Nie powiem, żeby mi to nie przeszło przez myśl. Ale nie znamy przecież relacji łączących Magiera z denatem, kurczę, nie wiem, jak on się nawet nazywał.

– Mecenas Magier?

– Nie łap mnie za słówka. Denat oczywiście. Z szyneczką i serkiem? – zapytałam, wskazując na pajdy pokrojonego chleba.

– Sam ser. A to akurat ja wiem. Wawrzyniec Soński.

– Soński? To o niego pytały gliny!

– To chyba dosyć naturalne, przyznasz?

– Owszem. A skąd ty wiesz o Sońskim? Ogóreczki kwaszone?

– Wolę korniszonki. Widzisz, świat jest mały. Raz składałem mu ofertę na jakąś opinię. Nie dostaliśmy zlecenia, więc współpraca nie została podjęta. Chyba zaśpiewaliśmy za dużo. W każdym razie, niedawno słyszałem u siebie w pracy, że tego Sońskiego rąbnął jakiś mecenas. Uznałem, że to musi być powiązane z twoją historią.

– Jaką moją? Dudek i Mecenas są na pierwszym planie, ja tu gram epizody!

– E tam, drugi plan masz jak w banku. Coś mi się wydaje, że twoje zeznania dotyczące tego, kto wchodził do kancelarii, a kto nie, mogą mieć znaczenie.

– Miałyby, gdyby ktoś wchodził. Ale była cisza absolutna. No, prawie, z wyjątkiem tych dwóch telefonów. Widziałeś kiedyś osobiście tego Sońskiego?

– Nie, raz rozmawiałem z nim krótko przez telefon. Wydawał się niegłupi. Interes, zdaje się, dobrze mu szedł.

– W czym robił? – zainteresowałam się.

– W nieruchomościach. Skupywał od chłopów małorolnych wąskie działki, scalał i sprzedawał deweloperom pod budowę bloków. Albo pod supermarkety.

– Musiał mieć dużo wolnej gotówki na te transakcje...

– Albo cichego wspólnika. Teraz raczej tego nie dojdiesz.

Nie dowiedziałam się wprawdzie, jak wyglądał pan Soński, ale D. obiecał uzyskać o tym informację u siebie w pracy. Pomyślałam jeszcze, że nie zapytałam dziś Magdy

o to wszystko, co zaplanowałam, i obiecałam sobie solennie, że jutro to zrobię.
Obzarci kanapkami i opici piwem poszliśmy spać.

15 marca, wtorek

Dziś rano miałam fanaberię na świeże pieczywo na śniadanie, udałam więc przed pracą na szybkie zakupy do „Uniwersamu”. Z radością zauważyłam, że zaczęli zmieniać wystrój sklepu, który dotychczas przypominał ostatni relikwiarz PRL w stolicy. W delikatesowych lodówkach wyodrębniono nawet dział „Owoce morza”. Skuszona podbiegłam w te rejony, żeby przejrzeć ofertę, która okazała się składać w stu procentach ze śledzi. Poprzestałam zatem w zakupach na bułkach z żółtym serem, po czym poszusowałam do pracy.

*

Witek od rana był wyraźnie struty. Co gorsza, nie chciał po dobroci wyznać powodu swojego skisłego humoru. Przyciśnięty wychrząkał nazwisko Zawidzkiej.

– Się przejmujesz – prychnęłam, strzelając w niego okruszkami pieczywa. W odpowiedzi otrzymałam coś, co w najlepszym przypadku można nazwać „spojrzeniem z ukosa”.

Zaproponowałam ugodowo podział świeżutkiego pieczywa z serem. I byłoby dobrze, ale coś mnie podkusiło, aby podczas przyrządzania skromnego posiłku wrócić do tematu przełożonej Witka. Oczywiście uczyniłam to w stylu bagatelizowania problemu.

Witek zdecydowanie mi przerwał, stwierdzając, że nic nie rozumiem.

– Ona ma w sobie coś takiego, że wzbudza w tobie poczucie winy nawet za nieswoje zbrodnie. Zresztą... nie umiem tego opisać.

Chciałam go pocieszyć, przekonywałam, że przecież cudza odpowiedzialność, że to nie jego brocha, że o co chodzi... ale nie dał mi dokończyć.

Zjedliśmy bułki w milczeniu, po czym wróciłam markotna do swojego pokoju. Zły nastrój roznosił się niczym trąd, paraliżował mięśnie ust już-już wyginających się do uśmiechu, wysadzał pierwiosnki poczucia humoru, gasił w zarodku iskierek nadziei. Nawet obudowa komputera wydawała się czarniejsza niż zwykle.

– Pani Kasiu, mecenas Zawidzka prosi do siebie. – Głos pani Zosi zadźwięczał w słuchawce.

– Pani Zosiu, wróciła pani! Jak zdrowie pociechy? – okazałam samarytańskie zainteresowanie.

– Dziękuję, pani Kasiu, nieźle. Na szczęście obyło się bez antybiotyków. Wczoraj wzięłam urlop na żądanie, ale od dziś jestem już normalnie. Niech pani zejdzie, bo pani mecenas się spieszy. – Po czym ciszej dodała: – I wyraźnie jest nie w humorze.

Zeszłam na dół tak szybko, jak pozwalały mi ośmiocen-tymetrowe obcasy.

Drzwi do gabinetu pani mecenas były otwarte, weszłam więc do środka. Zawidzka siedziała za biurkiem, zatopiona w lekturze dokumentów opatrzonych dużą ilością pieczętek. Ubrana była jak zwykle nienagannie – w czarny wełniany kostium, jedwabną bluzkę w gustownym niebieskim kolorze i skórzane szpilki droższe niż moja miesięczna pensja. Jedynym ekstrawaganckim elementem w jej wyglądzie była artystyczna srebrna broszka wpięta w klapę. Zawidzka była tym typem kobiety, której nigdy nie odpadł guzik, nie zaciągały się rajstopy, a kosmyki włosów zawsze pod koniec dnia leżały w tym samym miejscu co rano. Ona chyba nawet się pociła w nutę Kenzo, bo wszystko z niej biło chłodną, bo chłodną, ale skończoną harmonią. Przez chwilę podziwiałam ten perfekcyjny wizerunek w spokoju, a potem pani mecenas podniosła na mnie wzrok o temperaturze lodów Bambino.

– Szanowna pani. – Zawidzka cedziła powoli każde słowo. – Może teraz na aplikacji uczy się innych standardów, ja nie wiem. – Podniosła ręce do sufitu. – Ale za moich czasów było to niedopuszczalne.

Rzuciła w moją stronę plikiem papierów.

– Co to jest? – spytałam spokojnie. Mogłam sobie na to pozwolić, bo miałam w miarę czyste sumienie.

– To ja się pytam – odburknęła mecenas Zawidzka. – Postanowienie o odrzuceniu skargi przez sąd administracyjny. Sprawdziłam, pani sprawa. Co, zapomniało się opłacić czy wniesione po terminie? – spytała z ironicznym uśmiechem.

– Nie wiem, trzeba przeczytać w uzasadnieniu – powiedziałam miękki głosem. Terminy zazwyczaj sprawdzałam bardzo dokładnie, przelewy też, ale może coś mi się

omsknęło...

– Proszę czytać. – Zawidzka palcem wskazującym dotykała fotela klienta. Usiadłam w nim.

Przeczytałam dwa razy.

– Tu jest napisane, że organ administracji udzielił w decyzji błędnego pouczenia, dlatego odrzut. Czy mam być mądrzejsza od organu? – zapytałam, we własnym mniemaniu retorycznie.

– Oczywiście – zjadliwie syknęła Zawidzka. – Wymagamy od pani krytycznego spojrzenia na wszystko. Czy to zbyt wiele dla prawnika z kwalifikacjami?

Popatrzyłam smętnie na pismo.

– To da się naprawić. Wniosem o przywrócenie terminu na skutek błędnego pouczenia i...

– Dobrze, dobrze. Nie chce mi się tego słuchać. – Mecenas Zawidzka nawet na mnie nie patrzyła. Postanowiłam, że jej dopiękę. Co mi tam, i tak w tej kancelarii nigdy współnikiem nie zostanę.

– A tak przy okazji: czy pani mecenas przerzuciła się na sprawy karne? – spytałam słodziutko. Miałam nadzieję, że trafię w czuły punkt.

I udało się. Zawidzka uraczyła mnie zaskoczonym spojrzeniem znad biurka. Czy mi się wydaje, czy pomimo tych setek igłowych zabiegów, które przeszła jej niewątpliwie piękna buzia, spod perfekcyjnego makijażu wyzierały zapuchnięte powieki i sine wory pod oczami?

– Skąd pani to przyszło do głowy? – fuknęła. – Przecież pani wie, że karnymi się nie zajmuję. Z tego, co się orientuję, jest to chyba jedna z nielicznych rzeczy, które nas łączą.

Niesłychane! Zawidzka po raz pierwszy w życiu powiedziała o sobie i o mnie jako „nas”. Nawet w przytoczonym kontekście zabrzmiało to nieco kosmicznie.

– Ale widziałam panią mecenas w sobotę przed aresztem na Ciupagi – powiedziałam, patrząc spokojnie prosto w jej starannie wymalowane oczy. Rzęsy miała na sto procent doklejane. – Uznałam więc, że wyszła pani od klienta...

– Chyba pani żartuje! – zostało to powiedziane naprawdę zbyt gwałtownie. – To

nie mogłam być ja, w weekend siedziałam w domu i się kurowałam – dodała spokojniej pani mecenas. – Pomyliła mnie pani z kimś innym.

– Nie sędzę – pokiwałam głową. – Ale to pani sprawa, ja się tylko z grzeczności zapytałam...

– Jeszcze raz powtarzam, że to nie byłam ja. – Ton głosu pani mecenas nie wróżył nic dobrego. – Po tamtej stronie Wisły nie byłam już od ponad roku, po co zresztą miałabym tam jeździć?

Teoretycznie było to pytanie retoryczne, ale miało drugie dno. Zawidzka – podobnie jak i duża część warszawiaków – uważała praską część miasta za gorszą, a ludzi tam mieszkających za mniej wartościowych niż z „właściwej”, czyli droższej Warszawy. Wiedziała też, że mieszkam na Grochowie, który znajdował się po drugiej stronie Wisły, i parokrotnie dawała mi do zrozumienia, że okoliczność ta nie poprawia jej i tak niezbyt wysokiego mniemania o mnie.

– Była pani mecenas miesiąc temu w sądzie na Terespolskiej. To na Pradze – uprzejmie przypominałam. – I jakieś trzy miesiące temu też... Poza tym samochód... Ma pani mecenas dosyć nietypową markę...

– Nie mam czasu na głupie przekomarzenia się – ucięła Zawidzka. – Mam dziś dużo pracy i pani zresztą też. – Brodą wskazała na postanowienie sądu administracyjnego, które nadal trzymałam w dłoni. – Wolałabym, żeby pani nie rozpowiadała tych głupot na lewo i prawo, jak to ma pani w zwyczaju, tylko wróciła do siebie i w końcu zabrała się do roboty!

Chciałam się dowiedzieć, jaką jej zdaniem głupotę ogłaszałam ostatnio wszem i wobec. Nawet nie dlatego, że mnie obraziła, byłam po prostu zainteresowana, ale pytanie jakoś tak zatrzymało mi się na końcu języka i nie chciało wyjść dalej. Zawidzka najwyraźniej uznała, że to koniec rozmowy, bo zaczytała się w swoich dokumentach albo – co bardziej prawdopodobne – udawała, że to robi. Wróciłam więc zaintrygowana na górę. Ola była w pokoju, stukała zapamiętałe w klawiaturę swojego komputera. Trochę było mi przykro wyrywać ją z pracy, ale tylko trochę.

– Coś mi śmierdzi – powiedziałam trumiennym głosem.

– To nie ja. – Ola przybrała strategię zaprzeczania. – Dziś jadłam na mieście,

zresztą i tak zawsze potem wietrzę, nie przesadzaj więc...

– Nie mówię o tym, czasami daj się złapać na przerośni!

– Na przerośni, powiadasz, co ci nie pasuje w tych rejonach?

– Zawidzka.

– Poczekaj, tylko dokończę zdanie. Już. Zapisuję i... o w mordę jeża! No nieee!!!

– Co się stało? – zapytałam grzecznie.

– Wszystko mi zżarło. Całą pracę od rana!

– Jak to? Zapisywałaś etapami?

– Pewnie! Mniej więcej co pół godziny.

– To otwórz plik jeszcze raz, może coś się zachowało. Podeszłam do sąsiedniego biurka.

– Nie, nie ma! – Ola autentycznie była załamana. – Nic się nie zachowało.

– Zadzwoń do magika, może on coś wykombinuje.

Magikiem był nazywany informatyk obsługujący kancelarię na jakieś stałe zlecenie. Zazwyczaj usługi swoje świadczył zdalnie przez telefon, ale zdarzało mu się też przyjeżdżać, choć wówczas było to w dość nietypowych porach, na przykład dziesiąta wieczorem albo wpół do siódmej rano.

Ola wykręciła numer magika.

– Komputertrans? Tu Aleksandra Jabłczyńska z Kancelarii Magier i Wspólnicy. Tak, z tej w Alejach. Proszę pana, jest tragedia. Zjadło mi całą apelację, no, nie całą, ale to, nad czym pracowałam od rana. Ładnych parę stron. Jak to mogę odzyskać? – Nastąpiła dłuższa przerwa. – Dobrze, niech pan to wszystko powtórzy, ale powoli. Robię. Naciskam. Zamykam. Wszystko zamykam. Wyłączam komputer. Włączam. Proszę się nie rozłączać, ja panu nie odpuszczę! O, już się miga, odlicza, loguję się. Uff... zawsze mam problemy z hasłem... No dobra, jestem. Otwieram plik. I proszę pana, jest jedno wielkie gie, że się tak ładnie wyrażę. Zero zmian z dziś. – Znowu cisza. – To kiedy pan przyjedzie? Nie wie pan? To chyba jakieś żarty! Rozumiem, że dziś? Proszę pana, ja się mogę zająć czymś innym, ale skąd mam mieć gwarancję, że mi komputer zapisze zmiany w jakimkolwiek pliku? Dobrze, mamy ustalone. Do widzenia.

Ola była załamana.

– Mówił, że przyjedzie dziś, ale nieprzekonująco.

– Trzeba zrozumieć człowieka, Olu. On pewnie ma takich klientów dwudziestu na obsługę, może nie wyrobić się na dziś – próbowałam tłumaczyć magika, czując na sobie obojętny na problemy innych wzrok znad monitora.

– W nosie to mam, wiesz? Który sąd przywróci mi termin z uwagi na awarię systemu komputerowego?

– To ci mogę powiedzieć od razu, że żaden. Kiedy ci mija?

– Co? – Ola była chyba ze złości nieprzytomna.

– Termin! A co innego mogłoby?

– Nie wiem. Pojutrze. Znaczący termin pojutrze, a co innego – nie wiem.

– To masz od metra czasu.

– Ale ja nie lubię na ostatni dzwonek.

Pokiwałam głową.

– Rozumiem, ja też tak mam. Ale czasami nie da się inaczej.

Ola usiadła na biurku i popatrzyła na mnie wyczekująco:

– No a co z nią?

– Z kim? – zapytałam lekko zdziwiona.

– Zawidzką, o niej przecież chciałaś rozmawiać.

– A, nią. Otóż kręci.

– To chyba standard.

– Mną kręci. Albo do mnie, nieważne. W każdym razie oszukuje. Mnie oszukuje.

– Tym bardziej standard.

Chyba nie wzbudziłam w Oli spodziewanej sensacji.

– Standardem jest, że nas oszukuje – przyznałam z lekkim oporem. – Na procencie w sprawach z nią jako głównym pełnomocnikiem, na przydziale pracy, na, ogólnie mówiąc, wszystkich kwestiach zawodowych. Ale ona jest z nami w sytuacji szef – podwładny i tak nas usiłuje okantować. A teraz dodatkowo bez sensu kłamie.

Opowiedziałam Oli najpierw sytuację z soboty spod Ciupagi, a potem reakcję

Zawidzkiej na moje oświadczenie, że widziałam ją pod aresztem. Ola wzruszyła ramionami.

– Nie widzę w tym nic dziwnego – powiedziała. – Zawidzka jako współnik ma przecież zakaz konkurencji, prawda?

Potaknęłam. Niskie szczeble jak Ola i ja takich zakazów nie miały, ale Zawidzka już była nim objęta.

– Kręci jakiś biznes na lewo i nie chce, żeby się o tym ktoś dowiedział, stąd te hocki-klocki.

Tym razem potrząsnęłam głową.

– Nie wierzę w to. Zawidzka to za stara papuga, żeby się obawiać byle jakiego zakazu konkurencji i tak sobie głupio kłamać. Poza tym wiesz, jaki jest rynek. Jeden drugiego pilnuje i takie rzeczy od razu by wyszły i zapukały do Mecenasa przez grono życzliwych. A u niej z dorabiania na boku afery nie było nigdy, wszystkie swoje biznesy przepuszczała oficjalnie przez kancelarię. Ona nie z tych, co dla paru złotych więcej chcieliby się bawić.

– Chcesz powiedzieć, że nie chytra?

– Ogólnie chytra tak, jak każdy zresztą. Ale nie w ten sposób, żeby Magierowi kasę podprowadzać na lewo. Poza tym, żebyś ty ją słyszała, to kręcenie... Zabroniła mi poza tym rozpowiadać o tym, co widziałam – to jest już w ogóle głupie, bo ja teraz będę o tym plotła jak szalona. Oczywiście z zastrzeżeniem tajemnicy, więc rozejdzie się to wszędzie i w końcu gdzieś wybuchnie. Sama wiesz, że świat jest mały.

– A ja myślę, że nie masz racji – rzuciła Ola znad klawiatury.

– Co do czego? Małości świata? Wybuchu? A w ogóle co robisz? Piszesz?

– Próbuję, bez przekonania. Co do Zawidzkiej. Patrzysz na to rozumowo, a trzeba emocjami...

– Proszę? – Teoria Oli zaczynała się ciekawie.

– Zakładasz, że każdy myśli o tym, co mówi, a tak nie jest. Zawidzka najwyraźniej na boku dorabia, złapałaś ją, ale nie z rękami na kasie, tylko trochę po. Dowodów żadnych nie ma, ale ona się pozarozumowo wystraszyła. Stąd gada jak potłuczona.

– Sorry, Ola, nie wmówisz mi, że ona, taki szczywany lis, przejęłaby się

konsekwencjami za ewentualne złamanie zakazu konkurencji. Czym by ryzykowała? Mecenas jej ze spółki nie wyrzuci, za dużo przychodu generuje, byłaby może lekka awanturka, ale ona także łyka na przekąskę. To ewidentnie nie jest człowiek stroniący od konfrontacji. Wprost przeciwnie nawet!

– Mówiłam ci, patrzysz na to od złej strony! Ona tego nie przemyślała, że ktoś ją złapie, dlatego teraz zapiera się jak główny podejrzany. Przyznaję, charakterologicznie określiłaś ją bogato, ale niewłaściwie – papuga, lis, nie za dużo tej fauny? A ty w ogóle jesteś na sto procent przekonana, że to ona była?

– To, że Zawidzka na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Bo zakładam, że jest to mało prawdopodobne, ale nie w pełni wykluczone, że po prawobrzeżnej Warszawie może kursować jej sobowtór, uczesany jak ona i ubrany w jej czarny płaszcz z futerkiem z Diora. Natomiast fiskera Zawidzkiej rozpoznałam na dwa tysiące procent.

– Po czym? – zacięła się Ola. Była jeszcze mniej motoryzacyjna niż ja.

– Po pierwsze, Witek mnie kiedyś uświadomił, że to chyba jedyny taki samochód w Warszawie, ba! w Polsce. A nawet, jakby było ich więcej, to po takim drobnym szczególe jak tablica rejestracyjna! Pamiętasz, ona zamawiała dla siebie spersofini... sperni... no, taką specjalną. Dodatkowo dopłacała.

– Czekaj, coś kojarzę. Jaki tam był tekst?

Roześmiałam się.

– ZUZA 02. Zawidzka ma przecież na imię Zuzanna. Ciekawe, czy lubi kasztany jesienią.

Twarz Oli przybrała jednak grymas daleki od wesołości.

– Trudno uwierzyć, że ktoś taki ma imię – powiedziała raczej chłodno.

Spojrzałam na nią nieco inaczej. Mnie Zawidzka szkodziła przeciętnie, na podobnym poziomie jak wszystkim swoim podwładnym, nawet tym pośrednim. Nie czułam się szczególnie dyskryminowana. Ale Oli chyba wyraźniej dała się we znaki. Albo moja koleżanka jest bardziej wrażliwa, niż to na co dzień okazuje.

*

– Nie ma Magdy? – zdziwiłam się, widząc panią Zosię w recepcji, kiedy wychodziłam z kancelarii.

– Wzięła dziś wolne, zastępuję ją, ale tylko do szóstej -usłyszałam w odpowiedzi.
Trudno, pytania będą musiały poczekać jeszcze jeden dzień.

*

Po powrocie z pracy do mojego praskiego mieszkania otworzyłam szeroko okno. Było mroźne powietrze, które zazwyczaj pozytywnie mobilizowało mój mózg do myślenia.

Stałam w oknie dłuższy czas i patrzyłam bezmyślnie na podwórko-studnię, na które wychodziły okna mieszkania. Codzienny wieczorny gwar niósł się po ścianach kamienicy i ginął w mroku. Ludzie smażyli naleśniki, oglądali telewizję, kłócili się i usypiali dzieci. Ktoś śpiewał, ktoś odkurzał, ktoś kichał. Nikt nie wyglądał na dwór. Istoty zamknięte za oknami w swoich mieszkaniach, nieświadome tego, że są obserwowane. Niezastanawiające się nad faktem, że obok jest inne lokum, w którym też żyją ludzie z analogicznym kompletem problemów.

– Zwariowałaś? – D. właśnie wrócił ze swojego idealnego biura klasy A i patrzył na mnie, jakbym postradała zmysły. – Zimno jak diabli, przeziębisz siebie i mnie!

– Rzeczywiście, zamknę okno.

W mieszkaniu zrobiła się lodówka, dobrze, że D. wrócił w porę, bo byłby zamrażalnik.

– Słuchaj, Zawidzka wypiera się bytności na Ciupagi w sobotę. Zarzuca mi omamy.

– To mi też może pozarzucać, bo przecież widziałem to samo, co ty. Ba, to ja pierwszy ją zauważyłem.

– Będzie ci to zapamiętane, gwarantuję. Ale co ty na to?

– Na co?

– Nasze omamienie?

– No to, że się pani mecenas wypiera wizyty w białoleckim pierdłu? Chyba wasza szefowa chce coś nieudolnie ukryć, dlatego wmawia ci przywidzenia.

– To w sumie oczywiste. Pytanie tylko, w jakim konkretnie celu?

D. popatrzył na mnie spode łba.

– Rozumiem, że kolacji dziś nie będzie?

– Nie. Zamiast papu masz zagadkę detektywistyczną.

– Trudno. Może jakoś wytrzymam. – Wypowiedział to z wyraźnie sztuczną emfazą i przewrócił oczami. – Wiem, że zawiodę pokładane we mnie nadzieje, ale nie mam zielonego pojęcia, dlaczego mecenas Zawidzka ukrywa swoją bytność w ZK na Ciupagi. Rozumiem, że ty odnosisz nasze odkrycie do sprawy mecenas Dudka?

– A jakże nie? – zapytałam retorycznie.

– I uważasz, że co? Że Zawidzka może być sekretnym podbojem sercowym Dudka? Który go potajemnie odwiedza w areszcie?

– Tak! Na drugie też tak!

– Nie przyszło ci na myśl, że to jego obrońca?

– Przyszło. Ale potem przypomniałam sobie, że ona ostatni raz prowadziła sprawę karną chyba na aplikacji, czyli jakieś dwieście lat temu. Dudek musiałby być głupi, żeby kogoś takiego zatrudnić jako obrońcę. A co jak co, ale głupi on nie jest.

– Zaraz, zaraz. A może obrońcą Dudka jest mecenas Magier? Niestety, nie mógł akurat przyjść w sobotę porozmawiać z klientem i wysłał w zastępstwie swojego współnika? – D. sformułował tę tezę, nalewając sobie i mnie herbatę z dzbanka oraz wyjmując z lodówki jakieś serki na stół.

Wyglądało to dość przekonująco. Nawet w jakiś sposób tłumaczyło dziwne zachowania Mecenas i Zawidzkiej. Oraz sprawiło, że mój entuzjazm do sprawy lekko oklapł. Zbyt banalne, by było ciekawe...

– Jak ustalenia fizjonomii Sońskiego? – zmieniłam temat. – Obiecałeś...

– Obiecałem i przyniosłem – D. schylił się po teczkę, z której wyjął jakieś kartki formatu A4. – To zdjęcia wydrukowane z plików JPG na normalnej drukarce. Żadna rewelacja, ale da się obejrzeć.

Na pierwszym zdjęciu była przedstawiona grupka pięciu osób, z których słabo znałam dwie. Z daleka dzwoniło, że one pracują w kancelarii D. Obok stał średniego wzrostu mężczyzna z bródką, bardzo przeciętny, za nim uśmiechała się do obiektywu babka w okularach o podobnym wzroście, przy której stał ogromny, barczysty brunet w okularach. Wymiary trzech nieznanymi mi osobników założyłam na podstawie proporcji w stosunku do ludzi mi słabo, bo słabo, ale jednak znanych.

– To Soński. – D. wskazał na człowieka z bródką.

Hmmm... trochę wyższy niż Dudek, ale niewiele. Wcale niegruby, może nie najszczuplejszy, z zaczątkami brzuszka, ale na pewno nie ponad normę. Jeżeli tacy ludzie są na diecie, to ja powinnam głodować.

No właśnie, żarcie!

Dotknęłam dłonią serów. Cały czas były zimne, nie nabrały jeszcze odpowiedniej temperatury.

– Gdzie to zdjęcie było robione? – spytałam.

– Jakaś bibka podczas jednego z seminariów dla przedsiębiorców. Kaszak i Maćkowska – D. wskazał na zdjęciu te dwie osoby, które wydawało mi się, że słabo kojarzę. – byli tam prelegentami. Ledwo pamiętają gościa.

Spojrzałam na drugie zdjęcie. Było ewidentnie z tej samej imprezy i widniał na nim tylko Soński z wielkoludem z poprzedniej fotografii.

– Znasz tych ludzi? – Pokazałam D. babkę w okularach i olbrzyma.

– Nie. I Kaszaki-Maćkowskie też nie znają – uprzedził moje pytanie. – Raz tylko się spotkali na tej imprezie, to wszystko.

– I nie mają wizytówek? – zapytałam powątpiewająco. Moje doświadczenie mówiło, że zawsze na takich imprezach każdy każdemu wciska niesamowitą liczbę wizytówek.

– Pewnie mają. Albo mieli – odpowiedział D. – Ale nie są w stanie przyporządkować osoby do karteczki. Wiesz, jak to jest.

Wiedziałam. Popatrzyłam jeszcze raz na zdjęcia. Soński wyglądał, jakby mógł być w zasięgu mordu dokonanego przez Dudka. Przynajmniej fizycznie. Zresztą denat jawił się teraz tak jakoś bezbrinnie, jakby mógł stać się ofiarą dla każdego. Co stało w sprzeczności z jego profesją przedsiębiorcy, i to prowadzącego udane interesy. No tak, dziś prestiż i pieniądze, jutro znajdują cię z paskiem na szyi. I ze zmasakrowaną twarzą.

Westchnęłam i zasiedliśmy do kolacji. W zasadzie do jej krojenia, bo sałatka z tuńczyka gotowa była dopiero za dwadzieścia minut.

16 marca, środa

W pracy rzeczy potoczyły się własną koleją. Do sprawy aresztowania mecenasa Dudka wszyscy się już zdążyli przyzwyczaić, więc kolejno odkrywane szczegóły nie budziły już takich sensacji.

– Olu – zagadnęłam moją współlokatorkę, wyjątkowo od rana w pracy – czy wiesz, kto jest obrońcą Dudka?

– Nie – smutno pokiwała głową. – I nikt nie wie. Wieść gminna niesie, że może bronić się sam.

– A ty tę wieść rozsiewasz?

– Wprost przeciwnie, ja w nią wątpię. Pamiętaj, że Dudek to radca prawny, i to w dodatku niepraktykujący procesualista. Nie będzie ryzykował z brakiem obrońcy, przynajmniej nie powinien. Nawet przy swoim skąpstwie. Co nie zmienia faktu, że nikt o jego obrońcy nic nie wie.

– Nawet pełnomocnik Dudkowej? Wiesz, ten Turek od nieTurkowej? – spytałam powątpiewająco.

– Nawet on.

– To jak się kontaktuje?

– Rozmawia z Dudkiem bezpośrednio. To znaczy teraz nie rozmawia, tylko komunikuje, a zatem jednostronnie, i to w dodatku na piśmie. Wiem, że w poprzednich dyskusjach rozwodowych Dudek nie miał pełnomocnika. Co było nawet zrozumiałe, bo to chyba nie docierało do sądu. Dudek wcześniej ucinął wszelkie rozmowy stanowczą odmową, dlatego nie próbowali nic działać dalej. Ale jednak zabójstwo to co innego niż taki rozwód, sama przyznasz? I to takie z aresztem na dzień dobry?

– No tak, chyba poważniejsza sprawa...

Czyli teoria D. na temat Mecenasza jako obrońcy Dudka (i Zawidzkiej jako pomocy w obronie) mogła być prawdziwa.

Wpadłam nagle na pewien pomysł i otworzyłam Internet. W wyszukiwarce znalazłam stronę zakładu karnego i aresztu śledczego przy ulicy Ciupagi. Jak się spodziewałam, były tam m.in. informacje dotyczące widzeń z osobami zatrzymanymi. W drugą sobotę lub drugą niedzielę każdego miesiąca widzenia mogły odbywać się dla osadzonych, których nazwiska rozpoczynają się na litery W, M, D, L, A, H, S, Y. Głupio było to napisane – niealfabetycznie, trudno szukać. Domyśliłam się, że chodzi o częstotliwość nazwisk rozpoczynających się na daną literę i że nie ma równości między K a powiedzmy Y... Choć teraz na Białołęce siedzi chyba dużo Wietnamczyków, a oni czasem mają nazwiska na Y. Mogli podzielić statystycznie, a potem uporządkować alfabetycznie. Raz by zrobili, nic by im się nie stało.

Weszłam na kolejną stronę podrzuconą przez wyszukiwarkę. Było to forum żon więźniów – nie wiedziałam nawet, że coś takiego może istnieć. No, ale jeśli istnieje grupa dyskusyjna wielbicieli latarek – nie żartuję, mąż mojej znajomej należał do takiej – to czemu miałyby nie być platformy wymiany informacji pomiędzy „kobietami łobuzów” (same tak się określały). O, ten post był ciekawy. Meggie07 pisała, że ustalenie terminów widzeń to jeszcze małe miki. Oni (chyba jej chodzi o służbę więzienną?) czasem zmieniają rozkład widzeń, nie aktualizując strony, przyjeżdżasz według rozkładu w piątek i się dowiadujesz, że od tego tygodnia J na przykład jest w czwartki. I cały tydzień musisz czekać. Dlatego lepiej zadzwonić wcześniej i się upewnić. Przynajmniej według Meggie07.

Niewiele myśląc, zadzwoniłam, potwierdziłam, informacja ze strony była aktualna. Kiedy odkładałam słuchawkę, mój wzrok spotkał się z wybałuszonymi na wierzch oczami Oli.

– Widzisz. – Z dumą tryumfowałam. – Zawidzka widziała się w weekend z osadzonym Dudkiem. Dudek jest na D, łapie się, prawda?

– O co ci chodzi? – Ola najwyraźniej nie rozumiała, o czym mówię.

– Oj, no popatrz. – Wytłumaczyłam jej, do czego doprowadziło mnie moje rozumowanie.

Ola nie była pod wrażeniem. Ola była pod antywrażeniem.

– Wytłumacz mi – zaczęła spokojnie – w jaki sposób przebrnęłaś przez całą

aplikację, w końcu trzy lata z hakiem, i nie rozmawiałaś z klientem w areszcie? Jak to możliwe?

Zorientowałam się już, że popełniłam jakieś straszne faux pas, zaraz mnie pewnie oświecą, na czym ono polega. Pewnie Oli chodziło o to, że Zawidzka mogła też się widzieć w drugą sobotę miesiąca z osadzonym Widalskim, Marciniakiem, Laskoskim, Adrachem...

Moja koleżanka w końcu nie wytrzymała ciszy zalegającej w naszym pokoju niczym stuletni kurz.

– obrońca może widzieć się ze swoim mocodawcą, kiedy tylko zechce – wysapała. – Ograniczenia literkowe i inne dotyczą wyłącznie rodzin, a nie kontaktów z adwokatem.

Ho, ho! Tym razem to nie było zwykłe poszerzenie horyzontów, Ola połączyła to z ich pogłębieniem i podwyższeniem. No cóż, człowiek się uczy przez całe życie.

Lekko zniechęcona oczywistą skuchą zanurzyłam się w pracy. Tarzałam się w niej jakieś pół godziny, przerywane wyglądaniem za okno. Na dworze padał deszcz. Ludzie szli zasłonięci doskonale parasolkami, z mojego piętra widoczne były spod nich tylko nogi. Statystycznie co drugi parasol był czarny, co było o tyle logiczne, że z połowa naszego społeczeństwa to mężczyźni, a nie widziałam chyba przedstawiciela rodzaju męskiego z parasolem w innym kolorze...

– Zabiję go – obudziło mnie nagle zaskakujące oświadczenie mojej koleżanki z pokoju.

– Zastanów się, takich przestępców w kancelarii mamy ostatnio dostatek. Zgwałć kogoś, oszukaj, wciśnij mu fałszywe banknoty, będzie większy wybór artykułów. A tak poza tym kogo chcesz rąbnąć? – chciałam uściślić.

– Informatyka! Nie naprawił, gnida jedna! Magik, akurat! Taki z niego magik komputerowy, jak ze mnie śpiewaczka operowa.

– Podobno nieźle śpiewasz...

– Ale nie w operze!

Ola sięgnęła po słuchawkę telefonu.

– Nie odbiera. Wrrr...

– Wyświetla mu się twój numer, po co ma odbierać – odpowiedziałam usłużnie.

– Poczekaj, będę go miała. – Ola sięgnęła po swoją prywatną komórkę i wykręciła z niej numer informatyka. – O, witam pana! Rozmawialiśmy wczoraj, a mimo tego mój komputer nadal nie zapisuje zmian w dokumentach. I w dodatku nie odbiera pan oficjalnych telefonów, nie wstyd panu? Mógłby pan to lepiej wyjaśnić? Co? Mam rozumieć, że pomimo pełnej świadomości podbramkowej sytuacji nie raczył pan nawet tu wczoraj przyleźć? Niech pan mi nie mówi, że mam się uspokoić! Chce pan naprawdę wiedzieć, gdzie mam pańskie zapewnienia? NIECH PAN SIĘ NIE ROZŁĄCZA!!! PAN SŁUCHA! Wie pan co? Przez pana nie mam teraz co robić, a jestem w pracy! Pofatyguję się osobiście tam, gdzie pan urzęduje – nie wiem, gdzie to jest, ale się dowiem, głupia nie jestem, może tak mnie pan zrozumie, skoro przez telefon nie! To niekonieczne? Phi! Żegnam pana! – Ola gwałtownie się rozłączyła.

– I co ja mam zrobić? – spytała.

– Nie jedziesz tam? – to było pytanie z gruntu retoryczne.

– Jeszcze nie zwariowałam. Postraszyć słownie mogę, mięśniowo nie mam atutów.

– Weź Witka – poradziłam.

– E, tam. – Ola machnęła ręką. Była smutna.

Miałam plan.

– Nie bój nic. Na dwunastą mam rozprawę pracowniczą na Terespolskiej. Muszę wyjechać wcześniej, bo mam jakieś akta do czytania w tym samym sądzie w innej sprawie i chcę jeszcze prywatę załatwić w urzędzie dzielnicy, a to nieopodal. Możesz w tym czasie skorzystać z mojego komputera, działa bez zarzutu, więc nie powinnaś mieć problemu. Tu masz hasło. Ale coś za coś...

– Co? – fuknęła podejrzliwie Ola.

– Proszę, ustal te nazwiska braci z ojcem.

– To nie będzie łatwe. Nadal nie mam akt.

– A archiwum?

– Nie chce mi się – przyznała moja koleżanka.

– A co masz teraz do roboty?

Ola ze wzrokiem pełnym wyrzutów wyszła z pokoju.

Archiwum w Kancelarii Magier i Wspólnicy znajdowało się na antresoli pierwszego piętra. Jak już wspominałam, cała kancelaria zajmowała parter i pierwsze piętro w tak zwanym starym budownictwie. Pomieszczenia na obydwu poziomach z założenia były bardzo wysokie, ale o ile na parterze tak pozostało, o tyle na pierwszym piętrze obniżyli nam znacząco sufit prawie na całości, tworząc coś na kształt antresoli. Znajdowała się tam zasadniczo graciarnia – jakieś stare, połamane biurka i nieczynne lampki, ale oprócz tego zmieściło się też archiwum. Wziąwszy pod uwagę fakt, iż kancelaria działała na rynku już kilkadziesiąt lat, nikogo nie powinno dziwić, że archiwum było stosunkowo pokaźnych rozmiarów i to pomimo jego systematycznego odchudzania o sprawy naprawdę nikomu niepotrzebne.

Nikt rozsądny nie przepadał za odwiedzaniem antresoli, bo po pierwsze, trzeba było się do niej wspinać po bardzo stromych schodkach (Lusia uważała, że to jest obmurowana drabina) znajdujących się w schowku za prawdziwą klatką schodową. Po drugie, jak to w typowej graciarni, wszędzie unosił się kurz i trudno było wyjść stamtąd w stanie akceptowalnego dla otoczenia wyglądu.

Ola wróciła z archiwum już po minucie tylko lekko zabrudzona.

– Nic nie znajdę – oznajmiła. – Wysiadło światło, jest ciemno, jak nie powiem gdzie. Pani Zosiu – to już mówiła do słuchawki – niech pani zadzwoni do pana Młoteczka, żeby się pojawił, bo trzeba wymienić żarówkę na antresoli.

Zaczęłam machać rękami. Ola oddała mi słuchawkę.

– Pani Zosiu, to ja. Biurko mi się kiwa, może przy okazji da się to naprawić? Super, dziękuję.

*

Jadąc przez most Śląsko-Dąbrowski, przypomniałam sobie, że nie podpisałam wniosku dowodowego w sprawie Dekiera. Zaczęłam przeliczać w głowie terminy, zjechałam nawet do zatoczki autobusowej, stanęłam na światłach awaryjnych i wyciągnęłam kalendarz z torebki. Niestety, potwierdził on tylko moje przypuszczenia, dziś mijał termin na złożenie pisma, co oznaczało, że musiałam po rozprawie lecieć z powrotem do kancelarii, podpisać dokument i nadać go osobiście na pocztę. Wysyłka zbiorcza poczty kancelaryjnej wychodziła bowiem o czwartej, wraz z panią Zosią, a

na tę godzinę raczej nie miałam szans wrócić do pracy.

Moje przeczucia sprawdziły się w pełni. Rozprawa była z profesjonalnego punktu widzenia horrorem. Z każdego innego zresztą też. Rozpoczęła się z półtoragodzinnym opóźnieniem i była kilkakrotnie przerywana. Słuchanych było trzech świadków, w dodatku bardzo dokładnie. Po wyjściu z sali kwadrans po piątej przez pół godziny szukałam osoby, która posiadałaby klucze do szatni, bo ta była zamykana o czwartej piętnaście, a ja w porę nie odebrałam z niej okrycia wierzchniego. Z sądu wyszłam po szóstej, by wjechać w najpiękniejszy korek na Tamce. Postanowiłam go przetrwać nie w samochodzie, ale w miłszych okolicznościach, więc zaparkowałam byle gdzie i poszłam sobie na kawę. Po kawie zahaczyłam o księgarnię i sklep spożywczy, by wjechać potem w jeszcze większy korek o godzinie ósmej pięć na Świętokrzyskiej.

Korki w Warszawie są dla mnie zjawiskiem zasadniczo trudno, żeby nie powiedzieć, że nieprzewidywalnym. Teoretycznie tłok jest do centrum w godzinach porannych, a z centrum w wieczornych, ale na przykład taki plac Zawiszy stoi cały dzień. Jechałam tam wielokrotnie o godzinie jedenastej rano, pierwszej po południu i dziesiątej wieczorem i zawsze był korek. Jedyny raz, kiedy było tam luźno, widziałam o trzeciej w nocy w sobotę, ale trudno to uznać za reprezentatywną porę.

Wobec korków staram się stosować strategię potulnej akceptacji, która wysiadała jedynie w wypadku spóźniania się na rozprawy. Wtedy wewnątrz mojego samochodu zamieniało się bez mała w centrum dowodzenia skrzyżowane z centralą telefoniczną, z których usiłowałam uzyskać informację o numerach telefonu do sądu, zapisać te numery, dzwonić pod nie i przekonywać osoby odbierające telefon, że muszą przejść się na salę rozpraw i poprosić sędziego o opóźnienie sprawy. Czasami nawet się to udawało.

Tym razem na Świętokrzyskiej była zwyczajna stłuczka, która wyłączyła z ruchu jeden pas i przez którą setki ludzi tkwiły w samochodach dłużej niż planowały. Klnąc, na czym tylko świat stoi, otworzyłam kluczem drzwi zamkniętej już kancelarii o dwudziestej pierwszej trzynaście. Podeszłam do recepcji, wzięłam z szafki koperty i dowody nadania na list polecony i z tym ekwipunkiem ruszyłam na górę.

W górnym holu było ciemno, ale w moim pokoju paliło się światło. Pewnie Ola

zapomniała je wyłączyć, zdarza się. Wzięłam do ręki pismo przygotowane do podpisu i wtedy coś usłyszałam.

To coś brzmiało trochę jak ludzki głos, a trochę jak szelest i słychać go było z korytarza. Niewiele myśląc, wyszłam z pokoju do holu. Zapaliłam światło. Znowu cisza. Przekonałam sama siebie, że pewnie się przesłyszałam i pewnym krokiem ruszyłam do zakątka ksero. Zrobię jedną odbitkę pisma dla siebie ad acta i uciekam stąd na pocztę. Za szafą oczekiwał mnie widok niesamowity.

Jakiś nieznany mi pan rozebrany do połowy zamarł w niedwuznacznej pozycji z nagą babką rozpostartą na kserokopiarce. Obydwoje mieli wzrok utkwiony we mnie i gapili się jak sroka w gnat. Ja też zamarłam przez chwilę, zapatrzona w ten może romantyczny, ale raczej niespotykany w naszej pracy obrazek, po czym zaczęłam się wycofywać w kierunku schodów.

– Proszę pani! – dobiegł mnie męski głos z góry. – Proszę pani! Proszę zaczekać!

Uciekaj! – mówił głos w głowie. Nie znasz człowieka, co on tu w ogóle robi? Trzeba zadzwonić do Mecenasa albo Zawidzkiej...

– Proszę pani! – Głos dopadł mnie na dole. – Jestem waszym informatykiem...

Zatrzymałam się na dole schodów. Rzeczywiście głos brzmiał znajomo.

– Niech pan nie podchodzi – rozkazałam, w mojej ocenie, groźnie. – Kim jesteście? Imię, nazwisko?

– Grzegorz Lupnik, firma Komputertrans. Wezwała mnie pani Aleksandra Jabłczyńska do naprawy jej komputera.

To brzmiało wiarygodnie. Sama zresztą byłam świadkiem wezwania.

– Proszę pani – błagał głos z góry. – Niech pani nie mówi nikomu o tym, co się stało. Ja wszystko pani wytłumaczę...

– Ja nie wiem, czy chcę to słyszeć... – odpowiedziałam niepewnie.

– Bardzo panią proszę... Razem z żoną od siedmiu lat bezskutecznie staramy się o dziecko. Zepsuło nam to jakąkolwiek chęć do tych rzeczy... no wie pani. Potrzebujemy silniejszych bodźców, żeby w ogóle zaiskrzyło. A bez iskier nie ma szans na dziecko, zresztą, co tu będę pani tłumaczył... Nie przyszło nam do głowy, że o tej porze ktoś tu będzie. Nie chcieliśmy nikomu zrobić nic złego, proszę nas

zrozumieć...

Chwilę milczałam.

– Proszę pani? Jest pani tam? – Głos był wyraźnie zaniepokojony.

– Jestem. Zastanawiam się – powiedziałam, choć już podjęłam decyzję. – Dobrze, proszę dokładnie wytrzeć ksero i wszystkie inne miejsca... – zaczęłam dyktować warunki.

– Niech się pani nie martwi, my zawsze zostawiamy po sobie porządek, nikt nic nie pozna! – zapewnił głos z wyraźną ulgą.

– Zawsze? To już się zdarzało? – podświadomie okazałam pewne zaciekawienie. – Dobrze, nieważne, nie chcę o tym wiedzieć – i od razu się z tej ciekawości wycofałam. – I proszę nie zapomnieć naprawić komputer mecenasa Jabłczyńskiej – dodałam. – Do widzenia, a w zasadzie... do usłyszenia. Żegnam.

Wyszłam z kancelarii, zamykając drzwi na klucz. Z wrażenia o mały włos zapomniałabym o poczcie. Po przejechaniu mostu Poniatowskiego zawróciłam na rondzie Waszyngtona na Świętokrzyską, która była już w pełni przejezdna. Co nie powinno być zaskoczeniem, biorąc pod uwagę fakt, iż było już dobrze po dziesiątej.

17 marca, czwartek

Rano zjawiłam się w pracy jak zwykle spóźniona. Otworzyłam drzwi swojego minigabinetu i już w progu zatrzymała mnie fala damskich perfum Flower Kenzo. Tylko jedna kobieta w kancelarii używała tych kosmetyków, choć dotychczas robiła to w zdecydowanie mniejszych ilościach.

Wzięłam głęboki wdech i przestąpiłam próg. Zgadzało się. W moim pokoju czekał na mnie komitet powitalny w postaci Zawidzkiej oraz Mecenas.

– Dzień dobry – powiedziałam, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. Mecenas siedział bowiem na moim krześle, a Zawidzka – na Oli. Mebel pożyczony z pokoju Witka na czas przesłuchania już dawno wrócił na swoje miejsce. Summa summarum, nie miałam gdzie usiąść.

– Dzień dobry – odpowiedział Mecenas i nawet słabo się uśmiechnął.

– Dzień dobry. – Zawidzka miała oczy zimne jak powietrze na zewnątrz. – O której to się przychodzi do pracy?

– O ósmej czterdzieści cztery – spokojnie poinformowałam. – Czy u nas w pracy nie obowiązuje akademicki kwadrans?

– Obowiązuje – oznajmił Mecenas, z wyraźną chęcią ucięcia tematu.

– Nawet jeśli obowiązuje – Zawidzka mówiła, akcentując wszystkie sylaby – to jest już ósma pięćdziesiąt dwie. A więc jest pani poza kwadransem.

– Tutaj tak – przyznałam. – Ale na dole byłam o ósmej czterdzieści cztery. Musiałam sprawdzić wokandę na dziś i wczorajszą pocztę. Poza tym wczoraj pracowałam do godziny wpół do jedenastej, naprawdę podnoszenie przy tym, że dziś się spóźniłam, jest chyba niesprawiedliwe...

– Chce pani powiedzieć, że wczoraj pracowała tylko przez połowę dnia? – ironicznie upewniała się pani wspólnik. – To by się nawet zgadzało, bo szukaliśmy pani około jedenastej i już pani nie było w miejscu pracy.

– Nie, pani mecenas. Chcę powiedzieć, że siedziałam wczoraj w sądzie do szóstej,

potem utknęłam w gigantycznym korku podczas powrotu do kancelarii, tak więc kiedy dotarłam tutaj, wzięłam pismo do wysłania, pojechałam z nim na pocztę i je nadałam, zajęło mi to wszystko czas do dwudziestej drugiej trzydzieści.

Czasami sama siebie potrafię zadziwić swoim opanowaniem. Najchętniej wykrzyczałabym jej to prosto w twarz, a tu, proszę, z ust moich wypływa w miarę rzeczowa riposta. Co robią lata praktyki w zawodzie!

Moje słowa musiały też wywołać odpowiednie wrażenie, bo na chwilę zapanowała cisza. Potem odezwała się Zawidzka.

– Czy może pani przynieść z mojego pokoju wokandę na ten miesiąc?

Byłam z powrotem w moim pokoju w trzydzieści trzy sekundy, bijąc wszelkie rekordy.

Zawidzka i Mecenas pochylili się nad wokandą.

– Gdzie pani wczoraj miała posiedzenie?

– Rejon Warszawa Praga-Północ. O dwunastej – dodałam uzupełniająco.

Cisza. A potem...

– Nie wiedzieliśmy o tym, że pani wczoraj była w sądzie – oznajmił pojednawczo Mecenas. – Sprawdzaliśmy wokandę i nie była pani zapisana na żadną rozprawę.

– To nie moja sprawa – tłumaczyłam. – Poszłam za Witka, prosił mnie.

– To ciekawe. – Starannie wydepilowane brwi mecenas Zawidzkiej poszybowwały do góry. – Witka wczoraj po południu nie było w kancelarii. Myślałam, że to on jest na rozprawie na Pradze.

Uch... chyba go wkopałam. Ale to było w samoobronie.

– Może miał coś równoległe? – próbowałam bronić kolegi.

– Zobaczymy. – Zawidzka wracała do formy. – Niemniej jednak pani obowiązkiem było dopilnowanie wpisania na wokandę. Nie możemy domyślać się zastępstw ustalanych między państwem bez naszej wiedzy.

Przemilczałam obietnicę Witka, że mnie wpisze za siebie na wokandę. I tak by do nich nie dotarło. Mój błąd polegał na nieskontrolowaniu działania Witka. A w zasadzie jego braku działania.

– A tak przy okazji, czy wczoraj wieczorem był ktoś w kancelarii? – spytał

Mecenas.

– Tak. Informatyk. – Pomyślałam, że to mogę chyba ujawnić.

– Tylko? – Mecenas był dociekliwy.

– No i ja. Przepraszam. – Chciałam szybko zmienić temat. – Ja stoję i stoję, a tu się zapowiada chyba dłuższa rozmowa. Czy mogę pożyczyć krzesło z pokoju obok?

– Proszę – powiedziała Zawidzka. Mecenas wyraził zgodę kiwnięciem głowy.

Wróciłam z krzesłem. Ulokowałam się na nim wygodnie.

– Czy ktoś był w recepcji, jak pani dziś przyszła? – pytanie padło ze strony Zawidzkiej.

– Nie – odparłam. Jakby ktoś tam siedział, to bym wiedziała, że na mnie czekacie tutaj z chlebem, solą i sztandarami, bo czego jak czego, ale lojalności pani Zosi i Magdy mogłam być pewna. I na pewno bym się wtedy tak nie guzdrała z wejściem na górę.

– Mówiłam ci – pani mecenas zwróciła się do Mecenasa w ten sposób, jakby mnie nie było w pokoju – że Zofia ostatnio się spóźnia. Trzeba będzie o tym z nią porozmawiać.

– Dobrze, Zuziu, to potem. Teraz mamy co innego do zrobienia.

Nie mówiłam, że Mecenas lubił konkrety?

– Pani Kasiu – Mecenas zwrócił się do mnie – co pani zamierza zrobić po uzyskaniu tytułu?

Trochę mnie wmurowało. Nie myślałam, że rozmowa będzie o tym.

– Nie wiem, panie Mecenasie – odpowiedziałam kompletnie szczerze. – Nie zastanawiałam się nad tym. Teraz czekam na ślubowanie.

– Które będzie? – pytanie Mecenasa zawisło w niewielkiej przestrzeni mojego pokoju.

– We wtorek – wystękałam, czując nagle, że brakuje mi powietrza w płucach. Kiedy w moim pokoiku siedziały trzy osoby, momentalnie robiło się duszno. – I właśnie przy okazji chciałam prosić o zwolnienie na godzinę...

– A kiedy to pani odrobi? – Mecenas Zawidzka była bezwzględna. I bardzo dokładna.

– A nie możemy uznać, że wczoraj już odrobiłam? – grzecznie odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Możemy. – Mecenas był dzisiaj w pojednawczym nastroju. – Pani Kasiu, jak się pani orientuje, po uzyskaniu przez panią tytułu musimy zmienić podstawę zatrudnienia na działalność gospodarczą.

Orientowałam się. Czekałam na ciąg dalszy, to jest propozycję podwyżki, ale to nie nastąpiło.

– Jeżeli będzie się nam nadal dobrze współpracowało, możemy po pewnym czasie rozważyć pani kandydaturę na ściślejszą formę współpracy...

Czyli na takiego niby-wspólnika. Coś takiego jak Luiza.

– A potem może nawet – kto wie? – na wspólnika – kontynuował Mecenas.

Tereferę. Lusię zwodzą już tak z osiem lat taką perspektywą.

– To wszystko, co możemy zaoferować pani teraz.

– A podwyżka?

Moje pytanie hulało sobie po pokoju, aż bolało. Mecenas wolałby pewnie udawać, że go nie usłyszał. W odpowiedzi wyręczyła go współpracowniczka.

– Obecnie jest to niemożliwe – próbowała uciąć dyskusję tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Dlaczego? – drążyłam.

– W tej kancelarii nie panuje zasada dawania podwyżek za sam patent – odparowała pani mecenas.

– Co mam zatem zrobić, żeby ją uzyskać?

Zawidzka wzruszyła ramionami.

– Pytam szczerze – kontynuowałam. – Pracuję jak wół, klienci są ze mnie z reguły zadowoleni. Mówię „z reguły”, bo wszystkich zadowolić się nie da. Stawki swoje wyrabiam z nadatkiem. Czego jeszcze ode mnie oczekujecie w zamian za wyższą pensję zasadniczą?

– Pani Kasiu. – Mecenas patrzył mi prosto w oczy. – Wspólnicy nie przewidują w budżecie na ten rok żadnych dodatkowych bonusów. Może w przyszłym roku, ale zagwarantować tego pani nie mogę. Oczywiście zawsze pani przysługuje procent, nie

pracuje pani przecież za darmo.

Czyli śpiewka jak zwykle.

Musiałam mieć raczej niezadowolony wyraz twarzy, bo Mecenas z Zawidzka popatrzyli na siebie bardzo długo. Tak długo, że widać było, że wolą oglądać swoje lica niż moje fochy. Za długo.

– To chyba wszystko – oświadczył Mecenas, wstając z mojego fotela. Zawidzka chyba tak nie uważała, bo opuszczanie miejsca zajęło jej znacznie więcej czasu. – Przynajmniej na teraz – zakończył rozmowę z uśmiechem.

– No to do roboty – powiedziała do mnie pani mecenas, zamykając za sobą drzwi. Przechodząc koło mnie, roztoczyła dodatkową aurę Flower, jednakże z wyraźną obcą nutą. Ejże, czyżby ona...? Ale Zawidzka przecież dotąd nigdy... No nie...

*

Pan Lupnik się sprawdził, przynajmniej fachowo, komputer Oli hulał niczym na światłowodzie, o czym poinformowała mnie sama zainteresowana. Na obiad zamówiliśmy pizzę na pół, jeśli chodzi o jedzenie, płaciła bowiem w całości Ola, nie omieszkając się pochwalić ostatnimi tłustymi „obrywami”.

Zatopiona po uszy w pracy, nieomal zapomniałabym o tym, co było naprawdę istotne.

– W końcu panią złapałam – powiedziałam z ulgą, widząc Magdę w recepcji kancelarii.

Magda uśmiechnęła się, ale trochę tajemniczo. Gdyby za nią wisiała odpowiednia fototapeta, wyglądałaby niczym Mona Lisa. Nawet ręce miała ułożone jak modelka na słynnym obrazie.

– Mam do pani prośbę. Czy nie jest pani zajęta? – upewniłam się.

– Nie, proszę mówić.

– Jest tam ktoś? – głową wskazałam na gabinety na dole.

– Nie, Mecenas u klienta, a mecenas Zawidzka w sądzie – padła odpowiedź.

– Mam propozycję – czy możemy przejść na ty? Magda się wyraźnie zakłopotowała.

– No tak – wybąkała w końcu.

Widać jednak było, że sprawia jej to kłopot. Mimo to kontynuowałam.

– Dzięki, tak będzie mi łatwiej. Pamiętasz może poniedziałek w zeszłym tygodniu? Ten zwariowany, kiedy dziecko pani Zosi się rozchorowało i ściągała cię wcześniej do roboty?

Gołym okiem widziałam wyraźne napięcie skóry podbródka Magdy. Trwało chwilę, a potem nastąpiło rozluźnienie.

– Tak, oczywiście.

– To super. Bardzo proszę, powiedz, kto po twoim przyjeździe wchodził i wychodził z tych gabinetów...

– Po co? – Magda była podejrzliwa.

– Bo mnie to straszliwie interesuje.

– Nie tylko ciebie. Policja już też mnie o to pytała.

Wiedziałam, że padnie to stwierdzenie, ale jakoś nie miałam przygotowanej na nie właściwej odpowiedzi.

– I co? Zakazali mówić komukolwiek, co wiesz?

– No nie...

– To w czym rzecz?

– W tym – Magda powoli cedziła słowa – że tu się nic wtedy nie działo. W każdym razie niewiele. Przyszła Ola, poprosiłam ją o pastę do butów, to pobiegła na górę i mi ją przyniosła. Potem pani, sorry, potem ty zeszłaś z góry, w zasadzie przygalopowałaś, wpadłaś do gabinetu Mecenasa i wypadłaś... Ale o tym wiesz – podsumowała, patrząc na mnie niepewnie. – Witek wrócił z poczty...

– O której? – spytałam zachłannie.

– Nie pamiętam dokładnie. Po Oli.

– Przede mną czy po mnie?

– Nie pamiętam.

– Pamiętasz, tylko musisz się skupić!

Byłam straszna, wiedziałyśmy obie, że wykorzystuję teraz swoją pozycję. Magda mi nie może podskoczyć, mimo że to sprawa niesłużbowa. Widać było, że się skupiła, może nawet zanadto, bo na szyi wyszły jej czerwone plamy. Wiem, jak to jest, mnie też się tak czasem robi.

– Chyba po tobie. Oddał książkę nadawczą. Porozmawialiśmy chwilę. Potem poszedł na górę. A później wybyliście z kancelarii, nie zahaczając specjalnie o recepcję, to słyszałam dobrze. I tyle.

– I nikt nie wychodził, nie przychodził?

– Nikt.

– I co dalej?

– Nic. O siódmej zamknęłam kancelarię i zabrałam się do domu. Jak nikogo tu już nie ma, to mogę się zwinąć o tej godzinie.

– Był tu wtedy ktoś?

Wyraz twarzy Magdy wskazywał, że rozmawia z idiotką.

– No nie, to chyba logiczne, zresztą przecież mówiłam. Jak ty to sobie wyobrażasz, że ja bym kogoś tu zamknęła na noc?

– A sprawdzałaś wszędzie, że nikogo nie ma?

– Oczywiście. Zawsze przed zamknięciem robię obchód – i góry, i dołu.

– Antresoli też?

– Ech... – Magda nie potrafiła ukryć w westchnieniu skrajnego rozczarowania. – Nie, nie wchodzę na antresolę. Otwieram tylko drzwi na klatkę – te schowane, wiesz? – i patrzę, czy pali się tam światło. Czasami ktoś zostawia włączone, to wtedy gaszę. Zresztą podobnie jest w waszych pokojach. Wy z Olą to może nie, ale Monika i Witek w zasadzie co drugi dzień zapominają wyłączyć światło przed wyjściem.

– Prędzej Witek, Monika zazwyczaj wychodzi przed nim – dodałam od siebie. – No dobra, dzięki, Magda. – Zbierałam się do odejścia, gdy zastopowało mnie pytanie Magdy.

– Ale po co ci to wszystko?

Odwróciłam się do niej już pod samymi drzwiami.

– Nie wierzę w to, że Dudek udusił tego klienta, jak mu tam?

– Sońskiego – dopowiedziała bezwiednie Magda. Skąd ona to wiedziała? Pewnie gliny ją też pytały o to nazwisko, ale dlaczego uznała, że to akurat ofiara?

– No właśnie – kontynuowałam bez przerywania oddechu. Byłam z siebie dumna, na pewno nie poznała, co mi się szwendało po głowie! – Sońskiego. Dudek się do tego

po prostu nie nadaje, nie to, że go tak świetnie znam, ale z tego, co znam, a ja jakieś wycucie psychologiczne jednak mam, to wiem, że on tego nie zrobił. Temperamentu w nim za mało na ogłuszenie karpia, a co dopiero dorosłego faceta. Wykażę to i uratuję niewinnego człowieka!

Nawet ja nie wierzyłam w to, co mówię.

– A tak przy okazji – oznajmiła po chwili ciszy Magda. – Pewnie nie wiedziałas tego, że Soński był klientem Mecenasa?

Zatkało mnie.

– Co? Nigdy go tu nie widziałam.

– Przychodził późno, przed ósmą, siódma trzydzieści najwcześniej. Nieczęsto, od czasu do czasu. Żadna tajemnica, przedstawiał się, Mecenas prosił go do siebie, zamawiali zawsze dwie herbaty i znikali w jego gabinecie. – Magda wskazała brodą na pokój Mecenasa. – Dlatego jak policja spytała mnie, czy go znam, od razu skojarzyłam.

– I co, powiedziałaś?

– Pewnie, co miałam kryć? Zresztą i tak by wyszło.

– A od dawna Soński tu przychodził?

– Od zawsze. To znaczy, od kiedy ja tu pracuję. Wcześniej nie wiem.

– A pamiętasz, kiedy był ostatni raz?

Magda pokręciła głową.

– Dokładnie nie. Jakiś miesiąc temu, może dwa.

Pauza.

– I jeszcze jedno. – Magda wydeła usta. – Świetnie teraz wyglądasz. Naprawdę. Nie wiem, czy to ta nowa szminka, ale ekstra.

Moje brwi z wrażenia podjechały pod same włosy, a akurat nosiłam się bez grzywki. Magda popatrzyła krytycznie.

– No, ale nie z takim zmarszczonym czołem...

*

D. pogratulował mi moich umiejętności aktorskich gębą pełną ironii i klusek w sosie śmietanowym.

– Pokerowa twarz, nie ma co! – chichrał.

– Odczep się – odgruchałam może mało elegancko, ale stanowczo. – Na twojej też widać, że wpadłeś na trop.

– Prawda – przyznał samokrytycznie.

– Ciekawi mnie jedno. – Przesunęłam główny temat rozmowy w nieco inne rejony. – A mianowicie, po co Sońskiemu był potrzebny Mecenas, skoro miał Dudka?

D. zastanowił się chwilę.

– Może miał jakąś sprawę karną? Albo w ogóle coś w sądach? Dudek przecież takich rzeczy nie robił, prawda? Nie ma przecież zakazu zatrudniania dwóch prawników do swoich spraw?

Musiałam przyznać mu rację. Oraz zwrócić uwagę na strużkę tłustego sosu spływającą po brodzie w kierunku nowiutkiej koszuli.

PROTOKÓŁ

Warszawa, dnia 17 marca XXXX r.

Sąd Okręgowy w Warszawie XXII Wydział Cywilny w składzie:

Przewodniczący: SSR (del.) Maria Ochódzka-Natrebko

Protokolant: Paulina Wypiór

na rozprawie rozpoznał sprawę z powództwa Jacka Knypa i Mariusza Szackiego przeciwko Jackowi Baranowi o odszkodowanie.

Posiedzenie rozpoczęło o godz. 14.00.

Po wywołaniu sprawy stawili się:

Powodowie nie stawili się, zawiadomieni prawidłowo. W ich imieniu stawił się aplikant adwokacki Witold Kryński z substytucji adwokata Zuzanny Zawidzkiej, ustanowionej z wyboru.

Pozwany osobiście. W jego imieniu adwokat Józef Gawlik, pełnomocnik ustanowiony z urzędu.

Stawił się świadek Mateusz Jurski – na polecenie przewodniczącej opuszcza salę

rozpraw.

Pełnomocnik powodów popiera powództwo, wnosi o zasądzenie dwustu tysięcy złotych oraz kosztów procesu z tytułu naruszenia dóbr osobistych powodów. Pełnomocnik pozwanego wnosi o oddalenie powództwa oraz zasądzenie kosztów zastępstwa procesowego według norm przypisanych.

Sąd postanowił dopuścić dowód z zeznań świadka Mateusza Jurskiego na okoliczności wskazane w piśmie procesowym pozwanego z dnia 12 grudnia XXXX r.

Na salę zostaje poproszony świadek.

Staje świadek Mateusz Jurski, lat 26, z zawodu prawnik, obecnie bezrobotny, zamieszkały w Warszawie, kawaler, niekarany za składanie fałszywych zeznań, dla stron obcy, za zgodą stron zeznaje bez przyrzeczenia.

Przewodnicząca stwierdza tożsamość świadka na podstawie dowodu osobistego nr KOD 456592.

Świadek Mateusz Jurski: To ja poinformowałem pozwanego o możliwościach, jakie daje obecnie elektroniczna wyszukiwarka książek w sieci. Jacka znam od prawie dwudziestu lat, chodziliśmy razem do podstawówki. Wiem, że studiował dziennikarstwo i politologię, ale czy skończył? Trudno powiedzieć. Przy okazji jakiejś imprezy wyznał mi, że chce kupić mieszkanie, ale nie wiedział kompletnie, jak zweryfikować ofertę pod względem prawnym. Pokazałem mu, jak sprawdzać w Internecie potencjalne mieszkania na sprzedaż. Nie podejrzewałem, że w internetowej przeglądarce KW zacznie szukać innych informacji. Nic mi nie było wiadomo o jego planach szantażowania panów powodów ujawnieniem ich zażytych relacji, także na gruncie prywatnym, czego dowodem miał być wspólny zakup lokalu. Dowiedziałem się o tym, gdy sprawa była już w sądzie. Powiedział mi o tym sam pozwany ale nie nazwał tego szantażem, tylko „pewną propozycją”. Nie interesuje mnie, kto z kim sypia, choć za komosami nie przepadam.

Odpowiadając na pytania pełnomocnika powodów:

No, po prostu nie przepadam, i tyle. Jedni nie lubią musztardy, ja nie ekscytuję się związkami gejowskimi. Wiszą mi po prostu, i tak też proszę to zdanie zaprotokołować. Być może, że wyraziłem się w podobnym tonie we wcześniejszych

rozmowach z pozwanym.

Nie wykluczam, ale ja nie odpowiadam za to, co robi dorosły człowiek.

Pozwany i jego pełnomocnik nie mają pytań. Sąd postanowił)

1. rozprawę odroczyć,

2. następny termin wyznaczyć na 11 kwietnia br., godz. 9.00, sala nr 172, obecni o terminie powiadomieni.

3. zobowiązać powodów i pozwanego do osobistego stawiennictwa pod rygorem pominięcia ich wyjaśnień.

Na tym rozprawę zakończono o godz. 14.35.

Przewodniczący: Protokolant:

18 marca, piątek

– Ty autentycznie zwariowałaś – powiedziała Luiza z wyraźną przyganą w głosie.
– Jeszcze tej sprawy nie prowadzisz, a już ci przeszło z klienta.

– Jesteś uprzedzona – odparowałam. Wiedziałam, że moje działanie będzie ocenione jako niestandardowe, ale zarzucanie mi ześwirowania to lekka przesada.

– Cześć – przywitała się Monika, zaglądając do pokoju. – Nie przeszkadzam?

– Nie, zapraszam.

Monika była osobą niesłychanie grzeczną, poukładaną, zadbaną i miłą. No i piekielnie nudną. Nie słyszałam od niej nigdy nic, ale to nic wartego zapamiętania.

– Przyszłam zapytać o Olę. – Palcem wskazała na puste biurko. – Gdzie jest?

– Skąd mam wiedzieć? – Nie miałam oporów z eksponowaniem swojej niewiedzy.
– Pewnie w sądzie albo w areszcie. Jak to do południa. A po co ci ona?

– Nic pilnego. – Monika lubiła być tajemnicza, zwłaszcza jeśli chodziło o jakieś megapospolite sprawy. Pewnie w ten sposób dodawała swojemu życiu kolorytu. Założę się, że tym razem chodziło o pożyczanie zapasowych rajstop (nosiły ten sam rozmiar) albo o coś równie ekscytującego. Nic więc dziwnego, że w takich okolicznościach przyrody, moja odpowiedź była co najmniej stonowana.

– Możesz sprawdzić w recepcji wokandę, powinnaś tam zlokalizować Olę.

– Jak nie masz nic na szybko, to porozmawiaj z tą wariatką – rozkazała Monice Luiza. Wariatką oczywiście byłam ja.

– A co takiego zrobiła? – chciała wiedzieć Monika.

– Nie zrobiła, ale planuje zrobić – uściśliłam. – Chcę zgłosić się na ochotnika do urzędówki Mecenasa.

– Karnej? – ze zrozumieniem dopytała Monika.

– Chciałabyś! – roześmiała się Lusja. – Cywilnej! Dokładnie ubezwłasnowolnienie. Ona i karna! – Skinęła w moim kierunku głową i, rechocząc, wyszła z pokoju, niejako na dwa takty. Najpierw scenę opuściła postać główna, ale

wtedy okazało się, że jej bransoletka zahaczyła o klamkę, więc ręka Luizy musiała wrócić, wyplątać się z kłopotów i dogonić właścicielkę. Mocniejsze szarpnięcie i srebrna biżuteria byłaby rozerwana. Albo Lusia pozbawiona dłoni.

– To rzeczywiście... niespotykane. – Monika z rozwagą dobierała słowa, gdy zamknęły się drzwi. – Urzędówka... I to cywilna.

O ile karne urzędówki mogły się jeszcze opłacać, bo stawki były liczone za każde stawiennictwo w sądzie, a pism procesowych zwyczajowo się zbyt wiele nie składało, o tyle sprawy cywilne z urzędu były finansowo kompletnie beznadziejne. Za określoną instancję można było otrzymać jedynie sztywno określoną w odpowiednim rozporządzeniu kwotę, a stawać w sądzie można było nawet kilkanaście razy i sporządzać setki pism w sprawie. Poza tym jedna z zawodowych prawd głosiła, że szansa spotkania klienta-wariata była w cywilnej urzędówce o wiele większa niż w karnej.

Monika cały czas wzdychała i nie okazywała chęci opuszczenia mojego pokoju, więc dałam jej zawiadomienie wyciągnięte dziś z poczty.

– To ubezwłasnowolnienie – poinformowała mnie kompletnie bez sensu, bo po pierwsze też czytałam to pismo, a po drugie Lusia już o tym mówiła. – Zdajesz sobie sprawę, że tu masz w zasadzie gwarancję... hm... osoby trudnej w obsłudze?

– Chodzi ci o wariata? – spytałam retorycznie. Monice chyba takie niepoprawne politycznie słowo przez usta by nie przeszło.

Skinęła głową. Ale potem od razu zaczęła się wycofywać. – Ja wcale nie zakładam automatycznie, że on jest... chory na umyśle...

– A ja tak – przerwałam jej. – Jak zobaczyłam to wezwanie w poczcie, od razu sobie pomyślałam, że być może nigdy w życiu nie będę prowadziła podobnej sprawy. A nie nauczysz się naprawdę tych przepisów o ubezwłasnowolnieniu, jak nie przerobisz tego w praktyce. Dlatego chcę to wziąć.

– Hm... no dobrze. Twój wybór. Ale tak się w tej kancelarii dotychczas nie robiło.

Monika była do bólu konwencjonalna. Każde odstępstwo od normy, czy to dotyczące sposobu formułowania pism procesowych, czy też wiązania butów budziło w niej niepokój.

– No to ustanowię nowy standard... – próbowałam obrócić to w żart.

– Standard? – Monice zmarszczył się nos. – Nie wiem, czy podoba mi się ten nowy standard.

– No to wyjątek! – poprawiłam. – Przy okazji, mam pytanie, w zasadzie dwa. Czy policja już z tobą rozmawiała i co robiłaś w poniedziałek siódmego marca pomiędzy trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści?

Monika popatrzyła na mnie z twarzą, która wyrażała najgłębszy zawód. Jak w ogóle śmiałam spytać o coś takiego, jak się nie wstydziałam i o co mi chodzi? – wisiało to w powietrzu niczym topór, dopóki się nie odezwała.

Jej wypowiedź zaczęła się stereotypowo – a po co mi to, na co i dlaczego. Nie komentowała wprost, ale czuć było na kilometr, że w altruistyczne pobudki nie wierzy ani trochę. Mimo początkowych wahań musiała jednak uznać, że korzystniejsza będzie kontrolowana odpowiedź niż stanowcze milczenie, bo zaledwie po kilku minutach zaczęła puszczać farbę.

– Policja mnie przesłuchiwała. W poniedziałek byłam akurat między rozprawami, jechałam z SOKiKu na Pragę.

SOKiK to był skrót od Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, mieszczącego się przy ulicy Czerniakowskiej. Przez Pragę Monika zapewne rozumiała sąd na Terespolskiej.

– Kiedy skończył ci się SOKiK?

– Trzynasta dziesięć.

– A kiedy zaczęła Praga?

– O trzeciej.

– A co robiłaś pośrodku?

– Jechałam z Mokotowa na drugi brzeg.

– Prawie dwie godziny? – nie wierzyłam.

– No i poszłam sobie na spacer dookoła sądu. Świetnie, a mi na nosie wyrosło UFO, a nie codzienny pryszcz.

– To nie masz alibi – podsumowałam.

Popatrzyła chwilę na mnie wzrokiem zranionej łani, po-wzdychała, po czym

wyszła z pokoju. Chyba chciała mi coś powiedzieć, ale w ostatnim momencie się powstrzymała. Jej sprawa. Przy Monice w kalendarzu dopisałam „przejazd między sądami” i ogromny znak zapytania. Zaintrygowała mnie, prawdę mówiąc. Taka zimna sztuka, milcząca, wyrachowana, prędzej ona mogła kogoś udusić niż bojaźliwy mecenas Antoni.

Cale to zniechęcanie mnie do pracy społecznej w postaci reprezentacji klienta w kompletnie beznadziejnej sprawie odniosło skutek odwrotny. Teraz już chciałam prowadzić tę urzędówkę obłądnie i byłam gotowa dopłacić za zlecenie jej właśnie mnie.

*

– Panie Mecenasie, czy mogę? – Delikatnie otworzyłam drzwi jego gabinetu.

– Proszę – padło ze środka.

Dopiero po wejściu zauważyłam, że nie jesteśmy sami. Mecenas Zawidzka stała przy regale z aktami i udawała, że szuka czegoś z największym wytężeniem. Podeszłam do Mecenasa z wezwaniem z ORA.

– Panie Mecenasie, zauważyłam to w dzisiejszej poczcie i pozwoliłam sobie z tym do pana przyjść. To jest zawiadomienie o przydzieleniu panu kolejnej urzędówki. Tym razem cywilnej, dotyczącej ubezwłasnowolnienia.

– Dziękuję. – Mecenas wziął ode mnie pismo. – Nie musiała mi pani tego osobiście przynosić, mogło to poczekać na mnie w poczcie, ale dziękuję.

– Panie Mecenasie, chciałam o coś poprosić.

– Jeśli o to, co wczoraj, to temat jest zamknięty...

– Nie, to coś innego. – Uśmiechnęłam się blado. – Chodzi o to, że chciałabym poprowadzić tę sprawę z urzędu.

Mecenas popatrzył na mnie nieodgadzionym wzrokiem. Zawidzka zamarła przed regałem.

– Zgłasza się pani na ochotnika do prowadzenia urzędówki? – upewnił się Mecenas. – Cywilnej?

– No tak, wiem, że to może nietypowe, bo u nas raczej jest to przydzielane z łapanki... Ale ta sprawa jest zupełnie inna od wszystkich, które dotychczas

prowadziłam i dlatego się nią zainteresowałam.

– Cóż powiedzieć... Proszę, to pani sprawa. – Mecenas oddał mi zawiadomienie.

Podziękowałam pięknie. Kiedy się zbierałam do wyjścia, spod ściany odezwał się głos:

– Przesuniemy panią na koniec kolejki do następnej urzędówki.

Zamrugałam z wrażenia oczami. Pani mecenas z własnej, nieprzymuszonej woli po raz pierwszy przemówiła ludzkim głosem.

– Dziękuję – powiedziałam w stronę regału. Zawidzka nic nie odparła, udając, że jest całkowicie zatopiona w lekturze akt. Biorąc po uwagę, iż trzymany w dłoniach segregator był niebieski i w dodatku odwrócony do góry nogami, nie można było dać się nabrać na jej sztuczki.

*

– Ciebie naprawdę siekło w łeb. – Po wizycie poprawnej do bólu Moniki komentarze mojej współlokatorki były z podwójną mocą. – Nie powinni cię wpisywać na listę za szczyt naiwności. W naszym zawodzie to jest karalne.

– Skąd wiesz?

– Sójki ćwierkały! Od Mecenasas. Był bardzo mile zaskoczony, tak to ujął. Moim zdaniem, w jego słowniku oznacza to „znalazła się naiwna”.

– Nie przesadzaj. – Temat mi się przejadł.

Wpadła Ala w weekendowym nastroju. Ubrana już w modnie przetarte dzinsy i sportową bluzę, z zalotnym błyskiem w oku.

– Co porabiacie w wolne? – spytała, przeciągając się.

– Nie wiem, ale pochwal się – usłużnie podsunęłam przedmiot rozmowy. Zabrałam się znowu do „Naszej Sprawy” i bardzo nie chciało mi się pracować.

– Jadę do Kazimierza! Już dzisiaj!

– Ho, ho! – zahukałam zazdrośnie. – Z kim? Pan Trans-parentny?

– Nie, ten nieaktualny. Z takim jednym. – Ala była tą osobliwością natury, która nadal się czerwieni. – Jerzym.

– I któż on?

Widać było, że Ala chce się powywnętrzać.

– Ekonomista.

– Jak ekonomista, to nudny – szybko podsumowała Ola i zatopiła się w lekturze zawartości ekranu swojego komputera.

– No wiesz – zachnęła się Ala. Popatrzyła w moim kierunku z ewidentną prośbą o ratunek, a nie znalazłszy go, wyszła obrażona.

– Ostra byłam – autokrytycznie podsumowała Ola.

– Trochę za.

– Sorry, muszę coś skończyć, a ona by tu siedziała do końca dnia.

– Mogłaś poprosić, żebyśmy wyszły na korytarz.

– Nie, to by było niegrzeczne.

W świecie wartości Oli najwyraźniej wypraszanie wprost gości z pokoju stało znacznie niżej od walenia prawdą na oślep.

Wybiegłam za Alą. Złapałam ją stojącą w swoim pokoju przy biurku, wpatrzoną smętnie w okno.

– Słuchaj, Ala...

– Daj spokój, ja się nie gniewam – przerwała Ala. – Ola taka jest, ale to nie twoja wina...

– Alu – przerwałam jej stanowczo. – Ja nie o tym. Chciałam się dowiedzieć, co robiłaś w poniedziałek siódmego marca pomiędzy trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści. I o co cię pytała policja.

Ala była przez chwilę jak z mumifikowana, ale potem ożyła. To był ten typ człowieka, który zapytany przez kwiaciarkę o rozmiar bielizny, spokojnie by jej odpowiedział, nie głowiąc się, po co to komu. Czyste sumienie skutkowało brakiem jakichkolwiek tajemnic, ale jak tylko zaczynała cokolwiek kombinować (na przykład z psem w pracy), działa się mała tragedia.

– Siedziałam na zebraniu grupy członkowskiej w „Słonecznej Polanie” – Ala oświadczyła z godnością. – Zresztą policja pytała mnie o to samo, co ty.

„Słoneczna Polana” to była spółdzielnia mieszkaniowa w Lesznowoli, którą obsługiwała Ala i której sama kiedyś świadczyłam usługi. Skoro Ala mówi, że tam była, to musiała to być prawda. Doskonale wiedziałam, że spółdzielcy by jej w życiu

nie wypuścili z zebrania grupy, nawet do ubikacji nie mogła wyjść w pełni swobodnie.

– Kiedy skończyłaś zebranie? – grzecznie dopytałam.

– Po piątej.

– Tak wcześnie? – zdziwiłam się. Za moich czasów potrafiły trwać nawet do północy.

Ala zakładała już kurtkę.

– Przyszła sprzątaczką i powiedziała, że zamyka salę. Wszyscy wyszli.

Genialne! Sprzątaczką! Że też na to wcześniej nie wpadłam! W razie potrzeby będę wiedziała, kogo przekupywać.

– Wraciałaś potem do kancelarii? – spytałam, choć znałam już odpowiedź.

– Nie.

Krótkie zawahanie, po którym Ala niepewnie zaczęła:

– Mogę cię o coś prosić?

– Waż.

– Pożyczysz mi na weekend szalik? Nie wzięłam z domu, na wyjeździe może być zimno. A twój ma taki twarzowy kolor, ja też w nim powinnam ładnie wyglądać.

*

W domu otworzyłam znowu szeroko okno. Byłam zmęczona po całym tygodniu pracy, trochę rozczarowana swoją niemocą detektywistyczną i musiałam ochłonać. Liczyłam na to, że zimne powietrze mnie ocuci.

Jak oni to robią, że w ciągu dwóch dni odnajdują sprawcę, nie mając wyjściowo nic, nawet narzędzia zbrodni? Teraz, co prawda, znaleźli zabójcę bardzo szybko, ale podświadomie czułam, że coś jest w tym wyborze nie tak.

Dopadły mnie wyrzuty sumienia, co mnie nie zdziwiło, bo osoba Ali często wywoływała takie spóźnione emocje. Ona może jest prostolinijna, ale to dobry człowiek, a ja się zachowuję wobec niej jak ostatni cham, rzucam się na nią z pytaniami, co robiła tego i tego, harpia jakaś.

No i byłam zła na D. Od prawie tygodnia codziennie prosiłam go o wbicie głupich trzech gwoździ w ścianę, bo chciałam powiesić zakupioną sztukę. D. wtedy odpowiednio właśnie szedł się kąpać, pisał ważny SMS, udawał, że nie słyszy, albo

bezczelnie wprost przyznawał, że mu się nie chce. Można oszaleć!

19 marca, sobota

– Czy pamiętasz o imprezie u Waldka? – to były moje pierwsze słowa po przebudzeniu.

– A muszę? – D. ścierał z powiek resztki tygodniowego niedospania.

– Co? Iść czy pamiętać?

– I jedno, i drugie?

– Musisz, musisz.

D. przy porannej jajecznicy był ewidentnie nie w humorze. Pomimo że śniadanie było wypasione, z krewetkami i świeżymi ziołami oraz podane na chrupiących grzankach. Po prostu nie było się do czego przyczepić. A jednak można.

– Co się dzieje? – spytałam grzecznie, krojąc pomidora.

– Czy naprawdę musimy chodzić na imprezy do twoich byłych? – wypalił jak z armaty.

Uśmiechnęłam się szeroko. Zazdrosny to kocha – mówiło stare porzekadło.

– Po pierwsze – to nie były, tylko jedna wielka pomyłka. Po drugie – było to tysiąc lat temu na studiach, nikt już o tym nie pamięta oprócz ciebie. A i ty nie powinienes, bo wtedy mnie nie znałeś, jakiś palant ci doniósł, a ty się przejmujesz.

– Przejmuję! Ja cię na bibki do mojej byłej żony nie prowadzam.

– Bo sam nie jesteś na nie zapraszany...

*

– O rety! Sukienki! – Skoczyłam jak oparzona za piętnaście jedenasta.

D. zakrztusił się przeżuwaną właśnie mandarynką.

– Jakie sukienki? – wychrypiał po odkaszlnięciu.

– Byłam umówiona z Ewą na mierzenie jej kiecki ślubnej koło Dworca Wschodniego. Kompletnie o tym zapomniałam. Już jestem spóźniona!

Wpadłam do łazienki i dokonałam lustracji własnego odbicia. Miałam nieumyte włosy, które spięłam w coś, co można byłoby nazwać kokiem, gdyby nie fakt, że na tę

fryzurę moje włosy były za krótkie. Szybko pacnęłam sobie puder na policzki i przeciągnęłam usta szminką. Po zmianie dresów na dzinsy wyglądałam może nie rewelacyjnie, ale całkiem znośnie.

Ewa była już w drugim z kolei sklepie. Przyjęła moje przeprosiny z dużą wyrozumiałością, po czym zanurzyła się w kolejną sukienkę typu rybka. Razem ze mną na przymiarkach były mama i siostra Ewy oraz przyszła szwagierka. Dla mnie jako ostatniej nie starczyło krzesła.

Zabawa z sukienkami ślubnymi wymagała z mojej strony dosyć dużo cierpliwości. Już po trzeciej wszystkie zaczynały mi się mylić, a w kolejnym salonie wszystkie kiecki zlały mi się w jedną białą masę. Najnudniejsze były te momenty, kiedy Ewa zamykała się na kilka minut w środku przymierzalni i trzeba było czekać na jej okazanie. Czułam wtedy, że mój mózg zaczyna powoli odjeżdżać w inne rejony świata. Chwila, moment, o czym ostatnio ktoś mi wspominał? Jakaś egzotyka? Paragwaj? Tonga? Chile!

Musiałam mieć naprawdę odlotowy wyraz twarzy, bo siostra Ewy, patrząc na mnie, aż zazgrzytała ze złości zębami. Skup się, skup! – powtarzałam sobie. Ewa mierzyła właśnie cykl sukienek z kolorowymi szarfami w pasie.

– Można wybrać ulubiony kolor – poinformowała sprzedawczyni. – To najmodniejszy fason w sezonie.

Patrzyłam dosyć bezmyślnie, jak ściska Ewkę w miejscu, gdzie powinna być talia, a jej nie było, bo przyszła panna młoda była w stanie rozwojowym. I wtedy doznałam olśnienia.

*

Wieczorem wylądowaliśmy na Mokotowie. D. był w nieco lepszym nastroju, ale tylko nieco.

Drzwi otworzył nam sam jubilat. Był już lekko wstawiony.

– Witajcie! Kopę lat! – Odebrał od nas płaszcze i prezenty, po czym wycałował mnie dubeltowo. Kątem oka dostrzegłam lekkie wykrzywienie ust u D.

Podeszliśmy do grupki znajomych.

– Mówię wam, to ze stresu! – przeżywała Olga. – Ze stresu ludzie robią różne

rzeczy.

– Też mi się tak wydaje – przytaknął Leszek. – Ja piję ze stresu.

– Odkąd pamiętam, zawsze pijesz...

– Bo ja zawsze jestem taki zestresowany...

Zanosilo się na potężną kłótnię kochanków i chcieliśmy się już dyskretnie wycofać na balkon, gdy przerwał im Marcin.

– Ale po niej się tego nie spodziewałem. – Wrócił najwyraźniej do wcześniej rozpoczętego tematu.

– Sędzia też człowiek – przytomnie stwierdził Leszek.

– Wydzieranie się na sali rozpraw na pełnomocnika przekracza jednak pewne standardy. Ja nawet nie wiedziałem, jak zareagować. Też na nią krzyżeć?

– Był klient? – dopytał się D.

– Nie.

– To w sumie nic się nie stało...

Wsiedli na niego hurtowo. Ledwo się wykaraskał.

– Ta pani mecenas z waszej kancelarii też chyba ostatnio zestresowana – łagodnie zmieniła temat Olga. – Widziałam ją wybiegającą z hipoteki z włosom rozwianym i twarzą do płaczu.

– Luiza? – zdziwiłam się. Nie tyle nawet tym, że wybiegała z rykiem, bo ona była z tych uczuciowych, ile że miała jakieś sprawy w sądzie wieczystoksięgowym.

– A Luiza to ile ma lat? Około pięćdziesiątki? – Olga najwyraźniej nie znała na pamięć imion wszystkich pracowników kancelarii, w której pracowałam.

– Nie! Jest ode mnie trochę starsza, zaraz, ona była na roku z Łukaszem, ale miała jakieś dwa lata do tyłu... Wychodzi mi trzydzieści sześć lat. Taka wysoka, farbowana na rudo.

– To nie ta – zaprzeczyła zdecydowanie Olga. – Tamta miała z pięć dych, choć zadbana bardzo. Chyba botoks na czole i nad górną wargą, coś poważniejszego pod oczami. Bajeczne ślepia, tak przy okazji, ale rzęsy chyba doklejane. Blondynka, szczupła. Czarny płaszcz z futerkiem.

Opis pasował idealnie do Zawidzkiej. Nawet ten botoks i inne wypełniacze, Olga

zlokalizowała je idealnie. Swoją drogą, skąd u niej to zjawstwo tematu, ciekawe... Ale chwilunię, Zawidzka i załamanie nerwowe? Takie na widoku wszystkich?

– Kiedy to było? – spytałam.

– Co ty, nie pamiętam, ja w hipotece jestem prawie codziennie. – Zamyśliła się, a potem dodała niepewnie. – Chyba w środę.

– Ostatnią?

– Tak, w tym tygodniu.

Popatrzyłam wymownie na D. Moje przeczucia co do romansu Zawidzkiej z Dudkiem były chyba prawdziwe. Dystygowana pani mecenas przeżywa w tym momencie katusze, bo zamknęli jej miłość, a ona – na skutek sekretu – nie może nawet nikomu się z tego wyzalić. Bo w jakim innym wypadku normalna kobieta przeżywałaby na widoku taki rozstrój nerwowy? I to jeszcze drugi raz w tak krótkim odstępie czasu? Poza tym ewidentnie złapałam ją raz na lekkim porannym alkoholu, który nieudolnie usiłowała przykryć warstwą perfum. Fakt, nigdy potem jej się to nie zdarzyło, ale wcześniej takie rzeczy nie byłyby w jej przypadku nawet do pomyślenia. To był kamień a nie kobieta, Margaret Thatcher mogłaby się od niej uczyć.

– No, ale on już przesadził. – Marcin głową wskazał leżącego pod stołem człowieka.

Była co prawda dopiero dziesiąta, ale ten komentarz średnio przypadł mi do gustu. Podeszliśmy do stołu i wyciągnęliśmy spod niego kompletnie nietrzeźwe zwłoki, które przy bliższych oględzinach okazały się Olgierdem, kolegą z pracy D. Czuć było od niego klasyczną mieszanką piwa z wódką.

– Nieźle się nadziabał – powiedział D. z lekkim podziwem.

– Chodź, przeniesiemy go do sypialni – zaproponowałam. – To za kuchnią w lewo.

D. spojrział na mnie wzrokiem, który zamieniłby w sól nie tylko żonę Lota, ale wszystkich na imprezie, po czym posłusznie podniósł Olgierda za ramiona. Podtrzymałam go za nogi i razem dowlekliśmy go do sypialni, usłanej płaszczami gości i prezentami dla organizatora imprezy. Oczyszcziliśmy część łóżka, kładąc tam śpiącego twardym snem kolegę.

– Co mu się stało? – Waldek wpadł do swojej sypialni z jakąś dziumdzią. Siła impetu, z jaką to zrobił, zawstydziłaby wyni-szczającą dinozaury asteroidę, a mina Waldka wskazywała, że nie spodziewał się w tym pomieszczeniu żadnych gości.

– Struł się grzybkami – odpowiedział przekonująco D. – Niech odpocznie.

– Niech. – Waldek pokiwał głową i ulotnił się wespół z koleżanką z sypialni spokojniej niż wszedł, a przynajmniej nie powodując niczyjego wyginięcia.

Po starannym ułożeniu Olgierda w pozycji bocznej ustalonej oraz dokładnym przykryciu go znalezionym kocem, postanowiliśmy odetchnąć od emocji na sypialnianym balkonie. W mieszkaniu Waldka znajdowały się bowiem dwa balkony – do większego wyjście prowadziło z salonu i był on w tej chwili okupowany przez tuzin palaczy, natomiast z sypialni można było wyjść na mniejszy balkon, który cieszył się niewielkim powodzeniem. Oprócz nas nie było tam nikogo, co więcej, po zamknięciu drzwi balkonowych nie było słychać żadnych odgłosów imprezy. Okna sypialni wychodziły bowiem na inną stronę niż salon i kuchnia. Staliśmy odwróceny tyłem do wnętrza domu i podziwialiśmy całkiem przyzwoity widok morza czerwonych dachówek, gdzieś przystrojonych roztapiającymi się resztkami śniegu.

– Świetna impreza – powiedział D. z pokładami ironii sięgającymi jądra Ziemi. – I gospodarz na poziomie.

– Wiedziałaś, że sobie przypadniecie do gustu – wpadłam mu w nastrój. – Dobrze znasz tego tam? – Wskazałam na łóżko w sypialni.

– Olgierda? Tak sobie. Jest w innym dziale.

– To u niego normalne?

– Nie wiem.

Zapanowała cisza.

– Zimno – powiedziałam. – Dobrze, że wzięliśmy płaszcze.

– Tak, to był jakiś plus w ułożeniu Olgierda w tymczasowej szatni – przyznał D.

– Szkoda, że nie skorzystałam z okazji, tam były takie piękne norki... – rozmarzyłam się przez chwilę.

– Widziałem też świetne rękawice. Takie skórzane, w środku wyłożone

futerkiem... – D. popatrzył na swoje zziębnięte dłonie.

Roześmialiśmy się i postanowiliśmy wrócić na imprezę. Otworzyliśmy drzwi balkonowe.

Naszym oczom ukazało się falujące morze norek i innych płaszczy, obok których spał sobie snem sprawiedliwego Olgierd, przykryty po uszy kocem. Zanim zdaliśmy sobie sprawę z tego, czego jesteśmy świadkami, spod norek wyłoniły się dwie głowy.

– Przepraszam, już wychodzimy – powiedział D. i pociągnął mnie w kierunku drzwi wychodzących na korytarz. Nacisnął klamkę... i nic.

– Proszę, tu jest klucz – powiedział męski głos zza nas i spod norek wynurzyła się dłoń z czymś błyszczącym. – Zamknęliśmy się od wewnątrz, ale nie sprawdziliśmy balkonu.

– Nawet nie wiedzieliśmy, że jest w tym mieszkaniu drugi balkon – przepraszająco dodał głos żeński.

– Może dla państwa będzie także przydatne to, że obok na łóżku od strony balkonu spoczywa nasz nie do końca trzeźwy kolega... – uprzejmie poinformowałam głosy. Czułam, że D. szczypie mnie w rękę.

– O, kurczę, nie widzieliśmy...

D. w końcu otworzył drzwi.

– Klucz zostawiam w zamku – powiedział. – Od strony pokoju, oczywiście. Idziemy. – To ostatnie było do mnie.

Wyszliśmy z sypialni w naszych płaszcach. W przedpokoju złapał nas Waldek.

– Już zmykacie? – spytał bez wyraźnego żalu, bardziej rejestrująco. Dziumdzię miał nadal przyklejoną do boku.

– Tak wyszło. – D. objął mnie ramieniem. – Świetna impreza i piękne mieszkanie. Bardzo przestrzenne.

– Dzięki. – Waldek był widocznie przyzwyczajony do komplementowania jego lokum.

– Masz wielu znajomych prawników – wysłowiłam to, co siedziało we mnie od początku imprezy.

– To dzięki tobie. – Waldek wyszczerzył zęby. – Miłość przechodzi, znajomi

zostają. Lub coś w tym stylu.

– Może nas odwiedzić? – zapytałam pro forma. Byłam pewna, że nigdy tego nie zrobią, ale chciałam zmienić temat. Znając Waldka, byłam też prawie pewna, że rano nie będzie pamiętał, która dziurdzia się do niego kleiła przez całą imprezę.

– Może – dyplomatycznie odparł Waldek. – Trzymaj się. Świetnie wyglądasz.

– Och, to mogę już przestać wciągać brzuch? – Zaśmiałam się. – Pa!

Wyszliśmy.

– Dlaczego się uśmiechasz? – D. miał dla odmiany twarz sfinksa, gdy zadawał mi to pytanie w windzie.

– Bo znam tę parkę. Tę spod nerek.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że Waldek z wykształcenia jest informatykiem.

*

Jazda taryfą z Mokotowa na Pragę zajęła nam dobre pół godziny, urozmaicone nieustannym monologiem pana taksówkarza. Dowiedzieliśmy się, kogo to on nie wiózł i czego nie widział i wychodziło nam, że serial „Zmiennicy” przy życiorysie naszego kierowcy to była zwyczajna betka. Na Kirasjerów D. nie wytrzymał i, chcąc być uprzejmym, zdecydował się na małe podsumowanie. Rzucił przez zęby, że praca taksówkarza jest widocznie bardzo ciekawa, bo tylu interesujących ludzi się spotyka...

– Panie – przerwał mu w pół słowa nasz kierowca. – To jest nic. Jak pracowałem w ubecji, tam dopiero były jaja! – Wyraźnie się rozmarzył przy tych wspomnieniach.

Żadne z nas nie dopytywało się o szczegóły.

20 marca, niedziela

Rano obudził nas telefon. D. odebrał swoją komórkę.

– Tak. Tak. Już jadę. Będę za godzinę.

Cała rozmowa trwała może trzynaście sekund. Ja w tym czasie nie zdążyłabym się nawet przedstawić.

– Słuchaj, bardzo cię przepraszam. Mam jakiś alarm w pracy, muszę lecieć, cześć!

– D. w takich sytuacjach jest nadzwyczaj lakoniczny.

– Hej, nie zjesz śniadania? – zdziwiłam się. Jak to, na głodno do pracy?

– Nie, kupię jakąś kanapkę z kawą na stacji benzynowej. Lecę, pa!

I tym sposobem miałam całą niedzielę dla siebie. Poziom mojej fobii antyspołecznej plasował się tego dnia akurat w dolnych rejonach, więc zaczęłam wydzwaniać do ludzi w poszukiwaniu natchnienia, jak spędzić wolny czas.

Zadzwoiłam do Kingi. Siedziała razem z dziećmi u rodziny na wsi i przekrzykiwała właśnie najmłodszą latorośl, mówiąc, że bardzo mi zazdrości i że ona na moim miejscu by się po prostu wyspała.

Następny był Witek, który nie odbierał telefonu.

Potem zbudziłam Emilkę, którą kątem oka widziałam na wczorajszej imprezie i która pewnie opuściła ją później niż ja. Przeprosiłam za telefon i jak najszybciej się rozłączyłam.

Popatrzyłam na wyświetlacz smartfona. Miałam trzy nieodebrane połączenia, wszystkie z jednego, nieznanego mi numeru. Ktoś podczas mojej ostatniej rozmowy usiłował się do mnie dodzwonić i zamiast nagrać się na pocztę głosowej, rozłączał się i znowu wykręcał numer. Postanowiłam poczekać na kolejną próbę kontaktu.

Oddzwonił Witek. Powiedział, że jakby był w Warszawie, to wyciągnąłby mnie do kina, ale na złość akurat nie jest, więc może bym poszła na tę sensacyjną nowość z horrorem dwa w jednym w jego imieniu i powiedziała mu jutro, czy warto.

Podczas rozmowy z Witkiem nieznanymi mi rozmówca dzwonił do mnie dwa razy,

nadal nie nagrywając się na poczcie. Przejrzałam na wszelki wypadek otrzymane SMS-y. Pusto. Zaczynało mnie to denerwować. Ale też intrygować. Zaczęłam rozmyślać, kto to może być, w głowie przeleciało mi stadko byłych, z tymi przystojniejszymi w czubie, pojawiły się wizje możliwych tematów, brutalnie przerwane dzwonkiem telefonu.

Odebrałam, choć przez chwilę się wahałam, czy burzyć tak pięknie rozwijające się marzenia. Niespodzianka oczywiście rozczarowała. Rozmówca nie był ani mądry, ani fascynujący, a powód kontaktu – banalny.

Zadzwoiłam do rodziców. Dostałam zaproszenie na obiad (prawdziwy, domowy) i w gratisie pytanie o to, czy D. już się oświadczył. Postanowiłam jednak do nich nie jechać, niezależnie od poziomu prawdziwości i/lub domowości oferowanego posiłku.

Moje złe kontakty rodzinne. Trochę się nad sobą poużalałam, ale potem przypomniałam sobie, że Witek nie rozmawia z ojcem od pięciu lat, żalił się przy mnie Magdzie, że nie spełnił rodzicielskich oczekiwań typu doktorat przed trzydziestką. Na co Magda mu ze współczuciem odpowiedziała, że rodzice tacy są, jej też beznadziejni, trudna rada. Więc może moja reakcja jest jednak przesadzona, mama i tata przeciętnie wymagający, a kontakty rodzinne nie takie złe. Tylko ja egzaltowana.

O trzeciej otwierała się Biblioteka. Może nie najgłupszym pomysłem było zebranie materiałów na kolejny artykuł, nawet uwzględnwszy to, iż poprzedni cały czas tkwił w niedokonanym druku.

Zaparkowałam samochód na Bednarskiej, bo wszędzie bliżej było zajęte i na piechotę szłam do Biblioteki. Nagle zauważyłam znajomą kobiecą sylwetkę po drugiej stronie ulicy. Szła odwrócona do mnie tyłem, ale rozpoznałam kurtkę, czapkę i wysokie, czarne kozaki z brązowymi wstawkami na górze. To była Magda, nasza wieczorna recepcjonistka. Obok niej szła starsza znacznie od niej kobieta, bardzo zadbana, która mogłaby być spokojnie jej mamą. Nie rozmawiały ze sobą, ale widać było, że idą razem. Żadna z nich mnie nie zauważyła. Skręciły w Gęstą i zniknęły mi z oczu.

Dotarłam do Biblioteki za piętnaście trzecia. Wypiłam spokojnie kawę, przeczytałam jakąś gazetę i zabrałam się do pracy.

21 marca, poniedziałek

– Pan Kraśnik do pani – głos pani Zosi zadudnił w słuchawce.

– Kto? – Nie dosłyszałam.

– Pan Kraśnik.

– Nie znam człowieka.

– To ten pan z urzędówki pana Mecenasa. Tej ostatniej. – Pamięć pani Zosi była wyborna.

– Proszę połączyć.

– Dzień dobry, podobno pani zajmuje się moją sprawą.

– Dzień dobry, tak, ja.

– Pani mecenas, termin rozprawy mam wyznaczony na 1 kwietnia, czy możemy się wcześniej spotkać?

– Oczywiście, zapraszam.

Podaliśmy adres, ustaliliśmy dzień i godzinę. Zazaczyłam termin w kalendarzu. Jutro rano mam coś na mieście, powinnam zdążyć przejrzeć akta pana Kraśnika. Przed spotkaniem z nim lepiej być przygotowaną.

– I co, byłeś w kinie? – Witka spotkałam na górnym korytarzu.

– Nie, zdecydowałam się na coś innego. Wejdz, nie będziemy gadać w przejściu. – Głową wskazałam mój pokój.

– A ja w weekend byłem kulturalny. Książkę przeczytałem. – Machnął mi przed oczami świeżo wydany kryminał. Witek był jedyną osobą w kancelarii, oprócz mnie, rozmiłowaną w tego typu lekturze. I oboje o tym wiedzieliśmy.

– I jakie wrażenia?

– Kiepski.

– Dlaczego?

– Po pierwsze dlatego – bo o porwaniu, a nie morderstwie. Ja wolę twardsze klimaty. Po drugie dlatego – bo porwana zostaje osoba trzecia, dla narracji obca.

Trudno się przejąć. Ja wolę jak u Christie – zamknięty krąg podejrzanych, najlepiej rodzina, atmosfera gęstnieje z kartki na kartkę. A tu lipa.

– Mój drogi, widziały gały, co brały.

– Jak to? – Wituś nie miał pojęcia, o czym mówię.

– Autorka kryminału pisze lekko i humorystycznie, dlatego ją kupujesz, prawda?

– Prawda. Trochę takie babskie to jest, ale obleci.

– Rusz więc mózgiem i pomyśl. Jak możesz od niej oczekiwać, by porwaną była osoba jej bliska? Przecież wtedy nie mogłaby za Chiny Ludowe prowadzić wesołej narracji. Chcesz ponure klimaty – idź w innych pisarzy.

– Ja bym napisał kryminał z akcją w naszej kancelarii... – zamyślił się Witek. – Ale byłoby to klasyczne zabójstwo.

– Uprzejmie ci przypominam, że zabójstwo już mamy na tapecie.

– Mówisz o Dudku? U mnie mordowałaby Zawidzka.

– Zawidzka odpada. Opisałbyś ją jako najgorsze zło i cały suspens by prysł. Musi być ktoś mniej nachalnie się kojarzący.

– Masz rację. Może ty?

– Ja od biedy mogę, zależy, jakbyś mnie przedstawił.

– Sympatycznie przez cały czas, a na końcu wychodzi całe zło.

– Spoko loko. – Skrzywiłam się z zastanowienia. – Tylko słaba fizycznie jestem.

– Strzelałabyś.

– Wzrok też mam słaby.

– Oj, kłody pod nogi rzucasz. Dobra, ty byś nie zabijała, ale masz romans z Dudkiem i chcesz ukochanego wydobyć z pierdła. Prowadzisz śledztwo.

– To się nawet zgadza. Mam romans z mecenasem Antonim i dlatego szukam sprawcy.

– I gdzie jesteś?

– Nigdzie. Nic mi się nie zgadza. Potrzebuję informacji ze źródła, a z tym kiepsko. W świecie kryminału autorka w takiej sytuacji nawiązuje romans z kapitanem policji albo wkrada się do komendy i ściąga pliki z głównego komputera, a ja nie zrobię ani

tego, ani tego.

– A dlaczego?

– Nie chce mi się.

– Nie rozumiem, ten jeden jest naprawdę, jak wy to mówicie, ciacho.

– Trochę nie w moim guście. Za bardzo wymuskany. Zresztą... zepsułoby mi to koncepcję. W moim kryminale śledztwo byłoby prowadzone pośrednio, poprzez zbieranie informacji po ludziach, a akcja toczyłaby się prawie wyłącznie przez dialogi.

– Czyli nic by się nie działo. Nuda. Extremely boring, man – przeciągnął ostatni wyraz.

– Nuda – przyznałam. – Czasami przerywana wstawkami osoby trzeciej, coś w stylu „Z pamiętnika starego subiekta”, ale bardziej trzeciej. Znaczy się osoba bardziej trzecioplanowa.

Witek stanowił dość wybuchową mieszankę zawodowego lenia z pozazawodowym człowiekiem czynu. Teraz odezwał się w nim nieprawniczy Mr Hyde, który zaproponował sprawdzenie, jak wygląda miejsce zbrodni.

– A skąd mam znać adres? – Kłody rzucało mi się lekko niczym zapalki.

– A to ja piszę, czy ty?

– A co za różnica? – Mówiłam już, że nie znoszę odpowiadania pytaniem na pytanie? Cóż, czasami inaczej się nie da.

– Bo ja bym wiedział skąd.

– Zamieniam się w słuch.

– KRS.

– Co?

– Krajowy Rejestr Sądowy.

– Ja wiem, co znaczy KRS, ale nie rozumiem, co ma tu do rzeczy. Przecież... o rety!

Witek patrzył na mnie z miną „lepiej późno niż wcale”.

W KRS ujawnione były dane różnych spółek, łącznie z ich współnikami, zarządem itp. Prawdziwa kopalnia wiedzy. Można było na przykład poprzez spółkę namierzyć jej prezesa, a potem pójść sprawdzić do sądu, jaki adres podał. Zakładając, że

Wawrzyniec Soński nie zmieniał swojego mieszkania od czasu rejestracji swojej spółki, mielibyśmy w prosty sposób wskazówkę, gdzie popełniono zbrodnię.

Firmę Sońskiego znaleźliśmy w Internecie w ciągu dwudziestu sekund. Jej numer KRS w następnych piętnaście. Spisaliśmy to wszystko na kartce.

– Masz jutro coś na Czerniakowskiej? – spytałam Witka. Przy tej ulicy mieścił się KRS. W tym samym zresztą budynku co SOKiK.

– Poczekaj, sprawdzę. – Witek poszedł do swojego pokoju po kalendarz.

– Niestety. – Pokręcił głową. – Ale mam coś na Solidarności. Po drodze wstąpię.

Czerniakowska była tak po drodze z sądów na Solidarności do kancelarii, jak Pekin jest po drodze między Łodzią a Kaliszem. Postanowiłam nie wnikać w organizację czasu pracy Witka.

– Czekaj, zamówię akta. – Wzięłam słuchawkę telefonu i wykręciłam odpowiedni numer.

W KRS trzeba było zamawiać telefonicznie akta z co najmniej jednodniowym wyprzedzeniem. W przeciwnym wypadku wizyta w sądzie nie miała w ogóle sensu. Sprawdziłam to raz osobiście.

– Wiesz... – Witek przybrał podniosły wyraz twarzy – ...jeśli by to ode mnie zależało, to nie poprzestałbym na jednym morderstwie.

– Zabójstwie. Nie wiemy, czy były jakieś dodatkowe okoliczności obciążające...

– Okej, znowu się czepiasz, zabójstwie. U mnie to by poszło kaskadowo. Zawidzka byłaby na przykład drugą ofiarą, przyjmuję krytykę. – Tu skłonił się w moim kierunku.

– Pozabijaliby kilku pod rząd, a ja bym spektakularnie rozwiązał zagadkę.

– Pozabijaliby? To byłoby kilku zabójców?

– A co, wolisz jednego psychopatę?

*

D. od progu wepchnął mi w rękę jakieś wino, ładnie opakowane jak na łąpówkę. Zaintrygował mnie, bo był to ewidentnie jakiś prezent, a w naszej branży tego typu sytuacje były ogromną rzadkością.

– To od Olgierda – poinformował mnie D. – Ktoś mu powiedział po

wytrzeźwieniu, co się stało i wino jest wyrazem jego wdzięczności.

– Używał jeszcze jakichś innych wyrazów?

– Niewielu. Raczej był smutny, ale sam się nie wywnętrzał, a ja nie pytałem dlaczego. Typowy D. Typowy mężczyzna.

22 marca, wtorek

Rano pojechałam do Sądu Okręgowego przeczytać akta sprawy pana Kraśnika. Kiepska sytuacja – była już opinia jednego biegłego, stwierdzająca, że klient miał schizofrenię i w związku z tym zaleca się jego częściowe ubezwłasnowolnienie. Przy okazji sprawdziłam także stan kilku innych spraw prowadzonych w tym sądzie. Potem szybki powrót do kancelarii.

W pracy zastałam po prostu gigantyczny rozgardiasz. W kancelarii byli wszyscy z wyjątkiem Witka, Magdy oraz oczywiście mecenasa Dudka. Oprócz tego klienci przypomnieli sobie o nas – zajęte były obydwa „wyjściowe” gabinety, to jest Mecenas i Zawidzkiej, oraz salki konferencyjne.

– Pani Zosiu, i gdzie ja mam iść z klientem? – spytałam grzecznie w recepcji.

– Musi pani poczekać, aż coś się zwolni.

– Pani mecenas, widzę, że są problemy lokalowe. – Z krzesła podniósł się starszy pan w garniturze. – Tu obok jest kawiarnia, zapraszam, może tam uda nam się zamienić dwa słowa.

– Wie pan, my tego co do zasady nie praktykujemy – zaczęłam niepewnie. – Ale mam taką ochotę na tamtejsze cappuccino, że chętnie pana posłucham.

– Pani mecenas, Gujski jestem, przyszedłem do pani, bo podobno jest pani świetna w ściąganiu wierzytelności – powiedział klient po zamówieniu dwóch kaw. – Ja mam takich niesfornych dłużników i chcę coś z nimi ruszyć. Proszę, tu zestawienie firm i należności.

Rzuciłam okiem na listę. Żadne z nazwisk nie wydało mi się znajome.

– Oczywiście, nie ma sprawy, możemy się tym zająć. Ma pan faktury?

– Kserokopie znajdzie pani w tej teczce. – Pan podał mi segregator. – Oryginały mam u siebie do wglądu.

– Z pokwitowaniami odbioru towaru?

– Wszystkie.

Popatrzyłam na pana z rosnącym uwielbieniem.

– Na pewno zaraz nie dogadamy się co do honorarium -powiedziałam. – Życie nie może być takie piękne.

Pan się delikatnie uśmiechnął. Uzgodniliśmy cenę i dobiliśmy targu.

– Pani wystawia faktury? – upewnił się pan już jako klient.

– Ja nie. Kancelaria – poprawiłam. – Zaraz tam wrócimy i podpiszemy stosowną umowę i pełnomocnictwa.

– A nie chce pani na siebie? – zapytał pan. – Przyszedłem do kancelarii ze względu na panią, a nie mecenasa, jak mu tam?

– Magiera – usłużnie podpowiedziałam.

– No właśnie, Magiera. Mnie tam obojętne, kto mi wystawia faktury, byleby był skuteczny.

Wynegocjowana kwota była rzeczywiście niezła, a ja nie miałam zakazu konkurencji. Ale mimo tego...

– Nie, proszę pana. – Wyszło to ze mnie z taką stanowczością, że aż sama się przestraszyłam. – Przyszedł pan jednak do kancelarii, a nie zadzwonił na moją prywatną komórkę. Spiszemy umowę w kancelarii i damy panu Mecenasowi Magierowi do podpisu.

– Jak pani chce. – Pan zawołał kelnerkę i zapłacił za kawę.

Wróciliśmy do kancelarii, gdzie był już znacznie mniejszy tłok.

– Janusz! – Mecenas jowialnie przywitał się z panem Gujskim, jednocześnie żegnając się ze swoim klientem o wybitnie cygańskiej urodzie. – Co słyhać? Kopę lat!

– Witaj, Maćku – spokojnie odpowiedział mój niedoszły klient. – Masz bardzo lojalną pracownicę. Pozazdrościć.

– Pani Kasia? – Mecenas machnął ręką w moim kierunku. – Nie miałem co do niej żadnej wątpliwości! Pani Zofio, dwie kawy do mojego gabinetu!

– Ja dziękuję, już piłem. Do widzenia pani.

– Do widzenia.

Stałam jak zamurowana, nie rozumiejąc, o co chodzi. Powolutku weszłam na górę

i... zderzyłam się w drzwiach z Luizą.

– Oj, moja głowa, gdzie masz oczy?

– Przepraszam.

Musiałam mieć naprawdę niecodzienny wyraz twarzy, bo Lusie zawlokłam mnie do swojego pokoju i zrobiła mocnej kawy. A potem zamknęła okno, tak że nie usłyszałam, gdzie można kupić piękne torebki po piętnaście złotych każda, co to wyglądają prawie jak skóra.

– Tu i tak cisza – powiedziała. – Na parterze cały czas trzymają okna zamknięte, a Magda się skarży, że przez szyby i tak słyszy wyjące non stop karetki. A teraz mów – Luiza potrafiła czasem przyjąć stanowczy ton. – Co się stało?

– To już druga dziś, a nie ma dwunastej. – Odsunęłam kawę.

– Pij – rozkazała. – W biurku mam łykacza, jak będzie potrzeba.

– Nie, ja dziś jestem samochodem. – Pokręciłam głową.

– Wielkie rzeczy, można zamówić taryfę.

– Nie ma mowy. – Podświadomie wzdrygnęłam się na wspomnienie ostatniego rajdu taksówką. – Dziękuję.

– Dobra, kawa wystarczy. O co chodzi?

– Sprawdzali mnie. – Wykrzywiłam usta.

– Kto?

– Nie wiem, Mecenas, Zawidzka? Nasłali podstawionego klienta do kancelarii, żeby sprawdzić, czy wezmę go oficjalnie czy wyłącznie na siebie.

– Witaj w domu – uśmiechnęła się Luśka. – Oni zawsze to robią po egzaminie. Co jakiś czas tak kontrolują.

– Ciebie też? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Już kilka razy.

– I kto to zleca? Zawidzka? Mecenas?

Lusia spojrzała na mnie z politowaniem.

– Zapamiętaj sobie raz a dobrze. Mecenas jest taki sam jak Zawidzka, tylko ma lepszy PR. Moim zdaniem, podzielili się rolami – jedno gra dobrego policjanta, drugie

złego. Poza tym nie ma żadnej różnicy.

Popatrzyłyśmy na siebie chyba pierwszy raz jak człowiek na człowieka i trochę powzdychałyśmy nad organizacją tego świata.

Już miałam wychodzić z jej pokoju, gdy nagle przypomniałam sobie o czymś bardzo ważnym.

– Luiza, a co robiłaś w poniedziałek siódmego marca pomiędzy trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści?

Lusia chwyciła mocno klamkę swoich drzwi. Odruchowo sprawdziłam, czy nosi dziś bransoletkę. Nic jednak metalem nie błysnęło.

– Nie twój pieprzony interes – odpowiedziała stanowczo i trzasnęła za mną drzwiami z hukiem mogącym obudzić tych w zaświatach.

Powietrze na korytarzu wydało mi się nieco bardziej białawe. Duża część człowieczeństwa Lusi ponownie wyparowała.

*

Wieczorem po ślubowaniu opowiedziałam D. wydarzenia dzisiejszego dnia.

– U nas się robi to samo – zauważył. – Ale raczej u tych, co do których są podejrzenia, że kręcą coś na lewo.

– Ale ja nigdy...

– Wiem. Po prostu mają inną politykę.

D. jadł wędzoną makrelę, za którą nie przepadam, bo ma zwodnicze ości. Lubiliśmy pasjami proste, domowe kolacyjki. Zwłaszcza pod koniec miesiąca, kiedy nie było funduszy na restauracyjne wojaże.

D. przerwał grobowy nastrój.

– Chyba powinienem cię zabrać gdzieś na miasto, żeby uczcić ślubowanie, ale naprawdę w tym miesiącu wyskoczyłem z kasy...

– Daj spokój. A za zaoszczędzone pieniądze idź sobie na squa-sha – dodałam chytrze. – A teraz otwórz to wczorajsze wino od Olgierda.

– Robi się. ? propos. Byłem dziś z nim na lunchu. Zebrało mu się na zwierzenia i wyjawiał przyczynę swojej... hm... antyabstynencji.

– Którą jest?

– Dziewczyna go rzuciła.

Hm. Rzeczywiście na imprezie u Waldka Olgierd był sam.

– Dlaczego? Klasycznie czy jakieś specjalne powody?

Klasycznie to było dla innego mężczyzny.

– Olgierd nie wie. To jakaś dziwna sytuacja.

– Znasz ją?

– Nie, raz tylko widziałem, jak przyszła do niego w jakiejś sprawie do pracy.

– Prawniczka?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, jak ma na imię.

– Ładna chociaż?

– Czy ja wiem? – D. wzruszył ramionami. – Chyba ładna.

Znałam go na tyle, żeby zrozumieć, że dziewczyna była całkiem, całkiem, pewnie nie Miss Polski, bo to by wyartykułował w miarę obiektywnie, ale raczej nie w jego typie. Może jakiś rys południowy, za którym D. nie przepadał?

Nie, okazało się jednak, że nie do końca. Przyciśnięty do muru D. wydusił, że chyba szatynka, włosy średniej długości. Raczej szczupła, ubrana normalnie. Słowem, to mogła być niemal każda.

Nie wiem, dlaczego tak go cisnęłam w tej sprawie, ale głupia intuicja mówiła mi, że to może być ważne.

Wino dziękczynne było całkiem, całkiem. Poprosiłam o przekazanie tego darczyńcy, a D. solennie obiecał to uczynić.

23 marca, środa

– Dzień dobry, poproszę z kimś prowadzącym sprawę zabójstwa Wawrzyńca Sońskiego.

– Proszę czekać, zaraz połączę.

Po dość długim czasie telefon odebrał ten niższy z przesłuchujących mnie policjantów.

– Aspirant Naciołek, słucham.

– Katarzyna Nowacka, ja pracuję w Kancelarii Magier i Wspólnicy... Tej, z którą współpracował mecenas Antoni Dudek. Przesłuchiwali mnie panowie jakiś czas temu w związku z zabójstwem Wawrzyńca Sońskiego.

– Kogo? A skąd pani wie, kim był Wawrzyniec Soński?

– Skoro sam pan mówi, że był, to chyba oczywiste, że denat!

Jak ja nie lubię tych nędznych sztuczek policyjnych! Całe szczęście, że zawodowo nie mam z tym do czynienia. Sięgnęłam po herbatę. W słuchawce w tym czasie panowała cisza.

– Litości! – powiedziałam po przełknięciu kilku łyków. – To żadna tajemnica, że mecenas Dudek został aresztowany w związku z zabójstwem swojego pracodawcy. Naprawdę nietrudno ustalić, gdzie pracował przed całą hecą i dodać dwa do dwóch...

– W czym mogę pomóc? – przerwał mi policjant.

– Coś mi się przypomniało i chcę z panami o tym porozmawiać.

Wydawało mi się, że usłyszałam jęk zawodu.

– Słucham.

– Nie przez telefon.

– Zapraszam do nas.

– Kiedy i gdzie?

Umówiliśmy się i odłożyłam słuchawkę.

– Mam! – Witek wpadł do pokoju z miną zwycięzcy.

– Co? – Nie miałam bladego pojęcia, o czym on mówi.
– Adres zamieszkania Wawrzyńca Sońskiego. Wilanowska 22 przez 8.
– To hen hen, Mokotów czy jeszcze dalej?
– Ulica Wilanowska, nie aleja. Rzut beretem od nas, madame. – Ostatni wyraz wypowiedział z rasowym francuskim akcentem.

– Poczekaj, wrzucę na google. Rzeczywiście. To Powiśle.

– Solec – poprawił Witek. – Powiśle jest po drugiej stronie mostu Poniatowskiego.

– Po drugiej stronie mostu jest Saska Kępa...

– Zatem po drugiej stronie wiaduktu i przestań się czepiać!

Zapanowała cisza.

– Moglibyśmy się tam przejść – rzucił od niechcienia kolega.

– Kiedy? Po pracy jest już ciemno.

– W czasie przerwy na lunch.

Witek, który zdążył zaliczyć zawodowo jakiś epizod w charakterze korporacyjnego trybiku – jako jedyny w kancelarii miał przerwy na lunch. Reszta wychodziła po prostu na obiad, z wyjątkiem mojej skromnej osoby, która w ogóle z tego tytułu nie opuszczała miejsca pracy. O czym nie omieszkalam przypomnieć koledze.

– Wiciu, ja nie chodzę na lunch.

– Dziś pójdziesz. Ze mną. Na Solec. Zmierzysz mi czas z kancelarii.

Witek jest taką osobą, że o cokolwiek mnie poprosi, to ja to zrobię, i to w dodatku ze śpiewem na ustach. Jakby mnie poprosił o przeniesienie gór, to mielibyśmy Tatry tuż obok Kopy Cwila. Tym razem jednak na szczęście było to coś przynajmniej na pierwszy rzut oka łatwiejszego.

– Będiesz biegł? – Chciałam się dobrze przygotować do zadania.

– Ani mi się śni. A tam ktoś biegł? Przecież to by się w oczy rzuciło! Zmierzysz nam czas na spacerku.

*

– Pani Zosiu, idziemy z Witkiem na lunch.

Oświadczenie, że jestem w ciąży i urodzę trojaczki wywołałoby mniejsze wrażenie niż to zdanie.

– Proszę bardzo, pani Kasiu – odpowiedziała pani Zofia.

– Mam komórkę ze sobą, jakby był jakiś raban.

Po wyjściu z kancelarii Witek syknął do mnie:

– Kobieto, po co ty mówisz, że masz komórkę, skoro wszyscy i tak wiedzą, że jej nie odbierasz?

– A po co mam odbierać? Przymus jakiś? Mogę nie słyszeć, prawda?

Witek stuknął się w czoło.

– Sprawdź godzinę. Już! Idziemy!

Dojście z Alei Jerozolimskich na ulicę Wilanowską zajęło nam na piechotę szesnaście minut, przy czym ja byłam w średnich szpilkach i żadne z nas ani przez chwilę nie biegło. Na miejscu odsapnęliśmy jakieś dwie minuty, Witek rozejrzał się niepewnie i powiedział, że chyba kojarzy miejsce. Nie dziwiło mnie to. Rozległa siatka znajomych oraz interesów Witka powodowała, że znał niemal każdego w Warszawie i chyba nie było też miejsca w mieście, którego by nie odwiedził.

Kamienica przy Wilanowskiej 22 nie wyróżniała się szczególnie z otoczenia, a to było przyjazne. Naprzeciwko znajdował się park z placem zabaw, a sama Wilanowska wydawała się mało ruchliwą ulicą. Dom stał przy samym chodniku, w przeciwieństwie do jakichś bloków z wielkiej płyty, których rysy majaczyły nam w tle na niebie, próbując nieudolnie się schować za frontami kamienic.

Budynek przy Wilanowskiej 22 miał na szaro pomalowany parter, pozostałe piętra były w różowym kolorze. Zerknęłam na drzwi wejściowe i domofon. Oprócz wymalowanego z szablonu na czarno znaku „Legia-Powisłe” nie zauważyłam nic ciekawego.

Powrót zajął nam dziewiętnaście minut, bo jednak z Solca było do Centrum trochę pod górkę, a ja zaczęłam odczuwać lekkie zmęczenie. Na lunch wylądowaliśmy w McDonaldzie.

– Sorry, że tak mało reprezentacyjnie – kajał się Witek.

– Nie szkodzi. W takich miejscach przynajmniej mam pewność, że się nie zatruję.

Mam do ciebie ogromną prośbę.

– Słucham, ale nie wiem, czy dam radę.

– Dasz, dasz. Soński miał jakąś ekstra sprzątaczkę, Ukrainkę. Nie możesz ustalić jej numeru telefonu? Szukam kogoś do ogarnięcia mieszkania.

Witek spojrzał na mnie w sposób, który od razu rozpoznałam. Tak patrzył na swoich najbardziej opornych klientów. Tych ciemnych jak grudniowa noc na Alasce.

– A KRS? – spytał łagodnie.

– Oszalałeś? Sprzątaczkę będę szukać w KRS?

– Nie sprzątaczkę, ale żony Dudka. Ona ma jakieś spółki, prawda? Namierz Dudkową i spytaj ją grzecznie, czy nie zna Ukrainki, która pracowała dla Sońskiego pół roku temu, bo słyszałaś o jej super referencjach. Zakładam, że Soński mógł sprzątaczkę przez ten czas nie zmieniać.

– Nie, teraz łatwiej znaleźć nową miłość niż dobrą pomoc domową. Dzięki za radę, niezła, ale wpadł mi do głowy inny pomysł.

– Proszę bardzo.

Wróciliśmy do kancelarii dokładnie po pięćdziesięciu ośmiu minutach nieobecności. Byłam z siebie dumna.

– Dałaś radę – pochwalił mnie Witek.

– Straszne uczucie. – Zastanowiłam się przez chwilę. – Robić coś, do czego niby masz prawo, ale wszyscy oczekują, że go i tak nie będziesz egzekwować.

– I co mamy z tej wycieczki? – Witek wstawił wodę na wrzątek. Oprócz nas na piętrze nie było nikogo.

– Na razie nic. A właśnie – co ty robiłaś siódmego marca po południu? Coś długo ci wtedy zeszło na pocztę?

– Ja... nic. A, zresztą, już mówiłem to policji, tobie też mogę powiedzieć. Poszedłem sobie na siłownię. Jest tutaj taka w pobliżu, całkiem niezła, a w poniedziałki po pracy nie miałbym czasu. Więc chodzę w trakcie...

– Zamiast obiadu?

– No coś ty! Lunch rzecz święta, siłka jest swoją drogą... Gliny pewnie mnie już sprawdziły, bo się nie czepiają.

– A wtedy, gdy za ciebie leciałam na Terespolską? – chciałam wiedzieć.

– Ach, wtedy. To taka mała prywatka. Bardzo mała nawet, prywatka, fuszka, można powiedzieć. Nic wielkiego.

Zastanawiałam się, czy trochę go nie nacisnąć, gdy usłyszeliśmy na schodach bardzo powolne kroki. Na górę weszła Ala, która wyglądała, jakby się miała zaraz rozpłakać. Witek podsunął jej krzesło i zaproponował herbaty. Ala łamiącym się głosem odmówiła.

– Co się stało? – walnęłam prosto z mostu.

– Zabiłam psa – powiedziała smętnie. – Przejechałam samochodem.

– Swojego? – spytałam, czując ciarki przechodzące mi po plecach.

– Nie. – Ala mimowolnie się wzdrygnęła. – Wracałam ze spółdzielni, mały pies, taki prawie jamnik, wyskoczył na ulicę, prosto pod mój samochód. Nie zdążyłam zahamować.

– I co? – zaciekawił się Witek. – Naderwałaś zderzak?

Ala smętnie pokręciła głową.

– Coś się porysowało? – kolega był dociekliwy.

Ala ponownie zaprzeczyła.

– Czyli z samochodem wszystko w porządku – podsumował zgrabnie Witek. Zapanowała chwila ciszy, co można było uznać za milczącą zgodę. Którą nagle przerwało konkretne, męskie pytanie:

– To o co chodzi?

*

Po południu dłuższy czas spędziłam na szukaniu akt sprawy pana Madejskiego. Przetrzaśnięłam najpierw bez większego sukcesu swój pokój, po czym przypomniałam sobie, że ostatnio Mecenas rozmawiał z tym klientem. Być może chciał mieć wtedy jego akta. Sfrunęłam po schodach na parter. W recepcji było pusto. Nawet przez chwilę się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że pani Zosia dziś już zakończyła pracę, a Magda zapewne wyszła rozmienić pieniądze. Udałam się zatem do gabinetu Mecenasu i zaczęłam przeglądać jego półki. Trwało to dobrych parę minut zanim znalazłam akta, po czym z segregatorem w ręce otworzyłam drzwi pokoju. W

repcji Ola rozmawiała z Magdą, siedzącą za kontuarem. Obie wyglądały, jakby zaraz miały sobie skoczyć do gardła. Magda zobaczyła mnie od razu, ale Ola nie. Poza nami nie było nikogo.

– Powiem to po raz pierwszy i ostatni – z ust Oli wydobywał się cichy syk. Nigdy wcześniej go u niej nie słyszałam, nie wiedziałam nawet, że ona potrafi tak mówić. – Jeszcze raz spróbujesz się do mnie odezwać w tym stylu, wyjechać z... czymś takim... Zobaczysz, pożałujesz.

Magda oczami wskazała na mnie. Ola odwróciła się, popatrzyła na mnie blado, odkręciła się z powrotem na pięcie i wyszła z pracy. Do końca dnia już nie wróciła.

PROTOKÓŁ

Warszawa, dnia 23 marca XXXX r.

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa XXXII Wydział Cywilny w składzie:

Przewodniczący: SSB. Maria Ochódzka-Natrebko

Protokolant: Marta Olędzka

na rozprawie rozpoznał sprawę z powództwa Józefa Kisielewskiego przeciwko Annie Kisielewskiej o podział majątku.

Posiedzenie rozpoczęto o godz. 13.30.

Po wywołaniu stawili się:

Powód osobiście, pozwana osobiście wraz z pełnomocnikiem adwokatem Katarzyną Nowacką.

Pełnomocnik pozwanej przeprasza za brak togi, wskazuje, że te z wypożyczalni sądowej są w praniu, a własnej jeszcze nie posiada.

Sąd postanowił zwrócić pełnomocnikowi uwagę na właściwość i godność stroju, w którym należy występować przez sądem, a także odnotować ten fakt w protokole.

Pełnomocnik pozwanej ponownie przeprasza.

Powód popiera powództwo, wnosi o podział majątku dorobkowego byłych małżonków. Wskazuje na to, iż pozwana wielokrotnie w trakcie postępowania o rozwód wynosiła z jego mieszkania różne ruchomości, na przykład pościel, ręczniki,

sztuńce, garnki czy ubrania po jego zmarłej matce.

W tym miejscu pozwana wstaje, wychodzi zza swojej ławy i ze słowami: „A masz te łachy!” wysypuje na głowę powoda zawartość czterech reklamówek, głównie w postaci różnego rodzaju materiałów.

Sąd zarządził 5 minut przerwy oraz wezwał ochronę.

Po przerwie, obecni jw.

Sąd postanowił:

1. ukarać pozwaną grzywną w wysokości 400 zł,
2. rozprawę odroczyć na dzień 12 kwietnia br., godz. 13.00, obecni o terminie zawiadomieni;
3. na rozprawę wezwać świadka Elwirę Nowak. Na tym rozprawę zakończono o godz. 14.00.

Przewodniczący: Protokolant:

24 marca, czwartek

– Dzień dobry, proszę usiąść.

– Dzień dobry.

Wnętrze komisariatu policji nie było na pewno przytulne, ale tego samego nie dało się też powiedzieć o moim miejscu pracy.

– Słucham – głos aspiranta Naciołka wyrwał mnie z odrętwienia. – Chciała pani coś powiedzieć w związku ze sprawą zabójstwa Wawrzyńca Sońskiego.

– O, zaskakujące, to jednak on jest denatem? – pozwoliłam sobie na małą uszczypliwość. Widząc jednak grobową twarz policjanta, kontynuowałam. – Najpierw muszę się upewnić, jak wyglądał pasek, którym go uduszono. Bo wieść gminna niesie, że tak zginął, prawda?

Pan aspirant rozłożył się wygodnie na krześle.

– Po co pani te informacje?

– Bo nie wiem, czy się nie wygłupię. Tak na wszelki wypadek chcę się zabezpieczyć.

– Niech się pani wygłupi. Słucham.

– Jeśli był to płócienny, jasny, męski pasek do spodni, to był on pewnie własnością denata. Ale Dudek miał go już wcześniej, bo Soński mu go pożyczył. I dlatego na pasku były odciski palców mecenasa, a nie dlatego, że on mordował...

– Jakiego mecenasa? Magiera? – Aspirant słabo ukrywał zdziwienie.

– Nie, mecenasa Dudka.

– Przepraszam, ale sama pani stwierdziła, że jak mówi mecenas bez niczego, to znaczy Mecenasa Magier...

– Tak, ma pan rację, ale w tym wypadku chodziło mi o mecenasa Dudka.

– Proszę kontynuować – uprzejmie zezwolił policjant.

– Mecenasa Dudek niedawno przyszedł do kancelarii w nietypowym ubraniu. Cały w normalnym, ciemnoszarym garniturze, niebieska koszula, pod krawatem, czarne

buty i do tego ten idiotyczny jasny płócienny pasek z dużą, srebrną, metalową klamrą. Nawet za bardzo nie było go widać, znaczy się tego paska, a jak miał zapiętą marynarkę to w ogóle. Ale potem on usiadł i rozpiął, oczywiście marynarkę, nie pasek, to nie był przecież jakiś zboczeniec, i wtedy zobaczyłam, że ma jakiś biały gruby sznurek w spodniach. Dudek zauważył, że ja zauważyłam i po spotkaniu podszedł do mnie i zaczął się tłumaczyć. Wie pan, dla niego sprawa profesjonalnego wyglądu była bardzo ważna, on by się dał raczej na żywo posiekać, niżby przyszedł na spotkanie z klientem na klubowo...

– Na klubowo to jak? Pytam z czystej ciekawości – przerwał mi aspirant Naciołek.

– Marynarka inna od spodni. Wracam do tematu. Otóż Dudek powiedział, że był rano u swojego klienta i tam pękł mu pasek od spodni garniturowych. Taki normalny pasek, czarny, skórzany. Świadkiem tego pęknięcia był klient Dudka, który zaproponował mu użyczenie własnego paska awaryjnego, letniego, właśnie tego jasnego, materiałowego. Dudek, stojąc przed alternatywą spadających z tyłka spodni albo niepasującego do reszty ubrania paska, wybrał drugą opcję. Aha, zaklinał się jeszcze, że cały dzień miał na maksa ustawiony i po prostu nie znalazłby chwili czasu, żeby skoczyć do sklepu i kupić brakującą część garderoby.

– I co w związku z tym? – spytał służbowo mój rozmówca.

– Przecież to chyba jasne. Jeżeli narzędziem zbrodni, za pomocą którego zaduszono Sońskiego, był ten jasny pasek i jeżeli znaleziono na nim odciski palców Dudka, to jeszcze nie znaczy, że był on zabójcą. Dudek mógł wpaść do mieszkania klienta i oddać mu pasek. Przecież w zwykłych warunkach nie usuwa się przed zwrotem swoich linii papilarnych, nikomu normalnemu do głowy to nie przyjdzie, a Dudek był radcą prawnym!

– A co to ma do rzeczy?

– Dużo, proszę pana. Dudek jako radca prawny nie był karnistą, takie duperele jak odciski palców na pewno mu w głowie nie zaświtały. Może coś sobie przy okazji z Sońskim wyjaśnił, z tą żoną romansującą ustalił, że to koniec, może jakiś interes z nim ubił, pasek oddał i wróciwszy do swojego domu, z radości schlał się na umór. Ale to niekaralne, a we własnym domu to w ogóle! Nie mamy w końcu prohibicji. Jakby

szedł ulicą, zakłócał ciszę nocną, moglibyście go ewentualnie na izbę wytrzeźwień odeskortować, ale w jego domu?!

Po drugiej stronie stołu moje wynurzenia przywitało chłodne milczenie.

– O co chodzi? – spytałam. – Ten pasek wcale nie był jasny i płócienny?

– Dlaczego pani dopiero teraz z tym do nas przyszła?

– Bo mi się niedawno skojarzyło – przyznałam. – Zobaczyłam, jak ktoś komuś majstruje przy pasku – nie w takich okolicznościach, jak pan myśli! I wtedy mnie olśniło.

– Skontaktujemy się z panią – usłyszałam w odpowiedzi. – Do widzenia.

– Nie do widzenia. Mam jeszcze do pana prośbę. Ogromną.

– Słucham.

– Denat miał podobno jakąś super sprzątaczkę, bardzo dokładną. Chciałabym namiary na nią, jeśli można. Niesłychanie grzecznie proszę.

– Po co pani?

– Jak to po co? Od lat kogoś takiego szukam! A tu akurat pani ewidentnie straciła etat, mogłabym ją przejąć. Bądźcie, panowie, ludźmi, proszę mnie zrozumieć!

– Przykro mi, ale jest to niemożliwe. Wszystko objęte tajemnicą. Do widzenia.

*

– I co ty na to? – zapytałam D. przez telefon. Nie mogłam się doczekać wieczora, żeby mu o tym powiedzieć, więc zadzwoniłam zaraz po wyjściu z komendy.

– Prawdę mówiąc, jestem tak zaszokowany, że do mnie zadzwoniłaś do pracy, że... Wiesz, nie mogę zebrać myśli. Przez dłuższy czas podejrzewałem, że nie umiesz obsługiwać swojej komórki.

– Dobra, dobra, ja nie o mnie, tylko o mordzie Dudka. To znaczy nie Dudka, tylko kogoś innego.

– I mordzie w znaczeniu morderstwa, nie twarzy?

– Proszę cię...

– Dobra, dobra. Ja myślę, że zepsułaś im cały plan. Policja liczyła na łatwą sprawę, oni też mają swoich szefów, którzy ich gonią z terminami, a ty wchodzisz i bruździsz. Uważaj! Wsadzasz palce między drzwi.

– A drzwi przymknie niby kto?

– To chyba oczywiste. Ten, kto kropnął Sońskiego. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że twoje przypominajki nie oznaczają jeszcze niewinności twojego kolegi?

– Jaki kolega, puknij się w czoło, Ola twierdzi, że kochanek!

– Kochanek? Trudno...

– A myślałeś, że masz monopol?

– Prawdę mówiąc, tak.

– Zostawię cię z dominującą pozycją rynkową. Wystarczy?

– Musi. Wracam do głównego wątku. Twoja miłość mogła odnieść Sońskiemu pasek, pokłócić się z ofiarą i ją udusić...

– Aha, po czym zostawił pasek w mieszkaniu ofiary, a potem wrócił do domu i spił się na amen? Po co? Nie lepiej posiedzieć u ofiary i pozacierać ślady? Przecież nic go nie gonіło!

– Tego nie wiesz.

– Masz rację. Ale sam widzisz, że chłanie w takiej sytuacji byłoby niemądre, a ja zawsze twierdziłam, że Dudek głupi...

– ... nie jest! – D. wszedł mi w słowo. – Zgadzam się, że coś w tym nie gra i coraz bardziej przekonuję się do niewinności twojego gacha...

– Jak o innym to gach, a ty niby kto jesteś? Konkubent?

– Dominant, już to zresztą ustaliliśmy. Ktoś widział jeszcze ten pasek?

– Czy ty wiesz, że policja o to nie pytała? Dziwne, prawda? Myślałam, że oni są bardziej rozgarnięci...

– Są, ale w innym kierunku. Żeby mieć jak najmniej pracy.

– To smutne...

– Ale prawdziwe. Dobra, mów, ktoś jeszcze to widział?

– Poczekaj, to było spotkanie z klientami, ale oni siedzieli po drugiej stronie stołu, mogli nie widzieć. Po naszej stronie był Dudek, Mecenas i ja.

– Czyli te trzy osoby wiedzą o pasku? Nikt więcej? Pani Zosia na przykład?

– Nie, potem Dudek już miał zapiętą marynarkę.

- To niesamowite, na co zwracasz uwagę. – D. pokiwał z niedowierzaniem głową.
- Co teraz zrobisz?
- Idę sobie obstalować togę. Muszę!

*

Jedyny znany mi zakład krawiecki szyjący togi znajdował się na Andersa, czyli całkiem blisko komendy policji. Przymiarka trwała pięć minut, wpłacenie zaliczki – razem z wypłatą z bankomatu, bo u krawca oczywiście nie można było płacić kartą – drugie pięć. Zdziwiłam się, że to tak szybko poszło.

Uznawszy, że zasługuję na trochę przyjemności, postanowiłam sprawić sobie prezent i kupić fajną książkę. Coś lekkiego, najlepiej sensację, na pewno nic prawniczego. Najbliższą księgarnią, którą kojarzyłam, był Traffic Club na Brackiej. Odpaliłam samochód, włączyłam światła i zawróciłam w stronę Świętokrzyskiej.

Oczywiście wjechałam w ogromny korek, bez jakichkolwiek szans na ucieczkę. Stałam już na Andersa, przed wjazdem w Marszałkowską, przejechałam żółtym tempem plac Bankowy, a potem wlokłam się aż do Królewskiej. Tam zdecydowałam się pojechać w kierunku Zachęty, oczywiście znowu stanęłam na kilka świateł do skrętu w lewo, ale w końcu udało się. Tyle że potem, tuż po minięciu „Victorii”, wplątałam się w te jednokierunkowe uliczki biegnące prostopadle do Świętokrzyskiej, przez chwilę nawet jechałam pod prąd, aż w końcu ukazał mi się olbrzymi budynek NBP, co uznałam za znak, że mogę szukać miejsca do zaparkowania.

Oczywiście z wolną przestrzenią było ciężko, mimo że rozglądałam się wszędzie. Powoli zapadał zmierzch, odezwała się moja kurza ślepotą, widziałam coraz gorzej. Przejechałam parking pod WSA, zawróciłam w Boduena i udałam się w kierunku Hybryd. Nigdzie ani śladu miejsca! W końcu, po godzinnym kluczeniu zaparkowałam gdzieś na Wareckiej i pognałam do Trafficu.

Wydałam fortunę na dwie reklamówki książek i płyt, dodałam do tego jeszcze jakieś apaszki z pobliskiego sklepu z dodatkami i tak objuczona wracałam do samochodu Chmielną. Szłam, myśląc o możliwych kombinacjach ubraniowych ze świeżo zakupionymi chustkami w roli głównej, gdy wtem z jednej z bram wyszła Ola. Wyszła i od razu skręciła w stronę Nowego Świata, zatapiając się w wieczorny tłumek

spacerujący po deptaku. Nawet nie zdążyłam jej zaczepić.

Stałam przed bramą, którą przed chwilą opuściła moja koleżanka. Odłożyłam na chodnik ciężkie torby i rozprostowałam zdrętwiałe palce. Jedna z reklamówek była wyraźnie cięższa, dlatego w lewej dłoni pojawił mi się znajomy przykurcz. Zaczęłam go intensywnie rozmasowywać, jednocześnie spoglądając w kierunku bramy.

Miejsce było mi dość dobrze znane. W jednej z kamienic, do których prowadziła brama, mieściło się nie do końca zalegalizowane studio depilacji laserowej, jedno z pierwszych w Warszawie, do którego chodziło kiedyś chyba pół miasta, w tym i ja. Gabinet nie miał oczywiście żadnej tabliczki, informacje o nim były przekazywane pokątnie, a dorabiał tam jakiś lekarz dermatolog pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Iks lat temu to była nowość i atrakcja, teraz takie cuda można było znaleźć na każdym rogu ulicy.

Oprócz studia depilacji laserowej w piwnicy kamienicy mieściła się też kiedyś siedziba ultrakatolickiego stowarzyszenia, sąsiadująca przez ścianę z regularnym klubem gejowskim. O dziwo, ta koegzystencja układała się podobno przykładowo, przynajmniej tak mówił iks lat temu były lekarz.

Przebiegłam wzrokiem po tabliczkach wiszących na ścianie domu. Oczywiście nie było ani słowa o studiu depilacji, ale wiem, że ono nadal istniało, rozmawiałam bowiem niedawno na ten temat z jedną koleżanką. Nie było też żadnej reklamy klubu gejowskiego, ale takiej też wcześniej nie zauważyłam, natomiast na pewno zniknęła informacja o siedzibie stowarzyszenia chrześcijańskiego. Na jej miejscu wisiała sztywna tabliczka pewnej kancelarii adwokackiej - złote, eleganckie litery wyraźnie informowały o nazwiskach wspólników, z których żadne nic mi nie mówiło. Obok znajdowała się znacznie bardziej nowoczesna w formie informacja o siedzibie jakiejś spółki. Czym jednak ta spółka się zajmowała – tego nie można było tam wyczytać.

Patrzyłam się dłuższą chwilę na ścianę, potem chwyciłam torby w ręce i asymetrycznie zgięta w trzy czwarte poczłapałam do samochodu.

25 marca, piątek

Pan Kraśnik na pierwszy rzut oka, oprócz ogólnego po-denerwowania, wyglądał całkiem normalnie. Lekko zgarbiony, włosy przerzedzone, ubranie sfatygowane, ale w miarę porządne. Tylko te oczy za bardzo mu świeciły, co ja mówię, to oczy nie były, to dwa ognie!

– Pani mecenas – pan Kraśnik mówił konspiracyjnym szeptem. – Ja wiem, o co im chodzi. O dom.

Zawiesił głos, więc uznałam, że muszę coś powiedzieć.

– O dom? – upewniłam się.

– Tak. Mój syn walczy o dom.

– Może pan przybliżyć?

– Pani mecenas, ja mam dom na Zaciszu. Żadne luksusy, ale własny. Mieszkam sobie w nim sam, jak dla mnie komfortowo, rozwiodłem się dwanaście lat temu. Narzeczona mojego syna jest w ciąży, nie stać ich na mieszkanie, wynajmują jakąś kawalerkę niedaleko na Bródnie. Syn chce przejąć dom, a na razie przynajmniej się wprowadzić, dlatego ten wniosek o ubezwłasnowolnienie. Przy wizycie zobaczył recepty na leki, ja nie ukrywam, że mam schizofrenię, ale pod kontrolą.

– Leczy się pan gdzieś stale?

– W poradni NFZ przy Szpitalu Bródnowskim. Lekarstwa zapisane biorę. Ubezwłasnowolnić się nie dam!!!

Zostało to powiedziane z taką siłą, że trochę się przestraszyłam. Głowa pana Kraśnika zaczęła nagle gwałtownie się trząść, tak że płatki łupieżu wysypywały się z jego włosów niczym konfetti. Chciałam go za wszelką cenę uspokoić, wybrałam zatem wariant ugody.

– Proszę pana, a może jakieś polubowne zakończenie sporu? Nie mogą się młodzi do pana wprowadzić?

– Nie da rady, pani mecenas. – Trzęsące się ręce pana Kraśnika wprowadzały w

drgania stół stojący między nami, co uniemożliwiało mi zapisanie choćby jednego wyrazu. – To mały dom, niespełna sto metrów. Ja jestem malarzem, artystą, plastykiem, mogę pani pokazać dyplom ASP. Mam w domu pracownię, dużą, w zasadzie większość domu to pracownia, bo ja potrzebuję przestrzeni i światła. Co tu ukrywać, tam śmierdzi, ja używam farb, rozpuszczalników. Dla dziecka to chyba nie najlepsze rozwiązanie.

– Nie ukrywam, że sytuacja jest zła. Ma pan jedną opinię biegłego stwierdzającą potrzebę ubezwłasnowolnienia częściowego. Żeby uratować sprawę, musimy wnieść o ocenę przez drugiego lekarza.

– Nie zgadzam się! – Głos pana Kraśnika wyraźnie nabrał mocy. – Pani sobie nawet nie wyobraża, jak wygląda takie badanie...

– Proszę pana, nie ma innej opcji. Musi być inna opinia biegłego, w takim stanie postępowania sąd może tylko pana ubezwłasnowolnić.

– Nie wierzę pani. Do dupy z takim państwowym adwokatem!

Trzasnęły drzwi. Pan Kraśnik wyszedł z salki konferencyjnej i kancelarii.

*

Niby zwykła papierkowa robota, przygotowanie akt do sądu przed rozprawą, żadna ambicja, a coś mi wyraźnie nie pasowało. Dziurkowałam mechanicznie kartki ostatniego pisma procesowego autorstwa pana Kociołka, po czym wkładałam je dokładnie do segregatorów, gdy małe kółeczka rozsypały mi się z urządzenia na wykładzinie i wtedy przyszło olśnienie.

Konfetti, jak nie przymierzając, choroba skóry głowy pana Kraśnika. Jego trzęsące się ciało. Oczy świecące się jak zorza polarna. Parę lat temu widziałam to, ale w zupełnie innych okolicznościach, dlatego nie skojarzyłam od razu.

To było na początku aplikacji. Jeden z nielicznych kontaktów z prawem karnym w mojej karierze. Protokołowałam rozprawę z oskarżenia prywatnego, chyba jakieś naruszenie nietykalności osobistej. Oskarżona zaciekała mnie od razu, bo po pierwsze była kobietą, po drugie bardzo elegancką, po trzecie zaś miała wyższe wykształcenie. To wszystko wyróżniało ją z niedomytego męskiego grona z nieukończoną zawodówką, zasiadającego zazwyczaj po lewej stronie sędziowskiego

stołu. Oskarżycieli było dwoje, para w konkubinacie. Według ich relacji, ta zadbana, szczupła kobieta miała w ciągu ostatnich kilku lat zmienić ich życie w piekło. Rzekomym powodem miało być silne uczucie zakochania, którym oskarżona zaczęła obdarzać człowieka siedzącego wtedy po drugiej stronie sali sądowej, co doprowadziło ją do nieudanych zalotów, a potem karania swojego oblubieńca oraz jego partnerki za brak wzajemności. Starannie wyszminkowane usta były podobno źródłem paskudnych obelg, płynących przede wszystkim do konkubiny wybranka. Długie, wypielęgnowane palce miały kilkakrotnie rozbijać lusterko w samochodzie pary, a głowa z blond loczkami prosto od fryzjera lubiła hobbystycznie walić w maskę tego pojazdu. Tocząca się sprawa była podobno jedną z wielu pomiędzy tymi stronami. Zgodnie z informacjami wynikającymi z akt, oskarżona świetnie radziła sobie we wszelkich innych sferach życia – rodzina ją wręcz uwielbiała, w pracy była chwalona.

Przyznam szczerze, że słuchałam zeznań świadków z rosnącym zdziwieniem. Oczywiście wtedy termin stalkingu nie był w Polsce w ogóle znany, ja też o nim nie słyszałam. Uznałam, że to niemożliwe, żeby ta przystojna, poprawnie wypowiadająca się kobieta, o tak dużej ogładzie, dokonywała tych wszystkich czynów. Jak ona mogłaby zniżyć się do wykonywania dwudziestu głuchych telefonów dziennie po to, by wskazać, że pamięta? Czy w tej kształtnej czaszce ułożyłyby się kalumnie i przekleństwa, których nie jestem w stanie powtórzyć?

Rozprawa jednak trwała bite cztery godziny i z biegiem czasu dało się zauważyć rysy pojawiające się na masce przybranej przez oskarżoną. Zaczęło się od oczu, które nagle zamieniły się w dwie chmury gradowe, rzucające błyskawice po całej sali sądowej. Potem przyszła kolej na ledwo zauważalne drżenie ramion, którego kobieta nie była w stanie okiełznać. Ruch ramion przełożył się na całe ręce i po chwili do moich uszu dotarły ciche dźwięki bębnienia dłoni o ławę.

– Proszę o spokój! – zaapelowała sędzia. Oskarżona rozejrzała się lekko zdezorientowana po sali, domyśliła się, że o nią chodzi, po czym schowała dłonie pod blat. Ale to dopiero był początek. Zdekoncentrowana w sumie niewinną uwagą zaczęła posyłać uśmiechy w kierunku swojego oblubieńca, z początku pojedyncze, nieśmiałe, potem coraz odważniejsze, z szeptami i delikatnymi całusami na odległość.

Patrzyłam na nią całkowicie zafascynowana. Tak nie zachowywał się żaden oskarżony!

– Proszę o zachowanie powagi sądu! – zagrzmiało obok. Ale nic nie było w stanie powstrzymać tych zalotów na odległość. Ukradkowe spojrzenia zamieniły się w cielejące gapienie wprost w męską ręką malowane wrota siedzące po drugiej stronie sali. Język elegantki zaczął coraz częściej oblizywać jej wargi, a jej dłonie co rusz przeczesywały włosy, z których sypało się łupieżowe konfetti wprost na akta obrońcy.

Elegancka oskarżona miała skazę psychiczną na jednym punkcie, który wtedy stał i opowiadał, jak bardzo zniszczyła mu życie. Mój pobudzony dzisiejszą wizytą klient zachowywał się dokładnie jak ona.

*

– Dzień dobry – przywitałam pana Kociołka w sądzie przed rozprawą.

– Dzień dobry – odpowiedział nieufnie. – Chyba już pani mówiłam, że nie chcę pani widzieć. Moim pełnomocnikiem jest mecenas Magier i tylko jego sobie życzę na rozprawach.

– Przykro mi, że Mecenas Magier nie mógł się zjawić, ale wysyła mnie w zastępstwie.

– Już raz panią wysłał! I jak to się skończyło? Sprawa przegrana!

– Proszę pana, nie przegrana, ale odroczone. Nic się nie stało, proszę się nie martwić.

– Akurat! A jak pani znowu nie dopuszczają? – Pan Kociołek był pełen wątpliwości.

– Już jestem adwokatem. Dopuszczają – powiedziałam z silnym przekonaniem.

– Akurat! Gdzie pani toga?

– Jeszcze nie uszyta.

– No właśnie! Znowu pani nie dopuszczają. – Pan Kociołek miał myśli czarne jak koszulki Polonii.

*

– Pani Kasiu, jak pan Kociołek? – Mecenas dzwonił z dołu, żeby się spytać o sprawę. Widocznie perspektywa dyscyplinarki tym razem podziałała.

– Nie zjawiała się druga strona, brak zwrotki w aktach sprawy, rozprawa odroczone

bez terminu – wyrecytowałam.

– No to chyba w porządku?

– Nie, pan Kociołek uważa, że to pana wina.

– Trudno, ja wezwań sądowych osobiście doręczać nie będę.

Ola wróciła z sądu schetana niczym wół po całodniowej orce, obarczona dwiema ogromnymi torbami.

– Witam, witam. To akta – odpowiedziała, uprzedzając pytanie.

– Karne? – rzuciłam powątpiewająco.

– Skądże, podział majątku. Zobacz, jakie piękne tabelki, wszystko wyliczone. Suszarki, ręczniki, pościel...

Podział majątku dorobkowego małżonków po rozwodzie matematycznie w teorii nie był zbyt trudny do przeprowadzenia: trzeba było zebrać cały majątek wspólny do kupy, obliczyć jego wartość i podzielić na pół. Stosunkowo rzadko zdarzały się inne ułamki. Raz na aplikacji protokołowałam rozprawę w sądzie, gdzie były mąż żądającej podziału babki uciekł za PRL z kochanką do Austrii, od tego czasu nie kontaktował się z rodziną i nie alimentował swojej rodziny. W takiej sytuacji sędzia ustaliła jego udział na jedną czwartą, biorąc pod uwagę fakt, iż przez połowę trwania małżeństwa mąż zarówno fizycznie, jak i finansowo był nieobecny. Ola miała kiedyś sprawę bezrobotnego od dziesięciu lat alkoholika, którego udział w majątku ustalono na 30%. To były jednak wyjątki, standardem było dzielenie na pół. W typowych sytuacjach ustalano najważniejsze składniki majątku, czyli mieszkanie, samochód, stan konta, akcje, jakieś wartościowe precjoza i to dzielono według schematu. W wypadku ponadprzeciętnego zaciętrzewienia stron w grę wchodziło liczenie zastawy stołowej, ręczników, zepsutej od pięciu lat pralki, dywanów, garnków i tym podobnych. Byli małżonkowie wzajemnie się oskarżali o kradzieże lokówek, łyżki wazowej i ubrań po zmarłym dziadku (nie żartuję, tak było w jednej z moich spraw). Emocje sięgały zenitu przy przesłuchiowaniu na tę okoliczność świadków – cioci, która przysłała w piątek, kiedy obrus jeszcze był, i stryjenki, która do domu zawitała w sobotę i obrusu na stole już nie uświadczyła. Aby nie oszaleć w tego typu sprawach pod naporem zestawień łyżek i widelców, należało przede wszystkim pamiętać, że wbrew pozorom

nie chodzi tu wcale o te rzeczy czy nawet pieniądze. Celem ćwiczenia była bowiem eskalacja konfliktu i możliwość dokuczenia drugiej stronie. Obrusy nie mogły być w tym równie dobrym narzędziem jak dziecko, ale jakąś funkcję spełniały, chociażby przedłużającą wzajemne zacietrzewienie.

– Olu, czy możesz coś dla mnie zrobić? – przerwałam sama sobie te refleksje nad ludzkimi uczuciami.

– Zależy co – zastrzegła Ola.

– Czy możesz zadzwonić do mecenasa Turka...

– Nie znam faceta – ucięła koleżanka.

– No to do jego żony nie-Turkowej, obojętnie, i grzecznie ją poprosić o zapytanie przez jej męża niejkiej pani Dudek, czy nie ma przypadkiem zamiarów na Ukrainkę aktualnie sprząającą u Wawrzyńca Sońskiego?

– Tam ktoś teraz sprząta? – nieufnie spytała Ola.

– Myślę, że nie. I dlatego może ona ma jakieś wolne moce przerobowe, ta Ukrainka, ma się rozumieć.

– Po co ci to, że tak z ciekawości spytam?

– Chcę ją zatrudnić. Podobno jest bardzo dokładna, a ktoś taki to cud.

– Dobrze, zadzwonię.

Po kilku minutach wręczyła mi kartkę zapisaną cyframi.

– Tu masz numer do pani Larysy. Dzwonić po dwudziestej pierwszej.

– Tak szybko? – zdziwiłam się.

– Kochana. – Ola uśmiechnęła się. – Pani Larysa sprzątała i u Sońskiego, i u Dudkowej, i u mecenasostwa Turków.

26 marca, sobota

Pani Larysa nie miała dla nas litości i zjawiała się u nas punktualnie o dziewiątej rano. D. akurat brał prysznic, a w łazience trzymaliśmy środki czystości. Ponieważ była ona aktualnie niedostępna, zaproponowałam pani Larysie kawę na poczekaniu i zaczęłam opowiadać, co jest u nas do zrobienia. Niedługo mówiłam, gdyż mi przerwano...

– E, tam. – Pani Larysa machnęła niecierpliwie ręką. – Mieszkanie jak mieszkanie, co tu cudować trzeba. Czyste ma być i już! Ja wszystko znajdę, co mi trzeba, a jak pani nie będzie miała, to ja na karteczce napiszę, co kupić.

– Umie pani? – zdziwiłam się niezbyt uprzejmie. – To znaczy, chodzi mi o to, czy umie pani pisać po polsku, w naszym alfabecie? – poprawiłam się nieudolnie.

Pani Larysa popatrzyła na mnie spode łba.

– Pani Kasia, ja studjuju u was psychologię, to i pisać potrafię!

– Pani studiuje? – znowu niegrzecznie się zdziwiłam.

– Ja muszu! – zaśmiała się Ukrainka. – Żeby dostać wizy, my musimy tu się uczyć. Jak się pani przejdzie teraz na waszych budowach, to pani zobaczy, że wszyscy studenci. Niektórzy to robią tylko w celu wizy i co pół roku zmieniają studia. Ale ja sobie powiedziała, że jak i tak płacę, to ja skorzystam i skończę fakultet! A co, ja nie dam rady? Ja zawsze chciała mieć wyższe wykształcenie.

– Bardzo dobrze, pani Laryso – pochwaliłam.

D. ciągle tkwił w łazience, to już mijał trzeci kwadrans, a mówią, że kobiety się grzebią!

– Wie pani, wszyscy ludzie, u których ja sprzątam, są dużo wykształceni. Mówię pani, ludzie na poziomie. I póki co, nikt nigdy się na mnie nie skarżył! Ja robotna, wszystko zawsze czyściutko, ja nikomu chusteczki bez zgody nie zabrała, nic nie zginęło!

Pani Larysa najwyraźniej cierpiała na właściwe wielu osobom sprzątającym

schorzenie, a mianowicie potrzebę zagadania swoich pracodawców. Nawet to rozumiałam – całe dni siedzi sama i pucuje, ust nie ma do kogo otworzyć, więc jak przyjdzie możliwość bycia wysłuchaną, to gada.

– Świetnie, dlatego też wszyscy panią polecają. – Spojrzałam z niepokojem na zegarek. Czy można się utopić pod prysznicem?

– No i dlatego, że ja dyskretna. Ja pod torturami niczego nikomu nie pisnu – kontynuowała pani Larysa.

Zaciekawiło mnie to.

– Pod torturami?

– No, może ja trochę przesadziła. Choć wasza milicja...

– Policja – poprawiłam z przyzwyczajenia.

– ...tortur nie stosowała – dokończyła moja rozmówczyni.

– Ach, panią też przesłuchiowano – uprzejmie się zainteresowałam.

– Też? To panią, pani Kasia, wzywali na komendę?

– Za pierwszym razem nie, sami przyszli. Tylko za drugim razem.

– Ho, ho! To panią też dwa razy słuchali – jak i mnie.

– To ciekawe – przyznałam. – A kiedy panią, pani Laryso, wzywali?

Pomyślałam, że może się dowiem czegoś przydatnego.

– Pierwszy raz to było zaraz po tym wypadku z panem Wową.

Chwilę trwało, zanim sobie uświadomiłam, że Wowa może być ukraińskim substytutem Wawrzyńca. Przynajmniej w wolnym tłumaczeniu pani Larysy.

– To od razu w poniedziałek panią wzywali?

– W poniedziałek po nocy to oni dzwonili. To nawet dla mnie dobrze, bo ja, wie pani, telefony dopiero po dziewiątej odbieram. Wcześniej jestem w robocie, dla nikogo mnie nie ma. Nawet dla syna i wnuczki.

– Konsekwentna pani jest – pochwaliłam.

– Jaka?

– No, taka zdecydowana, hmmm... ostra?

– Ach, konsekwentna! Ja nie dosłyszała, ja wiem, co konsekwentna, po naszymu

tak samo. Ale ja ostra? – Pani Larysa się zaśmiała, ukazując garnitur pięknych, białych zębów. – Nu, to milicja w poniedziałek zadzwoniła i my się umówili na wtorek na komendzie. Nie za bardzo mi to pasowało, bo ja miała robotu umówioną, ale oni postraszyli kontrolą, wspomnieli o deportacji, nawet ja się trochę sumowałam, no musiała przyjść. I taką dobrą fuchę ja wtedy straciła! – Pani Larysa pogroziła polskiej policji ręką.

– Dwie fuchy – podsumowałam usłużnie.

– No, racja, dwie, bo i u pana Wowy się skończyło. Drugi raz to słuchali mnie, nie zgadnie pani, kiedy?

– Wczoraj – rzuciłam.

– Ma pani rację, wczoraj, w piątek.

– I o co pytali?

Pani Larysa najwyraźniej uznała, iż z tajemnicy zawodowej zwolnione są jej kontakty z policją, bo oporów w ujawnianiu szczegółów przesłuchania nie miała żadnych.

– Za pierwszym razem to normalnie, jak ja często przychodzę, kiedy ja ostatni raz sprzątała i czy porządek był. Ale wczoraj? Pani się zdziwi. O pasek.

– Jaki pasek?

– Pan Wowa miał taki biały pasek. Nieskórzany, przeciwnie, z materiału, ze srebrną sprzączką. On często się brudził, jak to materiałowy, takie barachło, a kupę pieniędzy kosztował, bo podobno firmowy. A może ja panią nudzę?

– Nie, skądże.

Słuchałam z najwyższym zainteresowaniem.

– Ja czasami prała mu ten pasek, bo trzeba było ręcznie, a ta aktualna kochanka pana Wowy to do prania tak się nadaje, jak ja do baletu, jeszcze gorzej nawet, bo ja lekcje baletu brała. Wie pani, u nas to było obowiązkowo...

Nie pytałam, czy pranie pasków, czy balet, bo nie chciałam przerywać arcyciekawego wywodu.

– No i o co się pytali w związku z tym paskiem?

– Nu, ja się bardzo zdziwiła tym paskiem, bo on od letnich spodni, i ja go dawno u

pana Wowy nie widziała. Ja myślała nawet, że zgubił, biedactwo, albo zostawił u tej franczy...

Najwyraźniej aktualna dziewczyna pana Sońskiego nie była ulubienicą pani Larysy.

– Ale pytali i pytali. No to ja odpowiedziała, że od kilku tygodni nazad go w mieszkaniu nie było.

– A pani tak dobrze znała garderobę pana Wowy, znaczy się Wawrzyńca Sońskiego? – dopytałam.

– Nu, a jak? Ja mu prasowałam, czasem też pranie robiła, on za wszystko płacił, bo to dobry człowiek był i ja dla niego mogłaby, nie wiem, nieba przychylić!

– Dlatego, pani Laryso, panią rozchwytyją. Bo pani nam nieba przychyliła – podlizalam się bezczelnie. – U córki pana Sońskiego pani też sprząta? – sondowałam.

– Nie, вона lekarz, ale taki młody, jak wy to mówicie, na dorobku. Pan Wowa to powiadał, że jeszcze na mnie jej nie stać. Ja tylko dwa razy do roku chodziła do niej na robotę na święta i okna myć, ale to pan Wowa fundował.

– Bardzo fajny prezent – pochwaliłam gest nieboszczyka. – Sama taki chciałabym dostać.

– Córka pana Wowy ładna, miła, do ojca podobna... – Pani Larysa zamyśliła się na chwilę.

– Pani nie wie, czy między nimi były jakieś konflikty? – spytałam szybko.

– Nie. To znaczy, nie, że nie wiem, ale nie było. Ani ciut-ciut. Oni byli bardzo za sobą, wie pani, ja takie rzeczy widzę, w końcu ja psychologię studjuju, prawda?

Kiwnęłam szybko głową, żeby nie przestawała mówić.

– Pan Wowa chyba oficjalnie rozwiedziony był albo wdowiec, ja się nie orientuję, ale ta córka bardzo za nim. Tylko kochanki ojca вона nie znosiła, z wzajemnością zresztą. I ja jej się nie dziwię, bo tej jędzy nikt normalny by ćwierć godziny nie zdzierzył, a jak pan Wowa z nią wytrzymał, to ja już zupełnie nie rozumiem. Chyba on za to prosto do nieba pójdzie...

– Może już poszedł – westchnęłam, patrząc bez nadziei na klamkę drzwi łazienki, która pozostała od godziny nieruchoma.

– Pan Wowa to wyrozumiały był i po pierwszej awanturze zawsze tak je umawiał, żeby się nie spotkały, bo on ludzi czuł dobrze. Jak ja, nie chwaląc się zresztą...

– A wie pani może, jak się nazywała ta kobieta, z którą spotykał się pan Wawrzyniec?

Słowo „kochanka” nie chciało mi przejść przez usta.

– Nie, ja u niej w domu nie sprzątała.

– To oni nie mieszkali razem?

– Kto?

– Soński... pan Wowa i jego... kobieta?

– Nie, oni tylko się odwiedzali.

– I nie wie pani, kto to jest? – chciałam się upewnić.

– Pani Kasia, ja ją może ze dwa razy w życiu na oczy widziałam, a i to krótko. Ja ją głównie znam z opowieści pani Ani. I trochę pana Wowy, ale to tylko takie pojedyncze zdania.

– Pani Ania to córka pana Wowy? – zgadywałam.

– Tak. Wona toczka w toczkę ojciec.

– A jak wygląda ta kobieta pana Wowy? – chciałam wiedzieć.

– A czemu pani chce wiedzieć? – Pani Larysa spojrzała na mnie nagle badawczo.

– Bo może ona zabiła pana Soń... Wowę? – Hipoteza nie brzmiała tak głupio. Chyba duża część zabójstw jest z miłości. – Może nasza policja w ogóle o niej nie wie? Jak oni nie byli w sformalizowanym związku, znaczy się w małżeństwie – zaczęłam się tłumaczyć – to skąd niby mają o tym wiedzieć? Może im trzeba coś szepnąć o tym?

– Nie trzeba. – Pani Larysa była pewna. – Już ja im powiedziała.

– Ciekawe, czy ją namierzyli z pani opisu...

– Pewnie tak. Pani Ani oni się przecież by dopytali, wona chyba zna, a kto to ta kochanka jej ojca?

D. w końcu wyszedł z łazienki, przywitał się z panią Larysą i poszliśmy na zakupy.

*

– Dowiedziałaś się wszystkiego? – pytanie padło już przy kawie. Siedzieliśmy w Sadyba Best Mail otoczeni tuzinem reklamówek i popijaliśmy zasłużoną ambrozię. Ja naprawdę uważałam, że dobra kawa z mlekiem to napój bogów.

– Od pani Larysy?

– Tak, przesłuchiwałaś ją pewnie bardziej szczegółowo niż nasza policja.

– Nie miałam co robić, ty okupowałeś prysznic. Nie mogłam przecież wyjść sama.

D. wzruszył ramionami.

– Słyszałem rozmowę i uznałem, że tobie w to graj. Możesz przepytac ją w te i nazad i na skos... No więc siedziałem dłużej.

– Zaraz, zaraz, ty chcesz powiedzieć, że to zrobiłeś specjalnie?

– A jak? Czy ja kiedykolwiek siedzę w łazience dłużej niż kwadrans?

27 marca, niedziela

– Popatrz, tu masz podzielone na berła, zwisy małe i duże, koszyczki, wachlarze i tradycyjne. Które wybieramy?

– Zwisy. Chyba najbardziej mi leżą.

– Zwisy leżą? Chyba wiszą? No i które?

Chwila zastanowienia.

– Duże. Idźmy na całość.

Siedziałyśmy z Ewką w kawiarni na Nowym Świecie. Miejsce zostało wybrane nie tyle ze względu na walory smakowe serwowanych napojów, co z uwagi na hot spot i wygodne sofy. Mogłyśmy sobie spokojnie siedzieć i przeglądać strony z wiązkami ślubnymi, czym ona była zachwycona, a ja... No cóż, mnie powoli kończyła się cierpliwość, ale bardzo starałam się tego nie okazywać.

– Kaśka! – Ewa szturchnęła mnie w bok.

– Co?

– Zbudź się!

– Przecież nie śpię.

– Ale mnie wcale nie słuchasz.

– Słucham – zaprotestowałam słabo.

– To powtórz, o czym mówiłam.

– Że masz dość Wiktora i chcesz mu zwać sprzed ołtarza.

Ewa zerknęła na mnie spode łba.

– Wcale tak nie powiedziałam – zaprzeczyła, ale jakoś bez przekonania. Była to woda na mój młyn.

– Ale tak myślisz – odparłam szybko.

– Co ja myślę, nie jest ważne – fuknęła z przekąsem.

– Proszę cię...

– Przestań – przerwała. – Nie będę przyjmowała rad od najstarszej wśród moich

przyjaciółek starej panny!

Hoho! Wyszło szydło z worka. Ewa najwyraźniej uważała mnie za pierdołę życiową, niepotrafiącą nikogo usidlić na stałe. No tak, jej się to w zasadzie już prawie udało. Jeszcze chwila-moment i będzie to nawet „po prawie”.

Popatrzyłam na nią. Siedziała obok mnie z opuszczoną głową, uważnie podglądając jakieś śmieci pod stolikiem, z rękami sprzątającymi niewidzialne okruchy na blacie.

A masz za swoje – pomyślałam mściwie. Chciałaś mi dopiec ze staropanieństwem, trafiłaś jak kulą w płot, a teraz sama zdajesz sobie sprawę z własnego nietaktu i cierpisz. Bardzo dobrze, cierp, ja ci nie pomogę.

– Kasiu. – Ewa walnęła pięścią w stół, miażdżąc piramidę niewidzialnych resztek, zebranych wcześniej z takim mozołem. – Przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć, ja tak wcale nie myślę...

Westchnęłam.

– Myślisz, myślisz. – Zamknęłam wieczko laptopa. – Przecież wiem doskonale, że zostałam świadkiem tylko dlatego, że miałaś pustki wśród niezameżnych koleżanek. Tylko ja ci się ostałam, a formalnie sparowanej nie chciałaś...

– ... Żeby własnych nieszczęść nie przeniosła mi do mojego małżeństwa – Ewa mi weszła w słowo.

– Mogę ci podrzucić moje problemy z konkubinatu, jeśli chcesz. Tak w zamian – dodałam usłużnie.

– Obejdzie się.

Dopiłyśmy resztki, Ewa trajkotała, jaki jej narzeczony jest cudowny, w tle szumiał ekspres do kawy.

– Wiesz, on się naprawdę wciągnął w organizację wesela. Spytałam go o frezje do bukietu i on pochwalił mój wybór.

Hola, stop. Coś było nie tak.

– Co konkretnie powiedział?

– Że to takie piękne, wiosenne kwiaty.

Zastanowiłam się przez chwilę. Albo Ewki chłopak jest kwiaciarem, albo...

– A co on robi tak w ogóle?

– Wiktor? No, przecież ci mówiłam tysiąc razy! Prowadzi agencję pocztową.

Przezucie mnie nie myliło. Coś było nie tak. Ale nie wiedziałam, co z tym zrobić.

28 marca, poniedziałek

Napisałam pismo do sądu w sprawie pana Kraśnika. Wniosłam w nim o powołanie drugiego biegłego psychiatry w celu zbadania jego zdrowia psychicznego oraz powołałam kilkanaście orzeczeń na potwierdzenie tezy, że argumenty natury finansowej nie mogą stanowić podstawy ubezwłasnowolnienia, które to stosuje się w celu ochrony interesów osoby chorej. Czułam się stosunkowo pogodzona z własnym sumieniem w tej sprawie. Pan Kraśnik naprawdę sprawił na mnie wrażenie osoby panującej nad swoim życiem, musiałam go jedynie przekonać o konieczności powtórnego badania. Może nie będzie takie złe?

Coś zasyczało pod biurkiem. Odsunęłam krzesło. Z mroku wyłoniły się dwie stopy wciśnięte w niebieskie szpilki, markowe nówki sztuki, jeszcze nieśmigane, ale cóż z tego, skoro na moich piętach utworzyły bąble wielkości dorodnych wiśni, wydające odgłosy przy każdym kontakcie ze skórą butów. Sięgnęłam po torebkę, w której od zawsze trzymałam plastry. Akurat wtedy zadzwoniła moja komórka. Wyświetlacz pokazał nieznaną mi numer telefonu.

– Słucham – powiedziałam niepewnie.

– Pani Kasia. – Z drugiej strony był głos pani Larysy. – Ja dzwonię, bo ja przedwczoraj zostawiła klucz u sąsiadki, jak pani kazała, i ja chciała się spytać, jak się pani i mężowi podobała moja robota? I czy ja mam przyjść za tydzień i na stałe, czy ja mam szukać na ten termin czegoś innego?

Nie chciało mi się prostować u pani Larysy formalnego stanu mojego związku. Potwierdziłam zatem jedynie docelowe zatrudnienie, uzgodniłyśmy jego cenę i umówiłyśmy się na przyszłą sobotę.

– Czy ktoś z was obsługiwał takiego klienta, Wawrzyńca Sońskiego? – pytanie padło z moich ust na poobiedniej kawie. Dookoła czajnika zgromadzona była cała góra kancelarii, to znaczy osoby pracujące na piętrze. Czyli w rzeczywistości na odwrót, bo u nas góra pracowała na dole.

Wszyscy pokręcili głowami, jedynie Witek spojrział na mnie bardziej badawczo i

przez chwilę też Monika, ale trwało to tak krótko, że chyba mi się tylko zdawało. Moje pytanie nie było niczym dziwnym, podobne padały w tym towarzystwie często. Czy pan Żaglewski to twoja sprawa? Czy Śliwińska albo Sliwowska to klientka Moniki, bo dzwoniła i chyba ją źle przełączyli? Zagadkowe spojrzenie Witka mogłabym zrozumieć, pewnie zastanawiał się, co kombinuję, ale dlaczego Monika?

To swoją drogą niemożliwe, że nikt z nas nie słyszał o Sońskim. Z tego, co się orientowałam, Mecenas żadnej sprawy nie prowadził samodzielnie, zawsze bazował na pracy któregoś z nas, zwłaszcza w zakresie pism procesowych. Przez pewien czas uważałam, że nasz pracodawca skutecznie zatracił umiejętność pisania na komputerze, ale jakiś kwartał temu przyłapałam go w gabinecie piszącego na laptopie. Wcześniej byłam przekonana, że to niemożliwe. Więc może Soński był tym specjalnym klientem, którego Mecenas miał na wyłączność? Albo raczej, który miał Mecenasa na wyłączność?

– Olu, coś ty taka... sparzona? – jak zwykle delikatnie zapytał Witek.

– Byłam na solarce – syknęła Ola. – A co, nie można? – dodała zaczepnie.

– Można, tylko się pytam. – Witek starał się okazać swoją koncyliacyjną twarz. W zwykłej sytuacji zapewne powiedziała by „Come on!”. Albo coś w tym stylu.

Ejże, czy ja dobrze słyszałam? Ola była gdzie?

– To opalałaś się w solarium? – upewniałam się.

– No, a co? – Olę wyraźnie zirytowało nagłe zainteresowanie jej osobą. – Nie można? Chyba to normalne przed urlopem?

– Coś nowego słyhać na mieście w sprawie Dudka? – Ala szybko zmieniła temat.

Znowu kręcenie głowami. Jedynie Luscia się ożywiła.

– A propos Dudka – zaczęła, uśmiechając się lekko. – Pewna moja znajoma weszła ostatnio do knajpy i patrzy, a w środku stoi jej znajomy, chyba ze szkoły albo ze studiów, ale nie kojarzyła do końca imienia, więc gapi się na niego jak cielę w malowane wrota w nadziei, że jej się przypomni. Gość się odwrócił i na nią spojrzał, złapał jej wzrok, więc jej głupio było, podeszła do niego, cmok w policzek i nawija gadkę, że kopę lat, chciałyby pogadać, ale umówiła się ze znajomymi i musi do nich

iść, więc – cmok – może innym razem. Gość na nią luknął, powiedział, że spoko, nie ma sprawy i do następnego razu. Znajoma podeszła do swoich przyjaciół, którzy ją spytali, o czym rozmawiała z Jerzym Dudkiem...

Wszyscy się roześmieli, a potem odezwała się Ala.

– Nie rozumiem jednego – powiedziała. – Przecież Dudek ma na imię Antoni...

Teraz my gapiliśmy się na nią jak stado cieląt na malowane wrota.

– Co? – zdziwiła się Ala. – To Dudek wyszedł z aresztu i po knajpach się rozbija, a ja się o tym dowiaduję jak zwykle ostatnia?

*

Telefon stacjonarny przywitał mnie już w progu pokoju, prykając pojedynczymi sygnałami, które jasno wskazywały na rozmowę wewnętrzną.

– Tak, jestem. – Nie siliłam się nawet na przedstawianie. Skoro dzwonił ktoś z kancelarii, to doskonale wiedział, z kim chce się połączyć.

– Na dół. Ale już.

Skoro kulturalna pani Zosia używała takiego sposobu komunikacji, to obowiązywał mnie refleks sprinterski. Rzuciłam się w kierunku schodów.

*

Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą zaniepokojoną twarz pani Zosi. Jej usta poruszały się, mimo że dookoła panowała niczym niezmacona cisza. Dopiero gdy ręce pani Zosi objęły mnie pod pachami i zdecydowanym ruchem posadziły na schodkach, usłyszałam jej nierówny oddech. Moje plecy dotknęły ściany klatki, oparłam się ręką na wyższym stopniu, odwróciłam się i wtedy właśnie poczułam ból rozchodzący się ogniem po całym ciele.

Co dziwne, połączyło się to z pełnym odzyskaniem przeze mnie słuchu. Dopiero wtedy bowiem zrozumiałam, co mówi do mnie pani Zosia. Zdenerwowana pytała, czy wszystko ze mną w porządku.

Niezgrabnie balansując ciałem, dotarłam na drugi koniec schodka. Wstałam powoli, trzymając się cały czas tralki. Wtedy poczułam, jak znowu tracę równowagę, jedno biodro leciało mi bowiem wyraźnie do przodu, a drugie ciągnęło na dół, jakbym miała lewą nogę krótszą od prawej. Chwyciłam się dwiema rękami poręczy. Patrząc w

dół, dostrzegłam przyczynę moich męczarni. Na podłodze leżał odłamany od buta niebieski obcas. Solo wydawał się jeszcze wyższy.

Wszystko dookoła mnie toczyło się jakby w zwolnionym tempie. Tylko głos pani Zosi biegł normalnie.

– Skoro nic pani nie jest, to zejdźmy razem na dół. Czekają na panią mecenas Zawidzka z klientem.

Jednak przed wejściem do gabinetu współpracownicy pani Zosia przyjrzała mi się krytycznie, po czym wprawnym ruchem matki otrzepała mój garnitur z kurzu i wygładziła mi włosy.

– To było nic, pani Kasiu. Teraz będzie najgorsze.

*

To mi się wcześniej zdarzało, ale nigdy dwa razy tego samego dnia.

Nad moją głową wisiał niemy Witek, który poruszał ustami niczym ryba, ale nie wypływały z nich żadne dźwięki. Dopiero gdy klepnął mnie w ramię, odetkały mi się uszy i usłyszałam cichy bulgot, układający się w zdanie.

Swoją drogą, to nawet miłe, że druga z kolei osoba w kancelarii pyta mnie dziś, czy wszystko ze mną w porządku. Ludzie potrafią być sympatyczni, a znieczulica społeczna, na którą tak narzekają teraz media, musiała zatrzymać się u progu naszego pracodawcy.

Wszystko potwierdziłam, bo to nie była żadna tajemnica. W sprawie, w której źle mnie pouczono o przysługującym środku odwoławczym, wniosłam o przywrócenie terminu i pięknie to uzasadniłam. Niestety, sąd nie podzielił mojego punktu widzenia i oddalił, co tylko mógł. Na moje nieszczęście stosowne pismo zostało przesłane nie do nas jako pełnomocników, ale bezpośrednio do klienta. Który przybiegł z nim w dłoni, żądając, skądinąd słusznie, wyjaśnień. Zawidzka po wyjściu klienta, którego nawet udało mi się udobruchać perspektywą dalszego skarżenia rozstrzygnięcia, zaczęła na mnie tak przeraźliwie syczeć, że odechciało mi się jakiegokolwiek dyskusji. Po prostu opuściły mnie wszystkie siły. Nie miałam pojęcia, skąd ona wie, że takiego sposobu mówienia nie znoszę tysiąc razy bardziej niż najgłośniejszego nawet krzyku. Przez cały czas patrzyłam jak zahipnotyzowana w jej nienaturalnie podniesione policzki i w

odmierzone równo niczym cyrklem brwi. A potem, po wysłuchaniu całego monologu, wróciłam bez słowa do siebie na górę.

– Długo jeszcze?

Boże, o co on pyta? Skąd mam wiedzieć, jak długo będę tu pracować? Czy to jest teraz istotne?

– Pytam, jak długo będziesz tu dziś siedziała?

No tak, to co innego. Rozejrzałam się niepewnie.

– Obiecałam jej, że dziś prześlę na mejla konspekt środka zaskarżenia. Będę siedzieć do oporu.

Witek wyszedł z pokoju bez słowa.

Praca w kancelarii potrafi być zaskakująca, ale zazwyczaj dotyczy to relacji niejako na zewnątrz – z klientami, sądami, urzędami. Sami kisimy się we własnym sosie już kilka lat, znamy jak łyse szkapy i bardziej bym się spodziewała niespodzianki od także przewidywalnego delikwenta D. niż ze strony Witka.

A jednak. Srebrną tacę musiał ściągnąć z dołu, bo w naszym zaułku kuchennym jej na pewno nie było, chociażby dlatego, że zajmowałyby z połowę jego skromnej powierzchni. Na środku tego błyszczącego koła młyńskiego jeden talerzyk śniadaniowy z przekrojoną na pół bułeczką z – a jakże! – żółtym serem. Obok herbata w jakiejś prehistorycznej szklance, z której wystawała brudna, przedpotopowa łyżeczka. Ta dwuskładnikowa zastawa zajmowała w porywach do piętnastu procent tacy, jej reszta pozostawała pusta i bardzo błyszcząca.

– I jak? – Witek promieniał z radości. – Francja – elegancja, co nie?

Odsunęłam od siebie to lustro, żeby nie biło mnie tak strasznie po oczach. Całość tego podarku sprawiła, że nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– To nie wszystko. – Witek chrząknął, sięgnął pod swój sweterek i wydobył spod niego... tablicę rejestracyjną.

To było za dużo. Zaczęłam śmiać się na cały głos. Absurd tej sytuacji, ta ogromna srebrna taca, przaśne buły z jakimś żółtym wyrobem seropodobnym, mętna herbata w wyszczerbionej szklance, lipna tablica samochodowa, zrobiona zapewne w tym zakładzie na rogu, który klepie takie ślubne blachy na zamówienie, do tego Witek

stojący obok z miną zdobywcy Kilimandżaro. A dookoła noc, normalni ludzie już dawno są w domu, a my, jak ci głupi, w pracy...

– Co tu się dzieje? – ostry ton przeciął powietrze w pokoju niczym szabla. – Miała pani pracować po godzinach, a nie się chichrać! Ach tak... – Dopiero teraz sokoli wzrok mecenas Zawidzkiej dostrzegł tablicę rejestracyjną. Głos zawiesił się na chwilę, po czym wszedł na wyższe tony, ale nadal nie zauważając stojącego tuż obok Witka. – Myśli pani, że to śmieszne? Naprawdę pani tak myśli?

Dopiero wtedy zobaczyłam wielki różowy napis, ledwo mieszczący się na tablicy, całej upstrzonej rozkosznymi serduszkami:

„TO NIE JEST TEGO WARTO, KASIA 01!!!!!!”.

29 marca, wtorek

– Niestety, tu nic już nie możemy zrobić – poinformowałam uprzejmie pana Madejskiego w sądzie po przegranej sprawie. Jego sąsiad chciał wybudować dom o wysokości trzech pięter na działce obok, co odebrałoby mu w dużej części dostęp do słońca. Sąd właśnie orzekł, że pozwolenie na budowę domu sąsiada jest w porządku.

– A jakby mu coś tam podrzucić na działkę? – zastanowił się pan Maciejski.

– Co takiego?

– Nie wiem, coś radioaktywnego na przykład...

– To już lepiej jakieś starocia. Wykopaliska archeologiczne to najgorsze, co może spotkać właściciela gruntu.

Pan Maciejski wyglądał przez chwilę na naprawdę zainspirowanego. Podziękował pięknie i odszedł, pogwizdując.

*

– Co robisz? – głos Moniki obudził mnie z odrętwienia.

– Nic, zastanawiam się.

– Poczekam. – Monika klapnęła na krześle w moim pokoju.

Wizja, że ktoś będzie czekał, aż się namyślę, gapiąc się przez ten cały czas na mnie jak sroka w gnat, spowodowała, że od razu wyrwałam się z najgłębszych pokładów odjazdu i powróciłam na ziemię.

– O co chodzi? – spytałam.

– Pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy o tym, co robiłam, gdy mecenas Dudek zabijał tego tam... absztyfikanta swojej żony.

– Ustaliliśmy, że nie masz alibi.

– Zastanów się, po co ja miałabym uśmiercać człowieka, którego w ogóle nie znałam?

– Nie wiem, czy nie znałaś, powieka ci drgnęła przy jego nazwisku, może znalazłby się jakiś motyw... – Wolę grać w otwarte karty, nawet z taką mimozą jak

Monika.

– Skoro policja mnie dotąd nie zamknęła pomimo braku mojego alibi, to chyba coś znaczy?

– To, że nie mają jeszcze dowodów? Pomilczałyśmy trochę, ja – zastanawiając się, Monika – potępieńczo.

– Chciałaś mi coś powiedzieć – podsunęłam najdelikatniej jak potrafiłam.

– Ale się boję – wyznała moja rozmówczyni.

– To może być problem – przyznałam. – Jak go rozwiążemy?

– Sprawdzalam wokandę. Mam dziś rozprawę na Marszałkowskiej o pierwszej, krótką. Spotkajmy się w takiej kawiarni naprzeciw tego sądu w pół do drugiej, wejście od Żurawiej. Zdzwonimy się. Powiedz, że musisz czytać akta czy co tam.

Postukałam się w czoło.

– Jeżeli to ta kawiarnia, o której myślę, to masz stuprocentową gwarancję, że będzie się tam szwendał o tej porze jakiś nasz znajomy. To czas obiadu, z rozmowy nici.

– To co?

– Przyjedź dziś wieczorem do mnie do domu. Zapraszam.

– Nie chciałam się wpraszać.

– Wiem, to ja zapraszam.

Monika była taką osobą, która prędzej by kogoś zabiła niż wprosiła się z wizytą. Nie ucieszyła mnie zanadto taka perspektywa spędzenia wieczoru, bo za dziewczyną akurat nie przepadałam, ale skoro jej tak zależało na wyznaniach...

*

– Cześć. – Monika była wyraźnie skrupowana. W prawej ręce dzierżyła jakieś ciastka.

– Proszę, wejdź.

Rozebrała się w przedpokoju, a ja nastawiłam wodę na herbatę. Monika wręczyła mi wiktuały, rozpakowałam je i ułożyłam na talerzu, który postawiłam na stole. Obok wjechał imbryk i filiżanki. Mój gość rozglądał się w tym czasie po moim mieszkaniu. Panowała grobowa cisza.

– Ładnie tu. – Wymuszony komplement w końcu przerwał zdecydowanie za długi interwał.

– Dziękuję. Nalać ci teraz, czy wolisz jak mocniej naciągnie?

– Poczekam – zabrzmiała odpowiedź. Czekaliśmy tak bez słowa dobrych kilka minut, bo ja się nie zdecydowałam na samodzielne podźwignięcie ciężaru rozmowy. Kiedy myślałam już, że zaraz włosy mi wyrosną na wewnętrznej stronie dłoni, Monika raczyła się odezwać. – Ja w ten poniedziałek tam byłam.

– Słucham? – Nie rozumiałam, o czym ona do mnie mówi.

– No, w ten poniedziałek, kiedy zabijali Sońskiego.

– Skąd go znasz? – przerwałam. – Znaczy się, Sońskiego?

– Nie znam – odpowiedziała. – W życiu człowieka na oczy nie widziałam. To znaczy znam, ale tylko ze słyszenia.

– Od kogo?

– A jak myślisz? Od mecenasa Dudka. Opowiadał mi kiedyś o swoich klientach, wspominał o Sońskim, że takie interesy robi na nieruchomościach, choć na rynku generalnie zastój...

– Czekaj, czekaj, gdzie byłaś w poniedziałek? – znowu jej przeszkodziłam.

– Byłam na Wilanowskiej przed domem Sońskiego. W zasadzie to kamienica, on ma tam mieszkanie.

– Miał – poprawiłam. – Teraz mają spadkobiercy. Sorry, Monika, za szczerość, ale co ty tam, do cholery jasnej, robiłaś? Przecież chyba nie mordowałaś, bo ta gadka byłaby bez sensu?

– Jechałam z Mokotowa na Pragę – powiedziała z naganą. – To po drodze.

– Generalnie tak, w szczegółach nie za bardzo. Jak jechałaś?

– No, wzdłuż Wisły, za mostem Łazienkowskim skręciłam w lewo i tak wjechałam w Wilanowską...

– Akurat. Na Terespolską jechałabyś prosto, skręciłabyś dopiero na most, a nie tak wcześniej.

– Dobra, nie czepiaj się mnie już, byłam tam z kimś umówiona.

– Z kim?

– Nawet nie umówiona, ja wiedziałam, że ktoś tam będzie i liczyłam na to, że go złapię. Zadzwoń na komórkę i on wyjdzie. Ten ktoś.

– Soński?

– Powiedzmy.

– Czyli nie on. Dudek?

– Kaśka!!!

– Czyli Dudek.

Monika wstała z krzesła.

– Ta rozmowa nie ma chyba sensu.

– Masz rację – potaknęłam. – Ale mów dalej.

Monika usiadła zrezygnowana.

– Mówiłaś, że wiedziałas, że na Wilanowskiej ktoś będzie i miałaś nadzieję, że go spotkasz. Miałaś dryndnąć do tej osoby na jego komórkę.

– Ale nie zadzwoniłam, bo zaparkowałam, wyciągałam telefon i wtedy zobaczyłam to..., i mnie zmroziło, i wszystko mi z głowy wyleciało...

– Co zobaczyłaś?

Monika wzięła głęboki oddech.

– Mecenasa wyszedł z tej kamienicy z miną jakby właśnie ducha zobaczył, a za nim dwóch tych olbrzymów, co to do niego przychodzą. Ci wiesz, klienci Oli, bracia z ojcem z dziwnym nazwiskiem. Tu było tylko dwóch braci, bez ojca, ale którzy – zabij mnie – nie wiem. Spieszyli się, wsiedli do samochodu Mecenasa i odjechali.

– Gdzie?

– Nie wiem, nie śledziłam ich.

– Bardzo źle – zganiłam. – I co dalej?

Monika spojrzała ponuro.

– Nic. Zdziwiona byłam, bo to nie Mecenasa z klientami spodziewałam się tam ujrzeć. Ale wtedy nie wiedziałam, że w tamtych rejonach takie akcje się dzieją, więc nie przejęłam się aż tak bardzo. Z tego zaskoczenia zapomniałam, po co jestem w tamtym miejscu i pojechałam dalej na Pragę. Zresztą czas mnie zaczynał gonić.

– Dzwoniłaś do tego kogoś, z kim nie byłaś umówiona?

– Ostatecznie nie. Mówiłam, z głowy mi to wyleciało. Poza tym nie lubię tłoku.

Zastanowiłam się. Sytuacja w sumie mogła się zdarzyć, ale po co Monika mi o tym mówi, a nie na przykład policji? Zadałam jej to pytanie.

– Nie mogę policji – odrzekła smętnie. – Po pierwsze się boję, że mnie w to wkrećą. Jeśli to Mecenas mordował, albo któryś z jego podopiecznych, to może ja stałam w samochodzie na czatach? Znaczą się, siedziałam.

– Wykluczyć się nie da – potwierdziłam.

– A za pomocnictwo teoretycznie jest tyle samo, co za samo przestępstwo, w praktyce mniej, ale ja nawet tego mniej nie chcę. To po pierwsze.

Znowu zapadła cisza. Postanowiłam ją przerwać.

– A po drugie? – spytałam.

– Po drugie to wydaje mi się, że to, co widziałam, może mieć jakieś znaczenie w sprawie, ale ja tego nie powiem, więc myślałam...

– Że ja będę twoją tubą do policji? – dopowiedziałam usłużnie. – Dziękuję bardzo za taką rolę. Ja się na nią nie piszę. Jak się spytają, skąd wiem, to co odpowiem?

– Że na mieście tak mówią? – Monika zadała to pytanie z wyraźną nadzieją.

Hm. To nie było nawet takie głupie.

– To zacznij gadać po mieście swoje spostrzeżenia. Tylko je wcześniej odpowiednio zanonimizuj – ostrzegłam. – Potem, jak policja spyta, dlaczego tak gadasz, to powiedz, że od kogoś usłyszałaś i podajesz dalej. A od kogo dokładnie, to już nie pamiętasz. Ja tu jestem niepotrzebna w tej historii.

Monika wstała z krzesła.

– Zastanowię się nad tym – wycedziła. – I jeszcze jedno – dodała. – Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Zastanawiałam się, czy to ironia czy komplement, odprowadzając ją do drzwi.

W holu zastał nas D., wracający akurat z pracy. Trud wyryty na męskiej twarzy wskazywał, że najchętniej by rzucił własne okrycie wierzchnie na podłogę, ale przy obcej kobiecie D. trzymał fason i najpierw elegancko obsłużył koleżankę, a potem swoje ubranie powiesił w szafie. W międzyczasie przedstawiłam ich sobie, po czym

Monika wyszła z mieszkania.

– To jest była dziewczyna Olgierda – zmroził mnie informacją D., po czym wepchnął sobie do ust jedną z bajaderek przyniesionych przez Monikę.

– Jesteś pewny? – Z wrażenia usiadłam na krześle.

– Tak, ja mam dobrą pamięć do twarzy, zresztą wiesz o tym. – Zamlaskał, konsumując kolejne ciacho.

Nie ma co ukrywać, uzyskane dziś informacje mocno mnie poraziły. Wyjęłam z torebki kalendarz i usiadłam przy stole w kuchni. Zaraz, gdzie była moja rozpiska dotycząca alibi osób zatrudnionych w kancelarii... Dobra, znalazłam. Uaktualniłam wiadomości dotyczące Moniki. Jeżeli jej wierzyć, to wychodziłoby, że zabijał Mecenas, ewentualnie przy pomocy tych bandziorów o nieustalonym nazwisku. Przy okazji, muszę przycisnąć Olę, żeby je odnalazła, przecież żyć się tak nie da z tą niewiedzą! I kurczę, głodna jestem, gdzie te słodkości od Moniki, czy D. je w całości zezarł?

O, są tutaj, porządniczek schował je w chlebaku. Ale jaki motyw miałby Mecenas w zabijaniu Sońskiego? Za poradę prawną mu nie zapłacił czy co? Nie, to idiotyczne, jeśli klient nie płaci, to zrywa się z nim współpracę i tyle, ewentualnie pozywa się gościa do sądu, a nie go zabija. Z drugiej strony jednak bracia X dawali do myślenia. To mięśniaki typowe do wymuszeń, może mieli Sońskiego zastraszyć, a sytuacja wymknęła się spod kontroli i go udusili? Oni raczej z tych wrywnych, choć – z tego co kojarzę – tak ciężkiej mokrej roboty żaden z nich nie miał na sumieniu.

Mecenas jechał na Wilanowską samochodem. Czyli bez sensu lecieliśmy z Witkiem na piechotę, kompletnie nieprzydatne ćwiczenie. No dobrze, trochę kalorii spaliłam na tym marszobiegu i spacer podczas lunchbreaku był całkiem przyjemny... Najlepsze z tego wszystkiego jednak było to, że w ogóle zrobiłam sobie przerwę. Trochę zanurzyłam się w tym przyjemnym wspomnieniu, a potem wróciłam do głównego nurtu rozmyślań.

Ola chyba szuka nowej pracy. Najpierw myślałam, że była na Chmielnej w celach kosmetycznych, jak wszyscy, no dobra, jak pół Warszawy, ale teraz mi wychodzi, że nie. Po depilacji laserowej nie można się opalać, każdy o tym wie, i ona nie dość, że

była w solarium, to jeszcze na wczasy leci. Przecież tam w pokoju nie będzie siedzieć, kąpiele słoneczne ma zapewnione na stówę. Wychodziło mi więc, że Ola była na rozmowie kwalifikacyjnej w zupełnie nic mi niemówiącej z nazwy kancelarii. Oczywiście zdawałam sobie sprawę z tego, że przyczyny jej obecności w kamienicy na Chmielnej mogą być inne, tam w końcu mieszka parę dziesiątek osób, które pewnie okażą się znajomymi lub kuzynami Oli, ale coś mi podskórnie mówiło, że temat zmiany pracy jest tutaj na tapecie.

Swoją drogą, skoro się zastanawiam nad planami moich współpracowników, to co Monika robiła na Wilanowskiej w środku dnia? Według moich dotychczasowych teorii Zawidzka była tajną miłością Dudka, ale Monika kim? Wstrętną gaszycą Sońskiego w wieku jego córki? Drugą tajną miłością mecenasa Antoniego? Trzeba się o to podpytać panią Larysę. I co z tym wszystkim ma wspólnego zapijający swoje smutki Olgierd?

Coś zaświtało mi w głowie.

– Czy mógłbyś się dyskretnie podpytać Olgierda, co robił w poniedziałek siódmego marca pomiędzy godziną trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści?

D. łypnął do mnie okiem.

– A jak sobie wyobrażasz dyskretne pytanie tego typu?

– Nie mam pojęcia. Wymyśl coś. W końcu za to ci płacą.

30 marca, środa

– Pani Kasiu, pan Kraśnik dzwoni.

– Tak rano? No cóż, proszę połączyć.

– Pani mecenas. – Pan Kraśnik był naprawdę wzburzony. – Przecież chyba wyraźnie prosiłem, żeby nie wnosić o drugiego biegłego psychiatrę. Mam swojego lekarza, niech on zeznaje w sprawie jako świadek.

– A ja panu mówiłam, że to swoją drogą, ale jak w aktach jest jedna jedyna opinia biegłego, że trzeba ubezwłasnowolnić, to każdy polski sąd to zrobi, bo musi mieć podkładkę dla swoich działań. Pana jedynym ratunkiem jest drugi psychiatra, który stwierdzi, że pan sobie radzi w codziennym życiu w sposób wystarczający i nie ma konieczności ubezwłasnowolnienia.

– Ale ja nie chcę! Proszę cofnąć ten wniosek!

– Nie mogę.

– Jak to?

– Ja muszę działać w pana interesie. Nawet wbrew pana woli. Ale – jeśli pan chce – może sam cofnąć ten wniosek.

– Czyli mam naprawiać to, co pani schrzaniła? Dziękuję bardzo!

Szczęknęła rzucana słuchawka.

*

– Przypominam się z nazwiskiem braci z ojcem – przywitałam Olę wchodzącą do naszego pokoju.

Zastygła w pozie pod tytułem „wygięta na krzywo”.

– Czy mogę najpierw zdjąć płaszcz? – padło pytanie spod szafy.

– Proszę – rzuciłam wielkodusznie. – Ale potem na antresolę!

– A skąd wiadomo, że światło naprawione?

– A z tego, że mi się biurko nie kiwa.

– Nie rozumiem. – Moja koleżanka o poranku była raczej ciężko myśląca.

– Biurko naprawione, czyli wczoraj wieczorem musiał się zjawić pan Młoteczek, ergo żarówka powinna być wymieniona – spokojnie wytłumaczyłam.

– Ergo muszę się brudzić z uwagi na twoje fanaberie.

– Jesteś mi to winna za użyczenie komputera, kiedy tego potrzebowałam.

– A kto daje i wypomina, ten nie idzie do kina...

– Ja nie dałam, tylko pozwoliłam czasowo korzystać.

– Idź spać ty i twój prawniczy bełkot.

I z tym miłym słowem na ustach Ola opuściła nasz pokój.

Wróciła po jakimś kwadransie. W tym czasie zdążyłam przypiąć przyniesione z domu grafiki do korkowej tablicy wiszącej nad moim biurkiem. Miałam już dość proszenia D. o wbicie trzech gwoździ w ścianę w mieszkaniu. Wieszając grafiki w pracy, mogłam je podziwiać przez długi czas, bez zbędnego denerwowania się na konkubenta.

– Werdorf – upragnione nazwisko zabrzmiało jak zaklęcie.

– Wiedziałam! – Z radości podniosłam ręce do góry.

– Skoro wiedziałaś, to po co mnie tam pchałaś – wydusiła z siebie Ola z wyraźną przyganą. Stała teraz przy lustrze i zdejmowała z siebie jakieś suche listki pokryte grubą warstwą kurzu. Skąd na antresoli znalazły się listki? Czyżby ktoś tam zutilizował jakąś roślinę?

– Bo nie mogłam sobie za chińskiego boga przypomnieć. Ty zresztą też nie.

– Prawda. – Zostało to wypowiedziane na głębokim westchnieniu.

Spojrzałam na Olę. Stała do mnie tyłem. Zabrana ze strychu pajęczyna utworzyła na jej plecach niesamowity wzór – coś na kształt koronkowego kołnierza. Podziwiałam przez chwilę to zjawisko, zanim powiedziałam o nim właścicielce oryginalnych zdobień.

– Zdejmij mi to – rozkazała poinformowana.

Posłusznie spełniłam życzenie.

– A Luscia mówiła, że koronki są modne w tym sezonie – nie mogłam się powstrzymać od komentarza.

– Luscia to półmózg – odparła Ola. – Pamiętasz tę historię o Dudku, którą

opowiadała? Jerzym, nie naszym?

– Aha.

– To Lusja tak podeszła do Dudka i udawała jego koleżankę ze szkoły. Ona jest tak głupia, że nawet nie pamięta, że ja byłam w grupie tych znajomych, do których się spieszyła. No i wszystko widziałam.

– Olu, ale to nie ma nic do rzeczy z jej opiniami na temat wyglądu. Może twierdzić, że ziemia jest płaska, ale ubiera się szalowo. Sama przyznaj.

– A co ci przyjdzie z takiego wymuszonego przyznania?

– Satysfakcja!

*

– Witaj, kochana. – Tubalny głos obudził mnie na korytarzu sądowym.

– Cześć, Sambor, co u ciebie słyhać? – Przesunęłam się na niewygodnej ławce, żeby zrobić trochę miejsca dla mojego ulubionego prokuratora.

Z boku zagrzmiało, że wszystko w porządku, a potem huknęło pytaniem, ile mi zajmie to, na co czekam.

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami. Kto jak kto, ale akurat prokurator powinien wiedzieć, że w sądzie pojęcie czasu jest względne.

– To przyjdź, jak ci się skończy, pod dwunastkę, pójdziemy na obiad – mruknął Sambor (o ile dźwięk o głośności średniego utworu heavymetalowego można uznać u mruknięcie). – Za godzinę powinienem mieć jakąś przerwę, nie ma siły po prostu, żeby sprawa nie spadła, mój kolega z dobrym sercem puścił narkomana z aresztu, ten poooooszedł w Polskę i tyle go widzieli, przecież głupi nie będzie i na rozprawę nie przyjdzie?

Wszystko to było wypowiedziane hurtem, na jednym wydechu, ale zdążyłam się zorientować, że nadzieje Sambora wiążą się nie tyle z niestawiennictwem na posiedzeniu sądu jego kumpla z branży z dobrym sercem, co oskarżonego narkomana, który dał chodu.

Odbębniłam swoje akurat w terminie, który się zgrał z Samborowym i razem zeszliliśmy do sądowej stołówki.

– Co tu jest jadalne? – spytałam, bo kolega częściej bywał w tym przybytku.

– Zupy sobie podaruj – ostrzegł. – Z drugich bardziej sznycel niż na przykład kaczką z farszem. A po placku zbójnickim możesz zapomnieć o spokojnym wieczorze – wnętrzości będą ci się wywracać jeszcze rano.

Posłuchałam jego rady, zamówiliśmy jedzenie i usiedliśmy przy stoliku.

– Co nowego? – zagałam mało oryginalnie.

– Zamieniłem mieszkanie – rozpromienił się mój znajomy. – I to dosłownie, nie myślałem, że takie rzeczy chodzą na rynku, ale się udało.

Potem zaczął opowiadać całą historię. Jak to wydawało mu się najpierw, że jest całkiem beznadziejna sprawa, bo okolica mu się podobała, a dotychczasowe mieszkanie już nie i chciał je zamienić na większe. Chodził po agencjach i nic nie było wystawione, bo najwyraźniej te rejony nie tylko jemu przypadły do gustu i nikt nie chciał się wyzbywać takiego adresu. A jak już chciał, to za chore pieniądze, a mimo tego szło na pniu. Jak to przypadkiem trafił na wywieszzone na lampie na swoim osiedlu ogłoszenie dotyczące sprzedaży mieszkania. Umówił się na rozmowę z właścicielami, podczas której wyznali, że byliby zainteresowani zamianą mieszkania na mniejsze plus dopłatą reszty w gotówce.

– Córkę wydawali za mąż i potrzeba im było kasy na coś na kształt posagu, będącym w istocie wkładem własnym na mieszkanie młodych małżonków – wyjaśnił Sambor.

Gotówką mój znajomy akurat dysponował, bo sam liczył się z obowiązkiem posiadania wkładu własnego na poczet nowego mieszkania.

– No i wyobraź sobie, zrobiliśmy zamianę z dopłatą, wcale nie musiałem brać kredytu i bawić się w tę bankową papirologię – cieszył się jak dziecko, przegryzając surówkę z marchwi. – W dodatku bez pośredników, żadnej prowizji nie musiałem płacić, mam więc na kapitalny remont, bo stan mieszkania jest akurat, hm... średni. Ale i tak jestem do przodu – zakończył z radością.

Pogratulowałam mu z całego serca inwestycji i spytałam, kiedy przeprowadzka.

– Już była – oznajmił. – Nawet jeszcze przed notariuszem, bo tak jakoś wyszło, że oni wyjeżdżali na wczasy, a do mnie przyjeżdżał wcześniej brat z większym samochodem, więc mogłem to zrobić własnym sumptem... Nieważne – podsumował.

– Teraz już musisz mnie odwiedzić. Na starym nie byłaś, ale nowym chyba nie pogardzisz?

– To zależy, jak wygląda – odpowiedziałam zadziornie. – Jak brzydkie, to mogę pogardzić.

– No, ale tego nie będziesz wiedziała, dopóki nie przyjdiesz – słusznie stwierdził Sambor. – A w związku z tym...

Widać było, że coś mu się przypomniało, ale nie za bardzo wie, jak to wysłowić, bo zaczął drapać się po czole.

– W związku z czym? Pogardą? Mieszkaniem? – podsunęłam usłużnie. Całkiem niezły ten sznycel. Pewnie ma dwa tysiące kalorii, ale cóż, zazwyczaj to, co dobre, jest tuczące. Albo niezdrowe.

– Mieszkaniem – odpowiedział. – Mniej więcej – po chwili doprecyzował. – Otóż chciałem poznać twoją opinię na temat, jak się zachować w pewnych okolicznościach. Dostyc nietypowych, a ty masz raczej niekonwencjonalne podejście, więc może... będziesz wiedziała.

Zdziwiłam się. Zabrzmiało to, jakbym miała udzielać rad albo z psychologii, albo z savoir-vivre'u, a z obydwu tych dziedzin czułam się równie mało kompetentna.

– To chodzi o sytuację życiową – wyjaśnił Sambor, widząc najwyraźniej moje lekkie zakłopotanie. – Otóż organizowałem jakiś czas temu, jeszcze w starym mieszkaniu brydża...

– I mnie nie zaprosiłeś – dopowiedziałam z żalem. Bardzo dużym i bardzo wyczuwalnym w moim głosie. A więc to była przyczyna całego zamieszania i krępacji przy rozpoczęciu tej historyjki?

– Wiem, powinienem – zaczął przeproszająco Sambor. – Ale jakbym zaprosił ciebie, to musiałbym też uwzględnić i twojego gacha – a przy okazji, to nadal aktualne?

Pokiwałam głową.

– Znaczy się, chodziło mi o to, czy nie jesteście już przypadkiem małżeństwem, a nie czy jesteście nadal razem. To znaczy, to drugie też, ale mniej niż to pierwsze. – Kolega ewidentnie zaczął się plątać w zeznaniach. – Wracam do tematu. A jak bym

was zaprosił, to też powinienem Witka, bo razem pracujecie i byś mu powiedziała i głupio by wyszło. Czyli trzy dodatkowe osoby – ni przypiął, ni przyłatał do brydża. Więc postanowiłem was zaprosić następnym razem, bo w głowie już miałem tę zamianę i planowaną parapetówkę, którą zrobię, jak mi sprowadzą parapety... Gdzie ja byłem?

– Robisz brydża w starym mieszkaniu, na którego mnie rozmyślnie nie zapraszasz – podałam temat, który gdzieś się po drodze zagubił.

– No właśnie. Kurczę, przepraszam...

– Nie szkodzi. Trudno, już się z tym pogodziłam.

– Naprawdę? Ech, te dyplomacje brydżowe. Ten z tamtym się nie odzywa, więc za Chiny z nim grać nie będzie, drugi bez połówki nie przylezie, a połówka w grę w zasadzie nie gra, tylko udaje, że coś kuma, a wyklada byle co byle gdzie... Teraz rozegrałbym to inaczej.

– Partię? – przerwałam mu przebiegle. To miał być żart.

– Gdzie tam, skład gości. – Sambor nie zajarzył. – Zresztą nieważne. Na brydża najpierw stawiają się jedni znajomi. To para, są punktualnie, oczywiście reszty jeszcze nie ma, więc czekamy. Im się przypomina, że po przyjsciu nie myli jeszcze rąk, więc idą do łazienki. Siedzą tam i siedzą, więc myślę, że się może zacięli czy co, podchodzę nawet nie pod drzwi, po prostu jestem w przedpokoju, no i słyszę, że oni tam... tego. Uprawiają miłość.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Sambor kontynuował.

– Wiesz, tamto moje mieszkanie nie było duże, raptem dwa pokoje. Pozostałych gości jak nie ma, tak nie ma, ja czekam w kuchni i wydaje mi się, że te odgłosy z łazienki słychać wszędzie, w całym mieszkaniu, nawet w całej kamienicy. Oni głośno jęczą, a ja boję się, że zaraz mi się zwałą na głowę sąsiedzi z pytaniem, czy się przypadkiem zaciąłem w kiblu albo czy nie wezwać pogotowia. Wracam więc z powrotem do przedpokoju i spoglądam przez wizjer na korytarz. Z dołu rzeczywiście idzie jakaś młoda dziewczyna, bardzo ładna, ale chyba nie sąsiadka, bo jej nie znam, a nie przegapiłbym takiej laski sztuki. Ona staje na moim piętrze, ale nie podchodzi w ogóle do moich drzwi, opiera się o balustradę i czeka. Ja patrzę cały czas przez wizjer,

a moi goście w łazience dostają spazmów. Piętro niżej słyhać jakieś odgłosy, dziewczyna czeka. Potem dzwoni mój domofon, odbieram, wpuszczam do siebie kolejnych gości i znowu zerkam przez wizjer. Dziewczyny już nie ma.

– Popatrzyłeś przez okno? – przerwałam ten słowotok.

– No pewnie, za kogo ty mnie masz? – Sambor był oburzony. – Wyszła z klatki, szła w kierunku parku. Za długo nie mogłem się gapić, bo nowa tura gości stała już w drzwiach i domagała się wpuszczenia.

– A tamta para łazienkowa? – spytałam zaciekawiona.

– Wyszła, gdy nowi ściągali płaszcze w przedpokoju. Wyszła, znaczy się, z łazienki, bo tak w ogóle to nie. Tak w ogóle to wprost przeciwnie, oni zostali do samego końca i grali jak szaleni, karty im szły i byli finansowo bardzo na plusie, chociaż u mnie z zasady się nie gra na duże stawki. Zresztą sama wiesz.

– No dobrze, i jakie masz w związku z tym pytanie do mnie? – próbowałam dojść do sedna.

– Dwa pytania – uściślił Sambor. – Po pierwsze, jak odnaleźć megapiękność, która stała pod moimi drzwiami? Po drugie, jak się zachowywać, gdy znajomi podczas twojej obecności kopulują w łazience?

– Zapukać i zapytać, czy nie chcą wsparcia? – odpowiedziałam uprzejmie ad punkt dwa.

– Nie żartuj. Ja się czułem... hm... jak by to określić... lekko skrepowany.

– Może im zazdrościsz? – Byłam szczerą do bólu. – Ludzie świeżo zakochani nie kontrolują swoich emocji, każdy by tak chciał...

– I tu się mylisz – zastopował mnie. – Wcale nie świeżo, ładnych kilka lat po ślubie.

Zabrzmiało znajomo.

– To tym bardziej im zazdrościsz – podchwyciłam po chwili. – Że pomimo takich wieków bycia razem nadal za sobą szaleją.

Sambor wzruszył z wyższością ramionami. Było to o tyle łatwe, że był ode mnie jakieś trzydzieści centymetrów wyższy.

– Trochę cię rozumiem – próbowałam go pocieszyć. – Ja ostatnio dwukrotnie

byłam mimowolnym świadkiem radosnych figli obcych ludzi. Też nie wiedziałam, jak się zachować.

– I co zrobiłaś?

Opowiedziałam Samborowi pokrótce swoje spotkania z panem magikiem komputerowym oraz jego połowicą, które odbywały się w trochę krępujących okolicznościach. Podczas moich wywodów wyraz twarzy mojego rozmówcy nagle się zmienił. Przedtem był mniej więcej neutralny, potem – zaciekawiony, na granicy lekkiego rozbawienia. Nie uszło to mojej uwagi.

– Hej, czy twoi znajomi i parka od mojego eksinformatyka to nie jedni i ci sami ludzie? – podstępnie zapytałam.

– Nie sądzę. – Sambor solidarnie krył przyjaciół. Nie drażyłam tematu. Przerzuciłam się na inny.

– I co zrobiłeś dalej w poszukiwaniu dziewczyny z klatki schodowej?

– Popytałem delikatnie sąsiadów, czy znają albo czy mają kogoś podobnego w rodzinie lub wśród przyjaciół.

– Rozumiem, że efekty mierne?

– No właśnie dziwna sprawa. Widzieli ją kilka razy – albo kogoś podobnego – u nas na klatce. I na dworze – trochę stała, trochę się kręciła. Ale nikt jej nie zna, a przynajmniej się do tego nie przyznał. Jakby przychodziła i próbowała kogoś znaleźć, może zastać, nie umawiając się wcześniej... Sam nie wiem.

– Może jeszcze przyjdzie? – usiłowałam pocieszyć. Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, oplotkowując wspólnych znajomych, po czym rozeszliśmy się do własnych zajęć.

– Pani Kasiu, czy może mi pani dać akta Pycia? Te, wie pani, o zasiedzenie?

Ten głos zmroził mnie kompletnie. Mecenas bezszelestnie wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i patrzył na mnie chłodno zza okularów. Chyba jakieś nowe sobie kupił...

– Czy pani mnie słyszała? – wysyczał uprzejmie, aczkolwiek z pewną dozą niecierpliwości. – Pyć, rejon w Wołominie, zasiedzenie, akta poproszę?

Jezu, w ciągu tych pięciu sekund zdałam sobie sprawę z tego, jak czuje się

przyszła ofiara węża. Mecenas zahipnotyzował mnie swoimi wzrokiem i sykiem, gdzie się podziały moje zmysły, on zaraz mnie udusi jak nieboszczyka Sońskiego, ciekawe, czy twarz mi też tak zdefasonuje i gdzie on skrywa pasek, bo w spodniach nie widzę, a ręce ma oparte na biurku Oli...

– Pani Kasiu. – Nagle zmieniony ton głosu obudził mnie z odrętwienia. Mecenas, kiedy chciał, potrafił być stanowczy jak sędzia Sądu Apelacyjnego. – Słyszysz mnie pani czy śpisz? – I głośny jak prokurator przy akcie oskarżenia.

– Przepraszam – wystękałam, podnosząc się z fotela. – Zaskoczył mnie pan... nagłym wejściem... do naszego pokoju – wydukałam. – Trzeba było zadzwonić, przyniosłabym panu...

Boże, jak ja się pocę... Ale w sumie, okoliczności usprawiedliwione, sam na sam w pokoju z mordercą, chociażby w formie kierowniczej...

– Byłem u Moniki i Witka, przypomniało mi się, że Pyć mi coś wisi z innej sprawy, więc i tę przy okazji sprawdzę. Akta poproszę, ile razy mam to powtarzać?

Staralam się ocenić sytuację na chłodno jak w lodówce, ale przy kroplach wrzątku spływających hektolitrami po plecach było to dosyć trudne. Akta Pycia znajdowały się w regale za plecami Mecenas, mogłabym teoretycznie poprosić, żeby sam sobie je wziął, w końcu miał bliżej niż ja, ale coś czułam, że byłoby to moje ostatnie zdanie wypowiedziane w tej kancelarii, przecież za mniejsze niegrzeczności tu się wylatywało.

Po raz kolejny przeklełam swoją opieszałość w szukaniu nowej pracy i na drżących nogach ruszyłam w kierunku regału.

Mecenas zgrabnym ruchem pytona królewskiego przesunął swój zadek w kierunku okna, przepuszczając mnie do regału. „Nie odwracaj się do niego tyłem!” – wrzeszczało mi w środku czaszki. – „Nie spuszczaaj z niego oczu nawet na chwilę!”.

Cała dygocąc, maksymalnie wygięta i z najbardziej sztucznym uśmiechem na świecie, bo tylko taki mogłam z siebie wydobyć w tej sytuacji, jakimś cudem dotarłam do regału. Co teraz? Muszę się od niego odwrócić, żeby dostać się do akt, a wtedy on dopadnie mnie z tyłu.

– Na co pani czeka? – tym razem już niemalże krzyknął Mecenas. – Akta!!!

Odwróciłam się twarzą do regału, przeleciałam wzrokiem po segregatorach. Oczywiście, szukanej teczki nie było. Wykręciłam szyję, rzucając pospiesznie spojrzenie. Mecenas stał jak wmurowany przy oknie, patrząc na mnie kamiennym wzrokiem.

Znowu szybki rzut oka na kolejną półkę. Jest! Wyciągnęłam pomarańczową teczkę, odkręciłam się nagle na obcasie i... z półobrotu uderzyłam w brzuch Mecenasowi aktami, w momencie, gdy akurat zdecydował się do mnie podejść.

– Ajć... – jęknął zupełnie szczerze. – Co pani robi? Chce mnie pani zabić?

– Ja nie... – wydyszałam.

Mecenas pozbierał się, niemal wyrwał mi teczkę z ręki i wyszedł z pokoju równie cicho, jak się w nim pojawił.

Dopiero wtedy chwyciły mnie straszliwe dreszcze. Trzęsącą się ręką dotknęłam swojego karku i pleców, czując, jak z każdego pora mojego ciała leje się woda.

*

Wobec dzisiejszej wypłaty wieczorem mogłam zwrócić D. zaciągnięty dług. Popatrzył na mnie zaskoczony, ale schował pieniądze do portfela.

– I co z Olgierdem? – zażądałam od D. informacji.

– Pudło! Niewinny – odpowiedział słodko.

– Bo?

– Był wtedy na spotkaniu z klientem. Na Ursynowie.

– Skąd to wiesz?

– Sprawdziłem jego time sheety.

Time sheety to były tabelki dotyczące ilości wykonanej przez prawników pracy, która następnie była fakturowana na klienta. Pracownicy megakancelarii D. wypełniali codziennie time sheety w wewnętrznej sieci pracodawcy i – z tego, co się orientowałam – były one ogólnie dostępne. Stosunek czasu, którym można było obciążyć klienta, do ogólnego czasu pracy nazywał się chargeability (w wersji spolszczonej czardżowalność lub w skrócie czardż) i był jednym ze składowych premii, podwyżek i awansów.

– Skąd wiesz, że nie skłamał? – Byłam podejrzliwa co do prawdziwości danych

zawartych w time sheetach.

– Musiałby się zmówić z trzema innymi pracownikami kancelarii.

– Jak to?

– Od nas na to spotkanie poszło w sumie czterech prawników. Wszyscy mają je wpisane w tych samych godzinach.

31 marca, czwartek

– Nie cierpię komputerów – to zdanie, wypowiedziane z niesłychaną pasją, przywitało mnie rano w pracy.

– Witaj, Olu – grzecznie odpowiedziałam. – Co się stało?

– Mój klient nazywa się Nożak. Cały czas mi zmienia na Nożyk.

– Próbowalaś dodać do słownika?

– A jakże! Nic nie daje, nadal zmienia. Widziałaś nową fryzurę Magdy? – zapytała znienacka.

Potwierdziłam. Wspólnie uznałyśmy, że jest... szokującą zmianą, tyle że każda z nas w innych słowach. Magda, naturalna długowłosa blondynka, ścięła się na pazia i przefarbowała na ciemną czekoladę, nie taką mleczną, ale najbardziej gorzką z możliwych. Wyglądała tak osobliwie, że przez chwilę myślałam, że ma na głowie perukę. Przez moje usta z trudem przeszło pytanie, co robi w kancelarii o tak wczesnej porze.

– I co robi? – chciała wiedzieć Ola.

– Zastępuje panią Zosię.

– Znowu? A z nią co nie tak?

– Nic. Jest na badaniach okresowych.

Ola patrzyła się na mnie, a ja czułam, że w jej buzi właśnie zbierają się przekleństwa. Przybrałam pytający wyraz twarzy.

– Ściągasz prace – powiedziała z wyraźną przyganą. Lekko się zdziwiłam. W mojej dotychczasowej karierze nikt nie posądził mnie dotąd o plagiat. Okazało się jednak, że ściągam pracę (nie prace, jak usłyszałam) w inny sposób. Do Oli odezwał się bowiem jeden z braci Werdorf, chyba najstarszy. Zadzwonił, żeby się umówić na spotkanie.

– I co to oznacza? – spytała retorycznie Ola. – Robotę! A mnie już i tak mojej aktualnie wystarczy! Nie muszę robić za sekretarkę Mecenasa.

Werdorf junior (choć podobno najstarszy) zasadniczo bowiem nie chciał rozmawiać z Olą, ale z Mecenasem. Do niego nie mógł się jednak dodzwonić, z pozostałych prawników z kancelarii kojarzył tylko Olę, więc poprosił o połączenie z nią. Tylko po to, żeby przekazała Mecenasowi, żeby do niego zadzwonił.

– Widocznie nie ufa naszej recepcji – podsumowałam.

– To przez ciebie – oskarżycielsko wydusiła Ola. – Gdybyś nie kazała mi odkurzać starych akt, ci ludzie by do mnie nie wrócili. A tak ich ściągnęłaś. Myśłami. Jak fatum czy co?

Trochę miała rację, właśnie intensywnie myślałam. Czyżby Monika zaczęła puszczać farbę? A może gliny dowiedziały się w inny sposób o wizycie Mecenas z jego upiornymi klientami na Wilanowskiej? Najwyższy czas przycisnąć braci i dowiedzieć się co nieco o tej eskapadzie na Solec. Trzeba kuć żelazo, póki bracia nie znajdą sobie nowego alibi.

Zatopiłam się w pracy i to niemal dosłownie. Próbowałam wyciągnąć akta z półki, w ich środku były niewpięte dokumenty, które wyleciały na mnie z szafy. Całość zadziałała jak lawina, bo zaraz potem dostałam w biodro innym segregatorem, który leżał poziomo na tym wyjętym i zasadniczo powinien był pozostać na swoim miejscu. Z tych akt także posypały się różne kartki, dowody przelewu i rachunki, a moje rajstopy zostały pięknie przecięte zdjęciem RTG, które wypadło z szarej koperty. Obok stały akta w miękkiej teczce, jak się okazało, również niewpięte, i one wydały gustowny „plask” na koniec tej katastrofy.

Przez chwilę stałam bez ruchu, po kostki zanurzona w pomieszanych i pogniecionych papierach. Pod przeciętymi rajstopami ukazała się krew, a na biodrze, w miejscu siły rażenia segregatora, czułam rosnące opuchnięcie. Poza tym jednak wszystko było mniej więcej w porządku. Obejrzałam, nie do końca przytomna, ranę na nodze, prychnęłam na to powierzchniowe draśnięcie, wyprostowałam się i na chwilę zamarłam. Coś znajomego w tych dokumentach przeleciało mi przed oczami, ale nie wiedziałam jeszcze konkretnie co. Zastanawiałam się, stojąc jak słup soli, jakieś pół minuty. Potem mnie otrzeźwiło, przykucnęłam i zaczęłam zbierać ten cały bałagan do kupy, przy czym przez cały czas byłam odwrócona tyłem do drzwi.

– Ogłuchłaś czy co? – dobiegł do mnie z tyłu głos Witka.

– Mówiłeś coś do mnie?

– A i owszem, od dobrych kilku chwil. Nie słyszałaś?

– Nie.

Ola weszła do pokoju. Trochę się zdziwiłam, bo nie zauważyłam, żeby z niego wychodziła.

– Ona znowu zapadła w te swoje zamyślenia. – Witek wskazał mnie palcem.

– Nieładnie tak wytykać ludzi – zwróciłam mu uwagę.

– Tak myślałam – powiedziała Ola, przeskakując stertę papierów. – Spytałam ją po tej katastrofie, czy wszystko w porządku, ale nic mi nie odpowiedziała.

– Hej, dlaczego mówicie tak, jakby mnie tu nie było?

– Bo byłaś nieobecna. Przynajmniej duchem. Znowu zaliczyłaś jeden ze swoich odlotów.

Rzeczywiście, czasami zdarzało mi się tak intensywnie nad czymś zamyślić, że – podobno – kontakt ze mną był wówczas utrudniony, z uwagi na – znowu podobno – totalny brak reakcji z mojej strony.

– Po co przyszedłeś? – fuknęłam na Witka. – Nie widzisz, że mam pracę do zrobienia? – Wskazałam na papiery na podłodze.

– Chciałem zapytać, czy wiecie, co się stało Magdzie. Jakoś dziwnie wygląda, jakby schudła czy co?

Popatrzyłyśmy na siebie z Olą bez słowa. Ciszę przerwała ona.

– Detektywi od siedmiu boleści! Jedno głuche, drugie ślepe, psia krew!

Jacy detektywi? Ola mnie zaskoczyła. Jeden rzut okiem na Witka i już wiedziałam.

– Ty paplo! – Cisnęłam w niego zdjęciem RTG. Poleciało, wirując niczym dysk.

– Uważaj! – syknął Witek. – Tym można skaleczyć!

– Co ty nie powiesz!

Witek wyszedł z naszego pokoju, z godnością zamykając za sobą drzwi. Za nim podążyła Ola, rzucając mi lekko wzgardliwe spojrzenia.

Zgarnełam wszystkie dokumenty na kupę, uklęknęłam obok górki, po czym zaczęłam powolne odtwarzanie akt.

*

To było prawie na samym końcu śmietnika. Niewinna, biała kartka A4 zapisana odręcznym pismem. Autor chciał chyba stworzyć coś na kształt tabelki, po lewej stronie były wyrazy, po prawej liczby. Na pewno był to brudnopis, bo cyfry były przeprawiane, kreślone i nadpisywane. Złożyłam kartkę na pół i schowałam do swojego kalendarza, po czym wróciłam przed regał. Do sprzątnięcia zostało mi tylko kilka dokumentów.

– Dzień dobry – z tylnej góry spłynął do mnie męski głos.

Odwróciłam głowę, cały czas klęcząc. W drzwiach naszego pokoju (naszego jak naszego, Olga znowu gdzieś wybyła) stał jeden z przesłuchujących mnie szmat czasu temu policjantów. Ten wyższy. Co się dzieje, czy ja ostatnio ogłuchłam, czy wszyscy nauczyli się bezszelestnego otwierania drzwi?

Powoli wstałam, zerkając przy okazji na swoje kolano. Było zakrwawione, podobnie jak i teoretycznie zakrywające je rajstopy, z których zostały obecnie tylko strzępy.

– Czy wszystko w porządku? – spytała mnie władza.

– Oczywiście – potwierdziłam. – Proszę usiąść na miejscu koleżanki, na razie jej nie ma, choć nie wiem, kiedy wróci. Ja tylko zwinę te ostatnie dokumenty i już będę gotowa. Chce pan kawy, herbaty?

– Dziękuję, nie.

– A ja mogę sobie zrobić?

– Proszę bardzo.

W ten sposób zyskałam cenne pięć minut, podczas których zastanawiałam się, czy władza widziała, jak chowam w kalendarzu zapisaną kartkę. Potem doszłam do wniosku, że to nic karalnego i zawsze mogę powiedzieć, że myślałam, że to z akt mojej sprawy, ale musiałam się zastanowić z której.

Spokojniejsza wróciłam z herbatą do pokoju i usiadłam przy własnym biurku. Przez chwilę panowała sielska cisza, a potem się zaczęło.

– Sprawdziliśmy tę pani historię – zagaił pan władza. -Rzeczywiście, denat pożyczył panu Dudkowi własny pasek.

– Skąd o tym wiecie? – zaciekałam się. – Przecież nie od samego Sońskiego?

– Denat mówił o tym innym ludziom. Dawno temu, ale niektórzy mają pod tym względem świetną pamięć.

– Super! – szczerze się ucieszyłam. – I co dalej?

– No właśnie... – Pan policjant zawiesił głos. – Przyszedłem zapytać, czy pani może jeszcze się coś przypomniało. Coś istotnego dla sprawy na przykład – zaraz dodał.

Sięgnęłam po herbatę, żeby się zastanowić nad tym, co mogę powiedzieć.

– Trochę się dowiedziałam – przyznałam po odstawieniu herbaty. – Panowie wiedzą, że Soński to był klient kancelarii?

Przystojny nie wydawał się zaskoczony.

– I? – dodał zachęcająco.

– Trochę dziwny klient – rozwinęłam.

– W jakim sensie?

– W takim, że żaden z nas, to znaczy młodszych prawników, nie pracował nad jego sprawą. Albo sprawami. Chyba.

– Chyba?

– Pod wariograf ich nie wsadzałam, więc chyba.

– Co w tym dziwnego? Przepraszam. – Wyjął z kieszeni komórkę i zaczął przez nią rozmawiać. – Teraz nie mogę. Aha. Obecnie koło palmy, ale za godzinę będę w fabryce. Cześć. – Schował telefon, po czym spojrzał na mnie. – Jeszcze raz, co było dziwnego w tym kliencie? Nikt z was z nim nie pracował?

– Tak, a tu nie ma takich sytuacji. Ani pan Mecenas, ani mecenas Zawidzka nie prowadzą spraw samodzielnie. Szkoda im na to czasu. Każda sprawa jest podzlecana przez szefostwo komuś z młodszych prawników, góra to w mniejszym lub większym stopniu kontroluje i koordynuje.

– U pani mecenas Olczyk też tak jest?

– Mniej więcej. Luiza jest tu najdłużej z nas, jest takim prawie partnerem, ale – z

tego co wiem – takich czystych swoich klientów nie ma.

– Rozumiem. Czy coś jeszcze?

Przełknęłam ślinę. Nie powiem mu o Monice, przynajmniej nie teraz.

– Jakieś głupoty. Nie chcieli mi panowie pomóc w dotarciu do pani Larysy, to sama sobie załatwiłam kontakt. Nie to nie, łaski bez.

– Wiemy o tym.

– Gratulacje! Od kiedy policję interesuje, kto mi w domu sprząta?

– A zatrudniła pani tę Ukrainkę oficjalnie?

Tu mnie miał.

– Nie pamiętam – odpowiedziałam wymijająco. – Ale jak pan chce, to może mi wypisać z tego tytułu odpowiedni mandat. Oraz wydalić panią Larysę z kraju.

– Jeszcze czego, świadka będę sobie usuwał...

Czasami nawet w policji widzę ludzkie odruchy.

Pożegnaliśmy się uprzejmie.

*

Wychodziłam z kancelarii grubo po szóstej. Zamknęłam swój pokój, sprawdziłam, że światło na piętrze paliło się tylko u Witka i Moniki, po czym zaczęłam schodzić na dół. Nauczona ostatnim bolesnym wypadkiem obułam swoje stopy w wygodne balerinki, które nie wydawały żadnego dźwięku przy stapaniu.

Na półpiętrze zatrzymały mnie głosy dochodzące z parteru. Rozmawiał Witek z Magdą.

– A tak w ogóle to co słyhać u Kasi? Nic się nie zmieniło? Nadal z tym samym facetem? – To był głos Magdy. Miły, nawet taki hm... zalotny.

Wzdrygnęłam się. Po pierwsze nie znosiłam wręcz podsłuchiwania, a konwersacja zapowiadała się na taką, od której nie będę mogła się oderwać, pod drugie zaś – nie cierpiałam słowa „facet”. Po prostu miałam na nie uczulenie. Obrzydzenie wewnętrzne i do siebie, i do słowa napełniło mnie bez reszty i spowodowało wzdrygnięcie. Na szczęście bezszelestne.

– Czy ja wiem? Chyba tak, nie słyshałem o żadnych zmianach – odpowiedział Witek. – A dlaczego pytasz?

– A, bo ona się zmieniła ostatnio, nie sądzisz? – To znowu Magda.

– W jaki sposób? – chciał wiedzieć Witek.

– Węszy. Zadaje jakieś pytania, robi cyrki i przesłuchuje. To nie tylko ja tak twierdzę, mecenas Olczyk też mi się zwierzyła, że jej dupę zawraca, przepraszam za wyrażenie...

– Jeśli o mnie chodzi, to okej, a nikogo innego nie ma, więc możesz mówić, jak chcesz. – Witek nie był ani odrobinę zgorszony przekleństwem Magdy. Ale on z zasady rzadko się gorszył.

– Zresztą to nie moje wyrażenie, mecenas Olczyk go użyła – dokończyła Magda, nie usłyszawszy najwyraźniej wstawki Witka.

– Mecenas Olczyk lepiej by pilnowała własnych interesów, niż się burzyła nad zachowaniem innych – wyrwało się męskiemu głosowi.

– Taaak?

Zapanowała chwila ciszy.

– No tak – uciął Witek. – A, przepraszam bardzo, mam takie pytanie: czy ty ostatnio nie zmieniłaś czegoś w swoim wyglądzie?

Znowu cisza, ale tym razem trwająca naprawdę momencik.

– Tak. Ogoliłam się.

– Aha – odpowiedział Witek po głębszym namyśle. – To ja pójdę w końcu do gabinetu Zawidzkiej po te akta.

Usłyszałam jego kroki i skrzypnięcie drzwi gabinetu, po czym kilka odgłosów zmierzających w stronę kuchni.

Uznałam, że dolny hall jest pusty, a zatem możliwie najciszej zeszłam na dół, delikatnie otworzyłam drzwi wejściowe i szybko wyszłam na dwór.

*

D. wrócił z pracy w wyśmienitym humorze. Nawet podśpiewywał, zdejmując buty w przedpokoju. Popatrzyłam na niego podejrzliwie znad biurka, gdy wchodził do pokoju.

– Dostałeś premię? – strzeliłam.

D. się roześmiał i pokręcił głową.

– Coś wygrałeś w sądzie?

Znowu źle, o czym zorientowałam się już w trakcie zadawania pytania. D. – jako rasowy prawnik korporacyjny – nie chodził do sądów. Co więcej, był z tego niesłychanie dumny.

– Poddaję się. – Podniosłam ręce do góry.

D. oparł się o ścianę.

– Powiem ci pod warunkiem, że nie zrobisz sceny.

Po solennej obietnicy zaczął sypać.

Okazało się, że pojechał na jakieś podwarszawskie zadupie do klienta. Urokliwe, ale zadupie, za daleko, żeby codziennie dojeżdżać do pracy, więc nawet nie spisał numerów telefonu na ogłoszeniu, które było wbite w ziemię obok o sprzedaży działek. Choć okolica ładna, pod lasem, media chyba też były...

– Wróc do tematu – przerwałam. – Jedziesz hen, hen za Warszawę do klienta.

– Wracam – poprawił mnie D. – Już po spotkaniu. Jadę sam, bo Ryśka podrzucił do roboty ktoś inny, wcześniej musiał wyjść ze spotkania...

– No dobra i co? – Czy tylko ja czułam, że tracę wątek? D. jednak miał litość i się streścił. Wraca Bóg wie skąd i widzi po drodze pocztę. Przypomniało mu się, że powinien wysłać jakiś prywatny polecony, więc podjechał i z radością ujrzał pustki w środku. Wchodzi zatem, a tam pan w okienku, jedyny wewnątrz, nawija jakieś megabanieluki przez telefon. No, jakieś totalne brednie po prostu, przewijają się jakieś odmiany róż, jednym słowem – horror. D. o tym wiedział tylko dlatego, że miał kiedyś jakąś dużą plantację kwiatów w obsłudze i te wariacje różane na fakturach widział. D. się akurat nie spieszyło, więc grzecznie czeka, aż pan w okienku skończy rozmawiać, co nastąpiło po kilku dobrych minutach. Po czym gość zaczął się kajać, mówiąc, że ma realnie stukniętą laskę, której odbiło na punkcie ślubu, nie dość, że zmusza go do jeżdżenia po sklepach i wybierania garniturów, co byłoby uzasadnione, to jeszcze go zamęcza chusteczkami, świecami i kwiatami.

– Panie – mówi ten gość. – Ona mi coś terkocze o frezjach, ja nawet nie wiem, że są takie kwiaty. To co mam jej powiedzieć? Wymyśliłem, że pięknie, bo to takie wiosenne i była przeszczęśliwa. Więc teraz na wszystko jej potakuję, mówię, co mi

ślina na język przyniesie, jakieś totalne androny i mam święty spokój.

Z wrażenia odebrało mi mowę. D. nie znał Wiktora Ewki, czy to możliwe, żeby...

– Co to jest? – Uśmiechnięty D. pochylił się nade mną, wykorzystując chwilę ciszy z mojej strony.

– Notatki Dudka. – Palcem wskazałam na zapisaną kartkę A4.

– Skąd wiesz, że jego?

– Bo znam ten charakter pisma. Raz poszedł za mnie na rozprawę i napisał z niej notatkę. Potem pół dnia ją rozszyfrowywałam, więc teraz autora poznałam od razu.

– A co to takiego?

– Ba, żebym to ja wiedziała...

– Pokaż.

Po kilku minutach oddał mi kartkę.

– Nic nie rozumiem.

– A ja trochę.

– No to mów.

– To jest tabelka z rozliczeniami. Po lewej stronie osoby, po prawej kwoty. Ktoś chyba jest tym osobom coś winien.

– Skąd wiesz, że to osoby?

– Domyślam się. Na przykład MMAG to Maciej Magier, ZZAW to Zuzanna Zawidzka...

– A IPÓŁ?

– Irena Półtorak-Magier.

Pani mecenas Półtorak-Magier była ciotką Mecenasem i formalnie założycielem Kancelarii Magier i Wspólnicy, a także jednym z jej partnerów. Pani mecenas pracowała za poprzedniego ustroju w dużym zespole adwokackim, po czym – gdy jej bratanek dostał się na aplikację adwokacką – utworzyła własną indywidualną kancelarię, która tak naprawdę była cichą spółką z wtedy-jeszcze-nie-Mecenasem--Magierem. Młody człowiek okazał się wyjątkowo rzutkim prawnikiem, który rozkręcił biznes ciotki do nieprzewidywanych przez nią rozmiarów, dlatego też naturalne było przekazanie mu pałeczki władzy w kancelarii po przejściu mecenas

Półtorak na emeryturę. Akurat zbiegło się to korzystnie w czasie ze zdaniem egzaminu adwokackiego przez bratanka pani mecenas Półtorak-Magier. Mecenas to docenił, pozostawiając ciotkę jako tytularnego wspólnika, nawet z jakimś niewielkim udziałem w zyskach firmy, pomimo obecnego braku zawodowego zaangażowania.

D., który o wszystkim tym wiedział, teraz tylko kiwnął głową.

– Okej, a te inne? ANOR, DKUZ, IBUD?

– To klienci kancelarii. Nie będę ci wymieniać, ale można ich spokojnie rozszyfrować.

– No dobrze, i co ci z tego wynika?

– Na razie jeszcze nic.

Mogłabym przysiąc, że te rozliczenia miały coś wspólnego z Sońskim. To był biznesmen działający w nieruchomościach, skupował działki i je odsprzedawał, potrzebował albo dużej ilości wolnych środków, albo jakiejś korzystnej linii kredytowej na inwestycje... Sońskiego obsługiwał Dudek w bieżących interesach, więc do czego był mu potrzebny Mecenas? Jakieś rodzinne albo karne pierępały? Pani Larysa nic o tym nie mówiła, a takie osoby dużo wiedzą o życiu swoich pracodawców. Nikt z nas też nie pomagał Mecenasowi w prowadzeniu spraw Sońskiego, czyżby toczyły się one poza sądem? Ale nawet takie spory były nam zlecane, pisaliśmy przecież ugody itp.

Siedziałam nad tymi bazgrołami jakieś piętnaście minut i nagle doznałam olśnienia. To nie Soński był klientem Mecenas, to Mecenas był kimś w rodzaju klienta Sońskiego! Wszystkie wymienione na liście osoby były dosyć majątne i na pewno posiadały wolne środki do zainwestowania w biznes nieruchomościowy. Soński nie dysponował gotówką, ale miał Dudka, który – także za pośrednictwem Mecenas – był mu w stanie pomóc znaleźć inwestorów, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem. Lista obrazuje albo wysokość udziałów w przedsięwzięciu, albo Dudek sobie liczył prowizję, bo to są na pewno jakieś skróty, ANOR i 10 na przykład, Andrzej Nornicki, właściciel znanej firmy deweloperskiej, to po dziesięć złotych nawet się nie schyli, jak mu spadnie na podłogę.

Po namyśle doszłam do wniosku, że Dudek chyba jednak liczył sobie w tabelce

provizję. W końcu Nornicki nie wszedłby do interesu na śmieszne dziesięć tysięcy, a dziesięć milionów to chyba trochę za dużo... To bardziej wygląda na wynagrodzenie dla Dudka albo dla niego i Mecenas na spółkę.

Zaraz! To mógł być motyw zabójstwa! Mecenas poszedł z mięśniakami egzekwować dług od Sońskiego – albo własne inwestycje, albo jako pośrednik, doszło do pyskówki, komuś puściły nerwy i trup. Hoho! Historia nabrałaby barw!

Rany Julek, ale to oznaczałoby, że jednak Mecenas jest winien. Zamkną mi miejsce pracy, co ja z dnia na dzień nagle zrobię. Nie, chyba taki przebieg spraw mi za bardzo nie pasuje.

Z głową pełną rozmaitych teorii poszłam spać.

1 kwietnia, piątek

Na komórce wyświetlił mi się nieznany numer.

– Słucham – przywitałam rozmówcę niemiłym głosem. Byłam prawie pewna, że dzwonią z banku z jakąś super-ofertą kredytową albo coś w tym stylu.

– Witaj – z drugiej strony huknął głos Sambora. – Całe szczęście, że są ludzie, którzy nie zmieniają przez lata numerów telefonów!

– Całe – zgodziłam się, zaznaczając karteczką w segregatorze, gdzie skończyłam czytać. Zapowiadała się dłuższa rozmowa.

– Bo widzisz, tak się zagadaliśmy, że zapomniałem cię poprosić, żebyśmy uaktualnili nasze kontakty! Ja się teraz przeprowadziłem, numer komórki mam inny, w zasadzie byłbym dla ciebie nieuchwytny...

– Nie przesadzaj – przerwałam mu. – Pracy nie zmieniłeś. Dodzwoniłabym się do prokuratury i jakoś cię tam namierzyła.

– No, dobra, dobra – powiedział ugodowo. – Ale i tak twoja niezmiennność ułatwiła sprawę.

– Kobieta niezmienną jest – podsumowałam krótko. – Co słyhać?

– Zmobilizowałaś mnie ostatnio i umówiłem parapety. Mają przywieźć jutro rano i zamontować – Sambor się pochwalił. – I dlatego robię taką imprezę ad hoc. Taka wstępna parapetowa. Przymiarka. Kilka osób, wy też, dlatego dzwonię.

– Kiedy?

– Jutro!

– Zwariowałeś! Jutro masz parapety.

– Rano! W południe przychodzi pani Ajax, sprzątnie, powiedziała, że się na szóstą wyrobi, to nie jest w końcu aż tak duży metraż. A przy okazji, ty masz kogoś do czyszczenia, czy sama wymiatasz?

– Mam, mam – pochwaliłam się najnowszym nabytkiem.

– Też pani Ajax?

– U mnie bardziej Sidolux, ja mam parkiet.

– A ja płytki. To co, przyjdziecie? Na ósmą, zapas zrobiłem.

– A co kupiłeś? – zaciekałam się.

– No co ty, zapas czasu zrobiłem. A z jedzenia będzie coś na wynos, jeszcze nie wiem co. Może sushi?

Tym mnie trafił, nie wiem, czy celowo, ale na pewno skutecznie. Bardzo lubiłam sushi.

– Halo! Słyszysz mnie? – Głos Sambora dopytywał się w słuchawce.

– Słyszę. Będę! – Podjęłam szybko decyzję. – A w zasadzie będziemy – zdecydowałam też za D., choć nie byłam pewna jego planów. Ale wiedziałam, że on też lubi surową rybę. – Podaj adres.

Zapisałam. Idzikowskiego, to na Mokotowie, rzeczywiście fajny adres. Przez chwilę jednak zastanowiłam się.

Wcześniej zdawało mi się, że Sambor mieszka bardziej na południu, nigdy nie byłam w jego starym mieszkaniu, ale opowiadał mi o nim i słabo kojarzył mi się jakiś może nie Powsinek, ale Wilanów. Co najmniej Stegny. A w końcu przeprowadził się w obrębie jednego osiedla, nowe mieszkanie miało być blisko starego. Co prawda Mokotów niedaleko od Stegn (Stegien? Stegnów?), ale to nie ten sam rejon... Z drugiej strony to nie taka rozbieżność jak Praga, miałam znajomą, która mieszkała na Abrahama i twierdziła twardo, że to Saska Kępa. Ludzie dla swoich dobrych wyobrażeń o tym, gdzie mieszkają, są gotowi przeinaczyć każdy fakt.

Zresztą nieważne. Jutro będzie sushi, sama się przekonam, gdzie to jest, a dojechać mogę wszędzie!

*

Pan Kraśnik nie odpowiedział na moje „dzień dobry” przed salą sądową i nie przytrzymał mi drzwi, gdy wchodziłam do środka.

– Nie chcę już państwowego adwokata – syknął mi do ucha, gdy siadałam obok niego.

– Niestety, nie może mnie pan zwolnić – uprzejmie od-mruczałam.

– A kto?

– Sąd.

Najpierw jednak słuchana była biegła. Omal nie spadłam z krzesła, gdy pani psychiatra otwarcie przyznała się do uprzedzeń wobec mojego urzędowego mocodawcy.

– Oszukał mnie – powiedziała z przekąsem. – Sprawiał świetne wrażenie na pierwszym spotkaniu, stąd moje wahanie.

Rzeczywiście, przypomniałam sobie, że w pierwszej opinii nie było ani słowa o schizofrenii pana Kraśnika. Biegła rozpoznała jedynie nerwicę natręctw i nie uznała konieczności ubezwłasnowolnienia. Potem jednak syn dostarczył odpowiednie recepty i pani doktor wydała opinię uzupełniającą, stwierdzającą jednak schizofrenię.

– Dlaczego pani twierdzi, że pan Kraśnik panią oszukał?

– Kłamał. Pytałam go o choroby, nie wspomniał o leczeniu schizofrenii.

– O, przepraszam – wtrącił pan Kraśnik. – Pani doktor pytała o przebyte choroby, ja schizofrenii jeszcze się nie wyzbyłem, więc nie musiałem jej wymienić.

Wzrok pani doktor był zimny jak oddech po reklamowanych w telewizji miętówkach.

– Pani doktor, czy każdy schizofrenik w pani opinii powinien być ubezwłasnowolniony?

– Każdy schizofrenik potrzebuje pomocy – warknęło ze środka sali.

– Jakiej? – chciałam doprecyzować.

– Przede wszystkim medycznej. Powinien brać leki, regularnie chodzić na wizyty do lekarza. Do tego psychoterapia.

Pięknie. Ale jakie ma to przełożenie na ubezwłasnowolnienie?

Pani doktor chyba czytała w moich myślach.

– Ja wiem, że pani wносиła o drugiego biegłego. Ja tam się kontropinii nie boję. Proszę bardzo.

„Kątem ucha” słyszałam, jak sędzia dyktowała do protokołu: „Świadek popiera wniosek pełnomocnika uczestnika o powołanie drugiego biegłego”. Wtedy przebudził się pan Kraśnik.

– Nigdy! – wrzasnął nagle, wstając z ławki. – Co wy mi, kurwa, chcecie zrobić?

Ciszę, która zapanowała po tym wystąpieniu, przerwał głos sędziego-przewodniczącego, dyktującego protokolantce: „Proszę zapisać: uczestnik wnosi o oddalenie wniosku dowodowego z opinii kolejnego biegłego”.

Jak to mówiła Ola? Że nikt ci sprawy nie zepsuje tak pięknie, jak...?

*

D. był jednak ostrożny w okazywaniu entuzjazmu z okazji sushi-party.

– Czy to twój kolejny ekskach? – wywalił wprost przez telefon, gdy do niego zadzwoniłam.

– No co ty! – oburzyłam się zdrowo. – Absolutnie nie! A zresztą – zreflektowałam się po chwili. – Jakie to ma znaczenie? Teraz jestem z tobą, chyba nie będziemy sobie robić wyrzutów o przeszłość?

– Nierobienie sobie wyrzutów o przeszłość to jedno, a włączanie się po imprezach byłych to drugie. – W głosie D. zabrzmiała nieprzyjemna nuta. W dodatku wypowiedział to z wyraźną wyższością, a ja nie znosiłam takiego sposobu mówienia. Zanosilo się na co najmniej niezbyt komfortową wymianę zdań.

Przełknęłam ślinę. Będę ponad to, a co mi tam.

– Ale to ani jedno, ani drugie w tym wypadku. Nigdy nie byłam kimkolwiek w kategorii partnerki dla Sambora. Okej, przyznaję, raz tańczyliśmy razem, czy to też ci przeszkadza? – zapytałam jadowicie.

Nie przeszkadzało, D. otrzeźwiał i przypomniał sobie, że lubi japońskie żarcie i od czasu do czasu także innych ludzi. Po godzinie doszedł do wniosku, że ostatecznie może iść.

2 kwietnia, sobota

Coś świdrowało mi w głowie. Taki nietypowy, choć znajomy dźwięk. Jakby w mieszkaniu obok robotnicy używali wiertarki o wysokich tonach. Albo ktoś grał na radzieckiej piszczałce.

– Wstawaj – obudził mnie D. – Pani Larysa przyszła.

No tak, sobota. Zupełnie zapomniałam. Powoli poczłapałam w kierunku prysznicza.

*

– Pani Kasia, jak pani sobie robi kawy, to może więcej wody wstawić, żeby i dla mnie starczyło?

Pokiwałam głową, bo usta miałam pełne jajecznicy i dołałam cieczy do czajnika.

– I jak, pani Kasia, wie pani już może, kto zabił pana Wowę?

Poruszyłam łbem tym razem w przeciwnym kierunku i zrobiłam minę, która miała z jednej strony wyrażać zaciekawienie, a z drugiej zachętę do mówienia, ale przede wszystkim starałam się nie dopuścić do ukazania moich zębów w szczypiorku, z którym jadłam dzisiejszą jajecznicę.

– Bo to podobno ktoś z pani roboty – wypaliła sensacją pani Larysa.

– Uagh? – wydarło mi się z głębi gardła.

– No, ja tak słyszała u państwa Turków. – Pani Larysa kontynuowała, sypiąc sobie kawy do kubka. – Wie pani, ja nie lubię z czaszki. – Mówiąc to, wskazała na moją filiżankę. – Z takiego małego to co się człowiek napije. Tyle co nic.

Przytaknęłam, nie wiedząc, jak wyłącznie mimiką wypowiedzieć, że wolałabym powrót do poprzedniego tematu.

– Z kubka lepiej smakuje. – Pani Larysa dołała do kawy wody. – Pani też zaleję, choć widzę, że pani woli tę czaszkę z porcelany... Pani Kasia nie boi się z tego pić, to takie cienkie przy ustach? – popatrzyła na mnie jak na jakieś kuriozum.

– Uhm... – wydałam niewyraźny dźwięk, cały czas próbując wydobyć ten przeklęty szczypiorek, który zaklinał mi się centralnie między górnymi jedykami.

– Nu, ja by się bała – podsumowała pani Larysa. Taka jednostronna konwersacja najwyraźniej jej odpowiadała. Chyba była rada, że nikt jej nie przerywa.

Przez chwilę panowała cisza, podczas której udało mi się oczyścić moje zęby z wyczuwalnych resztek pokarmu.

– A co mecenasostwo Turkowie mówili o zabójstwie pana Wowy? – Z łatwością przeszłam na sposób określania Sońskiego przez panią Larysę.

– A, to! – Pani Larysa machnęła ręką z takim rozmachem, że omal nie wylała kawy. – Ja podsłuchiwała, nu, nie specjalnie, ale przy okazji, bo przechodziła – zaczęła się trochę krygować. – Nu, pan mówił do pani, że coś koło kancelarii Magierskiej czy jakiej tam śmierdzi i że milicja też szuka i że to w związku ze śmiercią pana Wowy. A wcześniej oni mi mówili, znaczy się wona, że pani z kancelarii Magierskiej dzwoniła po namiary na mnie, że potrzebuje kogoś do sprzątnięcia, i że oni, a w zasadzie wona dała. Nu to ja się domyśliła, że to pani z tej kancelarii jest, a potem dwa do dwóch ja dodała – pani Larysa trochę się zasapała przy tej tyradzie, ale była z siebie najwyraźniej zadowolona.

Otrzymana wiadomość była o tyle ciekawa, że potwierdzała istnienie plotek na temat znaczenia mojej kancelarii w zabójstwie Sońskiego.

– Ja, pani Laryso, nie zabiłam – przyznałam się szczerze. – Soń... pana Wowy w ogóle nie znałam, więc motywu nie miałam żadnego.

– A kto to? – zdziwiła się moja rozmówczyni.

– Który kto to? – Nie zrozumiałam pytania.

– Ten, no... Motyw.

– To nie kto, ale co – poprawiłam. – Motyw to inaczej powód.

– Ja nie rozumiem. – Pani Larysa rozłożyła ręce w geście bezradności. Najpewniej udawanej, ale całkiem niezła w tym była.

– Na przykład, jeżelilibym coś miała zyskać na śmierci tego pana – starałam się wyjaśnić obrazowo.

– Co? – Pani Larysa chciała znać szczegóły.

– Pomyślmy. Najczęściej pieniądze. Miłość. Kontakty. Brak kompromitacji. O tak, wtedy miałabym motyw.

– Pani mnie zyskała – podsunęła Ukrainka.

W sumie miała rację. Oprócz niej dostałam jeszcze ciekawsze życie, nowe tematy do rozmów, odwagę do wyjścia na lunch. Nie do pogardzenia był też lepszy wygląd – po kilku otrzymanych ostatnio komplementach przejrzałam się w lustrze, w którym zobaczyłam zaróżowione policzki, uśmiechnięte usta i błyszczące zdrowym zainteresowaniem oczy. W sumie całkiem dużo. Może to ja zabiłam tego człowieka?

Przez chwilę pomyślałam nad takim przestępstwem. Wyobraziłam sobie nawet te tytuły prasowe – „Zabiła, bo chciała przejąć panią do sprzątnia”. Albo „Morderca – czyścioch”. Albo „Nieczysty mecenas?”. Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk dzwonka telefonu. Pospiesznie odebrałam.

Dzwonił Witek, który akurat miał fazę wylewności. Najpierw usiłował mnie wybadać, czy jestem zaproszona na dzisiejszą imprezę do Sambora. Okazało się to o tyle trudne, że nie miał do końca pewności, czy kopnął mnie ten zaszczyt, a nie chciał mi też sprawić przykrości, którą – w jego mniemaniu – byłoby wypytywanie się o prywatkę, na której mnie nie chciano. Jakoś jednak udało nam się ustalić, że obydwójce idziemy. W słuchawce niemalże słychać było, jak po drugiej stronie linii spada wielki kamień.

Potem przeszliśmy do konkretów, to znaczy, czy ja jednak naprawdę nie mam romansu z Dudkiem, bo ostatnio jestem zakręcona. Ale nie tylko ja, bo dzisiejszy gospodarz też. Coś chyba wziął, jakieś nowe kwasy albo co, bo mu na mózg siadło i gada jak potłuczony o jakiejś dziwnej dziewczynie po drugiej stronie wizjera i się wypytuje. Tak, Witek rozumie, że to może być miłość od pierwszego wejrzenia, grom z jasnego nieba i przeznaczenie boskie, ale bez przesady. U niego nawet jakby na wycieraczce waletowała przez tydzień Miss Polonia, to by tak nie międolił jak Sambi obecnie. Bez przesady, gość wstydu nie ma.

A wracając do mnie i moich romansów, co ja chcę w końcu? Come on, nie muszę się denerwować, on tylko tak usłużnie pyta, w końcu można przecież, głupich pytań z zasady nie ma. Tak, on zdaje sobie sprawę, że ja go nawet – do kroćset! – nie lubię, znaczy się Dudka, bo jego, Witka, to nie sposób nie lubić, a w ogóle to kto teraz mówi do kroćset? A co do mnie, to chciał po prostu oświecić, kto to jest mój klient, jak to

nie wiem jaki, ten wariat urzędowy. On, Witek, ma kumpla rzeźbiarza i kumpel mu opowiadał o pewnym facecie, wielki talent, po prostu geniusz, perły i konstrukcje emocji, pełne zrozumienie barw, ale niestety gość oszalał, mrówki mu w fazach do oczu włożą, głosy poczynania komentują albo ma okresy stuporu kompletnego, nic tylko siedzi i patrzy. Przez trzy godziny non stop. Na początku myśleli, że to normalne, jak po wódce i niektórych kwasach, ale nawracało i się nasilało, okazało się, że jednak psychiczny. Artyści ludzie wyrozumiali, znaczy się do chorób i nałogów, bo do braku talentu nie, nawet do człowieka przyjaźnie podeszli, a z tytułu umiejętności mir miał. Nawet mu się nie dziwili, on miał rodzinne hocki-klocki, jakiś syn z bardzo wczesnej młodości sam szybko spłodził potomka i waruje na pracownię mistrza w celach nieartystycznych, ale wprost przeciwnie. Czysto prozaicznych.

Tu musiałam przerwać i poprosić Witka jednak o streszczenie. Witek odchrząknął i pojechał dalej z tekstem.

Tak, on wie, że tak może nie wprost, ale zna imprezy i tam raczej nie porozmawiamy, a miał przykazane od świata artystycznego stolicy dać mi następującą wiadomość. Pan Kraśnik jest chory i obecnie nie najzamożniejszy, ale poza tym równy gość, a przede wszystkim talent wszechświata. Wredny syn chce go na ulicę wyrzucić albo mu przynajmniej zabronić malować, żeby nie śmierdziało w domu, ale dla Kraśnika to chyba gorsze niż śmierć, bo on się w sztuce zatapia, przynajmniej w fazach stabilizacji, i kocha ją nad życie. Mam zatem go bronić do upadłego, wbrew niemu i jego chorobie, bo tego wymaga przyszłość polskiego malarstwa.

– Przyszłość malarstwa oświadczyła wczoraj w sądzie, że nie chce takiego pełnomocnika – oznajmiłam spokojnie, gdy Witek już skończył. – Zostałam oficjalnie przez sąd zwolniona z prowadzenia sprawy. To znaczy właściwie Mecenas Magier – uściśliłam.

– Hm... To po co ci ja te rzeczy mówię? – zastanowił się na głos Witek.

Po odłożeniu słuchawki zamyśliłam się. Pan Kraśnik jako „równy gość” to mniej więcej tak, jakbym powiedziała o swojej babci, że jest „w porzo”. Z kim ten Witek pije?

Nic się nie zgadzało. Idzikowskiego to długa ulica, ale tego numeru akurat nie

było. To znaczy był, ale nie taki. Staliśmy jak głupi przed jakimś opustoszałym domkiem jednorodzinny, a powinna być – według opisu Sambora – przedwojenna kamienica. Taka rasowa, z elementem na ławeczce przed. Wyciągnęłam z torby komórkę.

– Tylko odbierz – zaklinałam rzeczywistość, wyszukując numer gospodarza imprezy.

*

– To typowa pomyłka. – Mój znajomy prokurator uśmiechnął się, wpuszczając nas do środka mieszkania. – Ludzie słyszą to, co chcą słyszeć. Idzikowskiego zamiast Idżkowskiego.

– Bo Idzikowskiego jest bardziej znana. I większa. I dłuższa... – zaczęłam się usprawiedliwiać.

Sambor pokiwał głową.

– Kto to był ten Idżkowski? – zaciekał się D., przekazując panu prokuratorowi butelkę wina.

– Pojęcia nie mam – przyznał właściciel mieszkania.

– A ty wiesz, kim był Idzikowski? – zagadnęłam D. Popatrzył na mnie wzrokiem, którym musiał kiedyś raczyć swoją byłą żonę.

– Niestety nie – odpowiedź padła dopiero po kilku sekundach.

– To po co się pytasz o Idżkowskiego? – wyparowałam napastliwie.

Dalej wydarzenia potoczyły się same. Sambor, wiedziony zapewne męską solidarnością, przyznał, że też nie wie, co robił Idzikowski. D. zaciekał mój sposób rozumowania i w związku z tym zapytał, czy wiedza na temat Idzikowskiego determinuje w jakikolwiek sposób tę związaną z Idżkowskim. Ja się nabzdyczyłam z lekka i zażądałam encyklopedii w celu rozwiania wszelkich wątpliwości, bo inaczej nie wytrzymam. Gospodarz oświadczył, że takowej książki nie posiada, ale ma za to dostęp do Internetu. Łaskawie się zgodziłam na erzac w postaci Wikipedii i poszliśmy do gabinetu, gdzie Sambor miał komputer. Sprawdziliśmy Idzikowskiego i Idżkowskiego, z radości ręce same wystrzeliły mi w górę, wytrącając butelkę wina z dłoni jej dzierżyciela, który cały czas ją nosił nieotwartą ze sobą. Płyn rozlał się

fantazyjnym bryzgiem na bielutkiej ścianie.

Przez trzy sekundy patrzyliśmy na powstały przed chwilą obraz jak urzeczeni. Gdyby nie jakaś muzyka lecąca w tle, przysięgłabym, że świat zamarł. Wręcz czułam na sobie świszczący oddech D. i miałam wrażenie, że cebulki moich włosów parzą mi czaszkę. Spojrzałam nieśmiało na Sambora i bardzo go przeprosiłam za wszystko.

– Nic nie szkodzi – odparł. – Liczyłem się ze stratami na parapetówie, więc zostawiłem malowanie kolorami na po. Teraz to wszędzie mam bazowe białości.

Atmosfera trochę się poprawiła. D. pocwałował do sklepu po nowe wino, choć Sambor prosił, żeby tego nie robił, proponując coś innego z przygotowanej na dziś baterii w barku. D. jednak się zaparł i opuścił mieszkanie. Zostałam sama z gospodarzem, bo pozostali goście na razie nie dotarli.

– Moimi adresami w Warszawie rządzi dziwna logika – wyznał po pewnej chwili Sambor. – Po przeprowadzce z Radomia najpierw wynająłem pokój w domku takiej jednej na Borowieckiej.

– Bobrowieckiej – poprawiłam machinalnie, na co mój kolega się uśmiechnął.

– Borowieckiej – powtórzył. – To było na Wawrze, nie na Mokotowie. Boczna od Traktu Lubelskiego.

Potaknęłam głową bez większego przekonania. Te rejony miasta znałam raczej słabo.

– Mnóstwo ludzi myliło nazwę ulicy, podobnie tak ty. Poczta też nie zawsze dawała radę. Potem wyniosłem się do Wesolej, akurat ją przyłączyli do Warszawy. Dziewięćdziesiąt procent nazw ulic się powtarzało z warszawskimi, ja mieszkałem oczywiście na jednej z nich. Wszędzie wyraźnie podkreślałem, że mieszkam na Kopernika w Warszawie-Wesolej, a nie koło Tamki. Zawsze dodawałem kod pocztowy, żeby nie było żadnych wątpliwości...

– I co? Nie mylili się? – przerwałam zaciekawiona.

– Gdzie tam. Jeszcze gorzej niż na Borowieckiej. – Sambor westchnął głęboko, po czym kontynuował. – Potem znudziły mi się dojazdy, przeprowadziłem się na Powiśle. Znowu to samo, uliczka mała, ale nazwa podobna do dużej. Ba! Identyczna wręcz.

Za uchem poczułam nagle znajome mrowienie. Czyżby on mówił o...

– Zmieniłem mieszkanie, to moje czwarte z kolei – i co? To samo. Fatum jakieś, niech to czort pochłonie...

– Słuchaj – przerwałam zdecydowanie. – Gdzie mieszkałeś poprzednio? Na jakiej dokładnie ulicy?

Popatrzył na mnie jak na wariatkę. D. nabywał najwidoczniej wagon wódki, bo nie było go już dobrych parę minut.

– Wilanowskiej... – padła w końcu odpowiedź. Wszystkie włosy stanęły mi dęba, co ja mówię, baobaba, sekwoję!

– Ile?

Sambor powiedział. Był to ten sam numer domu, w którym mieszkał Soński. Okazało się, że byli sąsiadami – pan Wowa mieszkał dokładnie pod moim prokuratorem.

– Nawet raz go zalałem – pochwalił się. – Włączyłem pralkę, coś się w niej zepsuło, ja się zaczytałem z nogami na stole, co, we własnym domu mi nie wolno? I nie zauważyłem, że mam wody w mieszkaniu po kostki.

Wzięłam głęboki oddech.

– Wiesz oczywiście, że pan Soński nie żyje? – upewniłam się. -I że zszedł z przyczyn hm... mało naturalnych?

– Oczywiście – oburzył się Sambor. – Nawet mnie przesłuchiwali w tej sprawie.

– Ogólnie czy w charakterze? – chciałam wiedzieć.

– W charakterze, w charakterze. Dlatego właśnie nie mogłem jej prowadzić – z powodu mojego świadkowania. Nie można być jednocześnie twórcą i tworzywem.

Przerwał nam dzwonek do drzwi. Sambor poszedł otworzyć. Wrócił z D., kolejną parą i naręczem kwiatów – pięknych, długich róż.

– Dostałem od Ewy i Wiktora. – Sambor pomachał mi przed nosem kwieciem, ale tym razem z bezpiecznej odległości. – Wy się chyba znacie?

– Znamy – potwierdziłam, cmokając nowo przybyłych w policzki. Goście na raty opowiedzieli historię, jak to państwo prawie młodzi spotkali D. w pobliskim sklepie monopolowym.

– Lubię róże – pochwaliłam bukiet.

– Ja też – odpowiedział D., niepytany przez nikogo. I od razu dodał: – To takie piękne, wiosenne kwiaty.

3 kwietnia, niedziela

Nawet nie miałam siły być na niego zła. Była prawie pierwsza po południu, a D. spał w najlepsze. Z głową schowaną w poduszkę i resztą ciała zwiniętą w kłębek wyglądał jak wyrośnięte z lekka niemowlę. Powlekłam się do kuchni zrobić sobie kawę.

Powoli odbudowywała mi się pamięć. Coś kojarzyłam, jak Witek z radością rozwiewał wyobrażenia Sambora o ekskluzywnym mieszkaniu na Powiślu i mądrzył się o Solcu. No tak, po Ewce i Wiktorze zwała się naraz kupa ludzi, nowi sąsiedzi Sambora muszą być albo nad wyraz wyrozumiali, albo głusi. Nie było warunków do rozmowy, ale impreza przednia, a nawet nie kojarzę, czy dojechało sushi.

Lekki zgrzyt był tylko wtedy, gdy Paweł poinformował Witka, że jakiś biznes im nie do końca wypalił. Witek nieco się zasepił, ale na krótko, bo zaraz potem oznajmił:

– No cóż, teoretycznie mogę pić i bez przyczyny, ale zawsze lepiej mieć powód.

I poooooszedł...

Akompaniował mu Leszek, ale zdecydowanie Wicio grał pierwsze skrzypce. W pewnym momencie zabrakło szkła, więc niezrażeni chłopcy zaczęli pić z wazonika.

– Patrz, kochana – usłyszałam w uchu szept Sambora. – A mówili mi, żeby nic nie przywozić z Egiptu. A jednak się przydało...

Po czym odfrunął w objęcia jakieś panny. Czułam suchość w gardle, więc poszłam sobie nalać wody. Zaraz, co ja tam piłam? Znowu jakiś zabójczy miks – wino, piwo, drinki... Nic dziwnego, że żołądek mi wiruje jak na karuzeli.

– Świadek został oczyszczony z zarzutów. – Pod skronią pulsowały mi słowa Sambora, odbierającego ode mnie pusty kieliszek. – Ale przesłuchanie trwa nadal. Soplca z pomarańczą dla pani mecenas! – zarządził.

W pewnym momencie Witek zdybał D. i zaczął wspominać z nim swój korporacyjny epizod w życiorysie. To jednak, co dla Witka było historią, D. postrzegał jako codzienność i w pewien sposób normę. Z zaciekawieniem słuchałam,

jak licytowali się stopniami realizacji planów rocznych oraz poziomami czardżowalności... Teoretycznie wiedziałam, że to wszystko da się od biedy przetłumaczyć na nasz język, ale i tak w takich sytuacjach czułam się, jakby mówili po chińsku. I to pomimo moich piekielnych doświadczeń zawodowych, którymi objęłam tak wiele form zatrudnienia.

Na imprezę dotarł w końcu znajomy informatyk z żoną, z satysfakcją potwierdziłam swoje przypuszczenia, że par o wyrefinowanych gustach seksualnych nie ma w Warszawie aż tak wiele. Po kilkukrotnym spotkaniu wzrokowym ze mną para zmyła się z balangi, na której nie byli nawet przez godzinę.

Ewa jakiś czas grała nadąsaną primadonnę, nie pojmowałam dlaczego, dopóki nie rozgryzłam, że zapomniałam o jej drugiej przymiarce i jednocześnie dobieraniu welonu. Żeby jej się przypochlebić, zaczęłam pisać peany na temat jej bransoletki. Ewa w mig cała pokraśniała z radości, informując mnie o tym, iż był to gratis do bodajże „Claudii”. Do naszego grona dołączyła na chwilę Marzenka, wszczynając krótką dyskusję na temat jakości kłapek-japonek dołączonych latem do co drugiego kolorowego magazynu. Dowiedziałam się, które rozwalają się przy pierwszym założeniu, a które są w stanie przetrwać nawet pół sezonu. Zerknęłam na uśmiechniętą Ewę, po czym puściłam wodze wyobraźni.

– Pomyśl, Ewo, jakby to było, gdyby na Twoim ślubie ktoś pochwalił Twoją sukienkę, a Ty byś mu odpowiedziała, że to gratis do, dajmy na to, „Twojego weekendu”... – rozmarzyłam się.

– Zaraz – wtrącił osłupiały Wiktor – przecież „Twój weekend” to taki słaby pornol.

– No właśnie – wciąła się Ewka. – To teraz już wiesz, jaki charakter będzie miała moja suknia ślubna!

Potem jednak nastrój przyszłej panny młodej ewoluował w zwykłą zjadliwość. Wydawało mi się, że to z powodu zazdrości o nasze picie, czego nie omieszkałam jej powiedzieć.

– Chyba żartujesz – odburknęła. – Wiktor, zbieramy się.

Mniej więcej podobnym tonem mówią klawisze do więźniów. Przynajmniej tak

sobie to wyobrażam, bo – ku zmartwieniu Oli – nigdy nie byłam w więzieniu.

Okolo północy na imprezę dobiła grupka ludzi, która zwinęła się z jakiejś mniej udanej bibki. Wśród nich był kolega z pracy D., znany mi Olgierd, do tego czasu już nieźle wstawiony.

– Zabiję piz... – zaczął i padł za kanapę. Wciągnęliśmy go z D. na łóżko i przykryliśmy kocem. Opieka nad Olgierdem podczas imprez powoli zaczynała się robić naszą małą tradycją.

Spojrzałam na zegarek w piekarniku. Trzynasta zero pięć. D. nadal spał snem sprawiedliwego, Sambor pewnie też, nie będę go budzić telefonem w celu przeprowadzenia prywatnego dochodzenia.

Nudziło mi się, więc poszłam szukać czegoś do czytania.

4 kwietnia, poniedziałek

– Czy ty wiesz, moja droga, ile ten Kraśnik ma lat? – Pierwsze pytanie Witka tego dnia lekko zbiło mnie z pantafelku.

– Pojęcia nie mam – przyznałam. – Na oko pięćdziesiątka z hakiem.

Nie chciałam wyjść na niemłą. Tak naprawdę wyglądał spokojnie na sześć dych. Pewnie niedługo przejdzie na emeryturę.

– Ha! Trzydzieści sześć!

– Żartujesz! I już dziadkiem? W dodatku dwanaście lat po rozwodzie?

– Ba! Artyści oddychają skondensowanym powietrzem!

Czyli pan Kraśnik wyglądał jakieś dwadzieścia lat starzej od metryki. Życie sztuką jednak postarza. Chyba że to choroba? Albo jedno i drugie?

– No a poza tym pan Kraśnik ma zespół Otella. – Witek miał ewidentnie fazę na plotki.

– Zespół? To on też gra? – Zdziwiłam się. Mój były klient to przecież artysta-plastyk.

Teraz Witek dla odmiany okazał rozbawienie. Uświadamiając mi braki w mojej wiedzy medycznej, w zwięzłych słowach opisał, na czym polega zespół Otella. Otóż jest to psychoza objawiająca się w nawracających urojeniach niewierności małżeńskiej. Pan Kraśnik jako rasowy artysta był oczywiście „od zawsze” alkoholikiem, który w stanach abstynencji miał coraz bardziej intensywne przecucie, iż jest zdradzany przez żonę. Przypuszczenia potęgowane były przez koronne dowody w postaci znalezionych w kieszeni płaszcza małżonki kwitów z pralni (bo pani Kraśnik sypiała przecież z panem tam pracującym) czy pocztowego awiza (bo romansowała także z listonoszem). Siniak na łydce, który powstał podczas poślizgnięcia się biednej kobiety po posadzce, został zinterpretowany jako „znamie miłości”. Wobec powyższego, nasz artysta zaczął coraz gwałtowniej domagać się przyznania się przez żonę do zdrady, w grę weszły rękoczyny, aż przestraszona pani

Kraśnik uciekła z dzieckiem do rodziców i wniosła o rozwód. Dopiero po ostatecznym rozstaniu pan Kraśnik wszył w siebie espectral i zaczął się na poważnie leczyć psychiatrycznie.

Po plotkach o klientach zesłaliśmy na znajomych, a potem na ostatnią prywatkę. Witek z imprezy pamiętał niewiele, co – biorąc pod uwagę okoliczności – było zrozumiałe.

– Hola! – przypomniałam sobie. – Czy ty nie byłeś w poprzednim mieszkaniu Sambora?

– Którego?

– Chyba którym? Którym mieszkaniu?

– Nie, którego Sambora?

– Michalczuka! A ilu znasz?

– Fakt, jednego blisko. Drugiego bardziej ze słyszenia, raz tylko rozmawiałem, podobno pracuje w dziwnym urzędzie...

– No to byłeś w poprzednim mieszkaniu naszego wspólnego znajomego Michalczuka? – Przerwałam brutalnie tę bujnie rozwijającą się opowieść.

Witek zastanowił się przez chwilę.

– Którym? Tym na Wawrze czy w Wesołej?

– Na Wilanowskiej. Ulicy – dodałam.

Umysł Witka dosyć długo absorbował tę informację, ale w końcu do niego dotarła.

– O, w mordę jeża – oznajmił z całą powagą i poszedł zadzwonić do Sambora.

– Rozmawiałem z Samborem – zagaił Witek, wchodząc do mojego pokoju mniej więcej po półgodzinie. Oli oczywiście nie było, więc usiadł za jej biurkiem.

– No i? – Podniosłam głowę znad teczki „Naszej Sprawy”. Ta spółdzielnia ma nadzwyczajnego pecha. Za każdym razem, gdy się do niej zabieram, ktoś lub coś mi przeszkadza. Co będzie następnym razem? Pożar? Trzęsienie ziemi? Ufo?

– Znał Sońskiego z widzenia, na dzień dobry byli. Interesów z nim nie robił, ale wiedział, że facet siedzi w nieruchomościach. O biznesach Mecenas i Dudka z Sońskim nie miał pojęcia.

– Zna gaszycę Sońskiego?

– Nie. To znaczy wie, że taka była, bo mówiła mu o niej córka Sońskiego. Raczej nieprzychylnie. Córkę zna, bliższa kategoria wiekowa niż gaszyca. Bliższa Samborowi oczywiście, choć nie jego typ. Za żylasta.

– Aha. Co Sambu jeszcze wie?

– Niewiele. W czasie zabójstwa nie było go w domu, jak normalny człowiek siedział w pracy, a potem poszedł do Żółtych Tarasów na zakupy. Wrócił do domu dopiero po dziewiątej. Wszystko dokładnie pamięta, bo był słuchany przez policję.

– A Dudka Sambor zna? – zaatakowałam z drugiej flanki.

– Chyba tylko ze słyszenia, ale pewny nie jestem. Na studiach z nim nie był, co nie? Też inna kategoria wiekowa.

Zeznania Sambora niewiele wniosły do sprawy. Ale zaraz, zaraz...

– Sambor kojarzy prokuratora prowadzącego sprawę? – wypaliłam.

– No pewnie. Ale co nam z tego?

To prawda. Jakoś tak głupio było wyciągać wprost korzyści ze znajomości.

*

– A pani mecenas Kownacka to powiedziała mi, że u państwa w kancelarii mordują... – Pan Kociołek był tego dnia nadzwyczaj uprzejmy.

– Dzień dobry. To lepiej niech pan do nas nie przychodzi. – Pomyślałam, że może uda mi się upiec jakąś pieczeń na tym pożarze, o którym wieści tak szybko obiegają miasto. – Skoro to takie niebezpieczne – dokończyłam myśl, dosładzając ją dla kontrastu szerokim uśmiechem. – A skąd pan zna panią mecenas Kownacką?

– Jest moim pełnomocnikiem w sprawie... zaraz sprawdzę. – Mój rozmówca wyciągnął z teczki zeszyt i zagłębił się w jego lekturze.

Pan Kociołek był bardzo skrupulatny. Wszystkie postępowania ze swoim udziałem zapisywał w zeszycie, a ich stan uaktualniał po każdej zakończonej rozprawie. Wielokrotnie z dumą pokazywał mi swoje tabelki. Dosyć łatwo można było z nich wyczytać przedmiot sprawy, złożone pisma i terminy, a także nazwiska przydzielonych panu Kociołkowi pełnomocników z urzędu.

– O, to ta. To jest sprawa przeciwko moim sąsiadom. Naruszają moją prywatność. Kłóć się, nadmiernie hałasują garnkami podczas gotowania i za głośno spuszczaają

wodę w toalecie.

Machnęłam ręką, gdybym nie znała mojego klienta. Skoro jednak istniało ryzyko pozwania mnie za taki gest, resztkami sił powstrzymałam się od niego.

– A ja tego mecenasa, co mordował, to owszem, też znałem – oświadczył z dumą mój rozmówca.

– Tak? – Nawet się specjalnie nie zdziwiłam. Pan Kociołek miał kontakt zapewne z większą liczbą prawników w Warszawie niż ja.

– Tak. Kiedyś też mnie obsługiwał. Zaraz pani powiem. – Mój rozmówca znowu zagłębił się w lekturze swojego zeszytiku. – Mecenas Dudek, prawda?

– Zgadza się. – Uznałam, że nie zdradzę żadnej tajemnicy, gdy potwierdzę tę informację.

– On reprezentował mnie przeciwko mojej byłej żonie, tej zdzirze porąba...

– Rozwód? – Zdziwiłam się. Chociaż z drugiej strony Dudek – prawnik typowo biznesowy – mógł z urzędu prowadzić nawet i takie sprawy.

– Nie, zadośćuczynienie za krzywdy moralne. Za lata poniżania. Równolegle była prowadzona sprawa karna o znęcanie, ale to już nie z mecenasem Dudkiem.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową. Bo cóż mogłam powiedzieć? Rozprawa była opóźniona, czekaliśmy z panem Kociołkiem na jej wywołanie. Czułam, że ścierpły mi nogi, więc wstałam z ławki i zrobiłam kilka kroków na korytarzu.

– Sam mecenas Dudek pana sprawę prowadził? – spytałam częściowo z ciekawości, a trochę też dla podtrzymania rozmowy.

Pan Kociołek znowu popatrzył w zeszyt, po czym przez chwilę się zastanowił.

– Zasadniczo sam. Raz tylko, pod koniec sprawy, przyszła taka młódka, zestresowana, powiedziała, że mecenas się spóźni i żeby prosić o odroczenie, bo ona nie może zastępować.

To było ciekawe.

– I kto to był? Pan pamięta nazwisko?

Pan Kociołek wzruszył ramionami.

– Jak nie mam w zeszycie, to nic pani nie powiem. Ale panią mam wpisaną – pogroził.

Poszłam się przejść na drugi koniec korytarza sądowego. Po powrocie zauważyłam, że mój rozmówca wyraźnie się rozmarzył.

– Wie pani mecenas, to były w zasadzie dwie sprawy karne, jedną ja założyłam przeciwko mojej byłej żonie, tej... co słów na nią nie ma, a drugą ona przeciw mnie – też o znęcanie. Że niby za głośno szeleściłam gazetą przy czytaniu. – Pan Kociołek westchnął głęboko. – Ech, to były czasy, pani rozumie. Wtedy z byłą żoną tylko między sobą mieliśmy ze dwadzieścia spraw. W jednym czasie! – podkreślił.

Pokiwałam głową. Tylko nie pytaj – powtarzałam sobie w myślach. Możesz usłyszeć coś, czego lepiej nie wiedzieć.

– I co się stało? – samo wyszło ze mnie.

– Zmarła zdzira, Panie, świeć nad jej duszą.

*

Po rozprawie (kolejna odrocзка) grzecznie pożegnałam się z panem Kociołkiem, po czym udałam się w kierunku sądowej szatni.

– Dzień dobry, pani mecenas. – Zatrzymał mnie stanowczy damski głos.

Spojrzałam niepewnie na jego właścicielkę. Była nią pani psychiatra, występująca w sprawie pana Kraśnika w charakterze biegłej. Siedziała przed jedną z sal sądowych, najpewniej czekając na wywołanie.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, po czym ruszyłam dalej.

– Pani mecenas, ja panią kojarzę.

Odwróciłam się. Pani doktor musiała wstać, bo zrównała się ze mną wzrostem.

Spokojnie potwierdziłam, że owszem, spotkałyśmy się w sprawie mojego klienta, pana Kraśnika.

Pani doktor pokręciła jednak głową.

– Nie, nie o to mi chodziło. Ja mam dobrą pamięć do twarzy, po tamtej sprawie zastanawiałam się, gdzie panią wcześniej widziałam. I już wiem. Pani siedziała na protokole podczas mojej prywatnej rozprawy o nękanie mnie i męża, dobre kilka lat temu. To wtedy nawet nie był oficjalnie mój małżonek.

Przyjrzałam się dokładnie lekarce i rzeczywiście, po odjęciu kilku zmarszczek oraz pasm siwych włosów można było dostrzec podobieństwo do oskarżycielki

posiłkowej w procesie, w którym uczestniczyłam. Uznałam, że to nic złego przyznać się do protokolowania tej sprawy.

– Czy pani wie, że naszej dręczycielki wtedy nie skazano? Została uznana za niepoczytalną – pani doktor kontynuowała temat. – Ale przynajmniej zamknęli ją na kilka miesięcy w szpitalu, a my wtedy sprzedaliśmy nasze mieszkanie i przeprowadziliśmy się pod zastrzeżony adres. Ale co się nacierpieliśmy, to nasze.

Moja rozmówczyni zachowywała się stosunkowo przyjaźnie, dlatego postanowiłam zadać jej pytanie, które najbardziej interesowało mnie w kontekście tamtej sprawy.

– Pani doktor, czy jest to możliwe, żeby mieć tak niszczącą obsesję w jednym obszarze życia? A jednocześnie dawać sobie radę we wszystkim innym? Tak, że nigdzie się to nie przejawia? Czy to częste?

Jej odpowiedź była nie do końca taka, jakiej mogłam się spodziewać.

*

Wieczorem zagadnęłam D. o specjalizację Olgierda. Oprócz standardów pojawiło się prawo ochrony środowiska. Coś zaświtało mi w głowie. Poprosiłam D. o umówienie nas z Olgierdem na lunch.

5 kwietnia, wtorek

Rano niespodzianka. Zadzwoił pan Kraśnik i miłym głosem poprosił o rozmowę ze mną. Siedziałam akurat nad moją ukochaną spółdzielnią, więc warknęłam zniechęcona do słuchawki, że nie widzę sensu. W końcu nie jestem już jego pełnomocnikiem.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Halo! – krzyknęłam pewna tego, że Otello się rozłączył.

– Pani mecenas. – Głos mojego rozmówcy był bardzo cichy, ale wyraźny. – Ja w weekend wziąłem leki, poczułem się lepiej i wczoraj poszedłem do sądu przejrzeć akta. Przeczytałem pani pismo i w końcu chyba zrozumiałem pani intencje. Wiem, że pani chciała dla mnie jak najlepiej i wygrać moją sprawę, ale proszę mnie zrozumieć, że te badania... te kontakty z nowymi lekarzami... to nic przyjemnego.

Pan Kraśnik tego nie widział, ale pokiwałam głową ze zrozumieniem.

– No cóż – rzekłam prawdziwie wzruszona. – Pana nowy pełnomocnik na pewno dobrze pokieruje tą sprawą...

– No właśnie, pani mecenas – przerwał mi pan Kraśnik. – Ja chcę, żeby nadal pani była moim adwokatem.

– To chyba, niestety, niemożliwe – odpowiedziałam uprzejmie. – Zostałam zwolniona, znaczy się, Mecenas Magier, którego zastępowałam, został zwolniony przez sąd z obowiązku reprezentowania pana w sprawie. Na pana wniosek zresztą. – Nie mogłam sobie podarować tej drobnej uszczypliwości.

– Pani mecenas, ale ja chcę, żeby pani była moim adwokatem z wyboru – oznajmił pan Kraśnik.

Tym zdaniem wmurował mnie w fotel. Przed oczami mignęła mi umieszczona w aktach sądowych informacja o stanie majątkowym potencjalnego klienta.

– Ale pan nie ma pieniędzy – wyrwało mi się.

– Nie mam – potwierdził pan Kraśnik. – Teraz nie mam. Lubi pani sztukę?

Nawet nie musiałam kłamać. Twierdząca odpowiedź wyrwała mi się z wnętrzości, nie czekając na to, co rozum podpowie.

– Jak pani wie, jestem malarzem. No powiedzmy, bo robię też w innych formach, zresztą nieważne. Teraz... nie za bardzo mi się moje prace sprzedają, ja ponadto nie mam głowy, żeby za tym chodzić. Oczywiście wstawione są do paru galerii, ale, no co tu mówić, ja tego nie pilotuję. Brak mi chęci, ale ja nie o tym. Mógłbym pani za pracę zapłacić jakimś obrazem. Może kiedyś będzie to bardziej chodliwe. Szczególnie po mojej śmierci powinna pani się odkuć... Co pani na taki barter?

Wciąęło mnie. Autentycznie mnie wciąęło.

– Muszę się zastanowić. Proszę zadzwonić jutro. Albo lepiej pojutrze.

– Dobrze, do usłyszenia.

*

– I co o tym myślisz? – D. miał nieodgadniony wyraz twarzy, gdy opowiadałam mu tę historię.

– Sam nie wiem. Ja bym się w to nie pchał, ale jak znam ciebie, to widzę, że chcesz w to wleźć. Obejrzyj może najpierw jego prace, zobaczysz, czy ci się podobają, czy w ogóle coś takiego chcesz mieć. Bo jak cię znam, to pewnie tego nie sprzedasz.

– A jak kwestie etyczne? – wyrzuciłam z siebie pytanie, które dręczyło mnie od rana.

– Jakie etyczne? – D. był zaskoczony.

– No wiesz, to był jednak, było nie było, klient Mecenasa. Nie mogę go podkraść.

Kąciki ust D. spadły w dół, podobnie jak i jego powieki. Potem jedno i drugie się uniosło i D. sapnął przeraźliwie.

– Jaki jego klient? – wyrzucił. – Urzędówka, którą z radością przerzucił na ciebie.

– Dobra, dobra – zaczęłam go obłaskawiać. – Chcesz obejrzeć film? Mamy ze trzy do wyboru na DVD.

Co tu ukrywać – nigdy zmiana tematu rozmowy nie poszła mi tak łatwo. Razem z D. wprost uwielbialiśmy leniwe wieczory z filmem.

*

Dzisiejsze domowe kino okazało się jednak niewypałem. Film był długi i nudny, wyłączyłam się mimowolnie ze śledzenia akcji już po kwadransie. Patrząc na uciechy fizyczne naoliwkowanych bohaterów, myślałam o tym, co usłyszałam wczoraj od pani psychiatry.

Osobowość borderline. Że też wcześniej o tym nie słyszałam. Może gdybym zajmowała się karnym, znałabym ten termin, w końcu wśród osadzonych w zakładach karnych odsetek ludzi z takim zaburzeniem jest kilkunastokrotnie częstszy niż przeciętna. A ja dopiero dziś sprawdziłam w Internecie. Wikipedia pawała, że to nadmiernie rozdęte superego, z drugiej strony pełnia kompleksów, nieszczęśliwe związki, wieczne pretensje do całego świata, ogólna złość i rozzalenie. Nagle poczułam dreszcze na całym ciele.

Opis idealnie pasował do mecenasa Dudka. On naprawdę mógł to zrobić. A ja, naiwna, głowią się nad jego ocaleniem.

6 kwietnia, środa

Pokój Moniki i Witka był trochę większy od naszego, ale za to zagracony dwiema ogromnymi szafami z aktami w stadium „tużprzedarchiwalnym”, które czekały na swoją emeryturę na antresoli. Do jednej z nielicznych zalet Moniki zaliczała się punktualność, dlatego nie zdziwiłam się, ujrzawszy ją za biurkiem zaraz po przyjściu do pracy. Twarz Moniki dopóty zatopiona była w pięknej bawełnianej chusteczce z wyhaftowanym fiołkiem, dopóki jej właścicielka nie zakończyła z godnością weń smarkania. Witka w pokoju nie było.

Zagadnęłam Monikę o młodkę pomagającą Dudkowi w jego urzędówce. Pomimo strzelania po omacku, trafiłam w dziesiątkę.

– To byłam ja – odparła powolutku i spokojnie, z właściwą sobie gracją muchy w smole. – Zadzwoił i poprosił o przysługę, więc poszłam. Akurat miałam po drodze, a on nie znał numeru komórki klienta – zakończyła, kaszląc miarowo jak Warszawa.

To był prawdopodobny scenariusz. Zdziwiło mnie coś innego.

– A skąd Dudek...

Przerwałam, bo Monika rzuciła mi piorunujące spojrzenie. Postanowiłam sprostać jej hiperpoprawności.

– A skąd mecenas Dudek miał twój numer telefonu? Dzwonił chyba do ciebie na komórkę, tak?

Trwało to znowu dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała.

– Ano miał. Jakoś tak kiedyś mu dałam. – Po czym znowu zaniósła się eleganckim kaszlem.

Kiwnęłam głową, bo cóż mogłam rzec? Ja „jakoś” Dudkowi swojego prywatnego numeru komórki nie dawałam.

– Jeszcze jedno. Kochana. – Wypowiedź złagodziłam zaraz po następnym ataku kaszlu Moniki. – Czy twoim zdaniem mecenas Dudek nie był taki trochę dziwny? No wiesz, rozchwianie emocjonalne, szybko się napalał, szczególnie na nowe interesy? A

potem rozpacz, jak nie wychodziło, jak się spodziewał, ogólne poczucie pustki w życiu i zawiedzenia? Naprzemienne up'y i down'y?

Znad biurka spojrzały na mnie przekrwione oczy. Monika powolnym ruchem wyjęła kolejną śnieżnobiałą chusteczkę z wykaligrafowanym nicią monogramem i dostojnie ją zabrudziła.

– Ty się przyjrzyj obiektywnie swojemu życiu – powiedziała spokojnym głosem o barwie metalicznego garnka, pod którego szczelną pokrywą buchał wrzątek. – Co osiągnęłaś, a właściwie nie, czy jesteś na przykład zadowolona z aktualnej pracy, czy masz męża i dzieci, czyli to, co ogół społeczeństwa nazywa szczęściem rodzinnym. Przyjrzyj się i porównaj z innymi, a potem odpowiedz sobie, czy nie odczuwasz pustki. I wiedz – dodała nieświadoma, że ślina leci po jej brodzie – że jeślibym miała wskazać kogoś znajomego rozchwianego emocjonalnie, to na pierwszym miejscu nie byłby mecenas Dudek, ale na pewno ty.

*

Mecenasa nie było rano w pracy, z informacji uzyskanych od pani Zosi wynikało, że w kancelarii może go dziś w ogóle nie być, chyba że późno. Nie miałam ochoty ryzykować, wykręciłam numer jego komórki. Taka forma kontaktu z nim wybitnie mi odpowiadała, przez telefon raczej mnie nie udusi.

Był dosyć zaskoczony moim telefonem, czemu nie należałoby się dziwić, biorąc pod uwagę fakt, iż dzwoniłam do niego po raz pierwszy podczas mojej kilkuletniej pracy w jego kancelarii. Starłam się mu streścić sytuację z panem Kraśnikiem w roli głównej. Przerwał mi po paru słowach, mówiąc, że myślał, iż temat jest już zakończony. Ewidentnie nie miał czasu, chyba był w drodze. Szybciutko przedstawiłam mu zatem propozycję pana Kraśnika, skierowaną do mnie i poprosiłam o zezwolenie na przejęcie zlecenia. Otrzymałam niecierpliwą zgodę, po czym Mecenas się rozłączył.

*

D. nie potrafił zrozumieć celu dzisiejszego ćwiczenia telefonicznego. Próbowałam mu zobrazować to, że jeżeli podstawiali mi klienta na ewidentnego wabia, to o pana Kraśnika też się mogli przyczepić, ale tylko wzruszył ramionami.

Prawdę mówiąc, ja sama zaczęłam się w tym lekko gubić. Nic to, wartością dodaną tej rozmowy było ustalenie, że w piątek idziemy na lunch z Olgierdem. Poprosiłam D. o upewnienie się, że jego kolega dotrze na posiłek w stanie używalności, na co on obruszył się, mówiąc, że u nich nie pracuje się po pijaku. Odpowiedziałam mu szorstko, że jeżeli on sugeruje, że w mojej kancelarii tak się dzieje, to jest w błędzie. Na to D. mi odparsknął, żebym nie wkładała mu w usta słów, których nie wypowiedział.

W tak anielskiej atmosferze spędziliśmy pół wieczora. Przez pozostałe pół próbowaliśmy się pogodzić.

7 kwietnia, czwartek

– Niejaki pan Maciejski to twój klient?

Wizyta Lusi w moim pokoju otworzyła kolejny pasjonujący dzień pracy. Już wcisnęłam się za biurko, ona stała przed drzwiami, biorąc zatem pod uwagę rozmiary kanciapy, umiejscowione byłyśmy niejako naturalnie w ten sposób, że mogłam podziwiać jej podbródek i niewiele więcej czarującej osoby.

– Aha. Były. A co? – zaczepnie zagadałam falujące podgardle.

– Czemu były? – Luiza miała fazę dociekliwości.

– Bo już mnie nie kocha. – Ja z kolei nie miałam fazy wylewności. Przyglądałam się za to z uwagą małemu lusterku powieszonemu na szyi koleżanki. Praktyczne rozwiązanie, można sprawdzić makijaż w każdej chwili, w sumie fajne, gdyby nie te utrudniające widzenie rysy na powierzchni, układające się w kształt chrząszcza. Zaraz, to nie było kieszonkowe lusterko, to monstrualny srebrny wisior, który się zaczął w dodatku poruszać. Zerknęłam w górę. Lu-sia przemówiła.

– Dlaczego?

– No rusz mózgiem, dlaczego klient może nie kochać swojego prawnika? Przecież nie dlatego, że mu niesmaczne placki smażyć! Sprawę mu przegrałam.

– Obiektywnie czy nie?

Obiektywne przegranie sprawy było, gdy istniała szansa innych kolei losu, ale zawalił pełnomocnik. Subiektywnie przegrywało się sprawy nie do pociągnięcia przez nikogo, ale gdy klient chciał, żeby z wyłącznie jemu znanych powodów je prowadzić.

– Trudno powiedzieć. Myślałam, że wygram. A dlaczego pytasz?

– Naprawdę nie muszę ci się tłumaczyć.

Może kiedyś Luiza naprawdę zostanie współnikiem tej kancelarii, ale zachowania Zawidzkiej ma już teraz.

– Puk, puk! – Do pokoju wszedł Witek z kawą w ręce, onomatopeją w ustach i Tobim przy nodze.

- A gdzie Ala? – zaciekałam się.
- W sądzie. Zostawiła mi psa. Dlaczego pytasz?
- Potrzebna mi. Kiedy wróci?
- Skąd mam wiedzieć? Ola?
- Urlop.
- Gdzie?
- Kanary. A Monika?
- Chora.

Przez chwilę Witek bawił się z psem Ali w moim pokoju po cichu, ale długo tak nie wytrzymał.

– O co chodziło tej wariatce? – Pytanie ewidentnie mierzone, choć wydawało się, że padło od niechcenia.

Drzwi do mojego pokoju były lekko uchylone. Wietrzyłam podstęp.

- Nie wiem, o kim mówisz – sprytnie odpowiedziałam.
- Proszę, nie udawaj, że nie rozumiesz po polsku.

Wstałam i poszłam do łazienki pod pretekstem wymycia kubka od herbaty.

Byliśmy jedynymi osobami na piętrze.

– Spokojnie, sprawdziłem, zanim wszedłem do ciebie. Lusia gdzieś wybyła. Pewnie do swojego klienta, pana Bijaka.

Pana Bijaka? Czy tak nie nazywał się sąsiad pana Madejskiego?

Dowiedziałam się, że Lusia, najwyraźniej znudzona swoim nadmiernie długim terminowaniem u Mecenasza Magiera, planuje escape z roboty. Teraz jest na etapie kolekcjonowania klientów. Pan Piotr Maciejski pokrzyżował plany i Bijaka, i Lusi. Oni byli umówieni, że razem przeprowadzą inwestycję, a Luśka dostanie parter w tej chałupie na własną kancelarię. W dobrym miejscu, jeden klient na start blisko, na pięterku, cóż więcej potrzeba? A teraz wszystko się odwlecze, bo znaleźli jakieś zabytkowe skorupy czy inne monety i robią im stanowisko archeologiczne centralnie na środku działki. Maciejski lekcję odrobił świetnie, ściągnął nie tylko wszystkie możliwe służby, ale jeszcze media, więc sprawy nie da się ot, tak zamieść pod dywan. A przynajmniej będzie to trudne.

Chyba miałam jakieś omamy. Luiza najwyraźniej popełniała adwokacki grzech śmiertelny, tzn. wchodziła w ewidentny konflikt interesów. O ile bowiem dobrze kojarzyłam, pan Maciejski był pierwotnie jej klientem, reprezentowała go nawet przed WSA w sprawie tego pozwolenia.

– A skąd ty wiesz o tych rzeczach?

– Od wspólnika.

– Lusi?

– Nie, z tego co wiem, ona nie planuje wspólników. Mojego.

Okazało się, że Witek jest nieformalnym współpracownikiem swojego kumpla, doradcy podatkowego, który – przez przypadek oczywiście – obsługuje interesy pana Bijaka. W związku z tym zamierzenia inwestycyjne tego pana są mu doskonale znane. Jako że Witek może się formalnie usamodzielić zawodowo dopiero za kilka lat, klienta od strony prawnej przejęła do obsługi Luiza. Biorąc pod uwagę fakt, iż znała już część problemów pana Bijaka od drugiej strony, nie było to dla niej nadmiernie trudne.

Co więcej, Witek podzielił się ze mną wiedzą, co Luiza robiła feralnego dnia, tj. siódmego marca w czasie zamordowania Sońskiego. Otóż była wtedy na lunchu, prawdopodobnie ze swoim drugim potencjalnym klientem. Witek jego nazwiska nie zna, ale podobno jakiś wyjątkowo niewyglądny, dlatego prędzej mocodawca niż kochanek. Jedli w „Porto Praga”, widział ich cichy wspólnik Witka, który tam znowu umówił się ze swoją konkubiną.

Myślałam, że pęknę. Znajomi z pracy planują aktywnie swoją przyszłość zawodową, a ja jak głupia stoję w miejscu. Obiecałam sobie po raz setny w tym roku, że dziś na pewno przynajmniej przejrzę w Internecie ogłoszenia o pracy.

Popatrzyłam tępo na telefon, przy „czwórce” świeciła się diodka. Ejże, czy to nie linia Witka? Który jest u mnie w pokoju?

Zapytałam, usłyszałam potwierdzenie. Mój wyraz twarzy musiał wtedy przedstawiać niezmiernie zdziwienie, skoro mój rozmówca postanowił poznać przyczynę tak ogromnego szoku.

Opowiedziałam o historii z zajętą diodką Mecenasa o godzinie drugiej szesnastie

feralnego dnia, na co kolega aplikant narysował symboliczne kółeczko na swoim czole. Po czym poinformował mnie, że diodka świeci się nie tylko podczas rozmowy, ale również wtedy, gdy ktoś z zewnątrz usiłuje się dodzwonić na bezpośredni numer do określonego prawnika. Oraz wyraził zdziwienie, że nie znałam tak podstawowej informacji.

Po wyjściu Witka z pokoju znowu wyjęłam swój kalendarz. Uzupełniłam dane dotyczące Luizy i Mecenasas, a potem zasepiłam się mocno.

Wychodziło mi, że mordowali albo Monika, albo Mecenas, albo Zawidzka, przy czym mogli to zrobić parami albo nawet w trójkę, przy sprzyjających wiatrach, w dodatku mając za pomocników i/lub niepotrzebne skreślić wyręczycieli braci z ojcem. Ale jaki motyw? Mecenas i Zawidzka może dla kasy, ale z drugiej strony, oni pieniądze już mieli, ustawieni byli na jakimś poziomie do końca życia, nie mordowaliby chyba dla głupich stu tysięcy? Czy nawet pięciuset? Dla tylu to ja bym mogła mordować albo pani Zosia na przykład, ale nie oni. Zresztą rozum swój mają, więc pewnie nie zainwestowali całego majątku w interesy nieruchomościowe Sońskiego... Sama nie wiem.

Kompletnie nie pojmuję, jaki motyw mogłaby mieć Monika. Finansowo nie błyszczała, z tego, co wiem, mieszkała w wynajętym mieszkaniu, samochód jakiś grat, więc w inwestycje chyba też się nie pchała. Uczucie? Pewnie tak, ale do kogo? Soński? Dudek? Dała mu przecież swój numer telefonu... A może... Mecenas?

No i jaki był w tym udział braci Werdorf? Po co chcieli się skontaktować z Mecenasem? Ustalić zeznania?

Nagle dotarło do mnie, jak bardzo byłam nierozważna. Bałam się głównie Mecenasas, a Monice w sytuacji sam na sam osobiście wpakowałam się do gabinetu. I nic, ani jeden nerw mi wtedy nie zadrgał, ani jednak kropelka potu ze mnie się nie wytoczyła... Jednak ignorancja to najprawdziwsze błogosła-wieństwo, ja teraz chyba oszaleję w robocie z unikaniem tych potencjalnych morderców. Dobrze, że chociaż Monika łaskawie się rozchorowała i nie przychodzi do kancelarii...

Hola, hola, po zastanowieniu się doszłam do wniosku, że bez sensu jest mnie mordować, zasadniczo przecież nikomu na odcisk nie włożę, a w swoim, pozał się

Boże, śledztwie, stoję w miejscu jak samochód w korku na Marszałkowskiej.

Z rozmyślań wybudził mnie dzwonek telefonu. To był znowu pan Kraśnik. Umówiliśmy się na oglądanie obrazów u niego w najbliższą sobotę.

Patrząc w kalendarz, uświadomiłam sobie, że jestem na podobną godzinę umówiona z Ewką na zamawianie weselnego tortu. Z dwojga atrakcji zdecydowanie lepiej prezentowała się wizyta w prawdziwym atelier rasowego artysty plastyka, nawet jeśli był on zarazem autentycznym wariatem. Ale za to z nutą pełnego pasji romantyzmu.

PROTOKÓŁ

Warszawa, dnia 7 kwietnia XXXX r.

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa XXXII Wydział Cywilny w składzie:

Przewodniczący SSR Maria Ochódzka-Natrebko

Protokolant: Olga Łusińska

na rozprawie rozpoznał sprawę z powództwa Spółdzielni Mieszkaniowej „Słoneczna Polana” z siedzibą w Lesznowoli przeciwko Janowi Niezgubskiemu o eksmisję. Posiedzenie rozpoczęto o godz. 08.45. Po wywołaniu sprawy stawili się: W imieniu powoda aplikant adwokacki Alicja Rosiak z substytucji adwokata Zuzanny Zawidzkiej, ustanowionej w sprawie.

Pozwany osobiście wraz z pełnomocnikiem ustanowionym z urzędu adwokatem Olgą Machnio.

Pełnomocnik powoda popiera powództwo, wnosi o eksmisję pozwanego z zajmowanego przez niego lokalu mieszkalnego nr 4 znajdującego się w budynku przy ul. Warszawskiej 30 w Lesznowoli oraz zasądzenie kosztów procesu według norm przypisanych.

Pozwany wnosi o oddalenie powództwa, ewentualnie o przyznanie lokalu socjalnego.

Przewodnicząca zachęca strony do polubownego rozwiązania sporu.

Pełnomocnik powoda oświadcza, że nie widzi takiej możliwości.

Pozwany prosi o serce i sumienie – Sądu i Spółdzielni.

Sąd postanowił przeprowadzić dowód z przesłuchania stron, ograniczając to do strony pozwanej.

Staje pozwany Jan Niezgubski, lat 64, z zawodu spawacz, obecnie emeryt, zamieszkały w Lesznowoli, niekarany za składanie fałszywych zeznań.

Przewodnicząca stwierdza tożsamość pozwanego na podstawie dowodu osobistego nr AGU125673.

Pozwany Jan Niezgubski: Wysoki Sądzie, proszę o łaskę, nawet nie dla siebie, ale dla bożej istoty. Mam psa, starego jak ja, bo dwunastoletniego, owczarek alzacki. Dwa lata temu zachorował. Parwowiroza, potem nosówka, do tego świerzp. Leczyłem go u najlepszych i najdroższych weterynarzy, nawet do Piaseczna z nim jeździłem. Wszystkie pieniądze szły na psa, a moja emerytura niewysoka. Nie mam rodziny, pies jest dla mnie wszystkim, muszę nadal go leczyć. Dorabiałem jako ochroniarz, ale teraz mam chory kręgosłup, przeszedłem gruźlicę, nie mogę już pracować. Nie mam z czego płacić rachunków. Proszę o niepogarszanie moich warunków życia, bo pies tego nie znieś, a do schroniska go nie oddam!

W tym miejscu pełnomocnik powoda podnosi, iż widzi możliwość polubownego rozwiązania sporu, wnosi o odroczenie rozprawy bez terminu.

Pozwany także wnosi jw.

Sąd postanowili

1. rozprawę odroczyć bez terminu,
2. zobowiązać stronę powodową, aby w terminie 14 dni wskazała na stan negocjacji ugodowych oraz ewentualne ustalenia,
3. dalsze czynności podjąć po upływie terminu wskazanego w pkt. 2.

Posiedzenie zakończono o godz. 09.35.

Przewodniczący: Protokolant:

8 kwietnia, piątek

Sambor wysłał mejl, w którym grzecznie poprosił o spotkanie. Możliwie szybko, ale dopiero w przyszłym tygodniu, bo dziś po pracy jedzie w Polskę do rodziny. Ustaliliśmy termin na poniedziałek, miał podjechać do mojego miejsca pracy i zabrać mnie do jakiejś przytulnej kawiarni w celu omówienia problemu.

Mój samochód charczał za każdym razem, gdy przekręcałam kluczyk w stacyjce, zamówiłam więc wizytę w warsztacie na sobotę rano. Założenie było takie, że mieliśmy tam pojechać z D. dwoma samochodami, zostawić mój do naprawy, zapakować się do hondy D., podjechać do atelier pana Kraśnika, dokonać oględzin jego wizji sztuki, zapakować się ponownie do samochodu D., po czym miał mnie on odwiedzić do cukierni wybranej przez Ewkę, która łaskawie zgodziła się przesunąć termin oglądania tortów. Stamtąd do domu miała mnie podrzucić sama panna młoda, ewentualnie jej przyszły mąż, jeżeli zdąży do nas dojechać.

Jutro zapowiadało się więc ciekawie, w przeciwieństwie do dziś.

Od rana tłukłam jakieś mało istotne głupoty, które jednakże ktoś musiał zrobić. Oli nadal nie było w pracy, wylegiwała się pewnie gdzieś w ciepłych promieniach słońca Fuerteventury. Oby wypoczęła jak najlepiej... A tak w ogóle, nie chwaliła się, z kim leci na te Kanary...

Wtedy zdałam sobie sprawę, jak mało w istocie wiem na temat mojej koleżanki z pokoju. Choćby ta ostra wypowiedź do Magdy, która wydawała się osobą, co to by muchy nie skrzywdziła. Usiłowałam podpytać Olę o tę sytuację, ale ucinała temat. W ogóle Ola niewiele mówiła o swoim życiu prywatnym, nie orientowałam się na przykład, czy i kogo ma w tej chwili. Albo kiedykolwiek miała. Lub planuje mieć. Było to o tyle dziwne, że uważałam ją za dobrą koleżankę. Taka wersja znajomości z jednostronnie chronioną prywatnością. Cóż, jej sprawa.

*

– Pani Zosiu, wychodzimy z Alą na lunch.

– Zaraz, to już chyba pani... drugi raz? – Pani Zosia uśmiechnęła się cynicznie.

– Zgadza się. Ja po jedzeniu lecę jeszcze na Ogrodową, bo muszę sprawdzić w sądzie coś w aktach.

– A ja wrócę – dodała szybkoitko Ala.

Spacerkiem dotarliśmy w cztery minuty do Subwaya, gdzie stolik okupowali już D. z Olgierdem.

– Witam panów – zaczęłam oficjalnie. – To Ala, moja koleżanka z pracy. Idziemy coś kupić, a potem się do was dośiędziemy.

Pokiwali głowami, przeżuwając w ciszy kęsy kanapek. Po naszym powrocie do stolika, przez chwilę rozmawialiśmy o niczym, po czym przystąpiłam do dzieła.

– Alu, Olgierd specjalizuje się w prawie ochrony środowiska. Opowiedz mi, proszę, o perypetiach twojej spółdzielni, związanych z wycinką spróchniałych jarzębin. Może będzie mógł ci pomóc.

*

Stałam sobie co najmniej kwadrans przed wejściem do Sądu na Ogrodowej i plotkowałam w najlepsze ze spotkaną tam przez przypadek koleżanką. Ona paliła czynnie papierosa, ja tylko biernie, znajoma lubiła dźwięk własnego głosu, więc rozmowa sama się toczyła między naszymi oddechami, a zużyty dwutlenek węgla był non stop rozwiewany przez postacie wchodzące lub opuszczające budynek, bo stanęliśmy idealnie w drzwiach. Towarzystwo nie przeszkadzało nam wcale, śmiałyśmy się często i może nawet za głośno, ale rozrywkowy charakter poruszanych tematów mógł stanowić pewne usprawiedliwienie dla takich nastrojów.

– Ale, ale, żeby nie zapomniała – cmoknęła mi to prawie w ucho, gasząc jednocześnie papierosa na kostce Bauma. Żegnałyśmy się chyba już czwarty raz, ale tym razem wydawało się, że ostatni. – Wczoraj miałam urzędóweczkę, wiesz, z Wami.

Wyprostowałam się nagle. Jakimi nami? Ja wczoraj w sądzie akurat nie byłam, a D. zasadniczo nie był procesowy, więc o kogo jej chodziło.

Koleżanka zobaczyła moją niewyraźną minę i sama z siebie pośpieszyła z pomocą.

– No, z tą Alicją od was z pracy. Po Zawidzkiej ją poznałam. Substytucję jej miała.

Zaraz, Alicja... Ach, Ala!

– No i ona – kontynuowała znajoma – to wiesz, jakaś zdrowo pieprznęta jest, ci powiem. Ja tam jej koło pióra robić nie będę, ale może dyskretnie jej przekaż, bo ktoś się mniej wyrozumiały trafi i do rady ją podkabluję, dyscyplinarce będzie miała. Gdzie stoisz?

Przechodziłyśmy już przez bramę kamienicy oddzielającej budynek sądu od ulicy Ogrodowej. Machnęłam ręką w kierunku Woli.

– A ja przeciwnie. Ale nic, odprowadzę cię. Czekał, tylko papierosa podpałę. Grzecznie postąlam, ciekawa historii.

– No więc ta Alicja – ona jeszcze aplikantką jest, tak? Bo bez fartuszka była.

Kiwnęłam głową, jednocześnie lustrując zawartość wystawy cukierniczej. Boże, jakie piękne paczki wiedeńskie tam były!

– No ona to szaleju dosłownie na rozprawie dostała. – Koleżanka przerwała moje rozmyślenia. – Wiesz, to zwykła sprawa o eksmisję była, mój klient czynszu nie płacił, jakieś tam usprawiedliwione okoliczności w tym zakresie wystąpiły, chory on i jego pies, ale obiektywnie mówiąc, szykowałam się raczej do przegranej. Mojego klienta, oczywiście, no i apelacji. Wiesz, urzędówka, nie ma wyjścia, walczyć trzeba.

Znajoma zaciągnęła się papierosem. Dochodziłyśmy do skrzyżowania z Wronią.

– Na rozprawie ten mój klient się rozgadał. Wiesz, o psie, wszystkie jego choroby wymienił, jakaś nosowacizna-pstrycizna, jednym uchem słuchałam, bo ja się na tym nie znam. Tylko mnie się rzuciło, że on te dolegliwości zwierzęce chyba bardziej znał niż swoje. Ale to może takie wrażenie. W lewo, prawo?

– Lewo.

– Ale ten mój klient to nic w porównaniu z tą waszą Alicją. W gigaamok wpadła. Obłąd w oczach, zaczęła się jąkać, rzucać, sąd ją musiał usadzać i przerwę na ostudzenie emocji zarządził. Kompletna nieprofeska, szok w kok, mówię ci! A co mi tam, jeszcze jednego zapalę.

Koleżanka wyjęła z paczki kolejnego papierosa. Mogła spokojnie delectować się jego smakiem, bo stałyśmy już przed moim wozem.

– Ale to nic, najlepsze było na tej przerwie. Wiesz, bez mojego pośrednictwa, wprost podeszła do tego gościa, mojego klienta z urzędu, znaczy się, i zaczęła go

wypytywać o szczegóły tych psich chorób, lekarstwa, weterynarzy i takie tam. A ja stałam tuż obok, ale jakby mnie nie było. Ty wiesz, ona z nim ustaliła, że pogada ze spółdzielnią, coby rozłożyli mu spłatę na raty, zmienili mu mieszkanie na mniejsze albo co. Jakaś ugoda! I to beze mnie ustalała!

Dla mojej koleżanki najwidoczniej największą ujmą na jej adwokackim honorze było to ostentacyjne lekceważenie jej osoby przez aplikantkę z naszej kancelarii.

– No to ja lecę, kochanieńka. – Cmoknęła mnie znowu jakieś pięć centymetrów od policzka. – Musimy się koniecznie zdzwonić na jakąś kawkę. A tak w ogóle to masz mój nowy numer telefonu?

Nie byłam pewna, czy posiadam stary, jednak wolałam się z tą informacją nie wychylać. Pokornie wyciągnęłam swoją komórkę i wklepałam w nią podawane przez znajomą cyfry. Potem po krótkim zastanowieniu, już w samochodzie opisałam świeżo uzyskany numer jako „Adwokat psy”. Kurczę, będę musiała zapytać Alę, jak ta znana mi głównie z twarzy koleżanka się nazywa.

9 kwietnia, sobota

Chodziliśmy po pracowni pana Kraśnika już dobry kwadrans, od czasu do czasu wymieniając uwagi na temat poszczególnych prac. Powoli pojmowałam istotę problemów związanych z ich sprzedażą. Otóż duża część z nich to były okazałych rozmiarów instalacje przestrzenne, całkiem fajne do oglądania, ale hm... trudno zbywalne. No chyba że do jakiegoś biura, ale tam raczej królowała tradycja i konformizm. A prace pana Kraśnika były na wskroś nowoczesne.

Właściciel domu zaproponował kawę, ale tam rzeczywiście nie najlepiej pachniało, oględnie mówiąc, i jakoś nie chciało nam się pić. Nadal szukałam jakiegoś obrazu dla siebie – takiego, który by krzyczał „weź mnie” i najlepiej sam wszedł mi w ręce. Niestety, wrzeszczącego i wążącego arcydzieła nie mogłam znaleźć.

Widząc moją minę, zdesperowany Otello wysunął pakiet starszych prac. Stały oparte razem o ścianę pracowni, a autor odkrywał po kolei każdą z nich. Nagle otworzyłam bardzo szeroko oczy ze zdumienia i autentycznie zamarłam. Po chwili ocknęłam się i poprosiłam pana Kraśnika o przeniesienie do okna obrazu, który wywarł na mnie tak wielkie wrażenie. Na twarzy mojego klienta malowała się z pewnością ulga – oto znalazło się coś, co byłam w stanie zaakceptować jako zapłatę.

Grzecznie zapytałam, co przedstawia obraz.

– Stara historia, proszę pani – odpowiedział pan Kraśnik. – Dostałem zlecenie namalowania tej pary. Zazwyczaj takiej chałtury nie biorę, ale to byli po pierwsze koledzy znajomych, znaczy się ona. – Wskazał na namalowaną na płótnie postać żeńską. Po chwili kontynuował.

– Po drugie, zostawili mi swobodę artystyczną, jedynie zależało im na kolorystyce. Wie pani, ludzie zazwyczaj chcą, żeby mogli powiesić potem dzieło w salonie, czyli na przykład nie w fioletach. Po trzecie, nie będę ściemniać, potrzebowałem wtedy akurat kasy...

– To co to tu u pana nadal robi? – D. zainteresował się obrazem.

– Niech mi pan nie przypomina! – Pan Kraśnik ze złością machnął ręką. – Oni –

znowu wskazał ręką na parę na obrazie – podczas malowania się rozstali. Chyba nawet rozwiedli, tak kompletnie. No i żadne z nich nie chciało odebrać portretu ani za niego zapłacić. A ja umowy podpisanej nie miałem, bo to w końcu jakby znajomi. Poza tym, co tu gadać, trochę umówiony termin przekroczyłem, on mi to wypomniał, prawnik zafajdany... O przepraszam.

– Nic nie szkodzi – odparł grzecznie D., teraz także wpatrujący się w obraz.

– No więc jakaś moja wina w tym jest, nie wypieram się. Tyle z tego miałem, co ich marna zaliczka, reszta – bujaj się, Fela. A i konterfekt u mnie został, bo wyrzucać szkoda...

Pokiwałam głową. Praca była rzeczywiście ciekawa, choć odbiegała w konwencji od pozostałych dzieł artysty. W pełnym realizmie przedstawiała kobietę i mężczyznę siedzących przy stole. Ona piła kawę, on palił papierosa, siedzieli niby blisko, ale jakoś odchyleni od siebie. Żadne z nich nie patrzyło na drugie. Twarze zmęczone, ubrani niedbale, tak jakby lekko wymięci. Pan Kraśnik pięknie ujął to stadium związku tuż przed rozstaniem, kiedy to uczucie kompletnie wygasło, a ludzie są ze sobą chyba z czystego przyzwyczajenia. Obraz ewidentnie był dowodem na to, że mój potencjalny osobisty klient znał podstawowe malarskie rzemiosło, a pozostałe znajdujące się w atelier abstrakcje wykwitły na tej bazie.

To jednak nie wartości artystyczne spowodowały, że ta praca zwróciła moją szczególną uwagę. Ja po prostu znałam osoby tam przedstawione.

Mężczyzną bez wątpienia był mecenas Dudek, przebywający obecnie w areszcie przy ulicy Ciupagi. Kobietę przedstawioną na obrazie widziałam natomiast jeden raz w życiu. Było to niedawno, jakieś trzy tygodnie temu na Powiślu przy BUW, szła obok Magdy.

*

W drodze do cukierni zdążyliśmy się z D. porządnie pokłócić. Usłyszałam, że mam naprawdę nierówno pod czerepem. On, D., absolutnie sobie nie życzy, ażeby takie coś wisiało u nas w mieszkaniu. Spraw rozwodowych nie chcę brać, żeby złych emocji nie przenosić na związek, a będę nieustannie się gapić na wizerunek pary w stanie rozkładu? Mam nie otwierać ust, on wie, że nie fizycznego rozkładu, nie trupy

przecież, ale uczuciowego. Porąbało mnie kompletnie, może to jednak prawda, że mam z Dudkiem romans, albo się przynajmniej w nim sekretnie podkochuję, bo to nie jest normalne, żeby facjatę kumpla z pracy wieszać w domu na ścianie. I to jeszcze mordercy!

I po raz kolejny – po co mi to? Zamiast uczciwie podorabiać, jakieś fuchy pobrać, ewentualnie doktorat skończyć, to ja się zabawiam w detektywa po godzinach! Ot, taka tam, zagadeczką, zwykła zbrodnia na boku. Gie go obchodzi moja motywacja, nie, nie da mi dojść do słowa, bo co ja niby mam do powiedzenia? Że mnie to interesuje, że to ciekawsze niż wszystko, co dotąd robiłam, a co to niby ma być? Czy ja się z choinki urwałam, wyzwania w pracy to ma James Bond, a nie zwykły szary człowiek, tu trzeba na coś do garnka zarobić i nowy samochód, bo mój się sypie, ale panienska woli za psychopatami z piórkiem nie powie gdzie latać!

Poza tym w co ja gram? D. ośmieszył się przed Olgierdem kompletnie, bo ja chcę sobie jako swatka od siedmiu boleści dorabiać! Żeby dorabiać, żeby jakieś pieniądze z tego były, a tu nic, tylko wstyd i blamaż! Nie, Olgierd się wprost nie skarżył, jest na to zbyt dobrze wychowany, ale każdy widział, że to grubymi nićmi szyte. A ta Ala to z daleka widać, że idiotka, może i ładna buzia, to nie ma nic do rzeczy, Olgierd mimo że leci w kierunku kariery alkoholika, to całkiem łebski, chyba z konia spadłam, żeby ich kojarzyć.

Z tym kojarzeniem przesadził. Oczywiście, D. znał mnie zbyt dobrze, żeby nie domyślić się, iż akcja z Alą na lunchu nie była przypadkowa. Ale przecież miałam dobre intencje, a rozmowa – ku mojemu zaskoczeniu – całkiem się kleiła. Więc bez przesady! Co też mu powiedziałam. A on sam, D., ślepy jak kura po zmroku, złota przed sobą nie widzi. Sprawą się zajmuję, bo w końcu znalazłam coś, co mnie porwało, każdy to dostrzega, choćby ślepy kretoszczur, a on nie! Chodzę w emocjach, niby piękniejsza się stałam, wszyscy tak gadają, nawet gościu w szatni Najwyższego tak mówi, ale on oczywiście nie! Nie, nie i jeszcze raz nie, żadnej szminki nie zmieniałam, na botoksie oszczędzam, czy on nie widzi, że to śledztwo mnie kręci? No człowieku!

Żeby bardziej zdenerwować D., wyszłam z jego samochodu, bardzo mocno

trzaskając drzwiami. Wiedziałam, że – jak każdy mężczyzna – zaraz potem wpadnie w szal, ale ponieważ najbliższe godziny i tak miał spędzić nie ze mną, miałam to w nosie.

Do cukierni weszłam nabuzowana złymi emocjami. Przy stoliku w kącie siedziała Ewa otoczona wianuszkami kobiet, wśród których rozpoznałam jej mamę, siostrę i bratową. Przed nimi kelnerka stawiała na oko dziesięć talerzyków z kawałkami tortu.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziałam zamiast „dzień dobry”. – Ale chyba niczego nie przegapiłam?

*

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu (i jeszcze większej uldze) okazało się, że nie dotarłam ostatnia na słodką konsumpcję. Po około kwadransie do stolika dołączyła rezolutna babka lat około trzydziestu pięciu, średniego wzrostu, o niesamowicie bladej cerze. Obcałowała się ze wszystkimi, a potem wyciągnęła do mnie rękę.

– Zbroińska – przedstawiła się.

Hm. Krótko i rzeczowo. Powiedziałam swoje imię i nazwisko. Czarne oczy nagle wydały się bardziej zainteresowane, starannie wytuszone rzęsy zatrzepotały kilka razy, a wymalowany na krwisto paznokieć małego palca wyraźnie drgnął.

– A, pani świadek – skwitowała właścicielka rzęs i paznokcia.

Co w takiej sytuacji można odpowiedzieć? Wzruszyłam ramionami i dopytałam o imię. W odpowiedzi usłyszałam zdziwienie, że jak to, nie znam? Ewka chwyciła mnie pod stołem za rękę i oznajmiła, że musi skorzystać z toalety. Zrozumiałam aluzję i poczłapałam tam za nią.

– To siostra Wiktora – syknęła mi na ucho nad umywalką. – Wybacz jej, jest trochę do ciebie uprzedzona. Miała nadzieję, że to ona zostanie świadkiem, ale to szczyt wredoty, prędzej bym chyba pękła. No, ale najwyraźniej ma jakiś żal do ciebie.

Zdziwiłam się. Do mnie? Przecież ja się sama nie wybierałam. Już prędzej powinna mieć pretensje do Ewki!

– Jak ona w ogóle ma na imię? – zapytałam.

– Kornelia. Ale ona zawsze przedstawia się samym nazwiskiem i wszyscy na nią mówią per „Zbroińska”. Nawet rodzina.

Jedyną kobietą, którą również wszyscy określali z samego nazwiska, była Zawidzka. Widocznie ten sposób tytułowania był zarezerwowany dla „najmilszych z najmilszych”.

Swoją drogą, w jaką rodzinę wchodzi Ewka? Brrr...

Pomijając tę niezręczną sytuację, muszę stwierdzić, że próbowanie tortów było chyba najmilszym obowiązkiem świadka, tyle że – podobnie jak z sukienkami – już po trzecim kawałku straciłam rachubę i wszystko mi się mieszało. Ostatecznie jednak Ewa zdecydowała się na tort cytrynowo-czekoladowy ustrojony bitą śmietaną, co każda z nas uznała za perfekcyjny wybór. (A może to było ciasto waniliowo-truskawkowo-kawowe? Naprawdę nie pamiętam.) Z duszą na ramieniu otworzyłam drzwi do naszego mieszkania. Było czyściutko, jak zawsze po przyjściu pani Larysy. D. siedział przed telewizorem z piwem w ręce. Oglądał mecz.

– Kto wygrywa? – starałam się miło zagaić.

– Nasi – padło z fotela.

– Którzy nasi?

Po podniesionych brwiach D. zdałam sobie sprawę, że chyba nie było to dobre pytanie.

*

O ósmej wieczorem zadzwonił telefon. To była Ewa.

– Jak tam atmosfera w domu? – zaczęła bez ogródek. Przy torcie chałwowym opowiedziałam jej o kłótni z D.

– Okej, chyba dojdziemy do siebie – odpowiedziałam. – Miło, że dzwonicz.

– Wiesz, jeśli jednak nie... – Ewa wydawała się głucha na to, co powiedziałam. – ...to kuzyn Wiktor jest wolny, chyba przyjdzie sam, możemy go usadzić obok ciebie. On wysoki jest, będziecie się ładnie prezentować na zdjęciach z wesela...

No cóż, Ewa zawsze była na wskroś praktyczna.

*

W głowie kotłowały mi się różne myśli. Ewidentnie kobieta, którą widziałam razem z Magdą kilka tygodni temu, była nieco starszą wersją tej z obrazu pana Kraśnika. Choć, trzeba przyznać, niewiele się zmieniła, nawet fryzurę miała podobną.

No, chyba że Dudkowa miała siostrę-bliźniaczkę, muszę spytać w poniedziałek Olę, ona różne rzeczy wie, to też może. Zaraz, Ola na urlopie, ale jutro wraca, od początku tygodnia powinna być w robocie. Zanotowałam sobie w kalendarzu „zapytać Olę o siostrę-bliźniaczkę Dudkowej” i zagłębiłam się w rozmyślaniach.

Jeżeli wariant z bliźniaczką był nieprawdziwy, to co mogło stać się przyczyną kontaktów Magdy z żoną Dudka? Czy to możliwe, żeby Magda była jakoś skoligacona z Dudkami? Metrykalnie nie dało się wykluczyć nawet rodzicielstwa żadnego z nich, spokojnie mogła być córką albo Dudka, albo Dudkowej, albo nawet obojga, w końcu byli i formalnie są nadal małżeństwem, wolno im mieć dzieci.

Rozzłościło mnie to, że się życiem prywatnym Dudka we właściwym czasie niewystarczająco zainteresowałam. Nic nie wiedziałam o jego ewentualnych dzieciach, sam z siebie o nich nie mówił, ale to akurat nie tak zaskakujące, ja nie jestem typem, z którym się rozmawia o potomkach, sama nie mam, to i po co?

Podskórnie czułam, że węzeł intrygi zagmatwał się tak bardzo, że jeszcze moment, a trzeba będzie go przeciąć. Albo oszaleję, zacznę ostro pić i ujrzę romans zawiązujący się pomiędzy D. i Alą. Ciekawe, czy z takim wariactwem też będzie mi do twarzy?

10 kwietnia, niedziela

Rankiem obudziłam się jeszcze nieszalona, ale za to z ogromnym bólem głowy. Niestety, zawsze tak mam, gdy idę spać pokłócona z D. W nocy emocje buzują mi pod czaszką i efekt antyzdrowotny gotowy.

Poczłapałam do apteczki po tabletki. Zdałam sobie sprawę, że D. już nie było w mieszkaniu. Roztarłam prawym nadgarstkiem zmarszczone czoło.

– Pomyśl! – rozkazałam sama sobie.

Mógł wyjść na spacer z psem, ale my nie mieliśmy psa. Mógł teoretycznie pobiegać, ale nie byłam do końca pewna, czy on pamięta, jak się to robi. Mógł... Nagle zdałam sobie sprawę, że chyba wiem, gdzie jest.

Ubrałam się pospiesznie i zjechałam windą na antresolę. To było jedyne piętro w budynku, w którym mieściło się nasze mieszkanie, z którego wychodziły na zewnątrz ogólnodostępne balkony. Na jednym z nich stał właśnie D. i palił papierosa.

– Cześć – przywitałam się, otwierając drzwi. – Sądziłam, że nie palisz.

D. grzecznie przesunął się w kierunku barierki. Nie byłam pewna, czy cieszy się z mojej wizyty. Moim oczom ukazało się w całej krasie nowiutkie graffiti na ścianie naszego bloku, głoszące wszem i wobec, jak bardzo lekkich obyczajów damą jest Legia. Napisu nie można było dostrzec z okien naszego mieszkania.

– Pięć lat nie paliłem – D. wypowiedział te słowa dopiero po dłuższym czasie. – Ale jakoś teraz zapragnąłem znowu. A co? – dodał zaczepnie.

– Nic. – Wzruszyłam ramionami. – Nie jestem przecież twoim sumieniem.

Przez pewien czas staliśmy, nie odzywając się do siebie ani słowem. W końcu D. zgasił resztę faga na pokrywce słoika.

– Nie wiem jak ty. – Wskazał przy tym palcem na moje prawe ramię. – Ale ja wracam do domu.

Dowlekliśmy się jakoś do windy.

11 kwietnia, poniedziałek

Przyszłam do pracy wyjątkowo punktualnie, zmęczona do granic wytrzymałości przeżyciami ostatniego weekendu. Za swoim biurkiem zawzięcie już klepała w komputer Ola, spalona na czekoladę. Chciałam zagadać na temat urlopu, ale odgoniła mnie ręką niczym muchę. Uznałam, że ma coś pilnego na tapecie, więc wyszłam do kuchni na kawę.

Po moim powrocie do pokoju po ponad kwadransie nieobecności, Ola stała już przed szafą ubrana w prochowiec. Rzuciła coś na temat pilnej roboty i pognała na dół. Zostałam więc sama.

Mój pokój niedługo jednak robił za pustelnię, gdyż po dziewięciu minutach zawitał doń Witek.

– Gliny znów tu są – wyszeptał konfidencjonalnie. – Wzięli na tapetę Mecenasa.

Wzruszyłam ramionami. Rychło w czas. Nawet nie byłam pewna, czy go wcześniej słuchali.

Witek wypadł z pokoju, siejąc świeże wieści na bardziej przejęty grunt.

Okolo wpół do dziesiątej zadzwoniła moja komórka. Wyświetlacz pokazał numer Sambora.

– Słuchaj, stoję chyba przed waszym budynkiem, ale nie jestem pewien, czy to te drzwi. Mogłabyś wyjść po mnie na zewnątrz?

Kompletnie zapomniałam o dzisiejszym spotkaniu z nim! Byłam na dole w minutę, otworzyłam drzwi i zobaczyłam Sambora oglądającego witrynę kwiaciarni. To był dosyć częsty błąd – mój kolega szedł po prostu od strony Rotundy i nie zauważył tablicy kancelarii, która była znacznie lepiej widoczna, kiedy się patrzyło z kierunku palmy.

Zawołałam do niego i wpuściłam do środka. Tłumaczyłam mu właśnie rzeźsiście, że do kawiarni raczej nie pójdziemy, ale akurat mam wolny pokój na górze, więc możemy w miarę spokojnie pogadać, gdy nagle podniosłam wzrok na wysokość

twarzy pana prokuratora. Lekko zastygła w pewnym zdziwieniu, co ja mówię, w prawdziwym osłupieniu, szybko się jednak otrząsnęła i dalej wyglądała już mniej więcej normalnie. Podążyłam za jego wzrokiem. Sambor patrzył na Magdę, która znowu siedziała od rana za kontuarem recepcji. Gdzie w ogóle jest pani Zosia, coś ostatnio jej zbyt często nie ma?

No cóż, Magda w przeciwieństwie do pana prokuratora wyglądała na całkowicie niezmięszaną. To ładna dziewczyna, może się podobać i takie reakcje wywoływać, chyba przywykła do takich zagapiń.

– Magdo, to mój kolega Sambor, przyszedł tu prywatnie, mamy sprawę do obgadania. Sambor, to Magda, która u nas opiekuje się recepcją – dokonałam pełnej prezentacji.

– Dzień dobry. – Magda wychyliła się zza kontuaru, wysuwając swoją dłoń. – Chcecie skorzystać z salki konferencyjnej? Akurat wszystkie są wolne.

Podziękowałam pięknie, wyłuszczając, że nie ma takiej potrzeby. Sambor przez ten czas nie odezwał się ani słowem. Niemal siłą wepchnęłam go na schody. W milczeniu wspięliśmy się na górę.

W pokoju zaproponowałam koledze najpierw miejsce Oli do siedzenia, a potem kawę albo herbatę. Sambor zdecydowanie odmówił.

– A chyba kawa by ci się przydała – ukłułam z przekąsem. – Może by cię wybudziła z tego letargu, w który wpadłeś, patrząc na Magdę.

Sambor z zakłopotaniem pokręcił głową.

– To nie o to chodzi. Wiesz, gdyby nie coś w jej twarzy, nie wiem, może makijaż albo włosy, no, włosy to raczej nie twarz, ale blisko... W każdym razie mógłbym przysiąc, że to... – Zawahał się. – Że to ta dziewczyna, którą widziałem na klatce schodowej przez wizjer z mojego starego mieszkania.

Z wrażenia aż usiadłam na swoim biurku. No i oczywiście nadziałam się na sam jego róg, bardzo boleśnie.

Cicho pojękując, przesiadłam się na fotel. W tym czasie w głowie furgotały mi wszystkie trybiki na zwielokrotnionych obrotach.

– Magda jakiś czas temu zupełnie zmieniła fryzurę. Całkowicie. Kompletnie.

Diametralnie. Wiesz, kolor, długość, styl, wszystko – samo to ze mnie wypłynęło.

– No tak – głucho powiedział Sambor. W zasadzie bez sensu, co on niby chciał potwierdzić?

– Kiedy dokładnie miałeś brydza na swoich starych śmieciach?

Sambor się wyraźnie obruszył.

– To nie były śmieci – oświadczył. – Jestem kawalerem, ale swoje mieszkania prowadzę w sposób właściwy. Czysto i schludnie, wystarczy mi bajzlu w firmie...

– Dobrze, dobrze – przerwałam mu. – Nie chciałam powiedzieć, że u ciebie było brudno...

– Ale to powiedziałaś – wtrącił mój rozmówca.

– To przepraszam. Nie zrozumieliśmy się.

– No wiesz...

Zanosilo się na pierwszorzędną foch, więc zaczęłam się bardziej kajać. Że nie chciałam, nie wiedziałam i to nie było dosłownie. W połowie zdania podniosłam oczy na Sambora, który niezle prezentował się w wyraźnie ułahanej wersji własnej facjaty.

– Mam cię! – wyrzucił podczas przerwy w moim monologu. – Naprawdę myślałaś, że się obraziłem?

– Ja już nic nie myślę i nie wiem. Nie znam się, nie orientuję, zarobiona jestem! A teraz, wracając, kiedy była ta impreza?

– Brydż? Czeka, niech sprawdzę.

Sambi wyjął swojego iPada i zaczął w nim szukać. Zastanowiłam się, kiedy ja dołączę do wyznawców tego urządzonego. Na razie dzielnie się broniłam, ale pewnie wkrótce...

– Piątego marca. Sobota.

Westchnęłam zrezygnowana.

– Odpada.

– Co odpada? – zaciekawil się Sambor. – Wtedy właśnie był brydż. Piątego marca.

– Nie, Magda odpada.

– Jako kto?

– Zabójca Sońskiego.

Sambor popatrzył na mnie zdziwiony.

– Ale wydaje mi się, że go kropnęli, sorki, zabili siódmego marca? – zapytał grzecznie.

– Zgadza się.

– To dlaczego odpada? Alibi sobie jakieś zrobiła, stojąc przed moim mieszkaniem? I to zawczasu, piątego marca?

– Nie, wprost przeciwnie.

Wy tłumaczyłam mu mój punkt widzenia. Przez chwilę miałam nadzieję, że to może Magda zamordowała Sońskiego – kompletnie nie wiem dlaczego, motywów nie mam żadnych, potem coś ją przestraszyło, poleciała nie do wyjścia, ale na górę i tam przeczekała parę minut, po czym związała. Zeznania Sambora jako świadka by ją obciążęły.

Mój kolega okazał lekkie rozbawienie.

– Ale w dniu zabójstwa byłem przygwożdżony do biurka w pracy, a potem robiłem zakupy do dziewiątej. Nie miałbym czasu ani na brydża, ani podglądanie lasek przez wizjer. Rozmawiałem o tym z Witkiem, myślałem, że ci powtórzył?

Teraz zdałam sobie sprawę z mojego idiotyzmu.

– Powtórzył, to ja o tym zapomniałam.

Jedno było pewne – wokół Magdy nagle zaczęła gęstnieć atmosfera.

Ktoś zapukał do drzwi, a potem od razu je otworzył. Do pokoju zajrzeli dwaj znani mi policjanci. Na widok Sambora wyraźnie ich wcięło.

– Ty tutaj? – wyrwało się temu niższemu.

Wobec oczywistych okoliczności, pytanie było całkowicie bez sensu. Jedynym jego wytłumaczeniem mogło być kompletne zaskoczenie.

Znajomy prokurator tylko pokiwał głową. Przez chwilę panowała cisza.

– Nic nie wiedzieliśmy... – zaczął nieśmiało wyższy.

– Ja prywatnie – szybko uciał Sambor. – Proszę sobie nie przeszkadzać.

– My w zasadzie szukamy pani koleżanki. – Wyższy policjant wskazał brodą na krzesło okupowane teraz przez moją koleżkę. Nadal we dwóch stali w drzwiach, nie

przekraczając próg pokoju. Wobec widocznej przestrzeni przed i za nimi, sprawiało to wrażenie robienia sztucznego tłoku.

– Oli? – upewniłam się. – Nie ma, wyszła.

– Gdzie? – zapytał niższy z policjantów, wychylając się nad klamkę.

Westchnęłam i wstałam zza biurka.

– Czy panowie naprawdę chcą rozmawiać ze mną tak w przejściu? Proszę wejść, przyniosę krzesła.

W czasie, kiedy poszłam z jednym z policjantów do sąsiedniego pokoju, Sambor zdążył wygramolić się zza biurka Oli. Szybko mnie pożegnał, dodając, że umówimy się w dogodniejszym terminie.

Tym samym okazało się, że przyniesienie jednego z dwóch krzesel było zupełnie zbędne, co – przy uwzględnieniu rozmiaru naszego gabinetu – nie było bez znaczenia. Nawet zastanawiałam się przez chwilę nad odniesieniem jednego mebla, ale widząc miny władzy, poprzestałam jedynie na rozważaniach, bez ich ujawniania. No cóż, czekała mnie wizja upojnego przesłuchania w zagraconym pokoju.

Dłuższą chwilę panowała cisza. Najwyraźniej policjanci nadal przeżywali niespodziewaną obecność mojego gościa w tym pokoju jeszcze parę minut temu. Zaczęłam się zastanawiać nad tym, czy nie zaproponować im kawy albo herbaty, ale potem doszłam do wniosku, że jednak nie mam ochoty na prezentowanie takiej gościnności.

– Czy nie wie pani, gdzie może teraz być pani koleżanka? – Balon napiętej atmosfery zdecydował się przebić wyższy z policjantów.

– Nie mam pojęcia – wyznałam całkiem szczerze. – Powiedziała, że ma coś pilnego do załatwienia i wybiegła z pokoju.

– Mecenas Magier poinformował nas, że powinna być w swoim gabinecie – bardziej stwierdził niż zapytał ten niższy. – Sprawdził rozpiskę rozpraw i wychodziło mu, że nie ma jej w sądzie.

– To, że nie ma akurat żadnego posiedzenia, nie oznacza, że nie mogła wyjść w celach służbowych – lojalnie kryłam koleżankę. – Mogła w trybie nagłym zostać wezwana przez klienta.

– Gdzie na przykład?

– Areszt? Siedziba spółki? Jakieś spotkanie w terenie? -rzuciłam kilka propozycji.

– Ale pani nie wie gdzie?

– Nie, mówiłam już przecież.

Znowu zapanowała cisza.

– Czy ma pani numer komórki koleżanki?

– Owszem – potwierdziłam.

Poprosili grzecznie, podałam. Zaproponowałam zadzwonienie z mojego aparatu, telefon na komórkę pracownika kancelarii zawsze można było wliczyć w poczet rozmów służbowych. Wykręciliśmy numer Oli, automat odpowiedział, że abonent w tej chwili nie może odebrać telefonu. Władza nie chciała nagrać żadnej wiadomości. Ponownie zapadła niezręczna cisza.

– Nie wiedzieliśmy, że pani jest znajomą prokuratora Michalczuka – delikatnie zaczął się tłumaczyć ten wyższy.

Co miałam na to odpowiedzieć?

– To wbrew pozorom małe środowisko. Byliśmy ze sobą na studiach, na aplikacji, romansujemy, żenimy i mnożymy też się dosyć często wsobnie. Rozwodzimy zresztą też, w końcu to akurat umiemy zrobić. Znaczy się, oczywiście ja tego wszystkiego nie zrobiłam z panem Michalczukiem. – Popatrzyłam na ich zdumione oblicza. – Z nim tylko studia... To chyba nie jest karalne, znać na gruncie prywatnym prokuratora?

Gwałtownie zaprzeczyli. Rozeszliśmy się w uprzejmościach, panowie odnieśli nawet krzesła do pokoju Witka.

Co, u licha, Ola takiego nabroiła? Zatopiłam się w rozmyślaniach. Po kompletnie bezowocnych próbach zlokalizowania Oli, przenieśliam swoje fantazjowanie w nieco inne rejony.

Stare porzekadło mówi, że trzeba uważać na marzenia, bo mogą się spełnić. Rzadko kiedy słyszałam równie mądre zdanie. W zasadzie całe życie marzyłam o tym, żeby mieć kogoś wiarygodnego, kto zajmie się sprzątnięciem, prasowaniem i, ogólnie mówiąc, wszystkimi możliwymi rzeczami związanymi z prowadzeniem domu. Teraz miałam (mieliśmy! – skorygował politycznie poprawny mózg. Na D. w końcu

spoczywał taki sam zakres obowiązków, co na mnie) panią – marzenie, a wewnętrznie nie czułam się do końca szczęśliwa. Pomijając zafiksowaną w głowie powinność samodzielnego radzenia sobie z podstawowymi czynnościami życiowymi, od której zdążyłam się prawie uwolnić, czułam się trochę jednak odarta z prywatności. Próbowałam nawet zagaić na ten temat rozmowę z D., ale spełzło to kompletnie na niczym. D. nie wydawał się bowiem odczuwać jakiegokolwiek dyskomfortu z faktu, że ktoś prasuje jego bieliznę.

Dziś byłam świadkiem osobliwego spełnienia marzeń Sambora. Odnalazł dziewczynę, która go zauroczyła przez wizjer, nad którą przez jakiś czas musiała unosić się w jego wyobrażeniach cudowna aura tajemniczości i niedostępności, bo – powiedzmy sobie szczerze – szanse na jej ponowne spotkanie były nikłe. I nagle, po ujrzaniu tego cuda wszechświata „twarzą w twarz”, autentycznie zobaczyłam, jak całe to marzenie wyparowało z niego w ciągu kilku minut. Sambor nie poprosił mnie o numer telefonu Magdy (tak naprawdę, nie miał kiedy, może jeszcze się w tej sprawie odezwie), ona chyba przestała dla niego być istotna i – o zgrozo! – zafarbowała włosy. Okej, niby od zawsze wiedziałam, że Sambor był fetyszystą, lekko zakreconym na punkcie blond, ale bez przesady.

Co dotyka kolejnej kwestii w stosunkach damsko-męskich, aktualnej już od czasów Kopciuszka, który doskonale wiedział, że nic nie pociąga tak bardzo, jak tajemnica.

*

Witek miał dzisiaj ewidentnie fazę na plotki. Przylazł i zaczął się rozgadywać, że Ola ostatnio na niego też jakoś krzywo spojrzała i czy w związku z tym powinien sypiać z bejsbolem za pazuchą.

Grzecznie przypomniałam mu, że Ola ma alibi na czas zabójstwa Sońskiego, Witek zaś słusznie zauważył, że całą wiedzę na ten temat czerpiemy wyłącznie od niej. Było w tym wiele racji. Witek wyszedł z pokoju, nie ukrywając nagłego przyływu poczucia wyższości nade mną.

Ola nie pojawiła się w pracy do końca dnia. Nie była też uchwytana na komórkę. Nikt nie wiedział, gdzie może być. Mecenas bąknął coś o natychmiastowym

rozwiązaniu z nią umowy.

*

Miałam chwilę czasu, przed sobą świeżo zaparzoną herbatę i zupę kupioną w „Maraku” na wynos, a w głowie świetny pomysł. A przynajmniej wydawał mi się świetny. Zadzwoiłam więc do pana Kraśnika. Po kilku minutach rozmowy uznałam, że udało mi się trafić na jego lepszy stan, więc poszłam na całego:

– Proszę pana, co dzieje się obecnie z pana byłą żoną?

*

Otaczał nas przyjemny gwarek, czuć było woń świeżej bazylii i lekko przypalonej pizzy. Kelner właśnie odebrał od nas zamówienie, co było niechybnym znakiem, że nadszedł właśnie czas zadania sakramentalnego pytania:

– Jakiej okoliczności zawdzięczam to miłe zaproszenie?

D. najpierw przez najbardziej denerwujące pięć sekund w życiu udawał głuchego, a potem coś bąknął do solniczki. Byłam bezwzględna i poprosiłam o powtórzenie.

– Ałaścję – wydobyło się zza chusteczki higienicznej, którą akurat wycierał sobie bardzo dokładnie nos. Z którego od co najmniej dwóch lat nie wydobył się ani miligram kataru.

– Słucham? – huknęłam zdrowo. Ludzie ze stolików obok popatrzyli na mnie z potępieniem. Miałam to tam, gdzie D. nie posiadał gili.

– Miałaś rację – wymamrotał w końcu. – Tylko nie krzycz już więcej.

Westchnęłam.

– W czym znowu miałam rację?

– Olgierd i Ala. Byli w weekend w kinie. I na spacerze. I na obiedzie. I jeszcze raz w kinie.

– Wiem – wycedziłam bezwzględnie. – Pomiędzy kinami robili jeszcze inne rzeczy, ale Olgierd pewnie tyle ci nie wypaplał, co mnie Ala.

Ku mojemu zdziwieniu, D. był bardzo rozbawiony. Na jego miejscu klęłabym w żywy kamień – siebie, Olgierda, Alę...

– Nie wiem, jak to robisz – przyznał. – Ale na razie wygląda to na strzał w dziesiątkę. A co u ciebie? Jak śledztwo? Kto jest obecnie na topie?

– Niestety, Ola – westchnęłam ciężko. – Gliny ją poszukują, a ona czmychnęła w siną dal.

Po czym streściłam mu dzisiejsze wydarzenia. Jedzenie było smaczne – jak zawsze we włoskim bistro na tyłach BUWu.

12 kwietnia, wtorek

D. leciał porannym samolotem do Szczecina. W przyпіływie dobrego serca zaproponowałam odwiezienie go na lotnisko. Po krótkim pożegnaniu odjechałam z Okęcia.

Było jeszcze wcześniej, poranne korki dopiero kiełkowały, więc zaparkowałam tuż przed wejściem do kancelarii z ogromnym zapasem czasu. Biorąc pod uwagę fakt, iż był to drugi dzień z rzędu, w którym punktualnie przyszałam do pracy, uznałam, że zasługuję na nagrodę.

Konfitury musiałam sprawić sobie sama, wiedziałam już bowiem, że moje wysiłki nie zostaną przez nikogo docenione. Ba, docenione, one nie będą nawet zauważone!

Minęłam spokojnie drzwi kancelarii i weszłam do najbliższego spożywczego. Rozejrzałam się z niepokojem. Były! Piękne, przyprószone pudrem niczym pierwszym śniegiem, ułożone równiutko na tacy, idealne w swojej okrągłości...

– Poproszę dwa pączki – obudziłam panią zza lady, zapatrzoną każdą komórką swojego ciała w mały ekran, który w całości zapełniała twarz aktualnej sławy kucharskiej.

– Próbowwała pani kiedyś coś zrobić z tych przepisów z telewizji? – Pytanie dopadło mnie znienacka. Sprzedawczyni wkładała pączki do papierowej torebki, mając cały czas wzrok utkwiony w telewizorze. Mogłabym przysiąc, że to nie był jej głos, ale w sklepie byłyśmy same.

– Nie, wie pani, ja nie jestem za bardzo gotująca – przyznałam. – Ile płacę?

– Trzy złote – padła odpowiedź. Pani miała przez cały czas oczy zafiksowane na poruszających się w miniskrzynce ludzikach.

– Proszę. – Dałam jej dziesięciozłotowy banknot.

– Bo ja próbowałam – kontynuowała ekspedientka. – I nigdy mi nic nie wyszło. Jak mówią, żeby trzymać piętnaście minut na ogniu, żeby się nie rozgotowało, to mi zawsze wychodzi surowe. A jak nie surowe, to po prostu niesmaczne. Niedosolone.

Albo źle przyprawione.

Kasa zarzęziła cichutko. Pani włożyła otrzymany ode mnie banknot do właściwej przegródki, nadal nie spuszczać wzroku z telewizji. Z właściwego zagłębienia monet wyjęła błyszczącą pięciozłotówkę i mniej mieniącą się dwuzłotówkę i położyła je na tacy. W tym czasie loki kuchennej sławy zbliżały się niebezpiecznie do ubijanej z zapalem jajeczniczy. Byłam przekonana, że kamera zmieniła obserwowany obiekt na żółciutkie, równo poukładane kurki tylko po to, aby uniknąć filmowania na żywo estetycznej katastrofy.

– Myślałam, że to tylko mnie się tak zdarza – westchnęła po tej chwili napięcia sprzedawczyni, dalej nie racząc mnie nawet drgnięciem powieki. Ba, powieki, rzęsy nawet!

Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, do czego moja rozmówczyni w tej chwili piła – czy do tych kłócących się z zasadami bhp włosów na ekranie, czy do swoich nie do końca udanych eksperymentów kulinarnych. Zerknęłam kątem oka na zegarek, choć mogłam to zrobić otwarcie, bo miałam pewność, że babka i tak by nie zauważyła. Byłam nadal przed czasem, w sumie stać mnie było na wysłuchanie tych żalów do końca. Oparłam się lekko o ladę.

– Ale potem teściowa powiedziała, że jej też nigdy nie wychodzi! – Głos kobiety lekko się podniósł, rozstrzygając jednoznacznie moje wątpliwości i ujawniając przy okazji wyraźne napięcie rodzinne. – Nawet jej, a co jak co, gotować una umi! A poza tym, skoro się przyznała, i to dobrowolnie, jędza jedna, to też musi coś w tym być, nie?

Pytanie zawisło w próżni. Poczułam się zobligowana do udzielenia jakiejś odpowiedzi. Po chwili namysłu poprzestałam na znaczącym odchrząknięciu.

– Myślałam, że gust mam nie taki, że tylko mnie nie smakuje. – Sprzedawczyni kontynuowała swoją opowieść, poprawiając sobie we włosach spinkę. Przez cały ten czas przysięgłabym, że nie uroniła ani jednego ruchu kuchennej sławy z ekranu.

– No to dałam to surowe rodzinie. Myślę – może im zasmakuje? Gdzie! – Ręka ze spinką wystrzeliła w powietrze. – Nikt nie zjadł, musiałam całe wyrzucić! Trzydzieści złotych najmarniej poszło!

– Szkoda – podsumowałam średnio zgrabnie. – Mam jednak nadzieję, że się pani nie zniechęci... – wyrzuciłam to z siebie, już dotykając sklepowej klamki.

Pożegnała mnie znowu ręka wystrzelona w sufit, ale tym razem z pełną rezygnacją.

Nadal przed czasem dotarłam do kancelarii. Nikogo w niej jeszcze nie było, musiałam więc przetrząsnąć torebkę w poszukiwaniu kluczy. Zdziwiłam się nieziemsko, ujrawszy receptę sprzed trzech miesięcy, której za nic nie mogłam znaleźć, potem pod rękę nawinęła mi się tona innych śmieci, jak to się u mnie mieści, a kluczy nadal niet... Klęłam w duchu, mając nadzieję, że je mam przy sobie, mogły się zapodziać w innej torebce... Są! W kieszonce komórki! A w ogóle gdzie komórka, bo tam jej nie ma? Nieważne, poszukam w środku.

Wyłuskałam klucze i otworzyłam kancelarię, zaczęło się odliczanie alarmu, wstukałam kod i poszłam do siebie na górę.

Rozebrałam się i zrobiłam sobie porządną kawę. Na biurku położyłam swoje świeżo nabyte pączki. Zapach kawy w mig zawładnął całą powierzchnią malutkiego pokoju. Dookoła nie było nikogo. Usiadłam na krześle i przez chwilę poczułam się naprawdę świetnie. A potem odpłynęłam w myślach.

Cholera jasna, jak zagadać Magdę na temat Dudkowej? Podejść do niej i „Przepraszam, ale widziałam cię jakiś czas temu z żoną mężczyzny aresztowanego za zabójstwo? Czy mogę się dowiedzieć, czy coś łączy te obie sprawy?”... Nie, odpada, nawet przy mojej sympatii do bezpośredniości... Gryzłam się z takimi myślami cały poranek w błogiej samotności, bo Oli nie było już drugi dzień w pracy. Witek przyszedł z informacją, że podobno szukano jej w mieszkaniu wieczorem, ale z miernym skutkiem. Nie wiem, skąd miał takie informacje, nie pytałam, skupiona na czymś innym. Przez chwilę wysilałam w jego obecności wyobraźnię, ale nie mogłam znaleźć dobrego usprawiedliwienia dla postępowania naszej koleżanki. Witek zjadł jednego pączka, uwalniając moje sumienie od dwustu milionów kalorii, trochę pokręcił nosem, że wolałby kanapkę z szynką, po czym poszedł do swojego pokoju.

Potem odebrałam telefon od Zawidzkiej, która spytała, czy u mnie nie ma Witka. Zaprzeczyłam. Podziękowała i się rozłączyła. Byłam lekko zdziwiona, przede

wszystkim tym, że chyba po raz pierwszy w życiu usłyszałam od niej dziękuję, ale także samym faktem, iż zadzwoniła. Nie było to dziwne, że szukała Witka, robiła to nieustannie, ale zazwyczaj wyręczała ją w tym pani Zosia. Najwyraźniej dziś wybieranie mojego numeru telefonu nie było zajęciem poniżej jej godności.

Usłyszałam szum w hallu, więc pocwałowałam do drzwi. Z klamką do swojego pokoju szamotała się Ala. Poprosiłam ją, żeby przyszła do mnie na poranną kawę. Ala rzuciła lekko podejrzliwe spojrzenie, ale po dziesięciu minutach pojawiła się w mojej kanciapie.

– O co chodzi? – zapytała rzeczowo.

– Miałaś jakiś czas temu rozprawę eksmisyjną, prawda?

Ala gwałtownie wysunęła szyję do przodu, trzepocząc jednocześnie rzęsami, co było u niej objawem zastanawiania się. Na odpowiedź nie czekałam jednak długo.

– O którą ci chodzi? Ja cały czas latam na takie, od kiedy przejęłam od ciebie do obsługi spółdzielnię, nie pamiętasz? A w ogóle co z tą eksmisją? Coś nie tak?

Ogłędnie streściłam jej swoją rozmowę ze znajomą, starając się możliwie najdelikatniej uczulić ją na kwestie kontaktu z pełnomocniczką drugiej strony.

– I co, ta cała Machnio straszyla mnie dyscyplinarką? – Ala wzgardliwie wydeła usta.

– Powiedzmy. Ja ci tylko radzę uważać – grzecznie podsumowałam swoje przemyślenia. – Czekaaj, coś kojarzę, że ona chyba jest przeczulona na tym punkcie. Już wiem, sama miała podobne problemy, nieprzyjemnie się jej zakończyły, to tajemnica poliszynela, więc się może hobbystycznie mścić za siebie...

– Czyja tajemnica? – przerwała nagle Ala.

– Poliszynela.

– Nie znam gościa.

Całe szczęście, że wtedy spojrzałam jej prosto pod rzęsy i zobaczyłam tam błąkający się uśmiezek cienkiej ironii, o którą nigdy bym wcześniej Ali nie podejrzewała. Gdyby nie ten szybki rzut oka, mogłoby się skończyć z mojej strony tragicznym w skutkach zwątpieniem w resztki Alinej ogłady. A tak, moja koleżanka pozostawiła powód do optymistycznych rozmyślań, co – oprócz wiadomych chorób –

przenosi się drogą płciową.

*

Pięć po jedenastej zobaczyłam przez okno wychodzącego z kancelarii listonosza i zeszłam na dół sprawdzić pocztę. Nad pocztą pochylony był Witek, w hallu siedziały, czekając na swoją kolej, Monika i Ala. Za kontuarem recepcji znowu siedziała Magda. Było cicho jak w kościele tuż po podniesieniu.

Nic dziwnego, że może nie w tak podniosłej atmosferze, ale jednak pewnego skupienia, gdy oto uchyliły się drzwi kancelarii, wszyscy jak jeden mąż odwróciliśmy wzrok i zamarliśmy, gdy naszym oczom ukazał się Mecenas w asyście dwóch znanych mi policjantów.

– Proszę, jak mówiłem, jest w pracy – powiedział mój szef. – Tak myślałem, że ją tu zastaniecie.

Nie muszę chyba dodawać, że Mecenas patrzył na mnie.

– Chwileczkę. – Nawet nie usiłowałam ukryć zaskoczenia. – O co chodzi?

Drzwi w tyle skrzypnęły. Doszedł mnie najpierw lekki powiew Flower Kenzo, ale już bez ludzkiej nuty sherry, a potem dopiero wypowiedziane beznamiętnym tonem słowa Zawidzkiej.

– Pan Mecenas widział panią z Aleksandrą Jabłczyńską dziś rano. Zapewne ci panowie – wskazała brodą na policjantów – będą chcieli się dowiedzieć, gdzie teraz jest pani koleżanka. My zresztą też chcielibyśmy.

Wzrok zarówno Mecenasa, jak i funkcjonariuszy policji nie tylko by zabił Zawidzką, ale i poćwiartował jej zwłoki, a potem spalił i wrzucił popiół do Wisły.

– No co – powiedziała niezmiészana. – Jabłczyńska porzuciła pracę, muszę wiedzieć, gdzie jej przesłać dyscyplinarkę.

– Moment. – Z wrażenia klapnęłam na jednej z kanap dla czekających klientów. – Gdzie i kiedy pan mnie widział z Olą? – spytałam, zerkając w kierunku Mecenasa.

– Pani wybaczy, ale to my tu zadajemy pytania – gładko wszedł mi w słowo jeden z policjantów. Chyba ten wyższy, ale tak ogłuszyli mnie obuchem newsów, że nie byłam w stanie ich rozróżnić. – Gdzie pani była dziś o ósmej trzynaście?

Ósma trzynaście? Czy on mówi ósma trzynaście? Zastanowiłam się przez chwilę.

– Tu.

Nie wiedzieć czemu, wszyscy się roześmiali. Jakby to było, do..., megazabawne. O, już wiem, do kroćset.

– Co? – warknęłam. – Nie można być w pracy o ósmej trzynaście?

Uhahaną ciszę przerwał niespodziewanie Witek.

– Można – potwierdził, dodając do tego gratis skiniecie głowy. – Ale, umówmy się, raczej rzadko jesteś w pracy o tej porze.

Fakt.

– Ale dziś akurat był wyjątek. – Staralam się odparować cios z jednej stronie celnie, a z drugiej – możliwie najdelikatniej, bo publiczna dyskusja nad moim brakiem punktualności była mi nie na rękę. – Odwoziłam kogoś rano na lotnisko i przyjechałam stamtąd bezpośrednio do pracy...

– Dokąd lot? – przerwał wyższy z policjantów. Ten nie-aspirant Naciołek. W zasadzie ciekawe nawet, jak się nazywa.

– Szczecin.

– To za dziesięć dziewiąta. Odprawić się można pół godziny przed odlotem. Mogło pani tu nie być po ósmej.

Łał! Ktoś najwyraźniej wykuł na pamięć rozkład LOT. Przeleciałam w pamięci po znajomych. Było tam kilku, którzy świetnie orientowali się w PKP, ale takiego fanatyka lotnictwa dotychczas nie spotkałam. Co oczywiście nie zwalniało mnie z odparcia zarzutów.

– Chyba pan żartuje! Osoba, którą odwoziłam na Okęcie, najchętniej byłaby na lotnisku już dzień przed odlotem. A półtorej godziny to minimum, oczywiście przy lotach krajowych. Przy zagranicznych to ponad dwie...

Przerwano mi ponownie i poproszono o namiary na D. Podałam, razem z numerem komórki, zastrzegając jednak, że dziś pewnie go nie złapią. Znając bowiem D., wiedziałam, że najprawdopodobniej włączy telefon dopiero po wylądowaniu w Warszawie, nacieszywszy się całym dniem wolności od koszmarnej melodyjki dzwonka.

A zatem miłosiernie od razu podsunęłam rozwiązanie poprzez sprawdzenie alarmu

do kancelarii. Magda potwierdziła, że gdy otwierała biuro, system był odkodowany, ale nie sprawdzała góry, więc nie wie, kto był przed nią.

– Całą kancelarię by ukradli, a ta by nie zauważyła – syknęła pozornie bezosobowo Zawidzka.

Magda znowu się uśmiechnęła jak ze słynnego obrazu Leonarda. Zasznurowane usta, ale jej żuchwa poruszała się miarowo. Odniosłam wrażenie, że gdyby nie obecność policji, strzeliłaby mecenas Zuzannie z liścia.

– Chciałam pójść na piętro, ale wtedy pani mecenas się pojawiła i zażądała od razu kawy i wody. A potem połączenia z Mecenasem, po czym wpadł Witek, usłyszałam też jakieś kroki na górę...

– Dobra, dobra – pojednawczo stęknął Mecenas, najwyraźniej znużony już całą tą sytuacją.

– Co pani robiła po przyjeździe do centrum? Od razu pani weszła do kancelarii? – zapytał aspirant Naciołek.

– Nie, najpierw poszłam do spożywczego na rogu po pączki. Mogą panowie spróbować pytać sprzedawczynię o mnie, ale nie gwarantuję sukcesu. Przez cały czas była zapatrzona w ekran telewizorka, który ma w sklepie, nie sądzę, żeby mnie widziała.

Policjanci przez chwilę popatrzyli na siebie. Nie-aspirant Naciołek wyszedł na zewnątrz, zapewne w celu weryfikacji mojego alibi, a ten bardziej Naciołkowaty poszedł ze mną na górę. Zapropnowałam mu herbatę. Odmówił.

Po piętnastu minutach dołączył do nas kolega Naciołka. Poprosił, żebym otworzyła swój komputer, co też uczyniłam, lekko zaciekawiona. Idąc za jego poleceniami, poklikałam w jakieś nieznane mi ikonki, po czym policjant wyprostował się i poszedł do Witka po krzesło.

– Do komputera zalogowała się pani dopiero po dziewiątej – wydusił w końcu z siebie.

Zrobiłam w głowie przegląd porannych czynności. Kawa plus zamyślenie, mogło to razem trwać do dziewiątej. Jak przyszedł Witek, miałam już włączony komputer, nawet coś mu pokazywałam na necie, ale wtedy nie spojrzałam, która to była godzina.

Nagle panowie policjanci siedzący wzdłuż przeciwległej ściany pokoju zaczęli mi przypominać psy. Naciołek to był czystej krwi york, a ten wyższy – labrador. Nawet jakoś tak psio im z oczu patrzyło.

York podrapał się łapą po pysku i coś westchnął. Na co labrador odszczekał, że to i tak nieważne, bo babka ze sklepu mnie rozpoznała. Uniosłam brwi w podwójnym zdumieniu: po pierwsze dlatego, że w końcu zrozumiałam mowę psią, po drugie – bo okazało się jednak, że sprzedawczyni rejestrowała coś poza ekranem telewizora.

Labrador kontynuował. Hauknął mi nad głową, że nie dość, iż babka świetnie pamiętała, kto z naszej kancelarii kupił u niej rano pączki, to jeszcze wyszła tuż potem na papierosa przed sklep i widziała, jak się pięć minut siłuję z torebką. Po czym obydwaj z yorkiem pokręcili głowami w taki sposób, że myślałam, że zaraz się polizają...

Wtedy do mojego pokoiku wszedł Mecenias. Wszedł i od razu się cofnął.

– Tak się zastanawiałem, czy panowie jeszcze tu są – wymamrotał, siłując się z drzwiami.

– Panie Meceniasie – zatrzymałam go pytaniem skierowanym w ostatniej chwili w futrynę. – A gdzie mnie pan widział o ósmej trzynastie?

Mecenias spojrział niepewnie na psy. Labrador cichutko warknął, a york w uśmiechu pokazał kły. Chyba było to przyzwolenie na odpowiedź, bo za chwilę usłyszałam:

– Wawer. Dokładnie PKP Falenica.

A potem drzwi się zamknęły i zostałam sama, rzucona na pożarcie psom.

*

Z tym pożarciem oczywiście przesadziłam, nie było tak źle. Kilka krótkich pytań dotyczących bardziej Oli niż mnie, moje parokrotne wzruszenie ramion połączone z uświadomieniem władzy mojej niewiedzy na temat życia prywatnego mojej koleżanki – i tyle.

Zostawili mnie samą z otwartą czaszką. Ola ze mną w Falenicy? Co to ma znaczyć?

Moje rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Zostałam poproszona na dół do

klienta czekającego w salce konferencyjnej.

*

Kształty Ewy Kowalskiej każdego dnia nabierały coraz większej krągłości, ale i tak rozpoznałam ją od razu.

– Cześć, co tu robisz? Nie wstawaj! – Cmoknęłam ją, pochyliwszy się nad stołem, jednocześnie zamykając prawym butem drzwi salki.

– Przejeżdżałam obok, zobaczyłam szyld, przypomniałam sobie, że tu pracujesz, i nagle zechciałam z tobą porozmawiać – odpowiedziała Ewa. – Wymyśliłam na poczekaniu tę ściemę z klientem, ale w końcu mogę nim być, prawda?

Pokiwałam głową i westchnęłam. Boże, co moi znajomi sobie myślą? Pomimo wszystkich wad Kancelaria Magier i Wspólnicy to nie obóz pracy. Przecież Ewka mogła jak normalny człowiek zadzwonić do mnie na komórkę i się zwyczajnie umówić. Nie wiem, po co ta kombinacja alpejska...

Ewa rozglądała się w tym czasie po salce, w której jeszcze nie była.

– Masz trochę czasu? – spytała. – Wiesz, ciężarnym się nie odmawia, bo cię zjedzą myszy!

Popatrzyłam na zegarek. Trochę czasu miałam. Zabipiała nieznajomym dźwiękiem jakaś komórka, Ewa sprawdziła wiadomość, coś wstukowała na klawiszach i wysłała SMS-a.

– Kasiu – moja koleżanka zaczęła z wysokiego „C” – jeśli nie chcesz być świadkiem na moim ślubie, to mi po prostu powiedz.

Wmurowało mnie w krzesło.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – wysapałam, przełykając ślinę.

– No tak mi się wydaje, że ci ta funkcja nie leży... Znowu bipnięcie. Ewka wyjęła komórkę, odczytała wiadomość i się roześmiała.

– To Wiktor – wyjaśniła usprawiedliwiająco. – Jest teraz bardzo zajęty i rozmawiamy ze sobą głównie przez SMS-y. Napisałam mu, że wpadłam do ciebie do kancelarii, bo mi to nagle wskoczyło do głowy. A on do mnie „Nie szalej, Kowalska!”. Haha!

Rzeczywiście bardzo śmieszne.

– No bo jak nie chcesz – Ewka wróciła do tematu – to możesz bezproblemowo zrezygnować, ja kogoś znajdę na świadka, przyjdziecie oczywiście z tym twoim na wesele...

– A świadkiem za mnie miałby być kto? – Temat mnie zaciekał.

– Nieważne – ucięła Ewa. – Czekał, tylko odpiszę Wiktorowi.

Wstuknęła coś w komórkę i znowu się roześmiała.

– Poprawiłam go. Napisałam „Przyszła Zbroińska”. Z uśmiechem, wiesz? – Ewka zamknęła klapkę telefonu. – No i na czym stanęliśmy? – Jej oczy błędziły po ścianie za mną przy zadawaniu tego pytania.

Czy tylko mnie się wydawało, że w pokoju były trzy osoby? I że ja byłam z nich najmniej istotna?

Do pokoju weszła Magda z kawą, którą postawiła przed Ewą. Zapytała zwyczajowo o coś dla mnie. Zwyczajowo odmówiłam. Magda wyszła.

– Stanęło na tym, że uginasz się pod presją Kornelii, żeby mnie wygryźć z funkcji – podsumowałam dotychczasowe ustalenia.

– To nie tak – spróbowała ugodowo Ewa. Jej telefon znowu zadzwieczał, więc otworzyła klapkę. Wpatrzyła się w ekranik, a potem rzuciła komórkę przez stół.

– Czytaj – rozkazała.

Wzięłam posłusznie komórkę do ręki. To był kolejny SMS od Wiktora do Ewy. Wyrażał chyba pewne zaniepokojenie autora:

„I czego chciała?”.

PROTOKÓŁ

Warszawa, dnia 12 kwietnia XXXX r.

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa XXXII Wydział Cywilny w składzie:

Przewodniczący: SSI Maria Ochódzka-Natrebko

Protokolant: Marta Olędzka

na rozprawie rozpoznał sprawę z powództwa Józefa Kisielewskiego przeciwko Annie Kisielewskiej o podział majątku.

Posiedzenie rozpoczęło o godz. 13.00.

Po wywołaniu stawili się:

Powód osobiście, pozwana osobiście wraz z pełnomocnikiem adwokatem Katarzyną Nowacką.

Nie stawił się świadek Elwira Nowak, powiadomiona prawidłowo.

Powód popiera powództwo, nie jest mu znana przyczyna dzisiejszej nieobecności świadka Elwiry Nowak.

Pozwana oświadcza, że przeprosza za swoje zachowanie na poprzedniej rozprawie. Pozwana podnosi, iż właśnie zmieniła leki i obecnie może już w pełni świadomie brać udział w sprawie.

W związku z powyższym oświadczeniem pełnomocnik pozwanej wnosi o uchylenie nałożonej na nią grzywny, względnie jej zmniejszenie. Pełnomocnik oświadcza, iż pozwana działała pod wpływem silnego wzburzenia, wywołanego słowami powoda dotyczącymi rzekomego zawłaszczenia ruchomości powoda.

Powód oponuje przeciwko uchyleniu grzywny nałożonej na pozwaną. Jego zdaniem, zachowanie pozwanej było zaplanowane, gdyż wcześniej przygotowała sobie cztery reklamówki ubrań, które wysypała na jego głowę.

Sąd zarządził 5 minut przerwy.

Po przerwie, obecni jw.

Sąd postanowił:

1. uchylić grzywnę nałożoną na pozwaną dnia 25 marca br.,
2. ukarać świadka Elwirę Nowak grzywną w wysokości 400 zł;
3. rozprawę odroczyć na dzień 20 maja br., godz. 9.45, obecni o terminie zawiadomieni.
4. na rozprawę wezwać świadka Elwirę Nowak. Na tym posiedzenie zakończono o godz. 13.25.

Przewodniczący: Protokolant:

13 kwietnia, środa

Po przekroczeniu drzwi kancelarii (godz. 8.46) ujrzałam rozkoszną scenkę. Monika z miną jak po zjedzeniu kwaśnego jabłka w eskorcie dwóch znajomych policjantów opuszczała właśnie lokal. Żegnały ją spojrzenia moje i Magdy, siedzącej ponownie za kontuarem recepcji.

Od Magdy po pierwsze dostałam dobrą kawę, po drugie dowiedziałam się, że pani Zosia oficjalnie ponownie jest na zwolnieniu lekarskim, a nieoficjalnie dostała nową pracę, lepiej płatną i bliżej domu, po prostu same konfitury. Mecenas dał ogłoszenie o naborze nowej osoby do recepcji, do czasu jej zatrudnienia wakat ma być zajmowany przez Magdę. Dziewczyna była w bardzo dobrym humorze, przyznała mi nawet, że z Zofią jej się ostatnio nie układało, miały jakieś zatargi, więc może dobrze, że sobie poszła, krzyż na drogę.

Na takich plotkach zastała nas Zawidzka, po jej jednym spojrzeniu zmyłam się w trymiga na górę, nawet nie dopiwszy kawy do końca, nie wspominając o zadaniu dręczących mnie pytań.

W pokoju zaczęłam się poważnie zastanawiać nad przyszłością kancelarii. Wkrótce przecież nie będzie pracował tu nikt ze znanych mi osób. Luscia jest na wylocie trochę spowolnionym wypadkami natury formalnej, pani Zosia już wyleciała, Ola w zasadzie też. Witek knuje też coś swojego, Monikę najwyraźniej dorwała policja, może to jednak ona mordowała, a nie Ola? Oprócz współników zostaniemy tylko we trzy: Ala, Magda i ja.

Bez większej nadziei na efektywną pracę wzięłam akta spółdzielni „Nasza Sprawa”. Po czym odpaliłam komputer, otworzyłam Worda i zaczęłam pisać projekt pisma procesowego będącego czymś na kształt odpowiedzi na apelację, ale wniesionej z ogromnym przekroczeniem terminu.

Po około dwóch godzinach zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałam głos Oli, proponujący mi spotkanie na mieście. Najpierw umarłam, ale potem szybko zmartwychwstałam i zweryfikowałam swój plan dnia. Niestety, dziś nie miałam w

planach żadnej rozprawy, nie przychodził mi też do głowy żaden pretekst do wyjścia z kancelarii, a podskórnie czułam, że zapraszanie Oli do pracy nie byłoby przez nią przyjęte z zachwytem. Rzutem na taśmę zasugerowałam kawę po pracy. Uzyskałam szybką odpowiedź, że to niemożliwe, po czym nastąpił sygnał rozłączenia.

Zdekoncentrowana tak bardzo, jak tylko jest to możliwe, po raz bodajże dziesiąty wróciłam do pracy nad feralnym pismem procesowym. Po kwadransie telefon zadzwonił ponownie. Odebrałam z ciarkami na plecach. Tym razem jednak to nie była Ola.

– Aspirant Naciołek – przedstawił się głos. – Czy planuje pani dziś wychodzić z pracy?

– Niestety nie – wyrwało mi się z głębi duszy.

– To proszę się nigdzie nie ruszać – zabrzmiało to jak rozkaz. – Będę tam najpóźniej za godzinę.

Jednoosobowa policja zjawiała się w drzwiach mojego pokoju równo po trzydziestu czterech minutach, zgodziła się wypić filiżankę mięty i usiadła na pustym fotelu Oli. Patrząc na wolną przestrzeń pomiędzy czubkiem głowy władzy a sufitem, zdałam sobie sprawę z tego, że zazwyczaj była ona mniejsza. Co znaczyłoby, że Ola górowała wzrostem nad przesłuchującym mnie policjantem.

– Proszę pani – zaczął grzecznie funkcjonariusz. – Czy chciałaby pani coś jeszcze dodać do swoich zeznań dotyczących przebiegu dnia siódmego marca bieżącego roku?

Chwilę się zastanowiłam, po czym odparłam, że raczej nie.

Policjant był jednak uparty.

– Niech pani się zastanowi. Czy jednak czegoś pani nie pominęła?

No żesz, za kogo on mnie ma! Nie to nie! Zaciętości mojego kręcenia głową mógłby mi pozazdrościć rasowy przestępca.

– To ja może pani pomogę. – Od uprzejmości aspiranta Naciołka bolały zęby. – Czy może zauważyła pani coś dziwnego u którejś z osób przebywających tego dnia w kancelarii?

Autentycznie mnie zażył. Przeleciałam wzrokiem po każdym z bohaterów, ale nie dostrzegłam żadnej szczególnej cechy. Po prostu nic.

Znowu poruszałam głową, ale tym razem jakoś smutniej.

– No dobrze. – Westchnienie, które się wyrwało z płuc policjanta, było ewidentnie ludzkie i nie miało w sobie nic z yorka. – To jak się pani przypomni coś jeszcze...

Chwileczkę... czyżbym coś pominęła?

– O śladach buciora jakiegoś chama, odcisniętych na kozaczkach Magdy już panu mówiłam? – spytałam dość swobodnie, choć w gardle rosła gula wielkości grejpfruta.

– Coś takiego... – Brwi aspiranta poleciały do góry, choć do sufitu miały jeszcze szmat drogi. – To może niech pani słów kilka o tych kozaczkach...

Zrelacjonowałam, co było do przekazania. Pod koniec monologu mój rozmówca wstał z ciężkim oddechem z fotela i podziękował mi za pomoc. Miałam poważne wątpliwości co do szczerości tych słów.

Postanowiłam odprowadzić władzę na dół do wyjścia. Teoretycznie zresztą takie u nas były wymagania bezpieczeństwa, przedsięwzięte w celu nieszwendania się nikogo obcego po kancelarii. Tyle że rzadko kiedy stosowaliśmy je w praktyce.

Aspirant Naciołek zatrzymał się przy recepcji.

– Pani Magda Lisicka? Proszę ze mną na komendę.

– Chyba pan żartuje! – Głos Zawidzkiej przeleciał na wskroś przez hall, odbił się od ściany i rozszedł po wszystkich kątach kancelarii. – Pracę całego biura chce mi pan wykończyć?

– Zuziu... – usiłował jej przerwać Mecenas, którego postać pojawiła się w drzwiach drugiego gabinetu. – Proszę...

– To ja proszę – ucięła krótko Zawidzka. A potem zaczęła gderać coś o tym, że przepisy swoją drogą, a życie swoją, bo przesłuchać można po pracy, ale nie, najłatwiej to wszystkich od razu na wszelki wypadek zatrzymać albo – jeszcze lepiej – aresztować...

Ale nikt już jej nie słuchał, tylko patrzyliśmy w milczeniu na Magdę, która ze spokojem zmieniła buty, a potem powoli nakładała płaszcz i poprawiała chustkę na szyi, by w pełnym rynsztunku wyjść na zewnątrz razem z aspirantem Naciołkiem.

27 kwietnia, środa

Zamiast epilogu – monolog

Nie powiem, denerwowałam się jak diabli. Nawet wypaliłam szybkiego papierosa, a potem zmieniałam stolik na ten bez popielniczki, żeby mnie dalej nie kusiło.

Siedziałam w mojej ulubionej kafejce, znajdującej się tuż przy jednym z najpiękniejszych, moim zdaniem, miejsc w Warszawie – placu Zbawiciela. Przed sobą miałam widok na kościół, na którego schodach zebrała bardzo młoda Cyganka z kilkumiesięcznym dzieckiem na ręce. Maluch był spokojny, dziewczyna miała na wpół zamknięte oczy, jakby przysypiała. Obydwoje byli niesamowicie brudni, przez chwilę wydawało mi się nawet, że ich smród potrafi przejść przez szyby kawiarni.

Nagle na minirondko z Marszałkowskiej od strony Trasy wjechał srebrny SUV. Cyganka zerwała się na nogi, jej gwałtowny ruch przestraszył dziecko, które wykrzywiło twarz do płaczu. Dziewczyna zdecydowanym ruchem strzeliła prztyczka w nos małemu, po czym wsiadła do samochodu. Bez większego zdziwienia skonstatowałam, że auto prowadził jeden ze stałych klientów Mecenasa – bodajże jakiś spec od handlu ludźmi i narkotykami. Uśmiechnęłam się do siebie – ta mała scenka sprawiła, że czekanie nie było takie nudne.

W końcu o osiemnastej pięć naprzeciwko mnie stanęła ona. Odchudzona o pięć kilo, opalona, z krótszymi włosami i ogólnie do siebie niepodobna.

– Witam, Olu.

Cmoknęliśmy się w policzek na powitanie, jakby nic się nie stało.

– Cześć – odpowiedziała.

Celem spotkania było teoretycznie zebranie i usystematyzowanie wszystkich wiadomości, ale w zasadzie był to tylko pretekst dla mnie do zobaczenia Oli, bo ja – po sobotniej supertajnej rozmowie z prokuratorem Michalczukiem – w zasadzie wszystko już wiedziałam. No, prawie.

Zamówiliśmy od razu po dwie kawy i jakieś ciastka, żeby nikt nam nie przerywał. Trochę się spieszyłam, bo musiałam jeszcze dziś wieczorem odwiedzić Ewkę. Bardzo źle przeżyła to zerwanie zaręczyn przez Wiktora, mówiła nawet o samobójstwie. Staralam się jej dość spokojnie wytłumaczyć, że znacznie gorszym wariantem od samotnego macierzyństwa jest beznadziejne małżeństwo, a może jej były jednak sprawdzi się jako ojciec? Nigdy nie można tracić nadziei. Moje perswazje okazały się, niestety, niewystarczające i ostatecznie Ewa była teraz na tak silnych prochach, jakie tylko były możliwe dla ciężarnej. Oraz pod stałą opieką rodziny i czasową, aczkolwiek regularną, psychologa.

– To zaczynaj – zachęciła Ola, gdy na naszym stoliku pojawiły się napoje i jedzenie. Nie wiadomo, czy dotyczyło to konsumpcji czy rozmowy, więc na wszelki wypadek milcząco zatopiłam widelec w jabłeczniku. Mniem, był całkiem niezły. Poczułam, że nie chce mi się gadać.

– Dobra, to ja zacznę. – Usłyszałam po jakiejś minucie. Ola czytała w moich myślach. – Ty pewnie jesteś po rozmowie z twoim znajomym prokuratorem, nic nie możesz ujawniać, ale wolno ci się głupio uśmiechać, kiedy ja będę zgadywać.

Ni to potaknęłam, ni zaprzeczyłam. Wyszło jak zazwyczaj idiotycznie.

– Dudka wypuścili z aresztu, skąd wyleciał wprost w wyczekujące ramiona Moniki. Tego nie musisz potwierdzać, o tym wszyscy już wiedzą. Że mieli od dłuższego czasu ze sobą romans, który potrafili jednak cudem utrzymać w dyskrekcji. Może dlatego, że Dudek był formalnie wciąż żonaty, a Monika w długim związku z tzw. porządnym facetem, a może z innych powodów. Poznali się u nas w pracy, w co trudno może uwierzyć, bo Kancelaria Magier i Wspólnicy do najromantyczniejszych miejsc na ziemi nie należy.

Otworzyły się drzwi i do wnętrza wparował nasz wspólny daleki znajomy z jakąś dziewczyną w wieku gimnazjalnym pod pachą. Ujrawszy nas, zrobił taki ruch, jakby chciał się wycofać, ale chyba nadepnął swojej córce na czubek szpilki, bo ta coś krzyknęła. Znajomy kiwnął nam lekko głową, pociągnął uczennicę za sobą w najciemniejszy kąt kawiarni, gdzie zaczęli w pośpiechu ściągać marynarki.

Po twarzy Oli przeleciał lekki uśmieszek, po czym kontynuowała przerwana na tak

wczesnym etapie historię.

– Chyba zaczęło się to jako zwykła zabawa, przynajmniej ze strony Moniki, wiesz, duża różnica wieku, on ma z dwieście lat. A potem obydwójce w to wpadli po uszy, Monika zerwała z chłopakiem, czy nawet narzeczoną, a Dudek zaczął rozważać realnie rozwód.

Przez głowę przeleciała mi wtedy wizja Olgierda i Ali siedzących wczoraj na kanapie w naszym mieszkaniu. Przynieśli butelkę naprawdę dobrego wina (oceniał D., ja się na tym nie znam), ale piliśmy tylko my, gospodarze. Po raz pierwszy widziałam Olgierda trzeźwego w godzinach wieczornych i rzeczywiście w takich okolicznościach przyrody mógł on uchodzić za porządnego faceta. Nawet gdy ja osobiście miałam na takich alergię.

– Potem jakiś życzliwy feralnego dnia informuje Dudka o starym romansie jego formalnej żony z Sońskim. Dudek nie był głuchy na plotki, wiedział o tym wcześniej, ale teraz przychodzi mu do głowy pomysł, żeby namówić Sońskiego do zeznań w celu udowodnienia winy żony w rozkładzie pożycia. Namówić to za słabe słowo, panowie mają wobec siebie wzajemne rozliczenia, niekorzystne dla pracodawcy Dudka. Jakies szwindle, interesy-niewypały, niezapłacone prowizje – radca prawny, jak ma szczątki oleju we łbie, to o tym wszystkim wie. Kwiat palestry idzie więc do mieszkania swojego mocodawcy i szantażuje go przeciekiem, nie wiem komu, chyba nie policji, raczej osobom prywatnym, pewnie średnio przyjemnym w obsłudze. No, chyba że Soński złoży odpowiednie zeznania w sądzie.

Po co Dudkowi było orzeczenie o winie małżonki, do dziś pozostanie dla mnie tajemnicą. O alimenty do niej nie chciał zapewne występować, ale może obawiał się, że ona go będzie tak nękać i w ten sposób planował uciąć wszelkie dyskusje. Chyba jednak głupia mściwość zwyciężyła. Zresztą, nieważne, w areszcie swoje odsiedział, dostał nauczkę.

Ola mogła nie wiedzieć, jakie biznesy prowadził Soński. Ja też zresztą nie miałam na to wprost żadnych dowodów, oprócz jednej mało czytelnej kartki. Reszta to były moje domysły. Wawrzyniec Soński, ogólnie mówiąc, handlował nieruchomościami. Skupował, komasował działki, a potem sprzedawał z dużym zyskiem. Pieniądze na

inwestycje zazwyczaj nie pochodziły ze środków własnych, bowiem tak dużymi raczej nie dysponował, ale z pożyczonych funduszy. Finansującymi byli w zasadzie wszyscy współpracownicy kancelarii, a także duża część jej klientów. Nie wierzę przy tym w charytatywne działanie Mecenasas i Dudka, wydaje mi się, że obaj pobierali prowizję za skojarzenie interesów. Być może palce w tym maczała też Zawidzka, która – jako kochanka Sońskiego – kontrolowała pośrednio wydatki.

Jakieś jednak uczucia musiała pani mecenas żywić wobec denata, skoro jej betonowa postać uległa lekkiej deformacji w ostatnim czasie, wkrótce po tragicznej śmierci swojej miłości. Teraz jednak Zawidzka powoli wracała do utartych ścieżek, wydeptywanych na plecach innych z podziwu godną determinacją.

Znowu otworzyły się drzwi, do wnętrza kawiarni weszła Kornelia Zbroińska prowadzona przez Janusza Gujskiego. Obydwoje spojrzeli w moją stronę, poszeptali do siebie, po czym opuścili lokal. Warszawa jest naprawdę małym miastem.

Ola chwilę milczała, ale potem znowu podjęła temat. – Nie myśl, że sama z siebie jestem taka mądra. Kilka dni temu, już po aresztowaniu Magdy, spotkałam się z Moniką, ona mi to wszystko wyśpiewała. Wydaje mi się, że feralnego dnia pojechała na Wilanowską, bo wiedziała, że Dudek poszedł rozmówić się z Sońskim, denerwowała się jak diabli i chciała znać od razu efekty.

Tylko że Dudek załatwił sprawę w miarę szybko i wyszedł z mieszkania Sońskiego, zanim przyjechała Monika. Wcześniej jednak koledzy dokonali, niejako przy okazji, zwrotu pożyczonego paska. Oddana część garderoby musiała gdzieś leżeć na wierzchu, pod ręką. Nie dziwota, iż miała na sobie dużą ilość odcisków palców Dudka, przecież jej nie dezynfekował przed zwrotem.

Moja rozmówczyni zaczęła pić już drugą kawę.

– Dudek wrócił szybciotko do swojego mieszkania, gdzie spił się z radości na amen. Monika mówi, że on autentycznie nie pamiętał, co wcześniej robił, i ja jestem nawet skłonna w to uwierzyć. Może sam nabrał wątpliwości, czy jednak nie zabił Sońskiego. W takiej sytuacji najlepiej jest nie kłapać niepotrzebnie jęzorem i czekać na wyjaśnienie sytuacji.

Skończyłam jeść jabłecznik. W ustach Oli opowiadana przez nią historia zdawała

mi się coraz bardziej nierealna, coś na kształt współczesnej kinematografii polskiej. Brzmiało to jak jedna z tych zawodowych legend, które krążą na rynku od lat, a nikt nie jest w stanie zweryfikować ich prawdziwości.

Ola jednak nieprzerwanie mówiła dalej.

– Wróćmy do interesów prowadzonych przez denata. Rynek nieruchomości ostatnio siadł, biznes okazał się kulawy, a zwrot pieniędzy – pod znakiem zapytania. Mecenas, korzystając z wizyty swoich stałych klientów, mających doświadczenia w ściąganiu haraczy, a przede wszystkim stosowną prezencją, prawdopodobnie postanowił lekko postraszyć swojego kontrahenta. Cała piątka opuściła kancelarię, wtedy gdy pani Zosia pobiegła na górę prosić cię o zastępstwo na recepcji. Wasza rozmowa trwała kilka minut, wystarczająco długo, aby kilka osób zdążyło spokojnie przejść parę metrów do drzwi.

Wypiłyśmy już po dwie kawy, zamówiłyśmy więc wodę mineralną (ja) i sok (Ola). W ciągu trzech minut zostałyśmy obsłużone, co pozwoliło nam kontynuować naszą jednostronną rozmowę.

– Nie sądzę, żeby Mecenas chciał zabić Sońskiego, wątpię, żeby miał takie plany. Zresztą, jak pewnie wiesz, żaden z braci Werdorf nie brał udziału w prawdziwie mokrej robocie. Oni po prostu byli od lżejszych rzeczy – trzasnąć w pysk by pewnie potrafili, skopać może też, ale nic więcej. Dlatego musieli być mocno zdziwieni tym, co ujrzeli po wejściu do mieszkania na Wilanowskiej. Drzwi były otwarte, więc weszli we trójkę, Mecenas z dwójką braci, trzeci siedział w samochodzie, Monika go chyba nie dojrzała, choć widziała powrót całej eskapady. Seniora-herszta bandy w ogóle przy tym nie było.

Ola napiła się soku. Chyba od tego mówienia zaschło jej w gardle.

– Wchodzą więc do środka, przechodzą przez długi przedpokój i otwierają drzwi salonu, robiąc mnóstwo śladów. Ich oczom ukazuje się piękny widok potencjalnej ofiary, już uduszonej na amen. Mecenas i bracia są w szoku, oczywiście ci dwaj, którzy poszli, czym prędzej opuszczają lokal i uciekają z Wilanowskiej samochodem.

Jak łatwo się można było domyślić, ten właśnie moment widziała Monika.

– A zatem zabójca – kontynuowała Ola – musiał wejść do mieszkania denata po

wizycie Dudka i wyjść przed odwiedzinami Mecenasa i jego kumpli. Musiał uwinąć się z tym w miarę szybko, bez zbędnego gadania, płaczu itp. Mamy teraz ułatwioną sytuację, bo wiadomo, że aresztowana została Magda.

– No tak – weszłam jej w słowo – ale wcześniej tak samo aresztowany był Dudek i okazało się, że chyba niesłusznie. Skąd wiadomo, że tym razem to dobry traf?

Ola uśmiechnęła się, ukazując swoje piękne, białe zęby. One też były zrobione niedawno, przysięgłabym bowiem, że wcześniej nie prezentowały się tak olśniewająco. Obecnie stanowiły piękny kontrast dla opalonej cery narratorki dzisiejszej opowieści.

Westchnęłam teatralnie, postanawiając puścić niegroźnie farbę. Zresztą chodziło o moje domysły, które w dodatku kompletnie nie wypaliły.

– Dobrze, przyznam ci się, że moje pierwsze skojarzenie było takie, że Magda jest córką Dudków...

Ola zachichotała.

– O co ci chodzi, wiek się przecież zgadzał. – Byłam oburzona jej reakcją. – Nawet zaczęłam dopatrywać się pewnych podobieństw...

– Ale to tak, jakbyś zakładała, że Monika jest w podobnych relacjach z mecenasem Antonim.

– Teraz, gdy wiem, że Dudkowie nie mieli dzieci, historia wydaje mi się prostsza – przyznałam. – Ale wtedy zaczęłam usilnie szukać motywu dla córki Dudków do zabicia byłego kochanka swojej matki... i nie mogłam go znaleźć. Sorry, miałam nic nie mówić – zreflektowałam się poniewczasie.

– Kasiu, ależ ty w zasadzie nic nie powiedziałaś.

Czułam się zasłodzona po wsze czasy. Nie mogłam już nic przełknąć, obojętnie, czy miało to być w postaci stałej czy płynnej.

– Jak ci kiedyś wypaplałam – oczy Oli paliły się, gdy to oświadczyła – Dudkowa była raczej z tych rozrywkowych. Typ wybitnie psychopatyczny, wykorzystywała każdego, kto stanął na jej drodze, zero współczucia, za grosz sumienia. Przy tym sprytna sztuka, ładna, przekonywająca, potrafiła kłamać jak z nut, omotać każdego. A im starsza, tym ostrzej pogrywała.

– Czy była twoją kochanką? – walnęłam z grubej rury. I od razu się wycofałam: – Przepraszam za szczerość.

Ola się nie obraziła.

– Nie, absolutnie nie. Ja zresztą nie gustuję w bi. Wolę jasne relacje, a nie typu „w tle czai się ukryty mąż”.

– Ale Dudkowa zadawała się z Magdą – ucięłam.

– Zgadza się – potwierdziła Ola.

– I ty o tym wiedziałaś.

Ola uśmiechnęła się krzywo.

– U nas wszyscy o tym wiedzieli – położyła akcent na „nas”. – Nawet do siebie w pewnym sensie pasowały, co prawda różnica wieku, ale obydwie bi, zdrowo rąbnięte, chociaż inaczej. Dudkowa czerpała z życia całymi garściami, manipulatorka do kwadratu, a Magda... to zwyczajna szajbuska.

Ola tego nie wiedziała i nie było potrzeby dodatkowego jej informowania, ale Sambor potwierdził moje podejrzenia. Magda miała klasyczną osobowość borderline, z wahaniami nastroju, nagłymi napadami gniewu, brakiem sensu istnienia. Nieustannie słyszane przez nią syreny karetek pogotowia najprawdopodobniej były tylko jej paranoicznymi wyobrażeniami.

– Dudkowa utrzymywała Magdę – wysłowiłam swoje przypuszczenia.

Skinięcie głową.

– Stać ją było, to utrzymywała – ucięła krótko. – Dudkowa w ogóle wydawała pieniądze na lewo i prawo, jak poznała Magdę, znalazła kolejny pretekst do kupowania.

– Aż tu nagle...

Znowu ten wygięty niby-uśmiech.

– Nie było żadnego nagle. Dudkowa zdradzała Magdę na lewo i na prawo w zasadzie od samego początku. Zresztą robiła tak od zawsze, we wszystkich związkach, nie chciała może wyjść z wprawy? Soński był jednym z takich romansów, pewnie bardziej pikantnym, bo to akurat szef męża. Cóż z tego, że małżeństwo od lat istniało tylko w dokumentach.

Ola wzięła głęboki oddech.

– Potem zaczęło się docinanie Magdzie. W zasadzie robiłyśmy to wszystkie, ja też, bo – jak ci mówiłam – to skończona szajbuska i nie cieszyła się nadmierną popularnością. Ale najbardziej dojeżdżała jej sama partnerka, ucinając karnie fundusze, straszyla, że odejdzie z tym czy z tamtym. Albo wróci do męża. W tym bagnie informacji trudno pewnie było wyłowić realne zagrożenie...

– ...i skończyło się na Wawrzyńcu Sońskim – dopowiedziałam.

Policzki lekko jej drgnęły, może z ledwo powstrzymanego śmiechu.

– Resztę sama wiesz.

Wiedziałam. Magda – jako klasyczna osobowość chwiejna emocjonalnie – doświadczała ogromnego lęku przed porzuceniem. Kiedy rozstanie z Dudkową zaczęło nabierać realnych kształtów, Magda zaczęła tworzyć plan usunięcia konkurencji. Podobno miała wizję, że jeśli dla przykładu sprzątnie jednego, to reszta się wystraszy, podejrzenie niejako naturalnie spadnie na męża, którego się przy okazji też wyeliminuje, a sama miłość zobaczy, jak bardzo jej zależy, i może trochę z tego, a może po części ze strachu zostanie. No i będzie nadal finansować młodą kochanicę. Magdzie miało się wyrwać na temat planowanego zabójstwa podczas jednej kłótni, na co Dudkowa podobno wybuchła salwami rechotu.

Z drugiej strony wiem, że Dudkowa zaklina się na wszystkie świętości, że ona absolutnie o planowanej akcji nic nie wiedziała, a Magda działała całkowicie w pojedynkę. Nie ma się co dziwić, ja też bym się w takiej sytuacji upierała przy własnej niewiedzy. W Matriksie mówili, że ignorancja jest błogosławieństwem, ja uważam, że czasami jest po prostu wygodna.

Niezależnie jednak od filozofii, wszystkie okoliczności potwierdziły fakt, że zbrodnia była planowana wcześniej. Magda węszyła wokół Sońskiego. Pracownicy jego firmy zeznali, że widzieli ją pod biurem jakiś tydzień przed śmiercią szefa, Sambor zeznał o jej czatowaniu na klatce na bodajże dwa dni przed zabójstwem.

Obserwacja Magdy przez Samborowy wizjer była trochę taką kliszą mojego niby-podglądactwa sąsiadów z okna mieszkania. Taka przypadkowa, raczej bezrefleksyjna wtedy kontemplacja przeze mnie jako panią przyklejonej do parapetu i kompletny

brak świadomości co do bycia obserwowanym po drugiej stronie szyby – czy to okna, czy judasza zamontowanego w drzwiach. Jakiegokolwiek przemyślenia zrodziły się w naszych łbach trochę później.

– Sam mord wyobrażam sobie tak – ciągnęła Ola. – Magda jakoś włązi do mieszkania Sońskiego. Trudno powiedzieć jak, czy Soński po wyjściu Dudka zostawił otwarte drzwi, znaczy się niezakluczone, i ona weszła bez pytania, czy pełna kultura, dzwonek, dzień dobry, mam delikatną sprawę natury osobistej, czy możemy porozmawiać, bo tak na klatce głupio. Magda nie wygląda na osiłka, potrafi być miła i kulturalna, daleko jej do braci Werdorf, więc Soński ją wpuszcza do środka. Ona po drodze bierze w ręce pasek, może leżał gdzieś w korytarzu... Wchodzą do pokoju, Magda rzuca się od tyłu na Sońskiego i go dusi.

Zdaniem Sambora najprawdopodobniej ofiara sama wpuściła zabójcę do domu, szedł przed nią, wskazując jej drogę, odwrócony tyłem. Magda to wykorzystała, zaatakowała znalezionym paskiem. Trochę szamotania i tyle. Ot, po życiu, czy może być coś banalniejszego?

Przez chwilę myślałam, że Magda – podobnie jak pan Kraśnik – też cierpiała na zespół Otella. Zagadnęłam nawet o to Sambora, a ten policyjnego psychologa. Stety albo niestety, okazało się, iż to schorzenie jest zazwyczaj powiązane z alkoholizmem, a nawet ja wiedziałam, że Magda nie nadużywała. Tak więc szaleństwo sprawcy kwalifikowało się pod inną jednostkę chorobową, w tym przypadku osobowość borderline.

Ole frasowało jednak coś innego.

– Nie rozumiem tylko, o co chodzi z kozakami Magdy? – w końcu wyrzuciła to z siebie. – Któryś z tych braci-osilków na nią wdepnął czy co?

Uznałam, że dotarliśmy do tego etapu rozmowy, w którym mogłam się odezwać.

– Też mi to przeszło przez głowę, ale byłby to jednak nadmiar szczęścia – stwierdziłam. – Jeden z sąsiadów Sońskiego wpadł na Magdę, jak wychodziła zza winkła i zrobił jej taki piękny stempel na bucie.

Od Sambora wiedziałam, że sąsiad powiedział to na pierwszym przesłuchaniu, ale rzekomo policjanci nie mogli namierzyć właściwej osoby. Zresztą na początku wersja

Dudka jako zabójcy była dla policji najbardziej kusząca, więc raczej nie szli tym śladem. Dopiero potem przyszło im do głowy, żeby połączyć te fakty.

Dopiero teraz ukłuła mnie niespotykana wylewność Magdy, gdy feralnego dnia zaczęła swoją nawijkę z bandytą w autobusie. Jakby była bardziej zdenerwowana tym, że ktoś jej ubrudził but niż własnoręcznie zaduszonym człowiekiem. Ale może to było ogólne podskórnie wyczuwane napięcie.

– Zastanawiałam się jeszcze – pociągnęła Ola – nad tym, po co Zawidzka pchała się z odwiedzinami Dudka w areszcie?

– Ja też nad tym myślałam. – Oparłam głowę na rękach. Powoli zaczynałam odczuwać zmęczenie. – Wyszło mi, że chciała się czegoś od niego dowiedzieć, nie wiem tylko, czy okoliczności śmierci, czy kwestii wzajemnych rozliczeń. Zważ, że to było tuż po zabójstwie, ona pewnie była w szoku, kochanka jej kropnęli, nawet ją to dotknęło, nie działała racjonalnie.

Ola zagryzła usta.

– To chyba wszystko, jeśli chodzi o samą zbrodnię – zgrabnie podsumowałam temat. – Ale ja chcę w końcu wiedzieć, co u ciebie słyhać? Bo optycznie wygląda wszystko super – przyznałam.

Ola zaświeciła znowu zębami.

– Superekstradobrze – odpowiedziała nadzwyczaj spokojnie. – Co konkretnie chcesz wiedzieć?

– Dawaj od początku – zakomunikowałam. – Jak choćby to, z kim poleciałaś na Fuerteventure?

Ponownie oślepiła mnie białość wydobywająca się spomiędzy jej ust.

– Z Kingą.

– To ta dziewczyna, z którą widział cię Mecenias w Falenicy?

– Ta.

Odpowiedź była krótka i treściwa, podobnie jak milczenie, które zasnuło się po niej nad naszym stolikiem. Przy którym nagle wyrósł nasz daleki znajomy, ciągnący za sobą dziewczątko niczym na smyczy o długości dwóch ramion.

– Witajcie. Nie wiedziałem, że ty, Kasiu, też jesteś z branży... – zagaił, nie frasując

się przedstawianiem gimnazjalistki.

– Cóż, i tak nie miałbyś szans – chłodno skwitowałam jego umizgi.

Jakoś szybko zakończyła się ta rozmowa w rozszerzonym składzie. Po trzaśnięciu drzwiami zdecydowałam się zadać mojej koleżance pytanie, o którym myślałam od prawie dwóch tygodni.

– Olu, czy ja ci się podobam?

Przekonałam się, że z wytrzeszczonymi oczami wygląda się zawsze źle, i to niezależnie od liczby przebytych zabiegów upiększających.

– Trochę – padła szczerą odpowiedź. – To znaczy z zewnątrz to nawet tak, zresztą pewnie już wiesz, że Kinga jest bardzo podobna do ciebie...

Postanowiłam pominąć milczeniem opis okoliczności, w których dowiedziałam się o tym fakcie.

– Ale z charakteru to zupełnie na odwrót. – Ola zmrużyła lekko oczy. – Jesteś w końcu ogólnie upierdliwa, mega-roztargniona, często się zamyślasz... A przede wszystkim za bardzo zasadnicza. Wiesz, chociażby te karne i rozwody. To tylko przykład – zastrzegła. – Każdy bierze, tylko ty nie i nie. Mogłam z tobą wytrzymać jako ze współpracownikiem, ale na pewno nie chciałabym być tak prywatnie.

Pomijając już tak mało istotny aspekt, jak moje preferencje seksualne – dopowiedziałam sobie w głowie.

Jeszcze tylko zdążyłyśmy sobie zdać relację z ogólnej sytuacji w pracy i zaczęłyśmy się zbierać: ja – do Ewy, a Ola – pewnie do Kingi.

Z dzisiejszych ustaleń wynikało mi, że z Kancelarii Magier i Wspólnicy stopniowo ewakuują się wszyscy prawnicy. Ola przeszła do jakiejś kancelarii prowadzonej przez jej znajomą w Józefowie i chwaliła sobie świetny dojazd do pracy. Teoretycznie miała podobną odległość do pracy, co wcześniej, ale jeździła teraz „pod korki”, tzn. rano z, a po południu do Warszawy, patrząc na sznury samochodów stojące w przeciwną stronę.

– Myślałam, że twoja nowa praca będzie na Chmielnej – powiedziała jej w drzwiach kawiarni. – Widziałam cię kiedyś, jak wychodziłaś z bramy takiej kamienicy z kancelarią...

– Chmielna... – Ola chwilę myślała. – A, już wiem. Nie, ja tam byłam doradzać klientowi, to taka tam spółka.

Wolałam nie drażnić tematu. W zamian szarpałam rozklejający się pasek od zegarka.

– Już dawno chciałam to zrobić. – Ola wróciła do tematu rozstania z kancelarią. – Najbardziej po jednej z rozmów z Zawidzką, w której zaczęła podśmiewywać się z mojego lesbiowania. Wiesz, takie tam niby niegroźne podgryzki, ale przykre...

– Zawidzką? – Byłam wstrząśnięta. – Przecież ona zgrywa się na taką liberalkę. Poza tym skąd wiedziała?

Okazało się, że nowoczesność pani mecenas to fasada. O orientacji Oli dowiedziała się przez przypadek, domyśliła się na podstawie paplaniny jednej z własnych, nadmiernie gadatliwych klientek, prowadzonych w ramach spraw „szantaży wieczystoksięgowych”. Zawidzka „zażartowała” wówczas, mówiąc Oli, że może coś się jej „wymsknąć” w pracy. O ironio, słowo od razu stało się ciałem, gdyż drzwi gabinetu nie były do końca domknięte, a „żart” usłyszała Magda, świetnie zorientowana w sytuacji. Wyszło to na wierzch przy jakiejś sprzeczce Oli z Magdą i wtedy – jak usłyszałam – czara goryczy przelała się, a decyzja o zmianie pracy „sama się podjęła”.

– Pewnego dnia poczułam, że nie zniosę ani dnia dłużej w tych beżowych pomieszczeniach – powiedziała Ola, rozkładając parasol, bo w międzyczasie zaczęło padać.

Rozwiązanie umowy o pracę nastąpiło na mocy porozumienia stron. Kancelaria zaszantażowała Olę ciężkim naruszeniem podstawowych obowiązków pracowniczych, a ona ich ewentualnym głośnym procesem o dyskryminację ze względu na orientację seksualną. Ugodzili się na rozwiązanie, które w praktyce oznaczało, że każdy dostał to, co chciał.

Luiza odeszła z hukiem z kancelarii dokładnie dwa dni po zatrzymaniu Magdy. Miała dosyć stanu niepewności. Podobno Zawidzka wielokrotnie mówiła jej, że ona bardzo chciałaby zaproponować jej partnerstwo w spółce, ale pozostali wspólnicy się nie zgadzają. Luiza, słusznie skądinąd uznając, że zdanie ciotki Mecenas nie jest w

tej kwestii istotne, czule pielęgnowała przez lata swoją urazę do samego Mecenasa Magiera. Wrzód pękł niedawno, pośrednio na skutek znalezienia korzystnego lokalu do wynajęcia na własną działalność. Luiza zdała sobie bowiem sprawę, że wizja lokalu wybudowanego przez pana Bijaka oddała się w nieokreśloną przyszłość, zdecydowała się zatem na rozwiązanie tymczasowe.

Skądinąd wiedziałam, że jednymi z pierwszych klientów Luizy było małżeństwo Lupników, które poznałam swego czasu w okolicach kserokopiarki w naszej kancelarii. Państwo Lupnik mieli sprawę przed sądem grodzkim, która dotyczyła ich rzekomo nieobyczajnego zachowania się w jednym z praskich parków.

Monika złożyła dziś wypowiedzenie. Nie chciała mówić, dokąd idzie, domyślaliśmy się tylko, że może otworzyć biznes razem z oficjalnym już narzeczonym, w dodatku wolnym, albo przynajmniej otrzymywać od niego jakieś podzlecenia.

W kancelarii zostali jedynie – oprócz współników – Witek, który obecnie non stop siedział w recepcji, gdzie był podwójny wakat, przeklinając przy tym aż strach; zakochana po uszy Ala, prezentująca samopoczucie na drugim końcu skali w stosunku do Witkowego; no i ja, lokująca się gdzieś pośrodku.

Pracy było oczywiście obecnie zatrzęsienie, choć przyznać trzeba, że Luiza i Ola nie próżnowały, zabierając kancelarii przy własnym odejściu kilku tłustych klientów. Czasami wracałam do domu tak zmęczona, że zasypiałam pod prysznicem. D. budził mnie wtedy i pomagał się wytrzeć ręcznikiem, a potem zanosił do łóżka. Po takiej trzeciej akcji mieliśmy większą sprzeczkę na temat zmiany pracy. Następnego dnia D. poszedł na imprezę firmową, z której wrócił po pierwszej w nocy i sam zasnął pod prysznicem. Zbudziłam go o wpół do trzeciej, wytarłam i przywlokłam do łóżka. Cóż robić, takie życie.

PROTOKÓŁ

Warszawa, dnia 29 kwietnia XXXX r.

Sąd Okręgowy w Warszawie XXII Wydział Cywilny w składzie:

Przewodniczący: SSO Wiktoria Gieryłło

SSO Marcin Dewoliński

SSB. (del) Maria Ochódzka-Natrebko (spraw.)

Protokolant: Mariola Kubik

na rozprawie rozpoznał sprawę z wniosku Adama Kraśnika o ubezwłasnowolnienie Jakuba Kraśnika.

Posiedzenie rozpoczęło o godz. 11.00.

Po wywołaniu stawili się:

Wnioskodawca Adam Kraśnik osobiście, uczestnik Jakub Kraśnik osobiście.

Stawił się biegły Aldona Świniarska, który w tym miejscu opuszcza salę rozpraw.

Wnioskodawca popiera wniosek o ubezwłasnowolnienie, twierdzi, że jego ojciec jest osobą chorą i nie jest w stanie samodzielnie pokierować swoim życiem.

Uczestnik wnosi o odroczenie rozprawy, podnosi, iż ustanowił swoim pełnomocnikiem z wyboru adwokat Katarzynę Nowacką, która miała zjawić się dziś na rozprawie. Uczestnikowi nie są znane powody, dla których jego adwokat się nie zjawił. Uczestnik próbował skontaktować się ze swoim pełnomocnikiem przez telefon, ale ona nie odbiera połączeń.

W tym miejscu na sali pojawia się adwokat Katarzyna Nowacka, wskazując, iż jej spóźnienie spowodowane było awarią samochodu. Adwokat Katarzyna Nowacka składa kopię pełnomocnictwa udzielonego jej przez uczestnika Jakuba Kraśnika, poświadczoną przez nią za zgodność z oryginałem.

Pełnomocnik uczestnika wnosi o oddalenie wniosku o ubezwłasnowolnienie Jakuba Kraśnika.

Sąd postanowił przesłuchać biegłego Aldonę Świniarską na okoliczność stanu zdrowia uczestnika.

Staje biegły Aldona Świniarska, lat 56, lekarz medycyny, psychiatra, zamieszkała w Pruszkowie, niekarana, za zgodą stron słuchana bez przyrzeczenia.

Aldona Świniarska:

Przebadałam uczestnika Jakuba Kraśnika i stwierdziłam u niego schizofrenię.

Uczestnik sam przyznał się podczas badania do tej choroby, potrafił wymienić nazwy leków, jakie obecnie przyjmuje oraz tych, które przyjmował przed obecnymi. Szczegółowe wyniki badań zostały przeze mnie wysłane do sądu tydzień temu, mam nadzieję, że doszły i znajdują się w aktach sprawy.

Wnioskodawca nie ma pytań do biegłego.

Odpowiadając na pytania pełnomocnika uczestnika, biegły oświadcza: Są różne postaci schizofrenii, pan Jakub Kraśnik ma jedną ze słabszych. Z uzyskanych od niego informacji wynika, że pracuje, ale tzw. „falami”, to jest wtedy, gdy ma natchnienie. Problemem dla niego wydaje się nie tyle sama praca, czasami bardzo ciężka, co zorganizowanie sprzedaży wyników tej pracy, co wiąże się ogólnie z kłopotami uczestnika w kontaktach z innymi ludźmi, w tym najbliższymi, np. synem. Od Jakuba Kraśnika wiem, że ma problemy finansowe, pobiera zasiłek z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Wydaje się, iż jest on w stanie samodzielnie kierować swoim życiem – pod warunkiem systematycznego brania lekarstw pod ścisłą kontrolą lekarską, bo stan choroby może ulec zmianie. Choć muszę dodać, że w mojej ocenie panu Jakubowi Kraśnikowi przydałaby się pomoc w kontaktach ze światem zewnętrznym. Do syna ma stosunek wrogi, w przypadku ustanowienia ubezwłasnowolnienia częściowego stanowczo odradzam osobę syna do pełnienia funkcji kuratora uczestnika, gdyż może to spowodować eskalację konfliktu.

Pełnomocnik uczestnika wnosi o zarządzenie 10 minut przerwy.

Sąd zarządził 7 minut przerwy.

Po przerwie stawili się wnioskodawca, uczestnik oraz pełnomocnik uczestnika.

Pełnomocnik uczestnika wskazuje, iż w piśmie z dnia 25 kwietnia br. wniósł o przesłuchanie świadka Justyny Hamilton na okoliczność wzajemnych relacji rodzinnych pomiędzy wnioskodawcą a uczestnikiem. Jednocześnie pełnomocnik informuje, iż świadek jest obecna w sądzie, czeka przed drzwiami i bardzo prosi o jej przesłuchanie w dniu dzisiejszym z uwagi na fakt, iż świadek mieszka za granicą Polski.

Wnioskodawca pozostawia ten wniosek dowodowy do uznania sądu.

Sąd postanowił przesłuchać świadka Justynę Hamilton na okoliczności wskazane

w piśmie uczestnika z dnia 25 kwietnia br.

Staje świadek Justyna Hamilton, z domu Leska, lat 38, z zawodu polonistka, niekarana, matka wnioskodawcy, była żona uczestnika.

Pouczona o prawie odmowy zeznań, mówi:

Będę zeznawać, choć Adam Kraśnik to mój syn, Jakub Kraśnik to mój były mąż. Z mężem rozwiodłam się kilkanaście lat temu, nie pamiętam dokładnie roku, wcześniej wyprowadziłam się z jego domu, nie mieszkaliśmy już razem podczas sprawy rozwodowej. Przyczyną rozpadu związku był postępujący alkoholizm męża oraz związana z tym choroba zazdrości. Mąż, przepraszam, były mąż nieustannie podejrzewał mnie o zdradę, przyłapywał go na przeszukiwaniu mojej torebki i wączaniu zużytej bielizny w poszukiwaniu dowodów niewierności. Śledził mnie podczas wychodzenia na zewnątrz, zakupów spokojnie nie mogłam zrobić, bo wpadał do sklepu z krzykiem, jak się patrzę na jakiegoś faceta, którego pierwszy raz w życiu zobaczyłam. Były mąż wielokrotnie robił mi z powodu urojonych zdrad awantury, potem doszła do tego agresja wobec mnie i dziecka, po prostu musiałam odejść. Uciekłam z dzieckiem do rodziców do Piaseczna. Mąż nie utrzymywał od tego czasu częstych kontaktów z synem, widywali się dwa-trzy razy w roku, Jakub miał zresztą ograniczoną władzę rodzicielską. Trzy lata temu wyjechałam do Anglii, synem podczas mojej nieobecności opiekowała się moja matka. Obecnie na stałe mieszkam w Slough w Anglii, mam tam nową rodzinę: męża i dwuletnią córkę. Przyznaję, że od czasu wyjazdu moje relacje z synem uległy pogorszeniu. Syn ani razu nie przyjechał do mnie do Slough. Ja byłam w tym czasie w Polsce dwa razy. Sporadycznie rozmawiamy ze sobą przez telefon. Wiem, że syn ma narzeczoną, która jest w ciąży, sytuację materialną mają złą, u mojej matki w kawalerce nie dadzą rady mieszkać. Dlatego chyba bez mojej wiedzy syn wniósł o ubezwłasnowolnienie swojego ojca. Mąż jest wyłącznym właścicielem dużego domu na Zaciszu, moim zdaniem, wszyscy oni by się tam teoretycznie mogli pomieścić. Podkreślam, że teoretycznie, bo w praktyce sędzę, że nikt nie zasłużył na mieszkanie z moim byłym mężem. Ten człowiek jest po prostu chory psychicznie, życie z nim było koszmarem, parę lat po rozstaniu było niewiele lepiej, bo nawet po rozwodzie wielokrotnie mnie nachodził za dnia i nocy, wyzywał głośno przy sąsiadach. Syn może nie zdawać sobie z tego

sprawy, ja mu takich rzeczy o jego ojcu nie opowiadałam.

Wnioskodawca prosi o pięć minut przerwy w rozprawie.

Pełnomocnik uczestnika popiera wniosek o przerwę.

Sąd zarządził przerwę do godziny 12.45.

Po przerwie stawili się jw.

Pełnomocnik uczestnika podnosi, iż jej mocodawca zaproponował wnioskodawcy propozycje ugodowe, obejmujące potencjalną pomoc materialną w przypadku pośrednictwa w sprzedaży prac plastycznych uczestnika, za odpowiednią prowizją.

Wnioskodawca oświadcza, że jest potencjalnie zainteresowany tą ofertą i chce poza sądem dowiedzieć się jej szczegółów. Stwierdza ponadto, iż w przypadku uwzględnienia przez niego tej propozycji gotów jest cofnąć złożony przez niego wniosek o ubezwłasnowolnienie.

W związku z powyższym. Sąd postanowił:

1. rozprawę odroczyć bez terminu.
2. zobowiązać strony do przedstawienia Sądowi w terminie jednego miesiąca propozycji ustaleń ugodowych.

Na tym posiedzenie zakończono o godz. 12.55.

A mówiłam: nigdy w życiu spraw rodzinnych...